

**HILARY
NORMAN**



GRA POZORÓW

Prószyński i S-ka

Po odejściu z policji Jake Woods wykłada prawo karne na uniwersytecie. Pewnego dnia przyjaciele zwracają się do niego z prośbą o pomoc: ich jedyny syn zaginął, a policja nie wierzy, że został porwany. Według detektywów nastolatek po prostu uciekł z domu i z pewnością wkrótce się odezwie. Tuż przed zniknięciem chłopak otrzymał dziwny prezent: ktoś przysłał mu najnowszą wersję komputerowej gry Limbo, ogromnie popularnej wśród nastolatków. Wkrótce okazuje się, że w podobny sposób „uciekło z domu” jeszcze kilkoro młodych ludzi, którzy również dostali pocztą Limbo. Jake, po śmierci żony samotnie wychowujący dwie córki, doskonale rozumie dramat rodziców zaginionych dzieci. Ale nikt z nich nie podejrzewa, że za całą sprawą kryje się ktoś, kto dawno już zatracił poczucie granic między fantazją a rzeczywistością i dla kogo całe życie jest jedną wielką grą...



PATRONAT MEDIALNY

Kulisy

dzieńdobry

Bella

MERLIN.PL

Cena 32 zł

Informacje o naszych książkach
można znaleźć w witrynie internetowej
www.prozysnki.pl

DEAGAM
7/03
01487

ISBN 83-7337-470-1



HILARY
NORMAN

GRA
POZORÓW

Przełożyła Małgorzata Dobrowolska

Pruszyński i S-ka

Tytuł oryginału: DEADLY GAMES

Copyright © 2001 by Hilary Norman All Rights Reserved

Ilustracja na okładce:

Corbis Stock Market/Piękna

Redakcja:

Ewa Witan

Redakcja techniczna:

Małgorzata Kozub

Korekta:

Bronisława Dziedzic-Wesołowska

Mariola Będkowska

Łamanie:

Ewa Wójcik

ISBN 83-7337-470-1

Warszawa 2003

Diamant

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Jonathanowi, z miłością

PODZIĘKOWANIA

Serdeczne podziękowania za pomoc udzieloną przy napisaniu tej książki niech przyjmą: funkcjonariusz policji Sherman Ackerson, Howard Barmad, Jennifer Bloch, Christina Carroll z księgarni Naturally Books and Coffee w Chester, Connecticut, Rachel Connolly, Sara Fisher, Gillian Green, a także Clara Harmon, Sandy Abbagnaro i dr Mario T. Gaboury z Uniwersytetu New Haven, Herta Norman, Hans Persson z witryny internetowej Adventureland, Judy Piatkus, Helen Rose oraz dr Jonathan Tarlow.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Słyszał kiedyś, że zabijanie przychodzi łatwiej, kiedy robi się to któryś raz z rzędu. Nieprawda. Wciąż było trudne. Paskudne i bolesne.

Jak dotąd pozbawił życia pięć osób i za każdym razem, kiedy to robił, w chwili gdy słyszał ich ostatnie tchnienie, krzyczał w męce. A kiedy było po wszystkim, zbierało mu się na wymioty.

Za pierwszym razem był tak przerażony tym, co ma zrobić, że tylko absolutne przekonanie o nieuchronności owego czynu pozwoliło mu jakoś przez to przejść. Wiedział, że nie jest urodzonym zabójcą, że nigdy nie będzie prawdziwym mordercą. Za każdym razem robił to, gdyż nie miał wyboru. Nie mógł pozostawić tamtych ludzi przy życiu. Bo występowała sytuacja „albo-albo”: albo oni, albo on, a on nie był gotów na śmierć, absolutnie nie był jeszcze gotów.

Tak naprawdę chyba właśnie w tym czasie kochał życie bardziej niż kiedykolwiek przedtem, bardziej, niż mógł to sobie wyobrazić jako młody człowiek.

Jeśli pominąć zabijanie.

ROZDZIAŁ 2

Nazywam się Jake Woods i jestem wykładowcą uniwersyteckim. Brzmi to jak standardowa formuła oświadczenia, składanego na zebraniu Anonimowych Alkoholików. Może dlatego, że w oczach niektórych moja decyzja o powrocie na uczelnię stała się haniebną rejteradą, niegodną stróża prawa, czyli gliniarza, którym wówczas byłem. Co prawda tylko mimochodem, w drodze do tego, co, jak mi się wówczas wydawało, było moim największym pragnieniem, czyli do stanowiska inspektora śledczego w biurze prokuratora stanowego. Zanim zmieniłem zdanie.

Pięć lat harówki w John Jay College*, * Nowojorska uczelnia, kształcąca specjalistów w dziedzinie prawa karnego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). potem praktyka, którą sobie załatwiłem w nowojorskim wydziale policji, aby w końcu znaleźć w Albany posadę, do której te wszystkie wysiłki miały mnie doprowadzić. I oto pewnego ranka spojrzałem na siebie w lustrze i stawiłem czoło temu, o czym wiedziałem już od jakiegoś czasu. Temu mianowicie, że demaskowanie korupcji w życiu publicznym, rozpracowywanie handlu narkotykami czy zorganizowanej przestępczości albo ściganie przestępców w białych kołnierzykach nie jest tym, co chciałbym robić do końca życia. Mogłem zostać świetnym prawnikiem, ale nie lubiłem wtykać nosa w nie swoje sprawy. Z natury jestem człowiekiem ceniącym prywatność i szanuję, o ile to możliwe, prawo innych do prywatności. Oczywiście nadal uznawałem konieczność prowadzenia czynności śledczych, nie chciałem jednak być tym, kto będzie to robił. Niespodziewanie odkryłem, że swoją rolę widzę w szkoleniu innych, którzy mają ku temu większe predyspozycje.

Nikt nie dał mi się bardziej we znaki w związku z moją decyzją niż ja sam. Czuję się jak idiota, uważałem, że zawiodłem ludzi, że zmarnowałem ich czas i energię.

Simone była zdania, że absolutnie nie mam racji i nie powinienem myśleć w ten sposób.

Moja żona.

Uświadomiła mi to, z czego w głębi duszy zdawałem sobie sprawę. Że najpiękniejszym okresem mojego życia stały się dla mnie lata szkolne i studenckie. I mimo najgłębszego szacunku, jaki żywiłem dla większości swoich kolegów z organów ścigania, ludźmi, z którymi mnie najwięcej łączyło i z którymi się naprawdę utożsamiałem, byli moi nauczyciele i wykładowcy. Jako student zawdzięczałem własny rozwój temu, co otrzymałem od swoich najlepszych profesorów, a więc, zdaniem Simone, właśnie taki cel powinienem postawić sobie teraz, nawet jeśli inni widzieli w tym porażkę.

- Przegrasz tylko wtedy, jeżeli nie będziesz miał odwagi, żeby zawrócić z drogi - oświadczyła.

Wyznała mi też, że zawsze miała słabość do profesorów.

Powiedziałem jej, że ten argument ostatecznie przeważał.

Oboje wiedzieliśmy, że było to jedynie połowiczne kłamstewko.

Tak więc zrezygnowałem z posady w biurze prokuratora stanowego i wróciłem do szkolnej ławy. Znowu nastał dla mnie czas zgarbionych pleców i zaczerwienionych oczu, czas obolałego karku, który domagał się kojących palców Simone i mniej więcej po pięciuset masażach zostałem wykładowcą prawa karnego na uniwersytecie w New Haven, w stanie Connecticut. Tym drugim, jak niektórzy go nazywają, ponieważ tak się składa, że Yale również znajduje się w obrębie New Haven z przyległościami. Oczywiście, tak jak inni, nie pozostaję obojętny ani na piękno tamtego wielkiego kampusu, ani na klasę intelektualną umysłów, które przyciąga i kształtuje. Naprawdę miło jest mieszkać tak blisko jego neogotyckich fasad i całego tego zgiełku, ale, moim zdaniem, nasza uczelnia, acz skromniejsza, odznacza się jakąś niepowtarzalną głębią myślenia i jestem dumny, że wchodzę w skład tutejszej kadry akademickiej.

Mam nadzieję, że jestem niezłym profesorem.

Zrozumiałem, że osiągnąłem pełnię szczęścia, kiedy rozpocząłem pracę wykładowcy.

I Simone była ze mnie dumna.

To stanowiło ukoronowanie wszystkiego.

Przynajmniej do czasu.

ROZDZIAŁ 3

Musiał go poświęcić. Musiał. Wzdrygał się na samą myśl o czynnościach, które należało wykonać, ale nie było sposobu, by tego uniknąć. Kiedy go znalazł, był przekonany, że trafił w dziesiątkę, że wreszcie ma to, czego szukał. Młody, piękny, wysportowany, pulsujący witalnością i hormonami, gotów do wszelkich możliwych zadań.

Sam był sobie winien, wiedział o tym. Powinien był pomyśleć, nim wybrał biegacza. Biegacze potrzebują przestrzeni, bez niej wariują. Trzymany dłużej w tym miejscu, ów chłopak rozsypałby się kompletnie, fizycznie i psychicznie.

W ten sposób przynajmniej to będzie mu oszczędzone.

Wiele razy zastanawiał się nad metodą, dumał długo i boleśnie nad najszybszym, najłagodniejszym sposobem. Dotąd zawsze wygrywał pocisk. Wśród specjalistów od kary śmierci przeważa opinia, że najbardziej humanitarny jest śmiertelny zastrzyk, ale w porównaniu z czym? Ze skrepowaniem pasami i usmażeniem żywcem?

Był oczywiście *dim mak* - śmiertelne dotknięcie, szybkie i skuteczne, jeśli się wie, jak go użyć, a on wiedział i umiałby je zastosować, ale młody człowiek mógł się bronić, a wtedy cała sprawa zrobiłaby się paskudna. Tego nie chciał. Była to ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

Zdarzało mu się wcześniej podawać tamtemu środki nasenne w pożywieniu, kiedy zachodziła taka potrzeba, ale przy kapryśnym apetycie chłopaka nie mógł mieć pewności, że dawka specyfiku, jaką otrzyma młody organizm, będzie śmiertelna, poza tym nie był, do jasnej cholery, farmaceutą i mógł popełniać wszelkiego rodzaju błędy...

Tak więc, po rozważeniu wszystkiego, musiał to być strzał z broni palnej.

W ciemności, żeby chłopak nie widział, co go czeka, idealnie - dla nich obu - podczas snu. Użyje tłumika, na wszelki wypadek, bo oczywiście nie ma takiej potrzeby. Nikt nic nie usłyszy.

ROZDZIAŁ 4

Była sobota, trzynasty maja, jeszcze tydzień pozostał do egzaminów dyplomowych i zakończenia wiosennego semestru. Myślałem, w różowym nastroju, o lunchu, którym podejmę córki, jak wrócą do domu po swoich absorbujących przedpołudniowych zajęciach, kiedy zadzwonił telefon.

- Jake, tutaj Stu Cooper.

Od razu tknęło mnie złe przeczucie; usłyszałem napięcie w jego głosie... Znałem Stuarta od czasu, kiedy Fran Gotlieb, moja koleżanka ze szkolnej ławy, jeszcze z New Jersey, wyszła za niego przed szesnastu laty czy coś koło tego. Stu był pogodnym, optymistycznie usposobionym facetem, zwariowanym na punkcie Fran i ich syna, Michaela.

To była zła nowina.

Wiercie mi, znam się na tym.

- Jake, Mikey zniknął - powiedział Stu.

- Jak dawno? - zapytałem, mając nadzieję, że chodzi o kilka godzin.

- Miesiąc temu.

Miesiąc temu? Do licha, ileż to czasu upłynęło od naszej ostatniej rozmowy?

- Co się stało? - zapytałem, odsuwając na bok poczucie winy.

- Zniknął czternastego kwietnia. - Głos Stuarta zaczął drżeć. - I nikt nic w tej sprawie nie robi.

- Nie rozumiem. - Nie wierzyłem własnym uszom. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co słyszysz. - Cooper wydawał się bliski łez.

- Fran jest w domu?

- Jeśli wydaje ci się, że ze mną kiepsko, możesz sobie wyobrazić, w jakim ona jest stanie. - Stu zamilkł na chwilę, przelknął ślinę, wziął się w garść. - Dlatego do ciebie dzwonimy, Jake. Potrzebujemy pomocy. Potrzebujemy kogoś, kto nam pomoże.

Przymknąłem oczy, próbując sobie wyobrazić resztę weekendu. Wiedziałem, że tego dnia nic już się nie da zrobić, ale nazajutrz... - Jutro nie będzie za późno?

Wyjechałem w niedzielę wczesnym rankiem, kierując się na północny wschód, w stronę Hartford i wielkiej autostrady prowadzącej do Bostonu. Istnieją bardziej malownicze trasy, ale tego dnia nie byłem w nastroju. Piętnastoletni syn moich przyjaciół zginął. Moja starsza córka, Rianna, ma piętnaście lat, jej siostra, Ella, skończyła dziewięć. Martwię się o nie przez cały czas. Który ojciec czy matka się nie martwi?

Dopóki Simone była z nami, mogliśmy przynajmniej dzielić się tym ciężarem, co nie znaczyło, że lęk stawał się przez to mniejszy. Pamiętam noce po urodzeniu jednej, a potem drugiej córeczki, kiedy zrywałem się z uczuciem paniki i pędziłem do dzieciennego pokoju sprawdzić, czy maleństwo oddycha, tylko po to, aby się przekonać, że Simone zdążyła mnie ubiec. Pamiętam, jak staliśmy długo nad kołyską, patrząc, nasłuchując, zanosząc w duchu modlitwy dziękczynne i obejmując się nawzajem.

Pamiętam to tak wyraźnie...

Mieszkaliśmy wtedy w Madison, w uroczym, starym domu z drewnianą fasadą, w pobliżu morza. Znaleźliśmy go z Simone w któryś weekend niedługo po tym, jak się dowiedziałem o posadzie w New Haven. Simone zareagowała na perspektywę przeprowadzki z Albany do Connecticut z takim samym spokojem, z jakim przyjęła naszą poprzednią wędrówkę, kiedy opuściliśmy Nowy Jork i pociągnęliśmy na północ, gdzie miałem objąć stanowisko w biurze prokuratora stanowego. Oświadczyła, że bliskość oceanu będzie wspaniała - dla Rianny, wówczas sześciolatniej, i dla maleństwa, które wkrótce się urodzi. I miała rację, była to wspaniała rzecz - i dla dzieci, i dla nas. To właśnie tam Simone, obdarzona wielkim talentem kulinarnym, rozwinęła własną działalność, przygotowując potrawy na okoliczne przyjęcia, co przyniosło jej sukces i wielu nowych przyjaciół.

Przyniosło także jej śmierć w wypadku samochodowym w trzy lata później, kiedy pędziła podczas burzy, wioząc obiad dla sześciu osób, który miała wykończyć na miejscu.

To wtedy nauczyłem się rozpoznawać telefony ze złą nowiną.

Cooperowie mieszkali za miastem, w Brookline. Zaabsorbowani pracą i dziećmi, jak my wszyscy w tych czasach, gdy dni mijają nie wiadomo kiedy, widziałem się z nimi najwyżej pięć razy od śmierci Simone, zwykle

na obiedzie lub kolacji, na którą umawialiśmy się w New Haven albo w Bostonie po dłuższej przerwie. Miałem jednak okazję widzieć Michaela dwukrotnie jako nastolatka i uważałem, że jest ogromnie sympatycznym, pełnym ciepła i uroku chłopcem. Zgadzałem się z Fran, że to tylko kwestia czasu, kiedy zaczną łamać dziewczęce serca, no i po trosze wystawiać na szwank swoje własne.

Nie takie łamanie serc mieliśmy wówczas na myśli.

Dom był solidny, wygodny, prawdziwa rodzinna willa.

Pamiętam, jak przyjechaliśmy kiedyś do nich na barbecue. Siedzieliśmy w ogrodzie za domem i pilnowaliśmy, żeby dzieciaki, które urządziły sobie własny kinderbal, trzymały się z daleka od rozżarzonych węgli, poza tym kontentując się najzupełniej jedzeniem z grilla, paroma piwami i miłym towarzystwem. Rudowłosa Fran o wesołych piwnych oczach śmiała się tego dnia wyjątkowo dużo, bo Stu ciągle ją do tego prowokował.

Dzisiaj nikt się nie śmiał.

Uścisnęliśmy się ze Stuartem krótko, po męsku, po czy objąłem Fran. Zauważyłem, jak bardzo schudła, i czułem, że powstrzymuje szloch.

- Mówcie - poprosiłem krótko.

Siedzieliśmy w ustronnym pokoiku, otoczeni ze wszystkich stron rodzinnymi zdjęciami i pamiątkami. Puchary Stuarta za osiągnięcia w golfie sąsiadowały z trofeami Michaela: chłopiec biegał, niemal odkąd zaczął chodzić, jak zwykła mawiać Fran.

Stu zdał relację z tego, co się stało. W piątek, czternastego kwietnia, Mikey spakował torbę, bo wybierał się na weekend do swojego najlepszego przyjaciela, Steve'a Chaplina. Nigdy tam nie dotarł.

- A ponieważ spakował torbę - zakończył Stu - gliniarze uznali, że miał zamiar uciec z domu.

- Co chwila jakiś nastolatek ucieka.

Wypowiadając owe słowa, wiedziałem z góry, że nie są tym, co chcieliby usłyszeć Fran i Stu. Co nie zmieniało faktu, że Michael Cooper był nastolatkiem, i chociaż wydawał się pogodnym, zadowolonym z życia chłopcem, kiedy go widziałem po raz ostatni, nie znaczyło to, że nie mógł się zmienić. Te cholerne młodzieńcze uderzenia testosteronu sprawiają, że wielu z nas zmienia się z chłopców miłych i łagodnych, że do rany przyłożyć, w narwańców, przy których rodzice tracą cierpliwość...

- Ale nie Michael - odparł Stu. - Gliniarze wciąż nas wypytywali, czy mieliśmy jakieś problemy, i popełniliśmy wielki błąd, mówiąc im, zgodnie z prawdą, że oczywiście, spieraliśmy się o różne rzeczy. W której rodzinie tak się nie dzieje?

- Czy posprzeczałiście się o coś tamtego dnia? - zmuszony byłem zapytać.

- Nie - odpowiedział Stu ponuro. - Nic istotnego, nic takiego nawet, co wyobrażnia nastolatka mogłaby rozdmuchać do nieproporcjonalnych rozmiarów.

- To jest scenariusz, w który chciała wierzyć policja - dodała jego żona. - Nadal wydają się w to wierzyć, nawet po czterech tygodniach. Jej oczy były wilgotne i zaczerwienione. - Mikey miał nocować u Chaplinów, dlatego spakował torbę, a nie dlatego, że chciał uciec z domu. Nigdy nie zrobiłby nam czegoś tak okrutnego.

Zgodziłem się z nią, że nie wydawało się to prawdopodobne.

- Nikt nas nie słucha - ciągnęła Fran. - Zdaniem policji nic nie świadczy o tym, że Mikeyowi miałyby się przydarzyć coś złego, lecz to nieprawda.

Stu pochylił się, skulony z bólu, wbijając we mnie swoje ciemne oczy.

- Coś dziwnego wydarzyło się na kilka tygodni przed jego zniknięciem. Ktoś przysłał mu prezent, anonimowo.

- Jaki prezent?

- Jedną z tych okropnych komputerowych gier, za którymi dzieciaki tak przepadają. - Fran zmarszczyła nos. - Akurat tę Mikey już miał.

- Chociaż to było coś w rodzaju specjalnej wersji - dodał Stu.

- Która to gra? - zapytałem, bo sam, będąc ojcem piętnastoletniej córki, orientowałem się co nieco - nie więcej niż to konieczne, muszę przyznać - co się dzieje w branży.

- Limbo - wyjaśniła Fran, z jeszcze większym niesmakiem.

- Słyszałem o niej - odrzekłem - chociaż chyba nie widziałem, żeby Rianna w to grała. - Moja córka wołała raczej gry o tematyce sportowej, przynajmniej w domu, domyślałem się jednak, że czasem grywała z przyjaciółmi w inne.

- Był do niej załączony krótki list. - Stu uciął moją dygresję. - Niepodpisany. Nadawca wiedział - jak twierdził - że Michael jest już zarejestrowany jako mistrz Limbo, ale sądził, że mogłoby mu sprawić przyjemność posiadanie tej specjalnej, luksusowej wersji.

- Mistrz? - zapytałem.

- Coś w rodzaju rankingu biegłości - wyjaśnił Stu. - Była tam też wzmianka, że nadawca obserwował Mikeya na bieżni...

- Pamiętasz, jakim jest dobrym biegaczem - wtrąciła Fran.

- Jasne. - Wskazałem ruchem głowy sportowe trofea chłopca.

- Obserwował go podobno - ciągnął Stu - i uważał, że Michael ma

przed sobą wielką przyszłość, że któregoś dnia może sięgnąć po trofea, o jakich nikomu się nie śniło.

- Czy Limbo ma coś wspólnego ze sportem?

- Nie - odpowiedział Stu - jeśli nie liczyć faktu, że dwoje bohaterów, takie plastikowe, wszechstronnie wysportowane półgłówki, posiadało sztukę walki, wspinania się na wysokie budynki i tak dalej.

- I zabijania - dodała cicho Fran.

Spojrzałem na nią i dostrzegłem na dnie jej oczu obłądny strach.

- To tylko gra - zauważyłem łagodnie, po czym przeniósłem wzrok na Stuarta. - Notatka wydaje się oczywiście bardziej niepokojąca w tych okolicznościach. Mogę ją zobaczyć?

- Nie mamy jej - odrzekł Stu. Jego zdenerwowanie było aż nadto widoczne. - Gdybyśmy mieli, moglibyśmy pokazać ją policji i może wtedy potraktowano by nas poważniej.

- Wydaje nam się, że Mikey mógł ją mieć przy sobie - wtrąciła Fran - bo chyba przywiązywał do niej dużą wagę.

To właśnie, jak wyjaśnił Stu, było przyczyną sporów, o których wspominał. List zelektryzował Michaela, chłopiec wmawiał sobie, że mógł go przysłać jakiś łowca talentów sportowych, nie chciał dopatrywać się w tym podstępu i właściwie Stu oraz Fran byli zadowoleni i cieszyli się, że syn za bardzo się przestraszył.

- Chociaż, rzecz jasna - tłumaczył Stu - odrobina lęku mogłaby... - urwał.

- Szkolne sprawy zeszły na dalszy plan. - Przez chwilę Fran była silniejsza z nich dwojga. - Nagle trening stał się wszystkim, na czym mu zależało.

- Więc zaczęło dochodzić między nami do spięć - włączył się Stu - a kiedy zniknął, powiedzieliśmy policji o prezencie i o tej kartce, ale ponieważ nie mogliśmy im jej pokazać, oświadczyli, że nic nie mogą w tej sprawie zrobić.

- I od tej pory - dodała Fran - interesuje ich tylko fakt, że się sprzeczailiśmy.

- Przez jakiś czas - wyznał Stu cicho - zachowywali się nawet tak, jakbym to ja mógł mu coś zrobić. - Przerwał, przełknął głośno ślinę i ciągnął dalej. - Pytali mnie, czy kiedykolwiek go uderzyłem. Powiedziałem, że nie. „Ani razu?” - dziwili się, jakby to było niemożliwe.

- Nigdy nie musieliśmy się nawet zastanawiać, czy dać mu klapsa. - Oczy Fran znów napełniły się łzami. - Naprawdę nie musieliśmy. Nigdy nie było z nim żadnych problemów.

- Wiesz, jaki jest - dodał Stu.

- Oczywiście - zapewniłem oboje. - Jak został dostarczony prezent? - zapytałem po chwili milczenia.

- Normalną pocztą - powiedziała Fran.

- I nie, nie zachowaliśmy opakowania. - Stu zacisnął zęby. - Nie przewidzieliśmy tego, że nasz syn zniknie z powierzchni ziemi.

Po tych słowach wszyscy milczeliśmy przez dłuższą chwilę. Ja wciąż oswajałem się z tym, co usłyszałem, stopniowo zaczynał docierać do mnie cały koszmar i jego możliwe konsekwencje. Jeśli chodzi o Fran i Stuarta, wiedziałem, że to wszystko musi im przechodzić przez myśl po raz tysięczny. Najstraszliwsze przypuszczenia, od których nie potrafili się uwolnić.

- Co mogę dla was zrobić? - zapytałem w końcu.

- Porozmawiaj z policją - poprosiła Fran. - Przekonaj ich, że Mikey nie jest z tych, co uciekają z domu, uświadom im, że musiało mu się przydać coś bardzo złego, że...

- Że ktoś go porwał - wtrącił Stu z płonącymi oczyma.

- Problem w tym - zaczęłam mówić wolno, z namysłem - że nie znam nikogo z policji w Brookline ani w Bostonie.

- Ale musisz mieć kontakty wśród ludzi, którzy ich znają - Stu wpadł mi w słowo.

- Otóż nie. - Czuję się fatalnie. - Pamiętasz, Fran, jak szybko zrezygnowałem z tamtej roboty w Albany? - Skrzywiłem się nieznacznie. - Jeśli chodzi o moje akta personalne jako funkcjonariusza policji, pewnie postawili przy moim nazwisku wielkie „F”, czytaj: frajer, co nie jest najlepszą rekomendacją, jeśli chce się prosić kogoś o przysługę, zwłaszcza kogoś, kogo się nie zna.

Stu wstał i podszedł do otwartych przeszklonych drzwi, prowadzących do ogrodu. Bury kot, którego chyba wcześniej nie widziałem, przysiadł na tylnych łapach, myjąc sobie futerko. Cooper stał odwrócony do mnie plecami i to dobrze, bo wołałem nie widzieć jego twarzy.

- Ale wykładasz prawo karne. - Fran nie dawała za wygraną tak łatwo.

- To sprawa, że jesteś dla policji osobą wiarygodną.

Pokręciłem głową.

- Nie byłbym taki pewien. To prawda, że w związku z naszą pracą musimy mieć rozeznanie w metodach i orientować się w najnowszych rozwiązaniach - próbowałem tłumaczyć - ale właśnie dlatego policja często uważa, że wchodzimy im w drogę. No i liczą się dla nich przede wszystkim ci, którzy swoje odsłużyli, najlepiej do emerytury.

Stu wciąż stał odwrócony plecami. Wziąłem głęboki wdech.

- Ale chętnie zadam im kilka pytań i upewnię się, że traktują zniknięcie Michaela poważnie.

Stu się odwrócił.

- O nic więcej nie prosimy, Jake.

Fran podniosła się z krzesła.

- Moglibyśmy pojechać od razu?

- Jasne. - Zawahałem się przez chwilę. - Ale może lepiej, żebym wszedł do środka sam.

Oboje przytaknęli ze zrozumieniem.

- Podwiozę cię - powiedział Stu, a Fran skinęła głową. - Wolimy, żeby jedno z nas było tutaj na wypadek, gdyby ktoś zadzwonił.

Fran podeszła i objęła mnie. Znów poczułem tę jej straszną kruchość i drżenie. Zacząłem się zastanawiać, czy tak jest przez cały czas i czy udaje jej się trochę przespać w ciągu nocy, jeśli w ogóle zdoła zmrużyć oko.

- Chciałbym rzeczywiście móc coś dla was zrobić.

Fran wypuściła mnie z objęć.

- Przynajmniej próbujesz. To już jest coś.

Z całego serca pragnąłem, żeby tak było.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy wszedł do ciemnego pokoju, chłopiec spał. Na szczęście dla nich obu. Naprowadził na niego podczerwony promień swoich noktowizyjnych okularów, przyjrzał mu się po raz ostatni, długo, z żalem, po czym zdecydowanie wymierzył w głowę. Prawa skroń połyskiwała w tym świetle zielonkawą poświatą.

Podniósł broń, już odbezpieczoną, bo naprawdę nie chciał, by tamten się zorientował, gdyż wtedy wszystko stałoby się jeszcze trudniejsze, niż było.

Chłopiec drgnął i ocknął się. Nie mógł widzieć światła, ale wiedział, że dzieje się coś złego, gorzej niż złego, i jego oczy napełniły się grozą.

O cholera jasna, o Chryste, o Boże, jak ja tego nienawidzę.

Dwa krzyki rozległy się w ciemności jednocześnie ze stłumionym odgłosem strzału. Potem usłyszał jęk, któremu towarzyszył bolesny skurcz.

Żyje. Jeszcze raz.

Podszedł bliżej. Ręce, w których trzymał broń, dygotały. Odgłosy wicia się i bólu ucichły, lecz chłopiec był nieprzytomny, nie martwy.

Nie bądź takim cholernym tchórzem!

Wycelował promień światła i lufę prosto między oczy leżącego. Teraz, kiedy ruch ustał, było łatwiej.

Następny pocisk.

Tym razem dał się słyszeć tylko jeden krzyk.

ROZDZIAŁ 6

Wyszedłem z gmachu policji i podszedłem do Stuarta, który spacerował tam i z powrotem przed swoim samochodem. Stu uniósł pytającą brwi. Pokręciłem głową, nie chcąc przeciągać jego cierpienia ani o sekundę dłużej niż to konieczne.

- Skurwysyny - niemal wycharczał, kiedy podszedłem bliżej.

- To nie tak, Stu - powiedziałem, poklepując go po ramieniu.

- Ale pokręciłeś głową, Jake.

- Tylko dlatego, że moja wizyta chyba za wiele nie wniosła. - Spojrzałem na niego. - Może byśmy gdzieś poszli, wypili kawę i opowiedziałbym ci co i jak?

- Niby o czym? - W jego głosie wciąż brzmiała agresja. - Chcesz mi opowiedzieć, jak robią wszystko, co w ich mocy? - Słyszałem już tę śpiewkę.

- Stu... - Minąłem go, otwierając drzwi od strony pasażera.

- Dobra. - Obszedł samochód dookoła, wszedł i zatrzasnął drzwi. - Mów.

Opowiedziałem mu. O tym, że starałem się nie naciskać za mocno, bo mogłoby się to na nas zemścić. O tym, że nie dostrzegłem ani śladu obojętności, co było pozytywnym sygnałem. Policjanci byli głęboko przejęci zniknięciem Michaela, zwłaszcza w świetle prezentu i listu, o których im doniesiono. Zrobili w tej sprawie, co mogli, sprawdzili na pocztę i w prywatnych firmach, czy przesyłka nie została gdzieś zarejestrowana.

- Chyba przypuszczają - dobierałem ostrożnie słowa - biorąc pod uwagę podarunek i list, że Mikey mógł pójść z kimś z własnej woli.

- Nie ma mowy - odparł Stu z naciskiem. - Wykluczone, żeby odszedł z kimś obcym.

Popatrzyłem na niego.

- Nawet, jeśli ów obcy byłby łowcą talentów sportowych? Czy Michael nie miał nadziei, że to właśnie oznacza tamta notatka?

- Nawet wtedy. - Stu wzruszył ramionami. - No... może. - Napięcie w jego twarzy zaczęło ustępować, rysy jakby zwiotczały. - Co za różnica, Jake? Co to zmienia, jeśli Mikey wierzył, że ten sukinsyn uważa go za

obiecującego biegacza? Czy nie jest to takie samo uprowadzenie, jak wtedy, gdyby dał mu po głowie albo... - Pokręcił głową i zamknął oczy.

- Nie wiem. Oni nie wiedzą. Jeszcze. - Zmusiłem się, żeby mówić dalej. - Robią wszystko, co powinni, tak mi się zdaje. Nikt ciebie o nic nie podejrzewa, Stu, wykluczyli też jakiegokolwiek przepychanki o opiekę prawną. Muszą brać pod uwagę tego typu rzeczy, bo jest to najczęstszy motyw uprowadzania nieletnich. Nie zawsze w związku z rozwodem, czasem dziadkowie czy inni krewni uprowadzają dziecko, choć oczywiście Mikey jest trochę za duży na takie rzeczy.

Stuart wpatrywał się w przednią szybę szeroko otwartymi oczami.

- Przykro mi. Zdaje się, że już to wszystko słyszałeś.

Skinął głową w milczeniu.

- Powiedzieli ci, że zeskanowali fotografię Mikeya i wprowadzili do systemu TRAK?

Kolejne potakujące skinienie.

- To znaczy, że mają ją wszystkie posterunki policji w całym kraju.

- Wiem. - Wszelkie oznaki rozluźnienia znikły z twarzy Stu, szczęki znów miał zaciśnięte.

Nie dawałem za wygraną.

- Widzieli się ze wszystkimi nauczycielami chłopca i szkolnymi kolegami. Jego przyjaciel Steve wyznał im, że rozmawiali z Mikeyem o wszystkich kłótniach na temat nauki i sportu, mówił, że Mikey się tym gryzł.

Ostro zarysowany podbródek Stuarta celował we mnie.

- Te kłótnie nie były takie znów ostre, tłumaczyliśmy ci już.

- Wiem. - Staralem się, żeby mój głos brzmiał pozytywnie. - Podsumowując, jeśli nie liczyć prezentu i listu, nie ma, dzięki Bogu, nic, co wskazywałoby na uprowadzenie.

- W takim razie gdzie on jest? - Grdyka Stuarta się poruszyła. - Gdzie jest mój syn, Jake?

- Nastolatki w tym wieku często znikają z domu. - Słyszałem swój głos, powtarzający oficjalne frazesy i źle się z tym czułem. - Czasem opuszczają dom z własnej inicjatywy, zwłaszcza po awanturze z rodzicami, co zdaniem policji nie miało miejsca w tym wypadku. - Czasem pod czymś wpływem, dając się namówić na coś, czego ich rodzice mogliby nie zaakceptować.

Po raz pierwszy w głosie Stuarta pojawiła się iskierka nadziei.

- Myślisz, że mogło to mieć coś wspólnego z treningiem? Że Mikey dał się komuś namówić na ucieczkę z domu, bo sądził, że ów ktoś zrobi z niego sportową gwiazdę?

- To nie jest wykluczone.

- Ale niepodobne do niego - odparł Stu.

Nie odpowiedziałem, nie znałem tak dobrze chłopca.

- Większość z nich, jak twierdzą gliniarze, sama wraca do domu, kiedy do tego dojrzeje.

- To już miesiąc, Jake.

- Wiem. - Usilnie szukałem czegoś, co mógłbym jeszcze powiedzieć. - Przynajmniej jego nazwisko jest na liście zaginionych nieletnich i w bazie danych systemu TRAK.

- Razem z Bóg jeden wie iloma jeszcze. - Stu pokręcił głową. - Może byłeś gliną tylko przez krótki czas, Jake, ale wystarczyło pół godziny tam, w środku, i jakby się słyszało jednego z nich.

Rozumiałem jego gorycz - zresztą trudno było mieć o nią pretensje.

Ruszyliśmy powoli w stronę domu. Obserwowałem twarz Fran, kiedy spojrzała na Stuarda i pojęła, że moja rozmowa na policji nie przyniosła pozytywnych skutków. Widziałem jego twarz w chwili, gdy do niego dotarło, że i tutaj nie zaszło nic nowego. Nikt nie dzwonił z informacjami o ich synu. Nie odezwał się żaden porywacz z żądaniem okupu. Michael nie zadzwonił, żeby powiedzieć, że wraca do domu.

Fran położyła przede mną kanapkę i chyba ją zjadłem, chociaż nie mogę sobie przypomnieć, z czym była. Pamiętam, że sama nic nie jadła i że Stu przeżuwał swoją porcję niczym automat.

Zasugerowałem, żeby nawiązali kontakt z Krajowym Centrum do Spraw Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci, ale Stu poinformował mnie, niemal opryskliwie, że Fran już to zrobiła. Wspomniałem o fundacji Polly Klaas* i zobaczyłem, że Fran kiwa głową, usiłując zdobyć się na coś w rodzaju uśmiechu, aby złagodzić efekt rozdrażnienia męża.

* Organizacja pozarządowa, zajmująca się głównie prewencją poprzez edukowanie społeczeństwa o niebezpieczeństwach zagrażających nieletnim.

Bąknąłem, że będę jechał, obiecałem, że porozmawiam z kolegami po fachu, zorientuję się, czy dałoby się coś jeszcze zrobić w sytuacji, gdy brak dowodów świadczących o popełnieniu przestępstwa.

- Dziękuję - powiedziała Fran i uściskała mnie.

- Ja również - wykrztusił Stu.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Widziałem rozpacz na jego twarzy i zmusiłem się, żeby nie odwrócić wzroku.

Wiedziałem, że nikt, z kim mógłbym porozmawiać, nie powie nic pozytecznego.

ROZDZIAŁ 7

Ciało zostało zabezpieczone. Ta sama ohydna procedura co zawsze. Najpierw przykryć, żeby nie musiał patrzeć na nie ani chwili dłużej, niż to konieczne. Patrzenie zawsze mu przypominało. Zawsze mu będzie przypominało.

To nie twoja wina.

Oczywiście, że twoja. W tym cała rzecz, prawda?

Potem posprzątać. Tyle krwi, że czuł się jak jakaś cholerna lady Makbet. Następnie brezent. Chłopak był cięższy, niż się spodziewał, mięśnie ważą więcej niż tłuszcz, to jasne. Potem samokurczliwa folia. Obrzydliwa, przyprawiająca o mdłości, ale spełniająca swoje zadanie. I wreszcie, Bogu dzięki, chłodnia.

Koniec.

Lecz nie w jego świadomości. Tam wciąż sączyła się krew.

Krew, która, jak podejrzewał, miała go kiedyś zatopić.

ROZDZIAŁ 8

Nareszcie w domu.

Później, niż planowałem, ale obie dziewczynki były na miejscu, całe i zdrowe, bezpieczne pod opieką Kim.

Tutaj żadnych zgryzot, Bogu dzięki.

Miałem niesamowite szczęście, że znalazłem Kim tamtego lata, w dziewięćdziesiątym piątym roku, tydzień po przeprowadzce do New Haven. Przeczytała moje ogłoszenie w gablotce na uniwersytecie, gdzie wówczas studiowała. Kiedy się spotkaliśmy, wiedziałem, że nie będę musiał rozmawiać z nikim więcej. Kim ma dwadzieścia osiem lat, krótkie, jasne włosy i oczy dostatecznie bystre, aby dostrzec niebezpieczeństwo zagrażające moim dzieciom z odległości trzystu metrów, a także umysł dość przenikliwy, aby wiedzieć dokładnie, co wtedy zrobić. Szczupła i drobna z wyglądu, jest silna, wytrzymała, a co najważniejsze, dobra i kochająca. Wie, jak i kiedy przytulić moje córki, wie też, jak je zdyscyplinować. Zdaje sobie sprawę, że nie jest ich matką, tylko bardzo serdeczną przyjaciółką, moją również. Tak samo życzliwy jest Tom, jej mąż, analityk komputerowy w jednej z niezliczonych firm elektronicznych działających w naszym mieście.

Ryanowie starają się bezskutecznie od kilku lat o własne dzieci, ale nie są z tego powodu rozgoryczeni ani nie tracą optymizmu. Wiem, że Riana i Ella dały obojgu autentyczną radość. Czasami, kiedy muszę wziąć udział w jakimś zebraniu na uczelni albo wychodzę gdzieś towarzysko (zostałem namówiony na pierwszą randkę w pięć lat po śmierci Simone i spędziłem nieco miłych chwil z paroma miłymi kobietami, choć nic poważniejszego z tego nie wynikło), oboje przychodzą do naszego mieszkania i czasem, jak mówi Kim, wyglupiają się na naszej kanapie niczym para przerośniętych małolatów. Ale dopiero, dodaje, kiedy obie dziewczynki śpią. Jakby musiała mnie o tym zapewniać. Ufam Kim i jej mężowi bezgranicznie, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zostawić Rianę lub Ellę z kimś, komu nie ufam na tysiąc procent.

Tak wiele zawdzięczam Kim. Nie jest najwybitniejszą kucharką i kiedy wracam do domu po pracy, mieszkanie często wygląda jak po przejściu tornada, jednak nie to się dla mnie liczy. Kim wie, jak odwrócić uwagę Elli, kiedy zbliża się wybuch złości, i umie ją uspokoić, kiedy łyż są tuż-tuż. To ona zadbała, żeby dziewczynki wiedziały, co trzeba, na temat New Haven, na przykład że tutaj po raz pierwszy w Stanach zaczęto sprzedawać pizzę i hamburgery albo że to tutejsi studenci Yale wymyślili frisbee. To Kim zabrała je na pierwszą przejażdżkę zabytkową karuzelą w Lighthouse Point Park i uświadomiła mi ogrom możliwości, jeśli chodzi o wędrówki, pikniki i wyprawy na ryby w pobliskim Sleeping Giant State Park. I to Kim pierwsza spostrzegła, że Rianna, mimo spokojnego usposobienia, ma ogromne zasoby fizycznej energii, które wymagają regularnego upustu. W wyniku czego moja córka zaczęła uprawiać i pokochała gimnastykę. I nie trzeba dodawać, że to Kim wynalazła klub sportowy High Fliers, przeprowadziła rekonesans, po czym dała mi o tym dyskretnie znać, tak abym sam mógł podjąć decyzję, zanim po raz pierwszy zabrałiśmy tam Riannę.

Czasem nie jestem pewien, czy pozostała jeszcze jakaś rola dla mnie.

Do diabła, to bzdura.

Jestem ich ojcem.

Ella była już w łóżku, a Kim zdążyła zrobić spaghetti dla niej i dla Rianny, kiedy wróciłem do domu. Makaronu było pod dostatkiem dla trojga.

- Zamierzam was z tym zostawić - poinformowała mnie, kiedy skończyłem ścisnąć Riannę na powitanie.

- Nie możesz sobie teraz pójść - zaprotestowałem.

- Oczywiście, że mogę.

- Ugotowałaś kolację.

- To nie znaczy, że muszę ją zjeść - odparła, krzywiąc się, co wywołało uśmiech na twarzy Rianny. W rzeczywistości mięsny sos Kim był jednym z jej wybitniejszych osiągnięć kulinarnych. - Jeżeli wyjdę teraz, zdążę jeszcze załapać się z Tomem na coś dobrego na wynos.

- Pizza? - zainteresowała się moja starsza córka.

- Sushi.

- Ale z was snoby - oświadczyła Rianna.

- Jesteś niegrzeczna - upomniałem ją.

- Po prostu szczerza - uznała Kim.

- Poważnie - nalegałem - chciałbym, żebyś została.

- Nie, nie chciałbyś.

Odgadywanie moich nastrojów to kolejna umiejętność, jaką posiadała Kim. Domyśliła się, jak przypuszczam, że miałem parszywy dzień i bardziej niż cokolwiek innego potrzebny mi kameralny wieczór w gronie rodzinnym. Tak więc wyszła, a ja poszedłem na górę ucałować Ellę na dobranoc. Mała się obudziła i zaczęła marudzić, żebym pozwolił jej usiąść wraz z nami przy kuchennym stole, a ja wyjątkowo ustąpiłem, bo czy to w końcu aż takie ważne, że następnego dnia będzie trochę zmęczona w szkole?

- Czy coś się stało z Mikeyem?

Rianna zastrzeliła mnie tym pytaniem, kiedy od pięciu minut siedzieliśmy nad deserem. Wiedziała, dokąd pojechałem rano, ale nie wiedziała po co. Potem jednak zawahałem się przy odpowiedzi, kiedy pytała mnie o to i owo na temat Cooperów, więc nie byłaby sobą, gdyby się nie domyśliła, że coś jest nie tak.

Albo zewsząd otaczają mnie osoby o zdolnościach telepatycznych, albo mam wszystko wypisane na twarzy.

Teraz musiałem szybko podjąć decyzję: prawda czy spokój ducha moich córek.

Raczej prawda, lecz dopiero kiedy Ella znajdzie się z powrotem w łóżku.

- Nie było go - uchyliłem się od odpowiedzi.

- Ale u niego wszystko w porządku?

Spojrzałem w szare, spokojne oczy Rianny, oczy jej matki.

- W porządku - skłamałem, zerkając na Ellę, która jadła lody, zasypiając w szybkim tempie. - Szybciutko do łóżka - powiedziałem.

- Jak skończę lody.

- Ależ oczywiście.

Oczy Elli mają fascynującą, szarogranatową barwę - ani Simone, ani moją (moje to stary poczciwy brąz) - i potrafią cię przyszpilić, jeśli zechcą, albo w ogóle cię nie widzieć. Potrafią też sprawić, że serce zmięknie ci jak wosk, zwłaszcza gdy moja córka się uśmiecha. W tej chwili obdarzyła mnie właśnie jednym z tych swoich naturalnych, bezinteresownych uśmiechów i wiedziałem, że to w podzięcie za poluzowanie rygorów. Była w nim niemal dojrzałość, która mnie zaskoczyła. To Rianna reprezentuje w naszej rodzinie dojrzałość i nawet czasem wydaje mi się, że skończyła nie piętnaście, tylko ze dwadzieścia lat, choć tak naprawdę sprawa nie ma zbyt wiele wspólnego z wiekiem. Simone zauważyła to, kiedy Rianna miała zaledwie trzy lata.

- Nasza córeczka ma w sobie mądrość - powiedziała.

Byliśmy z przyjaciółmi na plaży w Long Island, nasza pierworodna bawiła się w piasku. Spojrzałem na nią i zobaczyłem zdrowe, opalone, pulchne łapki, uwalane piaskiem nóżki, a na buzi ten rozkoszny wyraz przejęcia, jaki pojawiał się, kiedy była czymś całkowicie pochłonięta. Nie dostrzegłem niczego, co choć trochę przypominałoby mądrość. Z czasem przekonałem się jednak, że Simone miała całkowitą rację.

Moja żona nie myliła się w wielu sprawach, więc podejrzewam, że ona też miała w sobie mądrość.

Z ponownym poruszeniem sprawy Michaela Coopera Rianna zaczekała do chwili, gdy Ella leżała opatulona w swoim łóżku, a my zmywaliśmy naczynia po kolacji.

- Coś mu się stało, prawda?

- Obawiam się, że tak. - Tym razem się nie wahałem. Nie było powodu. - Jakiś czas temu pojechał do kolegi, u którego miał przenocować, i więcej się nie pokazał.

Rianna postawiła ostrożnie talerz, który właśnie wycierała i zmarszczyła czoło.

- Jak dawno?

- Miesiąc temu - odrzekłem cicho.

- O kurczę - powiedziała. - Czy myślą, że uciekł z domu?

- Policja sądzi, że mógł. Fran i Stu w to nie wierzą.

- Ale jeśli nie... - W szarych oczach dziewczynki widniało przerażenie.

Przerwałem zmywanie, wyciągnąłem lewą rękę, jeszcze wilgotną od mydlin i dotknąłem jej ramienia.

- Wiem, skarbie.

- Czy jest coś, co moglibyśmy zrobić? - zapytała.

- Nie wydaje mi się - uznałem. - Rozmawiałem z policjantami, którzy go szukają. Robią wszystko, co w ich mocy.

Przypomniałem sobie grę o paskudnej nazwie - Limbo - i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie zapytać o nią mojej córki, doszedłem jednak do wniosku, że miły wieczór został już wystarczająco zepsuty.

- Postaraj się zbytnio nie martwić, dziecino - powiedziałem. Rianna skinęła głową.

- Ty też.

ROZDZIAŁ 9

Później, kiedy już się trochę pozbierał, zajrzał do dziewczyny w nadziei, że to mu poprawi samopoczucie, że go podniesie na duchu. Przy najmniej ona się trzymała. Kobiety są odporniejsze, tak mówią naukowcy. Nigdy w to nie wątpił, a ta, ze swoimi umiejętnościami karateki i szesnastoletnim, zahartowanym i zarazem delikatnym ciałem, go nie zawiodła.

Rzecz jasna, nie stawiała jeszcze czoła największemu wyzwaniu. To będzie musiało trochę poczekać. Do czasu, kiedy jej nowy towarzysz zostanie znaleziony, przywieziony i poskromiony.

Ten etap był fascynujący. Młodzi ludzie zawsze byli przerażeni, co go martwiło, lecz umiał już sobie z tym radzić. Strach stał się jego specjalnością. Wiedział o lęku wszystko, rozumiał go i pojmował to, czego tamci nie mogli zaakceptować, gdyż byli zbyt młodzi.

Że strach sam w sobie jest potężnym przeciwnikiem, prawdziwym niszczycielem i nie ma w życiu nic bardziej satysfakcjonującego niż pokonanie go.

Przewidywał, że będzie musiał odłożyć na bok tyle spraw, ile tylko się da - postulat niełatwy do zrealizowania, jednak konieczny. Priorytetem jest dla niego w tej chwili znalezienie innego młodego człowieka. Perfekcyjnego, bezbłędnego dopełnienia kobiety.

Nie chciał kazać jej czekać zbyt długo. Dla niej było to czym innym niż dla niego. Na jego korzyść działał dreszcz oczekiwania, emocje łowów, coś, co zrozumiał dopiero po tak wielu latach. Dziewczyna zaś miała tylko ciemność i strach w czasie, kiedy on szukał dla niej towarzysza. Jeśli przyjdzie jej czekać zbyt długo, może utracić swą doskonałość i siłę ducha, zacznie być przygnębiona i tracić energię, może nawet zacząć chorować jak tamci.

O Boże, tylko nie to, nie to znowu.

Wypchnął tę negatywną myśl poza obręb świadomości.

Nigdy więcej podmianek. Koniec z tym, kiedy znajdzie następnego nastolatka. Wtedy wszystko się powiedzie, nie dopuści, aby stało się inaczej.

Czas zacząć poszukiwania.

ROZDZIAŁ 10

Leżałem w łóżku, myśląc o Michaelu Cooperze i o moich córkach. Za każdym razem, kiedy zamykałem oczy, widziałem Michaela, takiego, jakim go ostatnio zapamiętałem: silnego, zdrowego, szczęśliwego młodego chłopca, albo przerażone oczy Fran, albo zaciśnięte mocno szczęki Stuarta.

O trzeciej w nocy dałem za wygraną, wstałem, narzuciłem szlafrok, zajrzałem po cichu do obu dziewczynek, po czym ruszyłem ostrożnie, omijając dobrze znane skrzypiące deski, w stronę mojego gabinetu, gdzie włączyłem swojego peceta.

Komputer na ogół dobrze mi robi, kiedy cierpię na bezsenność. Ekran jarzy się zapraszająco w ciemności, a cały ten niezupełnie rzeczywisty świat czuwa wraz ze mną. Przekonałem się do poczty elektronicznej, lecz nigdy nie próbowałem internetowych pogawędek, chociaż zaczynam chyba rozumieć, czemu są dla niektórych tak atrakcyjne. Czasem w takie noce pracuję, czasem surfuję, odwiedzam różne biblioteki i nadrabiam zaległości w korespondencji.

Tej nocy jednak miałem zadanie do wykonania. Gdy tylko system się uruchomił, wszedłem do Internetu, znalazłem witrynę z grami i wstukałem „Limbo” w okienko wyszukiwarki. Było, a jakże, tyle że strasznie dużo, poza tym nie wiedziałem, że na rynku pojawiła się już nowa wersja, Limbo II.

Zobaczyłem słowo „Recenzje” i kliknąłem.

NA PIERWSZY RZUT OKA WYDAJE SIĘ, ŻE LIMBO NIE RÓŻNI SIĘ OD INNYCH GIER „NA PRZETRWANIE”, ALE W MIARĘ JAK ZACZYNA NAS WCIĄGAĆ, UŚWIADAMIAMY SOBIE, ŻE TO JEDEN Z NAJBARDZIEJ BŁYSKOTLIWYCH, NAJBARDZIEJ NIESAMOWITYCH PRZYKŁADÓW TEGO GATUNKU. MIMO WSZYSTKO MÓWIMY SOBIE (A PRZYNAJMNIEJ CI SPOŚRÓD NAS, KTÓRYM PŁACĄ ZA ANALIZOWANIE TYCH SPRAW), ŻE NA RYNKU JEST MNÓSTWO ŚWIETNYCH GIER, JAKIŻ TO WIĘC MAGICZNY PIERWIASTEK UCZYNIŁ WŁAŚNIE Z TEJ TAKI MEGABESTSELLER? NIEKTÓRZY SĄDZĄ, ŻE TO ZASŁUGA GHOULO,

ODRAŻAJĄCEGO, ZMUTOWANEGO NA WPÓŁ CZŁOWIEKA, NA WPÓŁ WILKA, KTÓRY PRZEŻYŁ W PODZIEMIACH MANHATTANU PO KATASTROFIE NUKLEARNEJ, ZATAPIAJĄC KŁY W CO (LUB W KOGO) POPADŁO. WIĘKSZOŚĆ Z NAS ZDAJE SOBIE WSZAKŻE SPRAWĘ, ŻE SEKRET ATRAKCYJNOŚCI GRY TO STEEL I DAKOTA, DWOJE NASTOLATKÓW, JEDYNYCH OCALAŁYCH MIESZKAŃCÓW NOWEGO JORKU. DWÓJKA SYMPATYCZNYCH MŁODYCH LUDZI Z SYMPATYCZNYCH, SZCZĘŚLIWYCH RODZIN, UWIĘZONA W STRASZLIWYM POTRZASKU PODZIEMNEGO PIEKŁA. OBOJE ODLOTOWO PIĘKNI, JEDNAK NORMALNI, POMIMO SWOICH FANTASTYCZNYCH CIAŁ I ZDUMIEWAJĄCYCH UMIEJĘTNOŚCI. DAKOTA I STEEL NIE WSTYDZĄ SIĘ PRZYZNAĆ, ŻE SĄ ŚMIERTELNIE PRZERAŻENI. MOGĄ BYĆ CYBERNETYCZNYMI BOHATERAMI, ALE POD POWŁOKĄ TYCH SWOICH NIEZNISZCZALNYCH CIAŁ SĄ PO PROSTU LUDŹMI JAK MY WSZYSCY I KTO WIE, KTO WIE, JEŻELI MY, NIE TAK SPRAWNI, ZWYCZAJNI ŚMIERTELNICY O ZWIOTCZAŁYCH MIĘŚNIACH, MUSIELIBYŚMY STAWIĆ CZOŁO SIŁOM CIEMNOŚCI, JASKINIOM-PUŁAPKOM, POWODZIOM I STADOM WYGŁODNIAŁYCH WILKÓW PRZEMIENIONYCH W DZIKIE BESTIE, NIE MÓWIĄC O SAMYM GHOULO, MOŻE ZNALEŻLI BYŚMY W SOBIE SIŁĘ, O KTÓREJ SIĘ NAM NAWET NIE ŚNIŁO...

Widziałem, że jest tego dużo, dużo więcej, głównie na temat różnic pomiędzy nową wersją a oryginałem, plus spora porcja niezrozumiałego tekstu, naszpikowanego skrótami w rodzaju FMV i RPG*, ale w tym momencie przestałem czytać, wylogowałem się i wyłączyłem komputer, a potem poszedłem do kuchni i zapaliłem gaz pod czajnikiem.

* Full Motion Video - technologia umożliwiająca odtwarzanie filmów za pomocą komputera; Role Playing Games - gry fabularne.

Lubię to miejsce. Nie umywa się do pięknej, pełnej domowego ciepła kuchni, którą mieliśmy w naszym domu w Madison, ale tamto było terytorium Simone, tam uprawiała swoją sztukę, tam przychodził każdy, kiedy tylko mógł.

I to miejsce najtrudniej było nam znieść po jej stracie. Przez osiemnaście miesięcy służyło, rzecz jasna, do przyrządzania posiłków, których potrzebowaliśmy, aby nie umrzeć z głodu, jednak o ile przedtem stanowiło serce i duszę domu, po śmierci Simone wydawało się beznadziejnie puste i właśnie tam chyba najbardziej odczuwałem jej brak.

Jeśli nie liczyć wspólnego łóżka.

Staralem się ze wszystkich sił, aby nasze życie znów zaczęło przypominać stan zbliżony do normalności, nie tyle ze względu na siebie, ile na Riannę, dziewięcioletnią w chwili, kiedy straciła matkę, i na małą Elle. Lecz mimo całego uroku i swojskości dom wydawał się umierać wraz z Simone. Bardziej przypominało to długi proces rozkładu niż nagły zgon. Podczas gdy kobieta, która go ożywiała, zginęła w ułamku sekundy, dom zapadał się w smutek powoli, jakby stopniowo, tak jak do nas wszystkich docierała do niego prawda, że Simone już nigdy nie wróci.

To wtedy postanowiłem przenieść swoją małą, kruchą rodzinę do miasta, aby zacząć od nowa w miejscu, w którym każdy ruch nie będzie wywoływać u mnie skurczu serca. Rianna, mająca wówczas dziesięć i pół roku, pojechała ze mną do New Haven obejrzeć mieszkanie przy Wooster Square, w ładnej kamienicy o fasadzie z brązowego piaskowca, które wyszukał dla nas agent nieruchomości. Pamiętam, jak wstrzymywałem oddech, kiedy chodziła z pokoju do pokoju, powoli i w milczeniu, lustrując każde pomieszczenie, każdy zakątek, aż w końcu wróciła do salonu, stanęła u mojego boku, wzięła mnie za rękę i powiedziała:

- Jest dobre, tato.

- Naprawdę? - Spojrzałem jej w oczy. - Nie chcę, żebyś się na coś zgadzała tylko dlatego, że mnie byłoby wtedy lżej. Chcę, żebyście obie z Ellą były zadowolone z tego, co postanowimy.

- Wiem. - Na twarzy Rianny gościła tak charakterystyczna dla niej powaga. - Naprawdę mi się podoba. Mogę sobie tu wyobrazić nasze rzeczy, na przykład fotel bujany w tamtym kącie...

Spojrzałem w przeciwny kąt pokoju i pomyślałem, że ja też go tam sobie wyobrażam.

- I mógłbyś pracować w tamtym małym pokoiku, i widzieć drzewa za oknem.

Plac był obsadzony drzewami czereśniowymi, które otaczały go niemal szczelnym pierścieniem. Wprawdzie nie kwitły o tej porze roku, ale i tak były malownicze i choć osobiście nie posunąłem się aż tak daleko, żeby planować urządzenie swojego gabinetu, wiedziałem, że córka ma całkowitą rację.

- I... - zawahała się Rianna.

- I co, skarbie?

Jej dłoń wciąż ścisnęła moją.

- I może nie będzie już tak ciężko.

Ta kuchnia jest inna. Znacznie mniejsza niż tamta, nie dorównuje jej urokiem i zapachami, rzeczy rzadko kiedy leżą na swoim miejscu, ale

z czasem nabrała swojskiego, domowego charakteru i jak w większości domów jest miejscem, gdzie człowiek przychodzi, kiedy nie może spać w nocy.

Fran miała rację, gra jest okropna, pomyślałem, zalewając wrzątkiem torebkę herbaty ekspresowej, choć nie tak groteskowa jak wiele innych, znajdujących się na rynku. Co istotniejsze jednak, nie znalazłem w tym opisie niczego, co pomogłoby sprowadzić Michaela do domu, a z całą pewnością niczego, co odnosiłoby się do niego bardziej niż do jakiegokolwiek innego amerykańskiego nastolatka, zwłaszcza że mieszkał w Brookline w stanie Massachusetts, a nie w Nowym Jorku.

Po prostu dziwny wybór prezentu i niepokojący, być może złowróżbny list.

Usiadłem za stołem i zamieszałem herbatę, do której dodałem łyżkę miodu. Nie tylko moje córki będą miały za kilka godzin zajęcia. Niecały tydzień pozostał do obrony prac dyplomowych, po czym rozpocznie się dla mnie długie lato, a wraz z nim powróci sprawa słynnej (tylko wśród dobrych znajomych) powieści, którą byłem absolutnie zdecydowany wreszcie napisać podczas tych wakacji.

Potrzebna mi energia, motywacja i samodyscyplina. Nie mówiąc o natchnieniu. I dużo snu.

Nie było jednak szansy, żeby profesor Jacob Woods miał zasnąć tej nocy.

ROZDZIAŁ 11

W piątek Kim zadzwoniła do mnie na uczelnię, aby mi powiedzieć, że Stu Cooper znów telefonował. Przyznaję ze wstydem, że przyłapałem się na westchnieniu, po czym z poczuciem winy chwyciłem słuchawkę służbowego telefonu, by oddzwonić. Od ostatniej niedzieli rozmawiałem z Fran dwukrotnie. Czuję, jak stopniowo umiera, wiedziałem, że każdy dzień, mijający bez wieści - dobrych wieści - o Michaelu, zatapia głębiej rozżarzony do białości sztylet w sercach obojga rodziców. Nie wiedziałem tylko, co, u diabła, mógłbym zrobić.

Mimo to zadzwoniłem.

- Zastanawialiśmy się nad wynajęciem prywatnego detektywa - oznajmił Stu bez wstępów. - Policja nam to odradza - dodał szybko, zanim zdążyłem wtrącić choć słowo - ale to było do przewidzenia, prawda? I bez względu na to, co powiesz, uważamy po prostu, że nie robimy wystarczająco dużo. Poważnie, Jake, nawet jeśli wszystko, co osiągniemy, to poczucie, że coś robimy, a nie tylko siedzimy i czekamy, to może być lepsze niż nic. - Zamilkł, słuchając, co powiem, ale gorączkowo szukałem właściwych słów, czując pustkę w głowie.

- Pomyśleliśmy, że mógłbyś nam kogoś polecić - oświadczył w końcu.

- Problem w tym - zacząłem powoli - że naprawdę nie rozumiem, co prywatny detektyw mógłby zdziałać, mając tak niewiele danych.

- Wiemy to wszystko, Jake.

- Nie mówię, że nie pomogę wam kogoś znaleźć - ciągnąłem. - Chcę się tylko upewnić, czy zdajecie sobie sprawę, jak niewiele taki ktoś będzie w stanie zrobić.

- Mimo wszystko - odparł Stu - Fran pragnie spróbować, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, chcielibyśmy wiedzieć, kto jest najlepszy w branży. Wiemy też, że to będzie kosztować, ale pieniądze nie mają znaczenia.

Stłumiłem w sobie odruchową niechęć do tego pomysłu.

- Nie mogę wam nic powiedzieć tak z marszu, ale sprawdzę parę osób i zorientuję się, kto jest najlepszy.

Przynajmniej tyle mogę zrobić, pomyślałem, żeby nie pozwolić ich oskubać jakiemuś oszustowi.

ROZDZIAŁ 12

Cały ten cholerny tydzień przeleciał jak w przysłowiowym mgnieniu oka. Szukał, gdzie i kiedy tylko się dało, uważając, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Wiedział, jak nie rzucać się w oczy - talent użyteczny na polowaniu. Ten etap nigdy go nie mierzil: śledzenie, tropienie, czekanie. Tylko zabijania nie był w stanie znieść.

To się nie zmieniło.

Gdyby miał więcej czasu... Jeszcze jeden komunał - tyle do zrobienia, a tak mało czasu - ale jakże prawdziwy. Praca, dom, codzienna rutyna, dbanie o Jej potrzeby. I poszukiwanie Jego.

Obiecujący młodzi ludzie znajdowali się wszędzie dookoła. Korty tenisowe, boiska, baseny. Sala gimnastyczna w Yale. Parki, gdzie obserwował, jak śmigają na swoich rolkach młodzi mistrzowie wszystkich dyscyplin. Jedni lubili mieć publiczność, inni byli obojętni.

Teraz przynajmniej wykluczył biegaczy. Nadal łapał się na tym, że jego oczy szukają ich i śledzą z uznaniem, ale zmuszał się, żeby odwrócić wzrok. Kto raz się sparzył... Musiał skoncentrować się na tych, którzy zdołają dać upust energii na ograniczonej przestrzeni.

Szkoła wkrótce się skończy i wtedy naprawdę zaczną być ich wszędzie pełno. Będą na plażach, w drodze na biwaki, a niektórzy znikną w biurach i sklepach, podejmując wakacyjne zajęcia.

Naprawdę nie mógł czekać dłużej.

Ona potrzebowała towarzystwa.

ROZDZIAŁ 13

Znalazłem prywatnego detektywa dla Cooperów. Faceta o nazwisku Baum.

Ścisłe rzecz biorąc, znajomy kryminolog Sigmund Green polecił mi współpracowniczkę Bauma, Theę Lomax, prowadzącą ich biuro przy George Street w New Haven. Potem jednak okazało się, że firma otworzyła niedawno w Bostonie nowy oddział pod kierownictwem Normana Bauma. To usytuowanie biura byłoby dogodniejsze dla Cooperów, o ile byśmy się dogadali.

- Ma ogromne doświadczenie - potwierdził Green, kiedy Thea Lomax zasugerowała, żebym porozmawiał z jej współnikiem. - I nie ma wszyskiego gdzieś.

Wiedziałem, że to prawda już po dwudziestu minutach rozmowy, kiedy spotkaliśmy się w siedzibie firmy Lomax & Baum. Biura znajdowały się na pierwszym piętrze starego budynku w bostońskiej dzielnicy Leather District. Dwa świeżo odmalowane pomieszczenia umeblowano biurkami, krzesłami i szafkami kupionymi na wyprzedaży, chociaż komputer i wszystkie urządzenia robiły wrażenie nowoczesnych i funkcjonalnych.

Sam detektyw nie wyróżniał się ani aparycją, ani posturą. Średniego wzrostu, z lekką nadwagą, skąpymi siwiejącymi włosami i piwnymi, krótkowzrocznymi oczyma, z których wyzierały inteligencja i dobroć. Jego garnitur z popielatego tweedu był pewnie niegdyś elegancki (choć może na kimś innym). Buty miał czyste, choć sfatygowane. Nikt szczególnie, jak powiedziałem. Ale dosłownie się wzdrygnął, kiedy usłyszał o nieszczęściu, jakie spotkało Cooperów, w kompletnej ciszy przestudiował fotografię Michaela, po czym wyglądało na to, że zaczyna w nim buzować autentyczny gniew. Norman Baum zdawał sobie sprawę, że chłopca musiało spotkać coś złego, albo, jak ja, obawiał się, że niewiele jest w stanie zrobić.

Podzielił się ze mną tą obawą.

- Chciałbym móc powiedzieć, że jestem optymistą. - W jego łagodnym głosie brzmiał smutek.

- Jak pan widzi tę sprawę?

- Decyzja należy do pana, a raczej do rodziców. Jeżeli mnie zechcecie, zrobię wszystko, ale to naprawdę wszystko, co w mojej mocy, aby odnaleźć chłopca.

- Chcemy pana.

- Nie będę czynił żadnych obietnic, których nie mógłbym dotrzymać, i nie pozwolę, aby Cooperowie wydali ze swoich ciężko zapracowanych pieniędzy choćby centa więcej, niż uznam za rozsądne.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedziałem. - Obawiam się nieco, że Stu i Fran mogli osiągnąć stadium, w którym uznali, że wyrzucanie pieniędzy w błoto jest lepsze niż nic.

- Nie w błoto firmy Lomax & Baum - odparł detektyw.

Czułem, że nie żartuje. I ktoś to wie, może Baum, ku swojemu własnemu zaskoczeniu, zdoła wywąchać coś istotnego, co akurat przeoczyła policja?

Oby tylko nie było to coś paskudnego!

Smutne i gniewne spojrzenie tych piwnych oczu mówiło mi, że serce Normana Bauma nie jest z kamienia, nawet gdy w grę wchodzi ktoś zupełnie obcy.

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 14

Zobaczył go.

Lodowate zimno na karku. Palce zaciskające się wokół serca. Znów komunały, ale jakże prawdziwe. O tak.

O tak.

Zwykle boisko do koszykówki w dzielnicy West Side na Manhattanie w niedzielne popołudnie. Niedziela, dwudziestego ósmego maja. Kilku chłopaków grało towarzysko, wygłupiając się, a jednak prezentowali przy tym sporą klasę. Tak wiele boisk, sal gimnastycznych - trzy miasta zaledwie w ciągu tygodnia. Więcej przystojnych, sportowo uzdolnionych nastolatków, niż byłby w stanie zliczyć.

Ale ten chłopak jaśniał. Po prostu jaśniał.

Miał piętnaście, najwyżej szesnaście lat i jakieś naturalne wycucie - nie jak te wszystkie tyczki chmielowe, wyglądające niczym okazy genetycznie zmodyfikowane, aby łatwiej im było wrzucać piłki do kosza, chociaż i jemu zdawało się to przychodzić bez wysiłku. Przedstawiał piękny widok: w szortach i szarej bluzie z krótkimi rękawami, odsłaniającej ramiona - potężne, choć bez przesadnej muskulatury. W sumie był szczupły, wręcz smukły, i ach, tak cudownie zrelaksowany, kiedy mknął po boisku.

O Chryste, tylko nie jeszcze jeden biegacz!

Wziął głęboki wdech, z wysiłkiem odwrócił się tyłem do grających, ale śmiech, który rozległ się w tym momencie, śmiech na bezdechu, pełen młodości i radości życia, zmusił go do spojrzenia za siebie. To on się śmiał, wiedział o tym, przystojna twarz chłopca była pełna tego uśmiechu, zdolnego przeniknąć klatkę piersiową i chwycić prosto za serce.

Chłopiec pewnie ćwiczył na siłowni. Biegacze nie grają w piłkę, tylko biegają, do jasnej cholery, tak czy nie. Tak czy nie?

Nadaje się. Musi się nadawać.

Piłka należała do niego... zaatakowano go... wybronił się, miał ją nadal, zagrał odważnie, zaryzykował, wyskoczył w górę, strzelił kosza, wylądował na nierównym podłożu, upadł...

O dobry Boże...

Już był na nogach, znów roześmiany.

A więc jest też odważny.

To ten!

ROZDZIAŁ 15

Idziesz na tosta, stary?

Robbie Johanssen spojrział na zegarek.

- Nie mogę. - Masz randkę? - zapytał Carl Smith, jeden z kolegów.

Robbie pokręcił głową.

- Dziś są urodziny mojej mamy. Urządzamy dla niej przyjęcie-niespodziankę. Sęk w tym, by wyszła z domu, żebyśmy mogli wszystko przygotować. Muszę być na czas i tego dopilnować. - Spojrzął na pozostałych, już w połowie drogi do następnej przecznicy. - Powiedz chłopakom, że zobaczymy się za tydzień, dobra?

- Jasne, stary.

Robbie patrzył za Carlem, póki ten nie zrównał się z innymi, po czym zawrócił w stronę domu, uświadamiając sobie, że będzie musiał albo dobrze wyciągać nogi, albo złapać taksówkę. Ale do domu było nie dalej niż dwadzieścia przecznic, a on był świetnym piechurem. Poza tym idąc, mógł sobie po drodze ułożyć w głowie, w jaki sposób przekona mamę, że nie ma nic przeciwko jej wyjściu na koncert, na który zaprosili ją Mark i Anna Franklinowie, co było częścią planu.

Skręcił na północ w Amsterdam Street, myśląc o podejściu matki do sprawy urodzin, tylko swoich, oczywiście, nie cudzych, a już na pewno nie jego własnych. O ile się orientował, sądziła, że Franklinowie nie pamiętają o jej urodzinach i to jej odpowiadało, bo nie cierpiała tego wszystkiego, co określała mianem wielkiego zadęcia. Z tej perspektywy koncert był w porządku. Problem jednak w tym, że Robbie wątpił, czy matka w ogóle ma ochotę wychodzić z domu. Tak naprawdę wolałaby spokojną kolację w towarzystwie syna, ale tego by mu nie powiedziała, bo uważała, że szesnastoletni chłopiec nie powinien być zmuszony do zajmowania się sprawą urodzin swojej owdowiałej matki.

- Psiakość, co za polityka - mruknął, mijając dwie zdecydowanie ładne dziewczyny, idące pod rękę, z których jedna, blondynka o naprawdę

zmysłowych ustach, uśmiechnęła się, patrząc prosto na niego. - Nie ma czasu - powiedział sobie, zwalczając pokusę obejrzenia się przez ramię. Nie było czasu, jeśli miał dopilnować, żeby Lidia poszła na koncert z Franklinami, i przygotować mieszkanie na przyjęcie.

Tu oczywiście pojawiał się kolejny problem. Jego matka nie cierpiała przyjęć-niespodzianek i powiedziała mu kiedyś, żeby nigdy, pod żadnym pozorem, nie urządzał czegoś takiego dla niej.

Skręcił w lewo w Osiemdziesiątą Siódmą, potrząsając głową.

Jak na niezbyt rygorystyczną matkę Lidia Johanssen ustanawiała stanowczo zbyt wiele zakazów.

Uśmiechnął się przewrotnie.

Ustanowione są po to, żeby je łamać.

Wszedł do budynku o fasadzie z beżowego kamienia, przy Wschodniej Siedemdziesiątej Trzeciej, niemal pod każdym względem przypominającego bliźniaczy, sąsiedni dom, połączony z tamtym od strony podwórza wspólnym ogrodem. Pomachał portierowi Salomonowi, wsiadł do jednej z dwóch wind, pojechał na ostatnie piętro i wszedł do mieszkania, otwierając sobie drzwi własnym kluczem.

- Mamo?

- Cześć. - Lidia Johanssen wyszła z głębi mieszkania, uśmiechając się do syna.

Robbie uściskał ją na powitanie, po czym odsunął się o krok i odśpiewał półgłosem galopującą wersję „Happy Birthday”. Lidia roześmiała się i zawtórowała niskim, melodyjnym głosem. Jej kontralt był w swoim czasie szeroko podziwiany, choć od dawna już nie występowała na scenie. Dzisiaj była cenioną nauczycielką śpiewu, a wśród jej uczniów płci obojga znajdowali się przedstawiciele wszystkich grup wiekowych, obdarzeni talentem w najróżniejszym stopniu. Część, nie taka znów mała, przychodziła do niej po prostu dla przyjemności, traktując lekcje jednocześnie jako przeżycie emocjonalne i doskonałe ćwiczenie.

- Ładnie wyglądasz, mamus - powiedział Robbie, kierując się w stronę kuchni.

Rzeczywiście ładnie jej było w prostych, płóciennych spodniach i bawełnianej, śnieżnobiałej koszuli o męskim kroju. Ciemne włosy związała w koński ogon. Zdaniem części znajomych Robbie był podobny do matki, ale oni oboje uważali, że jedyne podobieństwo to ten sam kolor włosów i skłonność do podobnych gestów. Oczy Lidii miały barwę miodu, podczas gdy Robbie odziedziczył przejrzyste, błękitne tęczęwki swojego ojca i jego

podbródek z lekkim rowkiem, chociaż Aaron Johanssen był niższy i teższy niż jego syn. Anna Franklin powiedziała kiedyś chłopcu, że ma też uśmiech Aarona, co bardzo się Robbiemu spodobało. Wydawało mu się, że kiedy się uśmiecha, jest w nim jakaś cząstka jego ojca.

- Jak tam mecz? - Lidia weszła do kuchni, kiedy Robbie nalewał sobie soku.

- Nie najgorzej. - Uniósł karton tropicany pytającym gestem, ale mama pokręciła głową, więc schował go z powrotem do lodówki. - Nie wybierasz się jeszcze?

- Nie ma pośpiechu - powiedziała, siadając za stołem. - Masz jakieś plany na wieczór, synku?

- Jeszcze nie. - Robbie wypił jednym haustem pół szklanki. - Cieszysz się na swoje „Pieśni”?

- Chyba tak. - Lidia zmarszczyła nos. - Chociaż nie jestem pewna, czy mam dziś nastrój na Schuberta - dodała z uśmiechem. - Może lepiej było się wybrać do Blue Note, albo do Birdlandu.* Wtedy mógłbyś pójść z nami.

* Blue Note i Birdland - nowojorskie kluby jazzowe.

Tu był pies pogrzebany. Ani cienia wymówki czy narzekania, to nie w jej stylu. Lidia zawsze go zachęcała do niezależności, Bogu dzięki. Ale rozumiał, że tego wieczoru po prostu nie chciała iść na koncert. Psiakość, wszyscy to wiedzieli, Anna i Mark lepiej niż ktokolwiek inny. Później, podczas przyjęcia - o ile w ogóle do niego dojdzie - będą się z tego wspólnie śmiać, a przynajmniej miał nadzieję, że matka będzie się śmiała razem z nimi, chociaż trudno było o pewność w tej sprawie.

- Za późno - zauważył Robbie pogodnie. - Franklinowie mają bilety. Nie ich wina, że nie przypomniałaś o swoich urodzinach.

- Przynajmniej tyle dobrego. - Lidia pokręciła głową. - Nie ma mowy, aby im teraz sprawić zawód. - Zawahała się. - Ale nie chciałabym, żebyś spędził wieczór sam. Może Josh mógłby do ciebie wpaść?

- Zapytam go - odrzekł Robbie.

- Moglibyście zamówić pizzę.

- Oczywiście, mamuś.

- Może wypożyczylibyście jakiś film?

Robbie podszedł i cmoknął matkę w czubek głowy.

- Bądź tak dobra i przestań się o mnie martwić. Zaczynij się szycować do wyjścia. Zrób sobie długie, miłe posiedzenie w wannie, tak jak lubisz.

- Chcesz się mnie pozbyć? - Lidia spojrzała na niego spod oka.
- Wreszcie się domyśliłaś - odpowiedział z ulgą.

Lidia leżała w wielkiej wannie, zainstalowanej przez pierwszego właściciela bliźniaczych budynków, któremu ich mieszkanie - wraz z dwoma pozostałymi, znajdującymi się na ostatnim piętrze, jeszcze przed podziałem na osobne lokale - służyło za nowojorskie lokum. Nie była pewna, kiedy się wyprowadził i kiedy dokładnie wyodrębnione zostało mieszkanie numer 15 C, ale ona i Aaron wprowadzili się przed siedemnastu laty.

Szmat czasu.

Rozleniwiona ciepłem i zapachem olejku do kąpieli, Lidia powędrowała myślami wstecz. Tak dużo szczególnych chwil było w ciągu tych lat... wśród nich wielkie momenty zwrotne, jedne radosne, inne przerażające. Może najpiękniejszy z nich: poczęcie Robbiego w grudniową noc po tym wieczorze, kiedy Aaron grał w Alice Tully Hall przy owacjach na stojąco, co wprawiło ich oboje w stan euforii. Aaron, tak rzadko egoistyczny, zwierzył jej się z niezwykłego uczucia nieśmiertelności, jakie nawiedziło go przez chwilę, kiedy się kłaniał po koncercie. Zaraz po tym wyznaniu dosłownie zdarli z siebie nawzajem ubrania, popędzili do łóżka i, niemal z całą pewnością, powołali do istnienia swojego syna.

Przed siedemnastu laty.

A dziś była trzydziestopięcioletnią wdową, usiłującą nie dostrzegać początków cellulitu na udach, i odliczała kolejne upływające lata.

Minęło ich pięć, dokładnie, od czasu pierwszego zawału Aarona w samym środku wielkiego przyjęcia, które wydał z okazji jej trzydziestych urodzin. Niewiele brakowało, żeby stracili go już wtedy. Gdyby nie przeszkolenie medyczne Daniela Ashera, nie byłoby tych ostatnich, przeżytych wspólnie trzech miesięcy. Zanim drugi, rozległy zawał powalił go w garderobie Carnegie Hall chwilę przed wyjściem na scenę, gdzie miał grać Rachmaninowa...

Lidia usiadła gwałtownie, aż woda zakołysała się w wannie. Myśl o dobrych chwilach! Było ich dosyć, nawet po śmierci Aarona. Wtedy wydawało się to niewyobrażalne, a jednak to prawda. Praca, niezawodna deska ratunku, dawała jej możliwość dzielenia się swoim, jakkolwiek ograniczonym talentem z innymi. Do tego sąsiedzi, którym szczęśliwym trafem nie przeszkadzała muzyka, więc kiedy pogoda była zbyt piękna, żeby siedzieć w dźwiękoszczelnym pokoju, Lidia mogła się wymykać do ogrodu na dachu i śpiewać, ile dusza zapagnie.

Kolejne wielkie dobrodziejstwo to przyjaciele. Pomogli jej wydostać się z ciemnej czeluści. Mark i Anna, a także oczywiście Asherowie i Steinmanowie - rodzice Josha, zaledwie dwa piętra niżej, a także Carla Radici i wszyscy znajomi ze świata muzyki.

Ale to przede wszystkim Robbiemu zawdzięczała przetrwanie. Robbiemu, który uwielbiał ojca i któremu raczej nie doskwierało specjalnie bycie jedynakiem, może dlatego, że Aaron stał się tak wspaniałym przyjacielem syna. Razem opłakiwali zmarłego, a potem po prostu żyli razem dalej. Z bagażem wspólnej przeszłości i wspólnej straty - lecz mimo wszystko posuwali się jakoś naprzód.

Co za szczęście, że miała Robbiego. Jak bardzo została obdarowana! Nie wyobrażała sobie, żeby którakolwiek matka mogła być bardziej dumna z syna niż ona, wciąż ciesząca się przywilejem mieszkania z nim pod jednym dachem.

Już niedługo, powiedziała sobie w duchu, wstając i otrząsając z wody stopę, nim zrobiła krok, żeby wyjść z wanny. Wkrótce Robbie wyjedzie na studia, chociaż nie był ani teraz, ani w przeszłości szczególnie pracowitym uczniem. Nauczyciele i trenerzy w Ethical Culture School nieraz wyrzucali mu skłonność do skakania z kwiatka na kwiatek.

To prawda, pomyślała, wycierając się, Lidia. Robbie rzeczywiście często ulegał fascynacji nowym przedmiotem w szkole, dyscypliną sportu czy hobby. Stawiał czoło wyzwaniu, na czymkolwiek miałyby ono polegać, a potem równie szybko przenosił swoje zainteresowanie na coś innego.

- Przynajmniej będzie wszechstronny - zwróciła uwagę komuś, kto go za to krytykował.

- Nie zależy ci, żeby był w czymś wybitny? - zdziwił się rozmówca.

Lidia pomyślała wtedy o swoim synu, o jego żywym umyśle i ciele, a także umiłowaniu życia jako takiego, sympatii dla licznej grupy ludzi różnego pokroju i o tym, że tak wielu z nich wydawało się tę sympatię odwzajemniać.

- Myślę, że jest - odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 16

Och, jak kochał komputery, od samego początku, od pierwszej chwili. Miłość od pierwszego wejrzenia i dotknięcia. Po raz pierwszy w życiu świat się przed nim otwierał. Te maszyny, posiadające mózg, ale nie serce czy duszę, nie umiały kpić ani ranić i nie czuły takiej potrzeby. Mózg, zdolny do tego, by w ciągu niecałej doby od chwili, gdy ujrzał młodego koszykarza, dostarczyć mu w zasadzie wszystkich informacji, jakich potrzebował na temat Roberta Davida Johanssena i jego owdowiałej matki Lidii.

Sympatyczna rodzina. Bystry umysł na miarę warunków fizycznych. Ekskluzywna, liberalna szkoła. Dobry, wszechstronny sportowiec, nawet jeśli nieco kapryśny. Matka najwyraźniej przyzwoita, „normalna”, utalentowana nauczycielka śpiewu z mnóstwem przyjaciół. Nie znalazł żadnych polityków ani stróżów prawa w rodzinie; zmarły mąż, Aaron Johanssen, pianista cieszący się uznaniem w kraju, lecz nie światowej sławy - już powoli odchodził w zapomnienie. Nie byli, o ile się orientował, postaciami na tyle znaczącymi, aby wzbudzić szczególne zainteresowanie policji. Wystarczająco zamożni, aby mieszkać w porządnym domu, lecz nie nadzwyczajnie bogaci, więc nie trzeba się spodziewać ochroniarzy czy nie-normalnych środków ostrożności, o które musiałyby się martwić, i żadnych problemów, jeśli Robert (Robbie, dla większości znajomych) miał ochotę wyjść z domu czy to sam, czy z kolegami.

Wszystkie kryteria spełnione.

Stokrotne dzięki dla Lidii i Aarona Johanssenów za to, że tak dobrze ukierunkowali syna.

Za to, że mi go podarowali.

ROZDZIAŁ 17

Jakże cudowny wieczór spędziła wczoraj - wszyscy spędzili - pomyślała Lidia z przyjemnością, jedząc późne, bardzo późne poniedziałkowe śniadanie. Wszystko zostało tak sympatycznie obmyślane, z tak wielką delikatnością. Świadomie inne niż owa impreza sprzed pięciu lat, a jednak przyjęcie - tym miało być i tym było. Niezbyt huczne, po prostu garść przyjaciół, swojskie i wesołe. Pianiści na zmianę zasiadali do bechsteina Aarona, a Lidia śpiewała jazz z Mookiem Swansonem i Davidem Steinmanem, ojcem Josha. W oczach Robbiego widziała ogromną ulgę, że się udało, że ona nie ma nic przeciwko temu i, prawdę mówiąc, bawi się świetnie.

Nie jak za dawnych dobrych czasów. Po prostu świetnie.

Po południu, wracając ze szkoły do domu, Robbie minął hol, zagadnął dyżurnego portiera Anthony'ego o jego przeziębienie, spędził pięć minut, wysłuchując relacji na temat stanu zatok chorego, by w końcu umknąć do pocztowego boksu. Otworzył skrzynkę numer 15C, gdzie pośród rachunków i makulatury reklamowej, przysłanych na nazwisko jego matki, znalazł adnotację, żeby sprawdził skrzynkę na przesyłki. Tam odkrył brązową, wyściełaną kopertę, opatrzoną nalepką z wydrukowanym adresem Roberta Johanssena. Wsunął ją pod pachę razem z pocztą matki i ruszył z powrotem przez hol w stronę wind, zastanawiając się, kto i co mógł mu przysłać. Nie przypominał sobie, żeby ostatnio zamawiał coś przez Internet, jeśli nie liczyć kompaktu Shanii Twain, który Amazon dostarczył mu w zeszłym tygodniu...

Otwierając drzwi i myśląc, że w mieszkaniu panuje głucha cisza, Robbie przypomniał sobie, że matka miała na popołudnie zamówioną wizytę u dentysty. Lidia nie cierpiała wizyt u doktora Schreinerera, ale tego ranka, pomimo zmęczenia, mówiła o niej niemal beztrzesko. To stanowiło

ostateczny dowód, że poprzedniego wieczoru naprawdę bawiła się tak dobrze, jak się wydawało, co oznaczało, że on i Franklinowie dobrze się spisali.

Zostawił pocztę mamy na stoliku w holu, poszedł do swojego pokoju, żeby się pozbyć szkolnych maneli, po czym zaniósł przesyłkę do kuchni, położył na stole i poszedł do lodówki po puszkę napoju Dr Pepper.

- No dobra.

Usiadł i obejrzał kopertę z obu stron. Było to jedno z tych sprytnych, szczelnych opakowań, które można otworzyć jednym pociągnięciem, chwytając za specjalną końcówkę, pod warunkiem że człowiek nie grzeszył zbytnim pośpiechem lub niezdarkością. Na ogół działało.

Tak jak tym razem.

Robbie wyjął zawartość i zmarszczył brwi. Była to gra komputerowa, ale taka, którą już miał. Jeśli chodzi o ścisłość, miał i Limbo, i Limbo II, co oznaczało, że ktoś tu spudłował i teraz będzie zawracanie głowy z odsyłaniem koperty z powrotem.

- Kanał - powiedział i upił trochę napoju z puszki.

W tym momencie zauważył, że gra nie jest identyczna z tą, którą posiada. Sprawiała wrażenie specjalnej, luksusowej wersji, chociaż jeśli nie liczyć wymyślnego opakowania, nie wiedział, na czym konkretnie polega różnica.

Odstawiając puszkę, zajrzał jeszcze raz do koperty, znalazł białą, złożoną karteczkę, rozłożył ją i zobaczył tekst, wydrukowany jedną z tych fikuśnych komputerowych czcionek.

Drobny prezent dla Ciebie, młody człowieku - rzadki egzemplarz, którego być może jeszcze nie masz. Jeśli tak, to jako mistrz Limbo, powinieneś go mieć.

Robbie Johanssen, obserwuję od jakiegoś czasu Twoje osiągnięcia sportowe i chciałbym się z Tobą podzielić pewnym spostrzeżeniem. Moim zdaniem jesteś wystarczająco utalentowany i wszechstronny, aby rozważyć na serio trenowanie pięcioboju. A przynajmniej byłbyś do tego gotów, gdybyś przestał się wreszcie kręcić jak kurek na kościele.

Możesz potrzebować nieco czasu, żeby to spokojnie przemyśleć.

Przy właściwej postawie i odrobinie szczęścia może się okazać, że życie chowa dla Ciebie w zanadru propozycje, o jakich nie marzyłeś.

Brak podpisu. Brak adresu zwrotnego. Robbie przyglądał się notatce przez chwilę, po czym wzruszył ramionami. Bez sensu. Albo przysłał to

jakiś czubek, albo ktoś uznał to za świetny dowcip. Kosztowny dowcip, swoją drogą.

Wstał, opróżnił puszkę, wyrzucił ją do śmieci, po czym zaniósł grę i list do swojego pokoju, gdzie rzucił je na podłogę obok łóżka, razem z plecakiem, który zepchnął, żeby zrobić sobie miejsce i zdrzemnąć się trochę. Mamy nie będzie jeszcze przez jakiś czas, a czuł się wykończony po ostatniej nocy i ciężkim dniu w szkole.

Ludzie, ależ był zmęczony.

Dopiero nazajutrz rano, kiedy dojadł płatki, a matka nalewała sobie pierwszą tego dnia filiżankę kawy, przypomniał sobie o przesyłce.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wczoraj? - Informacja wytraściła Lidie z jej porannego błogiego spokoju.

- Zapomniałem.

- Jak mogłeś zapomnieć o czymś takim? - Mama nie czekała na odpowiedź. - Gdzie to jest?

- W moim pokoju. - Podniósł się, odniósł miskę po płatkach do zlewozmywaka i wyciągnął rękę, żeby odkręcić kran.

- Zostaw - powiedziała. - Chciałabym to zobaczyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko temu? - zapytał Robbie, odwracając się.

- Może to jakaś osobista sprawa.

Robert się roześmiał.

- Bynajmniej. W tym nie ma nic osobistego. - Wyszedł z kuchni i wrócił po chwili, niosąc w jednej ręce plecak, a w drugiej grę i list. - Wydaje mi się, że to jakaś pomyłka - powiedział, podając matce Limbo i kartkę.

Lidia przeczytała list w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie wygląda mi to na pomyłkę.

- Może kawał?

- Może. - Nie była przekonana.

Robbie rzucił plecak na podłogę i usiadł z powrotem przy stole.

- Mamo, nie rób takiej strapionej miny. To nic groźnego.

Pokręciła głową.

- Ktoś cię obserwował. Nie jestem tym specjalnie zachwycona.

- Też sobie w pierwszej chwili pomyślałem, że to śmierzcząca sprawa, że niby jakiś zbok mnie namierza czy coś w tym rodzaju, ale potem uznałem, że to pewnie jakiś wygłup.

- Ale kto? - Lidia nie mogła w to uwierzyć. - Nikt z twoich przyjaciół

czegoś takiego by nie zrobił. - Przyjrzała się synowi uważnie. - Czy były jakieś kłopoty, o których nie wiem? W szkole albo...

- Absolutnie nie. - Robbie uśmiechnął się i wstał. - Serio, mamus. Nie daj się zwariować. Może ktoś po prostu naprawdę myśli, że jestem dobry w sporcie?

- Nie wmawiasz sobie, mam nadzieję, że jakiś łowca talentów szuka kandydatów do reprezentacji narodowej czy coś w tym rodzaju? - Lidia rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Dobrze by było. - Robbie pokręcił głową. - Wiem, że to bzdety. - Urwał. - Przy okazji, ktokolwiek to napisał, myli się, uważając, że jestem „mistrzem Limbo”. Grywam w to, ale znasz mnie, nie mam cierpliwości, żeby przysiąść fałdów nad czymś takim. Mistrzostwo w tych rzeczach mi nie grozi.

Lidia znów opuściła wzrok na list. Milczała.

- Co takiego, mammo?

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy tego zgłosić.

- Gdzie?

- Gdzie? - powtórzyła machinalnie. - Na policję, jak sądzę.

- Po co? - zdziwił się Robbie. - To tylko prezent i kartka. Nie wiem, co gliniarze mogliby z tym zrobić, nawet jeśli ktoś jest trochę kopnięty? To w końcu Nowy Jork, miasto świrusów.

- Gdzie jest opakowanie, w którym to przyszło? - Lidia nie dawała za wygraną.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba zostawiłem je tutaj. To była zwykła wyścielana koperta.

- Którą wyrzuciłam do zsypu wczoraj wieczorem, razem ze wszystkimi śmieciami. - Lidia się skrzywiła. - Cholera.

- Widzisz? - Robbie znów się uśmiechnął. - Powinnaś być większym flejtuchem, tak jak twój syn.

- Czas do szkoły, flejtuchu. - Odwzajemniła jego uśmiech.

Robbie pochylił się, żeby ją pocałować, i zobaczył, że wciąż jest spięta.

- Nie ma się czym przejmować, mamus, naprawdę.

- Wiem - odrzekła Lidia.

Chłopiec ruszył powoli w stronę drzwi.

- Obiecuję, że nie będę rozmawiał z obcymi.

- Nie wymądrzaj się - powiedziała. - Po prostu bądź ostrożny.

- Będę - przyrzekł. - Jeżeli mi obiecasz, że o tym zapomnisz.

- O czym?

Usłyszała, jak wychodził, po czym spojrzała na grę komputerową leżącą na stole, i poczuła gwałtowne pragnienie, żeby wrzucić ją, razem z listem, do zsypu na korytarzu. Potem pomyślała, że może jednak lepiej zachować jedno i drugie, na wypadek gdyby Robbie zauważył, że ktoś się koło niego kręci czy coś w tym rodzaju.

Poza tym gra nie należała do niej, więc nie powinna jej wyrzucać.

Lidia wypila łyk kawy, ale ta zdążyła już wystygnąć, więc wzięła filiżankę i zaczęła iść w stronę zlewu. Nagle zawróciła, złapała przesyłkę, która zdawała się jej urągać, i wrzuciła do najniższej szuflady kuchennego kredensu.

- Z oczu - powiedziała na głos.

Jeśli nie całkiem z myśli.

ROZDZIAŁ 18

Kilka razy zadawał sobie pytanie, dlaczego znów wysła tę grę, ryzykując, że ktoś będzie miał się na baczności. Wiedział, że rozsądniej byłoby unikać rytuałów jakiegokolwiek typu w związku z czymś, co musiało, prędzej czy później, stać się przedmiotem dochodzenia. Czytał, że seryjni przestępcy odczuwają przymus robienia takich rzeczy. I nie chodziło o to, że istniała jakakolwiek potrzeba wysyłania gry Robertowi Johanssenowi.

Przesąd. Nigdy nie obawiał się przechodzić pod drabiną, nie martwił się, że rozsypał sól albo położył klucze na stole. Ale w tej sprawie, musiał to przyznać, stał się niemal przesądny, jeśli chodzi o pewne rzeczy. Posłużył się grą i listem we wszystkich dotychczasowych wypadkach i nawet jeśli nie udało mu się dotąd zrealizować zamierzonego celu, to w każdym razie nikt nie zaczął kojarzyć ze sobą zaginionych nastolatków. Tak więc uznał, że nie ma sensu odstępować teraz od tej zasady, bo a nuż w ten sposób wszystko zepsuje, a tego by nie zniósł.

Najpierw musi doprowadzić do spotkania tych dwojga.

Żeby mogli zagrać w prawdziwą grę.

ROZDZIAŁ 19

Robbie został dłużej po lekcjach, razem z Philem Breckenridge'em, Candice Clarke, Larrym Jacksonem i paroma innymi kolegami, żeby napisać listy dla Amnesty International. Po powrocie do domu przekonał się z ulgą, że matka niemal doszła do siebie. Pytania, które zadawała mu tego dnia na temat szkoły były wprawdzie nieco podchwytliwe - nagle znacznie mniej interesowała ją matematyka czy fizyka, a bardziej to, czy chłopiec nie zauważył w ciągu dnia kogoś zachowującego się dziwnie, kto mu się przyglądał. Ale przynajmniej nie wyrwało jej się określenie „podejrzany” i chyba przyjęła jego opinię, że wszystko było normalnie i w porządku.

- Twoja mama jest znacznie spokojniejsza, niż moja byłaby na jej miejscu - powiedział Josh, kiedy Robbie zaszedł po kolacji do Steinmanów, mieszkających pod numerem 15B. - Gdyby ktoś przysłał mi taki porąbany prezencik, Mei chyba nie spuściłaby mnie z oka ani na sekundę.

- Na pewno nie - odrzekł Robbie lekko, życząc sobie w duchu, żeby przyjaciel zmienił temat.

Siedzieli w pokoju Josha, otoczeni plakatami jego najnowszej muzy, Britney Spears, widocznymi z każdego możliwego punktu, w którąkolwiek stronę by się spojrzęło.

- Chyba żartujesz. - Josh, który nosił okulary z kolorowego szkła, a podczas wakacji często farbował swoje włosy na wszystkie kolory tęczy, i którego rodzice, zdaniem Robbiego, zachowywali niewiarygodny spokój, jeśli chodzi o różne ekstrawagancje syna, a także o to, że czasem mówił do nich po imieniu, pokręcił głową. - Gdybym to ja dostał taki list, mama do tej pory już by zmusiła tatę, żeby wynajął mi ochroniarza.

- Josh, przestań kłapać o tym liście - rzucił Robbie pogodnym tonem.

- Co nie znaczy, że ktokolwiek miałby mi przysłać coś takiego - ciągnął Josh, krzywiąc się z dezaprobatą, zawsze gotów do samokrytyki, jeśli chodziło o jego kompletny brak żyłki sportowej.

- Skończ już o tym pieprzonym prezencie.
- Co cię ugryzło? - Przyjaciel był autentycznie zdezorientowany.
- Nic. - Robbie milczał przez chwilę. - Po prostu znudził mi się ten temat.

- Jak coś takiego może się znudzić?
- Bo to bzdura.
- Gryziesz się tym? - Josh zerknął na niego znad okularów.
- Skądże. - Robbie wiedział, że zabrzmiało to nieprzekonująco.
- Jesteś pewien?

W głosie kumpla nie było kpiny. Chłopiec stał się najbliższym przyjacielem Robbiego nie tylko dlatego, że przypadek uczynił ich sąsiadami. Zawsze pokpiwał ze swojej mamy i po trosze również z taty, lecz były to jedynie nic nieznaczące żarty i w gruncie rzeczy wszyscy Steinmanowie mieli nawzajem bzika na swoim punkcie. Dlatego Josh tak wziął sobie do serca przedwczesną śmierć Aarona Johanssena i niemal nie umiał się z tym pogodzić. Robbie nigdy nie zapomniał, że Josh był wówczas stale przy nim, siedział obok, spacerował, robił różne rzeczy lub nie robił nic, rozmawiał albo milczał, gotów na każde zawołanie i o każdej porze.

- Myślę - Josh jeszcze nie skończył z tematem - że twoja mama mogła mieć rację z tym zgłoszeniem na policję.

- Josh, do jasnej cholery! - przerwał mu Robbie.
- Jesteś podminowany.
- Może trochę. Byłem.
- Ale już nie jesteś, co? Robbie pokręcił głową.
- Jakiś mądrała wykombinował sobie dowcip.
- Dosyć głupawy.
- Aha.

Przez chwilę obaj milczeli.

- Jutro urodziny Candice - odezwał się w końcu Josh.
- Uhum. - Robbie skinął głową.
- Masz już prezent?
- Książkę. A ty?
- Jeszcze nie. - Josh pokręcił głową. Jego brązowe oczy błysnęły. - Jak myślisz, ma już Limbo?
- Dosyć, stary - uciął zdecydowanie Robbie.

Przyjęcie urodzinowe Candice odbywało się w East Village w lokalu o nazwie Eden - dość atrakcyjnej, pseudoegzotycznej restauracji,

z malowanym tropikalnym ogrodem wzdłuż bocznych ścian i z tyłu za kontuarem, gdzie spośród pnączy lypały złowieszczo czające się do skoku węże.

Candice i James Dickson powiedzieli, że po kolacji chcą pójść potańczyć, ale kiedy Angie Molina zwróciła im uwagę, że następnego dnia są normalne lekcje i że rodzice by ją zabili, Robbie przyznał jej rację. Josh i Suzie McLean naskoczyli na niego, wymyślając mu od kujonów, lecz jak przyszło co do czego, nie mogli się dogadać, dokąd właściwie chcą pójść. Problem w tym, że wszystkie lokale, do których naprawdę mieliby ochotę się wybrać, były albo „tylko dla członków”, albo sprawdzano tam dowody tożsamości, tak że Robbie i Angie wygrali.

- Nie uwierzycie - odezwała się Candice, podczas gdy ze stołu uprzątnano przystawki. - Moja mama oznajmiła wczoraj, że powinniśmy się wynieść z miasta na lato, na wypadek, gdyby miała się powtórzyć ta epidemia wirusa znad Zachodniego Nilu*. To się nazywa przewrażliwienie!

* West Nile - wirus przenoszony przez komary, pochodzący z Afryki, Azji Zachodniej i Bliskiego Wschodu, po raz pierwszy odkryty w USA latem 1999 roku.

- Kto powiedział, że to świństwo ma się powtórzyć?

- Ja. - Josh, który właśnie wrócił z toalety i usłyszał końcówkę rozmowy, usiadł z powrotem na swoim miejscu. - Uważam, że będzie straszliwa plaga w ciągu najbliższych kilku lat.

- Steinman znowu opowiada głodne kawałki - skwitowała Suzie.

Kelnerka wróciła, żeby przyjąć zamówienie na desery: ciastka z czekoladową pianką dla Jamesa i Angie, lody pistacjowe dla Candice, sernik dla Robbiego i Josha, naleśniki z marmoladą jabłkową i cynamonem dla Suzie.

Robbie wstał.

- Zużyłem cały papier - powiedział Josh.

- Jaki papier? - nie rozumiała Candice.

- Do pupy - wyjaśnił Josh z uśmiechem.

- Nie bądź ordynarny, chłopie. - Robbie trzepnął go lekko w potylicę.

- Idziemy potańczyć czy nie? - naciskała Candice.

Robbie ruszył w stronę schodów.

ROZDZIAŁ 20

Nareszcie.

Wybrał punkt obserwacyjny w zaułku na tyłach restauracji, gdzie przez szybę w drzwiach mógł widzieć wejście do męskiej toalety. Wpatrywał się w nie, mrużąc oczy tak długo, aż zaczęły go boleć. Zauważył, że Steinman wchodził do środka dwa razy, ciemnoskóry chłopak siedzący przy ich stoliku raz, mignęły mu też słodka blondynka i dziewczyna o rudych włosach, gdy szły poprawić sobie makijaż. Nieomal stracił rachubę, jeśli chodzi o pozostałych gości i personel, ale tylko nieomal, bo wiedział, że musi liczyć osoby, które wchodzi do toalety, a przede wszystkim te, które stamtąd wychodzą, żeby kiedy wejdzie tam Johanssen, mieć orientację, kto oprócz chłopca znajduje się w środku.

Zaskoczyło go, że nikt go nie zaczepił, nikt nie spytał, dlaczego siedzi w samochodzie za restauracją, obserwując tylne wejście. Nikt nawet na niego nie spojrział, nie mówiąc o tym, żeby kazać mu się stamtąd zabierać. Nawet kiedy chłopiec pomagający w kuchni wyniósł śmieci - co wykorzystał, żeby włożyć w drzwi pudełko od zapalek, nim zdążyły się zatrzasnąć - nawet wtedy nie znalazł się w pobliżu nikt, kto by to zauważył.

Teraz, za nim!

Zobaczył, jak Robert - Robbie - wchodzi do toalety.

Po chwili ujrzał w drzwiach młodego kelnera, który wszedł do środka dwie minuty wcześniej.

Wysiadł ze swojej półciężarówki, błyskawicznie ruszył do drzwi, otworzył je i pchnął drzwi oznakowane „Dla mężczyzn”.

Młody człowiek stał nad pisuarem. W pomieszczeniu nie było nikogo poza nim.

Podszedł do umywalki i spojrzął na swoje odbicie w lustrze. W oczach zobaczył spokój i chłodną pewność siebie.

Johanssen skończył, podszedł do jednej z umywalki, odkręcił kran z ciepłą wodą i wziął do ręki mydło, nie patrząc na niego.

Teraz, szybko!

Potrzebował pewnego narzędzia.

Dim mak. Śmiertelne dotknięcie. Potencjalnie groźne.

Nie z jego kunsztem, jego znajomością siedemdziesięciu punktów *chi* na ludzkim ciele, gdzie uderzenie lub ucisk powoduje utratę przytomności (i trzydziestu sześciu innych, gdzie to samo powoduje śmierć).

Chłopiec zwałił się jak kłoda.

Chwycił go bez trudu, delikatnie.

Jeśli ktoś by ich w tej chwili zobaczył, powiedziałby, że smarkacz jest pijany. Teraz szybko za drzwi.

Do samochodu.

Nikt ich nie widział.

ROZDZIAŁ 21

Lidia siedziała przy biurku w gabinecie, pisząc zaległy list do starej przyjaciółki Cynthii Gregory z San Francisco, kiedy zadzwonił dzwonek.

Wstała i podeszła do drzwi.

Za nimi stał Josh. Minę miał niepewną.

- Jest Robbie?

Uklucie paniki, ostre jak sztylet, zaatakowało ją gdzieś w okolicy spłotu słonecznego.

- Co się stało?

- Nic.

- Proszę, wejdź. - Wzięła głęboki wdech. Chłopak wszedł, zamykając drzwi za sobą.

- No, opowiadaj - zachęciła go, siląc się na lekki ton.

- Właściwie nie bardzo wiem co. - Josh wzruszył nieznacznie ramionami i pokręcił głową. - Rob wyszedł z restauracji, nie uprzedzając nikogo. Powiedział, że idzie do toalety, i nie wrócił. - Przerwał, starając się unikać jej wzroku. - Tylko że to nie w jego stylu, więc trochę się niepokoję.

Lidia poczuła jeszcze gwałtowniejszy przypływ paniki, ale stłumiła ją w sobie.

- Kiedy?

- Nie jestem pewien. - Josh przygryzł wargę. - Może godzinę temu, może trochę wcześniej.

- O ile wcześniej? - Poczula, że jej ton twardnieje, nie była w stanie nad tym zapanować.

- Może dwie godziny. - Ich spojrzenia się spotkały. - Przykro mi, pani Johanssen. Sądziłem... przez jakiś czas wszyscy sądziliśmy, że po prostu poszedł się przewietrzyć czy coś w tym rodzaju.

- Nie poszedłeś do toalety, żeby sprawdzić, co z nim?

- Oczywiście, że poszedłem. Zrobiłem to, kiedy nie wracał, bo ja wiem,

od jakichś piętnastu minut. - Josh spojrzął jej w oczy. - Wcześniej nie przyszło mi to do głowy. To chyba normalne, prawda?

- Jasne. - Lidia zdobyła się na cieplejszy ton. - Oczywiście. - Wiedziała, że powinna zaprosić chłopca dalej, posadzić go w salonie, zauważyła, że Josh jest zdenerwowany, ale miała dziwne uczucie, iż jej nogi wrosły w ziemię; chciała, aby wszystko zaczęło się i skończyło tutaj i teraz, żeby w drzwiach pojawił się Robbie i zobaczył ich stojących w przedpokoju...

- Więc kiedy zobaczyłem, że go tam nie ma - ciągnął Josh - nie zrobiło mu się niedobrze ani nic takiego, pomyślałem sobie, że poszedł się przejść albo też spotkał jakiegoś znajomego i wyszli pogadać.

- Przeszukaliście całą restaurację?

- Jasne. - Josh znów wyglądał niepewnie. - No, nie od razu. To znaczy, rozejrzałem się, kiedy wracałem do naszego stolika. Potem rozmawialiśmy o tym, gdzie mógł się podziać.

- I sprawdziliście wszystkie stoliki?

- Jasne. - Josh skinął głową. - Zapytaliśmy też szefa sali, czy go nie widział, i naszą kelnerkę, potem wyszliśmy przed restaurację, ale tam też go nie znaleźliśmy.

- Czy jest tam drugie wyjście?

- To także sprawdziliśmy - powiedział Josh. - Z tyłu za restauracją znajduje się wąska uliczka, lecz tam też było pusto.

- I jesteś pewien, że naprawdę poszedł do toalety?

- Tak. - Chłopiec pokręcił niepewnie głową. - Nie, właściwie to nie. To znaczy, chyba nie patrzyłem w tamtą stronę, no i sala była nabita, a potem przynieśli nam deser i... - urwał.

- Rozumiem - odezwała się Lidia. - W porządku.

Zachowaj spokój, nakazała sobie w duchu.

- Przykro mi - Josh zdjął swoje kolorowe okulary, przetarł szkła i włożył je z powrotem.

Lidia miała przez chwilę uczucie, że się rozpląca.

- To nie twoja wina.

- To po prostu nie w jego stylu. Prędzej ja mógłbym coś takiego wywinąć, ale nie Rob.

- To prawda - potwierdziła.

- Więc co robimy? - zapytał Josh, w oczekiwaniu na instrukcje. - To znaczy, zawiadamiamy policję czy jak?

Lidia pokręciła głową. To właśnie chciała zrobić, bardziej niż cokolwiek innego, zadzwonić zaraz, natychmiast, nie tracąc ani sekundy, ale wiedziała, że to nic nie da.

- Nie chcę działać pochopnie - powiedziała. - Jeżeli zadzwonimy na policję teraz, kiedy nie ma nawet... - Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że nie ma jeszcze wpół do dwunastej. - Za wcześniej, żeby zacząć panikować, Josh. Oni każą mi po prostu czekać, to wszystko.

Dokładnie tak by jej powiedzieli, wiedziała o tym. „Proszę zaczekać, syn wróci do domu”. Zapewniliby ją, że szesnastoletni chłopcy są z definicji nieodpowiedzialni. I oczywiście mieliby rację.

Tylko że Robbie był odpowiedzialny. Liczył się z innymi.

- Pani Johanssen?

Lidia spojrzała na Josha. Chłopiec czekał, aż mu powie, co ma robić, z każdą minutą tracąc swoją zwykłą swadę.

- Idź do domu, Josh.

- Ale co z...

- Jest późno, a jutro szkoła. Twoim rodzice zaczną się niepokoić.

- Dobrze. - Chłopiec się nie poruszył.

- Dam sobie radę - oświadczyła Lidia. - Jestem pewna, że Robbie niedługo wróci.

Josh ruszył w stronę drzwi, po czym zawrócił.

- Zadzwoni pani do mnie? Kiedy on przyjdzie?

- Nie chcę budzić twoich rodziców.

- Nie będą mieli pretensji. - Chłopiec był stanowczy, jakby już trochę doszedł do siebie. - Wytlumaczę im. Będą chcieli wiedzieć, że Rob jest bezpieczny.

- Zadzwonię. - Lidia skinęła głową.

W sekundę po tym, gdy drzwi się za nim zamknęły, poczuła, że ma nogi jak z waty. Osunęła się na ścianę, patrząc niewidzącymi oczyma na „Dog Hill” - jeden z ulubionych obrazów Robbiego, pędzla Pat Singer, przedstawiający widok Central Parku.

Odpowiedzialny, tak, ale nie święty, na szczęście. Mógł spotkać kogoś i pójść z nim gdzieś, może to ktoś, kogo reszta towarzystwa nie znała albo nie lubiła. Tyle że nie brzmiało to prawdopodobnie. Josh miał rację - Robbie nie poszedłby sobie tak ot, nie mówiąc nic nikomu, wiedząc, że paczka przyjaciół czeka na niego przy stoliku.

Ale może nagle źle się poczuł i postanowił wyjść na powietrze, a jeżeli w restauracji był rzeczywiście taki tłok, jak mówił Josh, po prostu nie mógł wrócić do stolika, żeby im o tym powiedzieć. To był z pewnością możliwy scenariusz.

Lecz w takim razie przyszedłby do domu.

Jeśliby mógł.

Lidia wstała, podeszła do telefonu, wzięła książkę telefoniczną i zaczęła dzwonić do szpitali.

O drugiej w nocy, kiedy chwilowa pociecha, płynąca z faktu, że Robbie nie został przynajmniej przywieziony do żadnej kliniki na Manhattanie, dawno się wyczerpała, Lidia zadzwoniła na policję.

Oficer dyżurny z komendy dzielnicowej był serdeczny i bynajmniej nie próbował jej zbyć, ale, tak jak przewidywała, zasugerował, aby nie wychodziła z domu, spróbowała odpocząć albo może poprosiła kogoś, żeby z nią posiedział, dopóki syn nie wróci. Co niemal na pewno nastąpi.

Niemal.

- Z tego, co pani mówi - tłumaczył policjant - pani syn na pewno albo przyjdzie do domu, albo zadzwoni, żeby dać znać, co się stało.

Na pewno.

Ten człowiek miał rację. Znając Robbiego, wiedziała, że nie dopuściłby do tego, aby jego matka przeżyła koszmarną noc niepewności. O ile byłby w stanie temu zapobiec.

Wciąż nie spała, kiedy o wpół do ósmej rano zadzwoniła Melania Steinman.

- Mówiłam mu, że to za wczesna pora na telefon - odezwała się swoim łagodnym głosem - ale Joshua wierci mi tu dziurę w brzuchu.

- Robbie jeszcze nie wrócił. - Lidia nie czekała, aż padnie pytanie.

- I nie zadzwonił? - Niedowierzenie w głosie sąsiadki było wyczuwalne.

- Nie. - Lidia nagle poczuła, że zaraz się rozpłacze. - Pozdrów ode mnie Josha. Powiedz mu, żeby się za bardzo nie martwił.

Odłożyła słuchawkę, tłumiąc w sobie wycie, cisnące się do gardła, po czym znów ją podniosła i jeszcze raz zadzwoniła na policję. Tym razem kobiecy głos powiedział jej, że jeśli się naprawdę tak niepokoi, może przyjść i spisać protokół, ewentualnie poprosiwszy kogoś, żeby posiedział przez ten czas u niej przy telefonie. Melania była oczywiście pierwszą osobą, która przyszła Lidii na myśl w takiej sytuacji, ale pomimo całej swojej dobrej woli, matka Josha zawsze ją, delikatnie mówiąc, irtowała, a cóż dopiero w takiej chwili jak ta.

Zadzwoniła do Franklinów.

Telefon odebrała Anna bez śladu senności w głosie.

- Co się stało?

- Robbie nie wrócił na noc do domu.

- O Boże. - Chwila milczenia. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Lidia wyjaśniła jej, o co chodzi. Anna nie widziała przeszkód.

- Jesteś pewna? Nie masz czegoś dzisiaj rano?

- Tylko aerobik - odrzekła przyjaciółka. - Zrobiłabym wszystko, żeby się od tego wymigać.

- Dziękuję ci - powiedziała Lidia i odłożyła słuchawkę.

Robbie, gdzie jesteś?

ROZDZIAŁ 22

Robbie ocknął się w samym środku jakiegoś koszmaru. Głowa go bolała, była ciężka, naprawdę ciężka, jak gdyby coś mu do niej przytroczono. To zupełnie nie miało sensu. Jęknął. Usłyszał głuchy, nie całkiem normalny głos. W stopy było mu zimno, lecz dłonie miał ciepłe, jakby coś na nich było... Rękawice? Otworzył oczy i zamrugał gwałtownie. Nic, tylko jasne, niebieskie światło.

Szarpnął się i zamachał rękami. Nie widział swoich dłoni, próbował dotknąć głowy, ale rękawice były grube i nieporęczne.

- Nie wpadaj w panikę.

Usłyszawszy głos, odwrócił głowę, szukając kogoś, kto wypowiedział te słowa.

- Zachowaj spokój.

Głos mężczyzny, lekko zniekształcony, jednak cichy i kojący, coś jakby głos lekarza.

- Gdzie jestem? - Pamiętał, gdzie był przedtem. Restauracja, Josh, Candice i pozostali. Toaleta, moment, kiedy się załatwiał, potem poszedł umyć ręce... ból. Nic więcej. - Gdzie ja jestem?

- Wszystko w porządku - zapewnił go głos. - Nic ci się nie stało, jesteś absolutnie bezpieczny.

- Czy jestem w szpitalu? - Może zdarzył się jakiś wypadek, może to oddział intensywnej terapii?

- Nie w szpitalu - odrzekł głos. - Ale zupełnie bezpieczny.

Robbie znów spróbował poruszyć głowę. Wciąż czuł ten dziwny ciężar.

- Moja głowa - powiedział.

- Z twoją głową wszystko w porządku.

- Dlaczego to światło jest takie niebieskie?

- Niedługo zrozumiesz - oświadczył głos. - Kiedy będziesz gotów.

- Co tu się dzieje? - zapytał Robbie. - Co to za miejsce?

- Kiedy będziesz gotowy, żeby się rozejrzeć, myślę, że ci się tutaj spodoba.

- W porządku. - Robbie nagle zrozumiał, co się dzieje. To po prostu sen, nic więcej. Tak więc mógł się równie dobrze poddać biegowi wydarzeń...

- Myślę, że jestem gotów - powiedział do tego kogoś, kto rządził snem. Błękitne światło zgasło, pozostawiając go w kompletnej ciemności.

- Hej!

Nie było odpowiedzi.

Kiedy miał wrzasnąć po raz drugi, zdał sobie sprawę z tego, że jego oczy osuwają się z ciemnością i na wprost niego coś się zaczyna rysować. Jakiś kształt, przypominający wysokie, łukowate sklepienie, opadające po bokach dwiema ścianami, chyba kamiennymi... W głębi ta sama ciemność, głęboka, przepastna... tunel...

A więc o to chodzi? Poczul się lepiej, nabrał pewności siebie, gotów teraz niemal urągać „mistrzowi ceremonii”.

- Miewałem już lepsze koszmary, jeśli chcesz wiedzieć.

Wtedy usłyszał. Coś się zbliżało. Dziwaczny chód, właściwie nie odgłos kroków, tylko coś bardziej osobliwego, jakby człapanie po błocie wielkiego zwierzęcia, nie czworonożnego i nie pośpieszne, lecz powolne i rozważne. Dziwnie znajome.

A także oddech. Niezdrowy. Świszczący, nosowy, jak u starucha z pakudnym przeziębieniem i jeszcze gorszymi obyczajami.

Robbie uśmiechnął się w półmroku. Teraz wiedział, co mu przypominają te dźwięki. Ghoulo, wszystkożerny wilk-ludojad. Niezbyt oryginalne, drogi panie. Każdemu fanowi Limbo mogło się przyśnić coś takiego. Samo błękitne światło było skuteczniejsze, miało w sobie więcej grozy. Zaczął się wprawdzie domyślać, że sen może się stać z każdą chwilą bardziej przerażający, jeżeli Ghoulo przyczłapałby bliżej i chciałby go wziąć na ząb, lecz mimo wszystko...

Tunel zniknął, ustępując miejsca kompletnej czerni.

Cholera.

Wróciło błękitne światło.

Pora się obudzić, Rob.

- A więc, młody człowieku - odezwał się głos - wiesz teraz, gdzie jesteś?

- Jasne, że wiem - potwierdził chłopiec. Znów było mu niewyraźnie, sen trwał zbyt długo i Robbie miał nie najlepsze samopoczucie.

- Gdzieś pod miastem - powiedział głos.

- Tak, tak - zawtórował Robbie. - Jak w Limbo. A więc rozwiązałem zagadkę i teraz jestem gotów się obudzić.

- Nie śpisz - zapewnił go głos.

- Tak, tak - powtórzył Robbie.

- To dopiero początek, Steel.

Steel. Teraz zrozumiał, dlaczego to mu się śni. Wszystko przez tamten pomyłony prezent i list. Jak najbardziej logiczny senny koszmar po czymś takim.

- Nie śpisz - powtórzył głos. - To nie sen. To się dzieje naprawdę, Steel.

- Jasne - odparł Robbie tym nowym dziwnie stłumionym głosem. - Ja jestem Steel, Dakota znajduje się w sąsiednim tunelu, a Święty Mikołaj przyjeżdża najbliższym pociągiem.

- Coś w tym rodzaju - potwierdził głos dobrodusznie.

Robbie przestał słuchać. To coś na głowie zaczynało go dusić i przyprawiało o migrenę.

- Chciałbyś teraz zobaczyć Dakotę, Steel?

- Co takiego? - zapytał Robbie, zirytowany.

- Pytałem, czy chciałbyś zobaczyć Dakotę.

- Czemu nie? - Był zaintrygowany. Ciekawość odsunęła irytację na dalszy plan.

Błękitne światło zgasło. Znow zaskoczyła go ciemność, która po chwili przemieniła się w coś innego.

Niewielkie pomieszczenie, słabo oświetlone, kamienne ściany, wyglądające na wilgotne. Coś jak cela. Ktoś tam był, leżał na materacu na podłodze. Dziewczyna. Leżała na boku. Robbie pomyślał, że śpi. Wytężył wzrok, usiłując lepiej jej się przyjrzeć. Długie nogi, bosa stopy, podeszwy brudne... ubrana w ten sam skąpy skórzany strój, co Dakota w Limbo. Prawa ręka, odrzucona, na wpół zasłaniała twarz dziewczyny, ale jej włosy były długie i ciemne jak...

- Ładna - musiał przyznać.

- Dakota.

- Oczywiście - zgodził się Robbie, bliski podziwu.

- Dakota.

Chłopiec zrozumiał, że głos nie mówi do niego, tylko do dziewczyny, która wydała cichy jęk, próbując bardziej zasłonić twarz.

- Dakota! - Ostrzejszy ton.

Dziewczyna chlipnęła i odsunęła rękę, odsłaniając oczy. Robbie zobaczył, że jest piękna. Ładna by z niej była Dakota.

Sen przybrał dziwaczny, niespodziewany obrót. Robbie sądził, że gdyby naprawdę przyśniło mu się Limbo, przeżywałby grę jak coś autentycznego, ale to była żywa, normalna dziewczyna, człowiek, a nie cybernetyczna bohaterka.

- To zwyczajna dziewczyna - powiedział do „mistrza ceremonii”.

- Mylisz się - odparł głos. - To Dakota. A ty jesteś Steeleem.

Uhum, pomyślał Robbie, nie powiedział jednak tego na głos.

- Tam, na zewnątrz miała inne imię - wyjaśnił głos - tak samo jak ty. Ale teraz stała się Dakotą. Ty nazywałeś się Robert David Johanssen, lecz teraz już się tak nie nazywasz.

Stanowczo pora się obudzić.

- Wiem, że trudno to przyjąć do wiadomości - ciągnął głos łagodnie.

- Mam zamiar się obudzić - oświadczył Robbie.

- Przyniosłem ci prezent, Dakota. - Głos znów zwracał się do dziewczyny. - Włóż hełm, żebyś mogła zobaczyć.

Robbie słuchał jednym uchem. Znów przyglądał się dziewczynie. Miała niebieskie oczy, teraz to widział, a pod nimi głębokie cienie. I była chuda. Zbyt chuda. Szukała czegoś po omacku obok siebie na materacu, znalazła to wreszcie i podniosła. Jakieś dziwne urządzenie. Hełm, jak to określił głos. Robbie usłyszał jej westchnienie i zobaczył, że wkłada sobie tę aparaturę na głowę, na uszy i oczy. Gogle. Paskudne. Zasłaniały jej śliczną buzię, zmieniając ją w jakiegoś półpotworka.

- Psiakrew. - Po raz pierwszy przemówiła.

Łagodny, lekko zachrypnięty głos.

Spojrzała w dół, szukając czegoś jeszcze. Najwidoczniej widziała teraz wyraźnie, mając to coś na głowie.

Rękawice. Wielkie i pokraczne. Naciągnęła je na dłonie.

- O mój Boże! - Głos jej się załamał.

Patrzyła teraz prosto na Robbiego.

- Steel - powiedziała.

- Zgadza się - potwierdził głos. - Obiecałem ci, że znajdę innego i oto go mam. Czy nie jest po prostu bezbłędny?

Robbie zrozumiał, czemu głowa tak mu ciąży, dlaczego jego głos brzmi głucho, a ręce są nieporadne. Złączywszy dłonie, poczuł coś dziwnego, sztywnego, przypominającego skórę, po czym sięgnął prawą ręką do twarzy i namacał gogle.

- Zostaw - powiedział głos ostro. - Nie spodoba ci się to, co zobaczysz, kiedy je zdejmiesz.

- Nie podoba mi się to, co widzę teraz.

Robbie walczył z uczuciem paniki. Nienawidził tego, nie znosił tracić panowania nad sobą, zawsze tak było, odkąd pamiętał. Próbował odzyskać spokój, mówiąc sobie, że „mistrz ceremonii” odwalił kawał niezłej roboty. Mistrz sennego koszmaru.

Pragnął się obudzić. Bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Zaczynij się przyzwyczajać, Steel - powiedział głos.

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ 23

Kim zauważyła tę wiadomość pierwsza, nie ja. Notatka w „New York Timesie” mówiła o synu nieodżałowanej pamięci wybitnego pianisty, szesnastoletnim chłopcu, który zniknął wkrótce po otrzymaniu tajemniczego prezentu.

Robiłem porządki w szufladzie na bieliznę, wyrzucając stare slipki i próbując połączyć w pary pojedyncze skarpetki. Zajęcie to nie było niczym innym jak grą na czas. Letnia przerwa semestralna już się zaczęła. Rano zrobiłem dziewczynkom śniadanie, a potem Kim odwiozła Ellę do szkoły (Rianna od jakiegoś czasu jeździła sama). Wyjąłem pocztę ze skrzynki, pootwierałem i posortowałem listy, ustaliłem, które rachunki są pilne i co z reklamowej makulatury można wyrzucić. Kiedy wróciła Kim, zaszyłem się w swoim pokoju i zaatakowałem szufladę.

Krótko mówiąc, wyszukiwałem sobie wszelkie możliwe zajęcia, byle tylko się wykręcić od tego, co powinienem robić, czyli od pisania książki, notabene opowieści niesamowitej, której akcja miała się rozgrywać w Yale, na terenie kampusu uniwersyteckiego. Oczywiście nikt jej u mnie nie zamówił i nie wierzyłem, że kiedykolwiek znajdę wydawcę, jeśli w ogóle zostanie napisana, lecz ów zamysł zrodził się na długo przed śmiercią Simone i kiedy z początkiem dwutysięcznego roku powróciło pragnienie, by zająć się ową książką, powitałem je z radością, jako sygnał, że moje rany zaczynają się zablizniać, a zdrowie psychiczne powraca. Plan był taki, żeby wykorzystać przerwę wakacyjną - a przynajmniej czas spokoju, nim rozpoczną się wakacje dziewczynek - aby pisać po całych dniach, w razie potrzeby przeprowadzając rekonesans albo w naszej bibliotece uniwersyteckiej, która była czynna przez całe lato, albo w samym Yale.

Takie przynajmniej miałem zamiary...

Kim zastukała do drzwi.

- Jake, mogę wejść?

- Jasne.

- Wciąż twórcza niemoc? - Zerknęła na stos bielizny na moim łóżku. Nie odpowiedziałem.

- Mówią, że na to jest tylko jeden sposób - odezwała się ostrożnie. - Po prostu pisać, nawet jeśli niespecjalnie ci wychodzi.

- Mówią najróżniejsze rzeczy. Na ogół bezużyteczne - skwitowałem.

- Pomyślałam, że powinienes to zobaczyć. - Podała mi „Timesa”.

Wziąłem od niej gazetę i zauważyłem fragment, przy którym postawiła małe, zgrabne „X”. Dostrzegłem fotografię zaginionego Roberta Johansena, przeczytałem parę linijek, rzuciłem okiem na Kim, po czym podszedłem do telefonu ustawionego na nocnym stoliku przy łóżku, zabierając gazetę ze sobą.

Zadzwoiłem do bostońskiego oddziału firmy Lomax & Baum. Ucieszyłem się, kiedy usłyszałem w słuchawce łagodny głos detektywa. Minęło dwa i pół tygodnia, odkąd poleciłem go Cooperom. Od tego czasu rozmawiałem z nim kilka razy. Dość, żeby się zorientować, że wychodzi ze skóry, aby dowiedzieć się czegoś o Michaelu, ale na każdym kroku spotykają go niepowodzenia.

- Widziałeś „Timesa” - powiedział bez wstępów.

- Przed chwilą.

- I uważasz, że powinniśmy się skontaktować z matką chłopca.

- Uważam, że powinniśmy ustalić, co to za tajemniczy prezent - oświadczyłem.

- Zgadzasz się - odrzekł Baum. - Miałem do ciebie zadzwonić tak czy inaczej. Skontaktowałbym się z tą panią sam, tylko obawiam się, że może nie chce rozmawiać z prywatnym detektywem.

- Twoim zdaniem lepiej, żebyśmy to ja zadzwonił?

- Ty albo jedno z Cooperów. Tylko, na wypadek gdyby jeszcze nie trafili na tę notatkę, wolałbym ich niepotrzebnie nie denerwować.

Byłem dokładnie tego samego zdania.

Znalazłem numer w książce telefonicznej i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie powinienem starannie zaplanować rozmowy, aby przygotować sobie to, co mam powiedzieć, jako że miałem się właśnie wpakować w sam środek dramatycznej, a zarazem delikatnej sytuacji. Z drugiej strony, może właśnie dlatego najlepszym wyjściem było działać natychmiast. Może w ogóle nie zastanę pani Johanssen albo nie będzie chciała ze mną rozmawiać?

Zadzwoiłem, kiedy Kim wyszła, żeby kupić coś do jedzenia. Po dwóch sygnałach ktoś podniósł słuchawkę. Kobięcy głos, niski, wyczekujący.

- Czy mówię z panią Johanssen?
- Tak, to ja.
- Nazywam się Jake Woods, dzwonię z New Haven w Connecticut.
- Tak?

Moja rozmówczyni nie dawała niczego po sobie poznać i nie dziwiłem się jej. Postanowiłem przejść od razu do rzeczy, co musiało być dla niej bolesne, ale najlepsze w tych okolicznościach. Wyjaśniłem, że widziałem tekst w „Timesie”, a ponieważ moi przyjaciele są w podobnej sytuacji co ona, przyszło mi do głowy, że ów tajemniczy prezent, o którym była mowa w gazecie, może stanowić wspólne ogniwo.

- W jakim wieku jest syn pańskich przyjaciół? - zapytała pani Johanssen wciąż stłumionym, ale teraz nagłym głosem.

- Michael skończył piętnaście lat.
- Od jak dawna go nie ma?

Zawahałem się, uświadamiając sobie, że moja odpowiedź może wprawić matkę zaginionego chłopca w jeszcze większy popłoch. Ale może się okazać, że prezent to fałszywy trop i sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego. Z drugiej strony, jeżeli związek istnieje, im szybciej nieszczęsna kobieta się o tym dowie, tym lepiej dla jej syna.

- Prawie od dwóch miesięcy - odrzekłem. - Od siódmego czerwca.

Milczała przez dłuższą chwilę.

- Zdaję sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie ma tu żadnego związku.

Pani Johanssen wzięła się w garść.

- Jaki prezent przysłano Michaelowi?

- Grę komputerową - powiedziałem cały spięty, usilnie pragnąc się mylić.

- Och.

Tylko to jedno słowo, tyle była w stanie wykrztusić w tym momencie. Serce ścisnęło mi się ze współczucia dla niej, a jednocześnie zrozumiałem, co to mogło oznaczać dla Fran i Stuarta.

- Gra nazywała się Limbo - uzupełniłem.
- Tak - potwierdziła. - Wspomniał pan, że był również list.
- Zgadza się. Nie podpisany.
- Tak samo jak ten do Robbiego. Chryste.
- Panie Woods... - zaczęła, po czym urwała.
- Tak? - Staralem się zachęcić ją, żeby mówiła dalej.
- Czy moglibyśmy się spotkać?

Te słowa kompletnie mnie zaskoczyły.

- Oczywiście - odpowiedziałem. - Jeżeli sądzi pani, że mogę się na coś przydać. Albo po prostu przekazemy informację policji, jeżeli jeszcze jej nie mają.

- Chciałabym najpierw sama to ocenić - oświadczyła. - Czy mogłabym też się zobaczyć z pańskimi przyjaciółmi?

Zawahałem się, myśląc o ewentualnych skutkach tego spotkania dla Cooperów. Czy Fran byłoby łatwiej, gdyby porozmawiała z inną matką w tej samej sytuacji, czy też zgasłaby ostatnia iskierka nadziei, że Michael uciekł lub stracił pamięć i wciąż gdzieś tam jest, a może już wraca do domu.

- Przyjadę do pani - zaproponowałem nagle - jeśli to pani odpowiada.

- Oczywiście, że mi odpowiada. - W jej głosie było zaskoczenie. - Ale wspominał pan, zdaje się, że mieszka w New Haven?

- Wystarczy wsiąść w pociąg - odrzekłem. - Domyślam się, że wolałaby pani nie oddalać się zbyt od domu. Moglibyśmy porozmawiać, a potem, jeśli pani zechce, mógłbym się skontaktować z nowojorską policją w sprawie syna moich przyjaciół.

- To bardzo miłe z pańskiej strony. - Zawiesiła głos. - Nie musi pan iść do pracy?

Podobała mi się jej bezpośredniość.

- Mam wakacje - wyjaśniłem. - Wykładam na uniwersytecie w New Haven. Profesor Jacob Woods - gdyby chciała pani sprawdzić, czy jestem tym, za kogo się podaję. - Umilkłem.

- Kiedy może pan przyjechać?

Pomyślałem o dziewczynkach. Wiedziałem, że Kim ma przyjść, kiedy wrócą ze szkoły.

- Muszę na kogoś zaczekać, upewnić się, że mogę wyjechać bez przeszkód, a potem...

- Nie mogę oczekiwać, żeby pan wszystko rzucił - powiedziała.

- Nie ma problemu - zapewniłem ją. - Nie mam czego rzucać. O ile coś mi nie wypadnie, złapię najbliższy pociąg i wkrótce się zobaczymy.

Jeśli Amtrak* * Amerykańskie przedsiębiorstwo kolejowe nie nawala, zazwyczaj lubię moment, kiedy pociąg wjeżdża na Manhattan; ten dobrze znany widok zawsze na mnie działa, nawet po tylu latach. I nawet Penn Station nie może zepsuć mi tej przyjemności, o ile nie są to godziny szczytu

albo piątkowe popołudnia. Dzisiaj pociąg, którym wyjechałem o dwunastej dwadzieścia, nie miał opóźnienia i przywiózł mnie do miasta o drugiej po południu, kolejka do taksówek nie okazała się zbyt długa, korek w kierunku północnych dzielnic miasta nie taki znów straszny, ale pomimo tych drobnych spraw, które mogłem zapisać na plus, byłem napięty jak struna, kiedy płaciłem za taksówkę i wysiadałem przy Alei Kolumba, niedaleko skrzyżowania z Wschodnią Siedemdziesiątą Trzecią.

Zawsze lubiłem ten rejon miasta, z mnóstwem przyzwoitych restauracji, parkiem znajdującym się nieopodal i Centrum Lincolna* zaledwie o parę kroków. Atrakcyjna dzielnica, jak sobie mogłem wyobrazić, dla wdowy po pianiście i jej syna. Przyzwoicie, czysto, sympatycznie, interesujący przekrój społeczny mieszkańców.

Bezpiecznie.

* Największy kompleks kulturalny na świecie, z salami koncertowymi, teatralnymi, kinowymi etc.

Kiedy wysiadłem z windy, Lidia Johanssen czekała na mnie w otwartych drzwiach mieszkania. Była młodsza, niż się spodziewałem, i muszę przyznać - choć pewnie akurat nie na to powinienem zwracać uwagę w takich okolicznościach i po prawdzie rzadko kiedy myślałem o tym od czasu śmierci Simone - że przyjemnie było na nią popatrzeć.

- Profesorze Woods - powitała mnie, wyciągając rękę.
- Jake, proszę.
- Lidia Johanssen.

Ująłem chłodną dłoń o zdecydowanym uścisku, spojrzałem w pełne napięcia, wielkie, bursztynowe oczy w bladej, owalnej twarzy, obramowanej ciemnymi, prostymi, długimi włosami. Oczy lustrowały moją twarz, badając ją, jakby chciały się upewnić, że przyszedłem w uczciwych zamiarach i rzeczywiście pragnę pomóc. Inteligentne oczy.

Wszedłszy do holu, ujrzałem jeden z moich ulubionych obrazów Pat Singer, delikatny, jakby muśnięty lekką bryzą pejzaż. Sympatyczny hol, pełen domowego ciepła. Lidia Johanssen poszła przodem, prowadząc mnie do salonu. Miała na sobie beżowe spodnie i bawełnianą kremową bluzę z długimi rękawami, która wydawała się o wiele za ciepła na tę pogodę, ale skądinąd wiedziałem, co lęk czy głęboki smutek potrafi zrobić z organizmem człowieka, jak również z jego psychiką. Nagle przypomniałem sobie, że po śmierci Simone było mi zimno przez całe tygodnie.

- Powinam mieć wyrzuty, że pana ciągnęłam taki kawał drogi - powiedziała - ale nie mogę. Zbyt jestem panu wdzięczna, żeby mi było przykro.

- Ależ nie ma o czym mówić - zachnąłem się najzupełniej szczerze, tym bardziej że - zdałem sobie z tego sprawę - przynosiłem jej tylko jeszcze większe obawy.

- W porządku - odrzekła. - Nie oczekuję od pana cudów. Proszę po prostu podzielić się ze mną tym, co pan wie. Wszystkim, bez żadnej cenzury.

Musiąca unosić nieco głowę, kiedy ze mną rozmawiała. W zgrabnych, gustownych pantoflach na płaskim obcasie, Lidia Johanssen bynajmniej nie robiła wrażenia niskiej, ale ja jestem zdecydowanie wysoki: mam metr osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, szerokie bary i - zdaniem Rianny, która lubi się troszczyć o moje zdrowie - zaczątki brzucha.

Lidia Johanssen powiedziała, żebym się rozgościł, poprosiła, żebym jej mówił po imieniu, usadziła mnie w wielkim, starym fotelu obitym miękkim materiałem barwy kości słoniowej, po czym poszła zaparzyć kawę. Skorzystałem z okazji, żeby się rozejrzeć po pokoju. Ta sama domowa atmosfera. Mnóstwo fotografii. Na kilku z nich pani Johanssen i, jak się domyślałem, jej zmarły mąż, Aaron, mężczyzna o miłej powierzchowności, chociaż nie tak wyobrażałbym sobie znanego pianistę, trudno zresztą sprecyzować, dlaczego... Garść fotografii chłopca, którego zdjęcie widziałem w „Timesie”. Robert Johanssen, wybitnie przystojny, ciemnowłosy jak jego mama, o wesołych niebieskich oczach i podbródkiem z pionowym rowkiem jak u ojca.

Poczułem, że ogarnia mnie wściekłość, jak tamtej niedzieli u Cooperów.

Dwaj wspaniali chłopcy - młodzi ludzie z solidnych, bezpiecznych rodzin. Wyrwani z życia, ze swoich pełnych miłości domów. Zabrani. Urowadzeni. Tak strasznie chciałem się mylić, ale wspólny element w postaci gry komputerowej czynił to boleśnie nieprawdopodobnym.

Zacząłem się zastanawiać, dlaczego tracimy czas na parzenie kawy, kiedy powinniśmy rozmawiać z FBI i policją, która prawdopodobnie odkryła już związek pomiędzy tymi dwoma zniknięciami. Lidia powiedziała mi przez telefon, że pragnie najpierw sama usłyszeć o tamtej sprawie. Pomyślałem, przypominając sobie Stuarta i Fran, że może chce mieć poczucie bodaj minimalnego wpływu na bieg wypadków, poznać fakty, zanim potężna machina wessie je i zmiele, przetwarzając na działania, o których być może nigdy nie będzie jej dane usłyszeć. Widziałem, że to, co się tu miało rozegrać, okaże się zupełnie różne od tamtej rozmowy u

Cooperów, zrozpaczonych, gdy wydawało im się, że nikt nie traktuje poważnie zniknięcia Michaela.

Jeśli policja i FBI wiedzą już, że obie sprawy łączy gra o nazwie Limbo i załączony do niej list, nie ulegało wątpliwości, że potraktują to z całą powagą.

Nie uważam się za człowieka o strusiej naturze, ale w tej chwili pożałowałem nagle, że Kim znalazła w „Timesie” tę cholerną notatkę. W końcu Norman Baum skojarzył obie sprawy beze mnie i nawet jeśli żaden policjant w Brookline nie zdążył jeszcze przeczytać gazety, jest to jedynie kwestia czasu, kiedy wszyscy pracownicy wydziału policji zostaną o tym poinformowani.

A ja mógłbym siedzieć spokojnie w domu ze swoją rozbebeszoną szufladą na bieliznę i swoją twórczą niemocą, samolubnie daleki od bólu tej matki.

Piliśmy kawę i rozmawialiśmy przez jakiś czas o Robercie (Lidia nazywała go Robbie), opowiedziałem jej też nieco o sobie, o swojej przeszłości, o powodach, dla których Fran i Stu do mnie się zwrócili, o wysiłkach Normana Bauma i wreszcie o samych Cooperach. Wyszło na jaw więcej analogii z Michaeliem, oprócz zainteresowania obu chłopców grami komputerowymi i faktu, że obaj pochodzili z dobrych domów. Istniało między nimi pewne fizyczne podobieństwo: obaj ciemnowłosi, wysocy, wysportowani, przystojni. Obaj lubiani, z licznym gronem przyjaciół. Żaden nie należał do moli książkowych, obaj byli pogodnymi, kochającymi sport nastolatkami, chociaż odniosłem wrażenie, że Michael wydawał się bardziej zaangażowany w swoje bieganie niż Robbie w którykolwiek ze sportów, jakie uprawiał. Zwyczajni chłopcy, dobrzy, szczęśliwi, zdrowi, normalni. Jak całe mnóstwo innych.

Ostatnia myśl mnie zmroziła.

- Jest jedna sprawa - odezwała się Lidia. - W liście padło stwierdzenie, że Robbie jest mistrzem Limbo, ale on mnie zapewnił, że to nieprawda. Powiedział, że ma już tę grę i doszedł do sporej wprawy, nie miał jednak cierpliwości siedzieć nad nią wystarczająco długo, aby osiągnąć perfekcję. - Skrzywiła się nieznacznie. - Wygląda na to, że prawdziwi mistrzowie muszą być niezłymi maniakami.

Próbowałem sobie przypomnieć, czy Cooperowie wspominali coś o obsesji Mikeya na punkcie Limbo, ale w pamięci miałem jedynie niesmak Fran, kiedy mówiła o grze.

- Grałaś w to kiedykolwiek? - zapytałem.

Pokręciła głową.

- Nie jest to rozrywka, w jakiej gustuję. - Urwała, najwyraźniej tknięta nagłą grozą. - Czy policja w Brookline ustaliła coś na podstawie listu Michaela?

- Cooperowie nie mogli go znaleźć po zniknięciu syna. Przypuszczają, że Michael mógł go mieć przy sobie.

- Ja miałam list Robbiego - powiedziała Lidia. - Przekazałam go policji razem z grą. Zgodzili się ze mną, że może mieć związek z jego zniknięciem, uznali jednak, że jego wartość dowodowa jest niewielka. - Brak odcisków palców, jeden z najczęściej używanych gatunków papieru w kraju, czcionka jak w większości komputerów osobistych - wylczyła ze ściągniętą twarzą, której wyraz mógł oznaczać hamowany gniew.

Umilkła i opuściła wzrok na kolana. Widziałem, że wargi ma zaciśnięte, a podbródek wysunięty, że walczy ze wszystkich sił, aby zachować spokój.

- Dobrze - odezwałem się, kiedy uznałem, że przerwa w rozmowie trwała wystarczająco długo. - Co robimy? Zatelefonujemy i sprawdzimy, czy wydział do spraw zaginionych wie o Cooperach? A może najpierw wolałabyś porozmawiać z kimś innym? - Chciałem, żeby to ona podjęła decyzję, żeby miała ową namiastkę wpływu na bieg wydarzeń, na jakiej jej zależało.

Uniosła nieco podbródek, znów napotykając moje spojrzenie. Doszła już do siebie.

- Nie, z nikim więcej - odpowiedziała i ujrzałem coś jak cień uśmiechu w jej oczach o ciepłej barwie, z których w tej chwili wyzierała pustka.

- Zadzwońmy.

Przyjechali natychmiast. Dwoje detektywów: Mary Calhoun - chuda, żyłasta, z krótkimi, jasnymi włosami i przenikliwymi, zielononiebieskimi oczyma oraz Marcus Hobbs - wysoki Afroamerykanin o łagodnej, wrażliwej twarzy. Nie wtrącałem się do rozmowy, kiedy Lidia wprowadzała ich w sprawę, a potem przekazałem im wszystko, co było mi wiadomo o zaginięciu Michaela Coopera. Bez względu na to, czy policja w Brookline wiedziała już o Robbiem Johanssenie, do tych dwojga nie dotarł jeszcze żaden sygnał. Słuchali uważnie i robili notatki, nie tracąc czasu. Podziękowali nam obojgu, zapewnili Lidie, że niezwłocznie zrobią użytek z otrzymanych informacji, po czym wyszli.

Dochodziła piąta. Całe spotkanie nie trwało nawet czterdziestu minut.

Nie było powodu, żebym tu dłużej siedział.

- Powiniennem się zbierać - powiedziałem, kiedy Lidia wróciła do salonu po odprowadzeniu pary detektywów do drzwi.

- Tak - zgodziła się ze mną. - Oczywiście.

Spojrzała na swój zegarek i wydawała się zaskoczona, że zrobiło się tak późno. Pobladła i wyglądała na wyczerpaną, czemu trudno się było dziwić.

- Mógłbym zostać jeszcze trochę - zaproponowałem - jeżeli jest coś, co mógłbym jeszcze zrobić.

Lidia pokręciła głową.

- Nie - odrzekła. - Zrobiłeś aż nadto. - Nagle coś jej przyszło do głowy.

- Może przygotowałabym ci coś do jedzenia? Musisz być głodny.

- Nie trzeba - uspokoiłem ją. - Zjem coś w pociągu, zdążę do domu na kolację.

- Z twoimi dziećmi - powiedziała miękko. - Oczywiście.

Wstałem. Nagle poczułem się niezręcznie, nie na miejscu. To pierwsze spotkanie było tak nienaturalne, choć na swój sposób łatwiejsze niż zazwyczaj, gdyż okoliczności odsunęły na bok konwenanse, ale teraz, kiedy załatwiłem to, po co przyjechałem, kiedy zrobiłem, co mogłem, jakkolwiek niewiele tego było, nadszedł czas, żeby sobie pójść.

Tylko że wcale nie miałem na to ochoty.

Dobre wychowanie kazało mi jednak skierować się w stronę drzwi.

- To było ogromnie miłe z twojej strony. - Głos Lidii stał się nagle równie zmęczony jak jej twarz. - Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie ma za co - powtórzyłem raz jeszcze. - Mam nadzieję, że był z tego choć niewielki pożytek.

- Był - zapewniła mnie Lidia.

- Teraz pewnie przez jakiś czas nastąpi cisza - dodałem. Lidia pokręciła głową

- Mają się skontaktować z Brookline, a może i porozmawiać z FBI.

- Tak. - Znów była bliska załamania.

Pora iść, Jake. Daj tej kobiecie trochę wytchnienia, ciszy i spokoju.

Do diabła z ciszą i spokojem. Tym, czego potrzebowała - wszystkim, czego potrzebowała - był pewien hałaśliwy, normalny, ciemnowłosy, błękitnooki szesnastolatek. W domu, w jej objęciach.

- Proszę cię, zadzwoń, jeśli będę mógł coś jeszcze dla ciebie zrobić - powiedziałem.

- Zadzwonię.

W pociągu, w drodze do domu, do moich córek - dzięki Ci za nie, Boże, dzięki Ci, Chryste - nie mogłem przestać myśleć o Lidii Johanssen, o tym, jak się musiała w tej chwili czuć. Miałem nadzieję, że poszła prosto

do łóżka i usnęła, ale wątpiłem, czy tak się stało; wątpiłem, czy zaznała zbyt wiele snu od czasu zniknięcia Robbiego.

Nagle poczułem złość na samego siebie i zacząłem się zastanawiać, czy rozegrałem tę sprawę tak, jak powinienem. Może należało po prostu przekazać informację policji, czy to w Brookline, czy w Nowym Jorku, niechby załatwili sprawę między sobą, i wówczas Lidia nie musiałaby się dowiedzieć już teraz - a być może kiedykolwiek - o ewentualnym związku zniknięcia jej syna ze sprawą Cooperów.

Co jej zostawiłem właściwie? Straszliwe, nowe brzemię. Świadomość, że czyjś syn znikł w przerażająco zbliżonych, złowróżbnych okolicznościach prawie dwa miesiące temu i od tamtej pory słuch o nim zaginął. Lidia Johanssen była wdzięczna, uprzejma i niewiarygodnie dzielna, ale nie ulegało wątpliwości, że wszystko, czego dokonałem, to z wielokrotnie nie jej panicznych obaw o pięć tysięcy procent.

Niezły wyczyn, Jake.

Niezły wyczyn.

ROZDZIAŁ 24

Robbie nie zaczął się oswajać z sytuacją, jak mu to zasugerował głos. Jedyne, co zaczęło do niego docierać w tym całym koszmarze, było to, że jeśli zerwie z głowy hełm, a wraz z nim gogle i słuchawki, jeśli ściągnie z rąk rękawice bez wyraźnego polecenia, pogrąży się natychmiast w kompletnej ciemności i ciszy - w czymś, co, jak sobie uświadamiał z mdlącym strachem, przypominało pogrzebanie żywcem.

Jak dotąd była to chyba jedyna forma kary za niesubordynację. Odcięcie od życia, nawet od tych nędznych okruczeń świata, podczas gdy jego zmysły, wciąż żywe i na pełnych obrotach, tłukły się rozpaczliwie w ciemności.

Tak więc za każdym razem kiedy zrywał hełm, nie mogąc dłużej wytrzymać, zaledwie po kilku minutach stwierdzał, że musi włożyć go z powrotem. Aby nawiązać kontakt.

Problemem było jednak to, z czym ów kontakt nawiązywał.

ROZDZIAŁ 25

Lidia zadzwoniła w dwa dni po mojej wizycie w Nowym Jorku. Było wczesne popołudnie, siedziałem sam w mieszkaniu, a konkretnie w swoim gabinecie przy komputerze. Rano zdołałem napisać dwie strony, po obiedzie dwie linijki. Ogrody przy Woodster Square wabiły, zachęcając do przechadzki. Krótko mówiąc, nie cisnął mi się do głowy potok słów.

- Jest pewien postęp. - W głosie Lidii było rozpaczliwe napięcie. - Nie byłam pewna, czy już o tym nie słyszałeś od swoich przyjaciół, ale pomyślałam, że może chciałbyś wiedzieć.

- Nie słyszałem o niczym - odrzekłem, spięty. Po powrocie z Nowego Jorku rozmawiałem z Normanem Baumem i uzgodniliśmy, że informowanie o Robbiem Fran i Stuarta, dopóki nie zajdzie konieczność, byłoby niedźwiedzią przysługą, taką, jaką wyświadczyłem Lidii Johanssen, syjąc sól na jej rany.

- Detektyw Calhoun odwiedziła mnie dziś rano, żeby mi powiedzieć, że w bazie osób zaginionych znaleziono trzy dalsze podobne przypadki.

O Jezu.

- Gdzie?

- Jeden chłopiec, piętnastolatek z Harrisburga w Pensylwanii i dwie dziewczyny: szesnastoletnia z Providence w Rhode Island i druga, zaledwie czternastoletnia, z Atlantic City. - Lidia przełknęła ślinę i mówiła dalej. - Wszyscy zniknęli w ciągu ostatnich czterech miesięcy, Jake, i wszyscy wcześniej otrzymali przesyłkę z grą.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Byłem jak ogłuszony.

- Wiem - odezwała się Lidia. - To zbyt straszne, żeby przyjąć cokolwiek do wiadomości.

Nakazałem sobie wziąć się w garść. W końcu ona była taka dzielna.

- Czy ta Calhoun mówiła coś jeszcze?

- Przede wszystkim to, że FBI organizuje specjalną grupę dochodzeniową, która ma się zająć całą sprawą. Silną grupę, jak się wyraziła.

- To dobrze.

- Tak myślę.

Aha, jasne, wprost fantastycznie. Teraz ta kobieta już wie, że jej syn jest zaledwie jednym z pięciorga uprowadzonych dzieci. Uprowadzonych. Przynajmniej to nie ulegało wątpliwości.

- Jak się trzymasz, Lidio?

- Sama nie wiem - odrzekła szczerze. - Jestem w domu. Wstaję rano, jakoś przeżywam dzień, kładę się do łóżka, rano zaczynam od nowa.

- Udaje ci się trochę przespać?

- Nie za wiele.

Głupie pytania.

- Czy masz kogoś przy sobie? - Wreszcie coś na wpół inteligentnego. - Ktoś się tobą opiekuje?

- Mam paru bliskich przyjaciół.

- Dzięki Bogu za przyjaciół.

- Tak. - Lidia milczała przez chwilę. - Chciałam po prostu, żebyś wiedział, co dalej. Dzięki tobie więcej osób będzie pracować nad odszukaniem Robbiego i pozostałych.

- Tak czy inaczej skojarzyliby fakty.

- Ale dzięki tobie zaoszczędzili trochę czasu i jestem ci za to ogromnie wdzięczna.

- Czy mógłbym coś jeszcze dla ciebie zrobić? - urwałem. - Cokolwiek?

- Nie, raczej nie.

Po co jej obcy, skoro ma przyjaciół?

- Dzięki, że dałaś mi znać, jak sprawy stoją.

- Tyle przynajmniej mogę zrobić, Jake.

Powiedziałem, że życzę jej powodzenia i pożegnaliśmy się grzecznie.

Odłożyłem słuchawkę i znów wyjrzałem przez okno na plac, zły na siebie za tę cholerną sztuczność i kurtuazję. Lidia miała w sobie tyle godności i odwagi. Byłem pełen podziwu, że emanuje z niej taka siła, kiedy wewnątrz musiała być kompletnie rozbita. A ja podziękowałem jej za informację i to wszystko, jak gdyby dzwoniła ze sklepu z wiadomością, że nadszedł zamówiony towar.

Do loftu, Jake.

Wstałem i zacząłem chodzić po małym pokoju tam i z powrotem. Niepotrzebnie robiłem sobie wyrzuty. Nie mogłem nic zrobić dla Lidii Johanssen. Tylko jedno mogło ją pocieszyć: bezpieczny powrót Robbiego do domu. Tak się składało, że organizacją mogącą najwięcej zdziałać, by to

osiągnąć, było FBI, a nie Jake Woods, wykładowca prawa karnego i dawny inspektor śledczy. Lidia zadzwoniła do mnie przez uprzejmość, a nie z jakiegokolwiek innego powodu. Powinienem zabrać się do wprowadzania w życie swoich wielkich wakacyjnych planów, sklecić coś na kształt wstępnego szkicu tej cholernej książki, a kiedy rok szkolny się skończy, zabrać dziewczynki nad ocean albo w północne rejony stanu, w jakąś ładną okolicę, i zażyć trochę staromodnych uciech, zanim wszyscy zapomnimy, jak się to robi.

Łatwo powiedzieć.

Nazajutrz po tym, kiedy się dowiedziałem o kolejnych zaginionych dzieciach, pojechałem odwiedzić Fran i Stuarta. Znalazłem ich w gorszym stanie niż poprzednio, czemu trudno się dziwić, zważywszy, że upłynął kolejny miesiąc bez wieści o Mikeyu. Ale pod jednym względem zaobserwowałem, przynajmniej u Stuarta, zmianę na lepsze.

- Teraz chociaż wiemy, że naprawdę robią wszystko, co mogą - szepnęła mi, kiedy żona wyszła do kuchni. - Oczywiście, strasznie współczuję rodzicom tamtych dzieci, ale wreszcie policja wie, że mówiliśmy prawdę.

- Stu - tłumaczyłem mu - oni i przedtem wiedzieli. Po prostu musieli mieć więcej faktów.

Jego twarz przebiegł nagły skurcz.

- Podaliśmy im wszystkie fakty, Jake. - Zerknął w stronę kuchni, z trudem zniżając głos. - Myśleli, że jesteśmy złymi rodzicami. Myśleli, że Mikey od nas uciekł. Nie słuchali, kiedy mówiliśmy im o liście.

Powiedziałem, że, jak mi wiadomo, ze wstępnych oględzin listu, dokonanych przez nowojorską policję, nie wynikło na razie nic nowego.

- Przynajmniej jej uwierzyli. - W jego głosie brzmiała gorzycz.

Znów zacząłem go przekonywać, że moim zdaniem jest w błędzie, kiedy do pokoju weszła Fran. Stu zmienił temat, ale oświadczyła, że doskonale wie, o czym ze mną rozmawiał, i zaczyna się obawiać, że to już obsesja, że nikt im nie pomoże odzyskać syna.

I tym razem nic nie mogłem dla nich zrobić. Najwyżej zejść im z oczu, co uczyniłem, czując się gorzej niż kiedykolwiek przedtem.

Starałem się usilnie przestać myśleć o całej sprawie, ale po prostu nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Czy pisałem, czy czytałem, czy robiłem zakupy, czy gotowałem, czy bawiłem się z córkami, czy pracowałem w bibliotece na uczelni, moje myśli wciąż krążyły wokół Cooperów i Lidii Johanssen.

Zwłaszcza Lidii Johanssen.

Rianna nakryła mnie kiedyś w późny sobotni wieczór, gdy nie mogąc zasnąć, przysłała do mnie do gabinetu i zajrzała mi przez ramię.

- Jesteś na tej samej stronie, nad którą pracowałeś rano - zauważyła, zerkając na ekran komputera.

- Dzięki, skarbie. - Odwróciłem się razem z fotelem i podniosłem wzrok na swoją pierworodną córkę. - Czyżbyś znowu urosła? - Wydawało się, że zaledwie wczoraj była szkrabem, który doskonale się mieścił na moich kolanach, a oto stała przede mną, ubrana w obszerną sportową koszulkę klubu High Fliers, piękna dziewczyna o szarych oczach, wspaniałych, wyraźnych brwiach, nieskończenie długich nogach i mocnych, bosych stopach.

- Co się dzieje, tato? - Rianna nie dała się zagadać.

- Ze mną nic. Czemu nie możesz spać?

Wzruszyła ramionami.

- Spałam, ale się obudziłam.

- Zły sen?

- Nie. Po prostu wygląda na to, że się wyspałam. - Zerknęła znacząco na ekran komputera. - Tak ciężko ci idzie?

- Oj, ciężko.

- Biedaku. - Spojrzała na mnie ze współczuciem, po czym podeszła do stołu. Stał na nim mój stary wielki globus, który zawsze ją fascynował. Zakreśliła nim, zatrzymała go jedną ręką i pogładziła palcem Amerykę Południową. - I nie tylko książką się gryziesz, prawda?

- Tak?

- Jesteś jakiś nieobecny od czasu, kiedy pojechałeś do Nowego Jorku, żeby się zobaczyć z matką Robbiego Johanssena.

Czyżby naprawdę tak było? Wyjawiłem dziewczynkom, ile mogłem, a zarazem najmniej jak się dało, o całej sprawie, biorąc pod uwagę, że wiedziały już o zniknięciu Michaela. Teraz przeraziła mnie myśl, iż czyjś dramat mógł mieć tak wielki wpływ na moje zachowanie, że zauważyła to Rianna, a być może również Ella.

- Przykro mi, skarbie. Naprawdę nie chciałem.

Rianna odwróciła się i popatrzyła na mnie z uwagą.

- Nie ma sprawy, tato. Wiem, że się martwisz o Mikeya i pozostałych.

- Pozostałych?

Informacja uzyskana za pośrednictwem bazy zaginionych dzieci nie trafiła jeszcze do gazet ani do telewizji, a ja od czasu, gdy się dowiedziałem,

z całą pewnością nie mówiłem o tym ani Riannie, ani Elli. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było fundowanie własnym dzieciom koszmarnych snów.

Córka robiła wrażenie nieco stropionej.

- Słyszałam, jak rozmawiałeś z Kim i Tomem.

Rozmowa odbyła się wieczorem przed dwoma dniami, kiedy sądziłem, że Rianna jest w swoim pokoju.

- Nie podsłuchiwałam - zapewniła mnie szybko.

- Naprawdę? - Zabrzmiało to dość sucho.

- Po prostu was słyszałam. - Wzruszyła ramionami. - Nie mogłam wykasować tego, co usłyszałam, tylko dlatego, że nie było to przeznaczone dla mnie.

- No, chyba nie - zgodziłem się z uśmiechem.

- Elli nie powiedziałaś - uspokoiła mnie.

- Cieszę się.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy i widziałem, że Rianna szuka czegoś w moim spojrzeniu. I niech to licha - co, a raczej kto przyszedł mi od razu na myśl? Lidia Johanssen.

I nie tylko z powodu straszliwego położenia, w jakim się znalazła.

Niech to licha!

ROZDZIAŁ 26

Zadzwoniłem do niej w poniedziałek rano, kiedy dziewczynki poszły do szkoły.

Szybko podniosła słuchawkę, dało się jednak wyczuć, że Lidia jest czymś zaabsorbowana, że jej uwaga skierowana jest na co innego. Zapewniła mnie, że się cieszy, że dzwonię, powiedziała, że nie ma żadnych nowin i podziękowała za telefon. Zabrzmiało to uprzejmie, lecz chłodno. Najwyraźniej miałem rację, kiedy uznałem, że Lidia Johanssen nie potrzebuje mojego wsparcia. Powiedziałem - z głębi serca - że życzę jej wszystkiego najlepszego i pożegnałem się szybko.

Tak będzie lepiej, zdecydowałem. Przynajmniej dla mnie. W każdym razie będę mógł przestać o niej myśleć i skupić się na własnych sprawach. Zdążyłem napisać pięć stron, kiedy zadzwoniła.

- Strasznie cię przepraszam, Jake.

- Za co?

- Rano, kiedy zadzwoniłeś, byli u mnie znajomi i nie mogłam rozmawiać. Tak się ucieszyłam, że dzwonicz, a ty musiałeś sobie pomyśleć, że jestem strasznie nieuprzejma.

- Nic podobnego - zapewniłem ją. - Przypuszczałem, że jesteś czymś zaabsorbowana.

Lidia zaśmiała się gorzko.

- Już zapomniałam, jak to jest nie być zaabsorbowanym.

- Nie byłem pewien, czy powinienem do ciebie dzwonić - wyznałem.

- Dlaczego nie?

- Nie chciałbym ci się narzucać. Nie jest ci łatwo. Masz prawo do spokoju.

- Nie narzucasz mi się, Jake, wierz mi.

Uwierzyłem. Przeprosiłem ją na chwilę, żeby zasejfować swoje wypociny, po czym wziąłem bezprzewodowy telefon i wstałem zza biurka.

- Już jestem - zgłosiłem się.

- Przeszkodziłam ci w pracy - powiedziała Lidia.

Teraz ja się roześmiałem.

- Największa przysługa, jaką ktoś mi może ostatnio wyświadczyć, to przeszkodzić w tej, tak ją nazwijmy, pracy.

- Mówiłeś, zdaje się, że bardzo lubisz swoją pracę na uczelni.

- Bo lubię. Ale to, co w tej chwili robię, nie ma nic wspólnego z uczelnią.

Opowiedziałem jej trochę o mojej, pozał się Boże, niesamowitej opowieści. Oświadczyła, że jest pod wrażeniem. Zapewniłem ją, że nie ma powodu. Powiedziała, że rzecz jest na pewno o wiele lepsza, niż mi się wydaje, a moja nadzwyczajna skromność uderzyła ją już przy pierwszym spotkaniu. Lubilem Lidie z każdą sekundą bardziej.

- Jake, mogłabym ci coś wyjaśnić?

- Oczywiście.

- Kiedy cię zobaczyłam, chociaż się nie znaliśmy, odniosłam wrażenie, że rozumiesz, naprawdę rozumiesz, w jakiej czarnej czeluści się znalazłam.

Nie odzywałem się, nie chciałem przerywać.

- Nie mówiłeś zbyt wiele. Nie czyniłeś jakichś szczególnych wysiłków, by mnie pocieszyć. Wydawało mi się, że to dlatego, że rozumiesz.

- Nie mam nawet najskromniejszego pojęcia o tym, co przechodzisz, Lidio.

- Nie powiedziałam, że wiesz. Po prostu wydawało mi się, że rozumiesz. - Urwała, po czym dodała szybko: - Moi przyjaciele są wspaniali. Całe szczęście, że ich mam, wiem o tym i jest to pewnie z mojej strony czarna niewdzięczność, ale kiedy są przy mnie, czuję się strasznie osaczona.

Znów umilkła, celowo, jak mi się wydawało, jakby po to, żebym mógł jej przerwać, ale nie miałem takiego zamiaru. Lidia do mnie mówiła, naprawdę mówiła i zdaje się, że było to właśnie to, na co czekałem.

- Kiedy są przy mnie jacyś ludzie, czuję się zmuszona do takich, a nie innych zachowań. To nie ich wina, oczywiście. Na przykład Anna Franklin, moja serdeczna przyjaciółka, nie miałaby mi pewnie za złe, gdybym podarła wszystkie ubrania i zaczęła krzyczeć. No, sądzę, że wezwalaby lekarza, ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że ja nie chcę się zachowywać zgodnie z czyimiś przewidywaniami. Nie chcę być zmuszona robić cokolwiek lub być kimkolwiek. Mój stan to stan zawieszenia, limbo - jak nazwa tej okropnej gry. Tymczasem przyjaciele usiłują mnie wyciągnąć z mojej czarnej dziury. Przynoszą jedzenie, starają się mnie uspokajać, jak gdybym mogła być spokojna, jak gdybym mogła jeść, jak gdybym mogła się

mniej przejmować, kiedy Robbie jest tam, gdzie jest, i może przechodzi przez piekło, a może w ogóle przez nic. - Urwała raptownie.

O jedno zdanie za dużo, wiedziałem o tym.

- Cholera - mruknęła. - Cholera.

- To nic - zapewniłem ją. - Wszystko w porządku.

- Widzisz? - tłumaczyła dalej. - Dokładnie o to mi chodziło, kiedy chciałam do ciebie zadzwonić. Z tobą tak się łatwo rozmawia i można sobie pozwolić na histerię. Nie masz żadnych oczekiwań co do tego, jaka powinnam być, pewnie dlatego, że mnie nie znasz.

- Może po prostu wiem, kiedy zamknąć dziób.

Lidia się zaśmiała. Był to miły dźwięk.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Lidia nagle zmieniła ton. - Chodzi o śledztwo, które prowadzi FBI.

- Coś nie tak?

- Tak mi się wydaje - odrzekła. - Z mojego punktu widzenia. - Znów chwila milczenia. - Jake, czy mógłbyś mi poświęcić jeszcze trochę czasu? Wiem, że nadużywam twojej uprzejmości...

- Ejże - przerwałem jej. - Wydawało mi się, że zamknęliśmy już temat nadużyć. - Przepęniało mnie uczucie błogości, intensywne i dość trudne do wyjaśnienia. - Masz czas jutro w porze lunchu?

- Oczywiście - powiedziała.

- Zaprosiłbym cię do New Haven, ale wiem, że wolisz nie oddalać się od domu, więc jeśli Kim będzie jutro wolna... wiesz, Kim pomaga mi opiekować się córkami... to mógłbym złapać poranny pociąg... - urwałem. - O ile ci to odpowiada.

Lidia zapewniła mnie, że tak.

Ustaliliśmy, że złapię taksówkę na Penn Station i podjadę prosto do restauracji Ocean Grill przy Alei Kolumba, zaledwie kilka ulic od budynku, gdzie mieszkała Lidia. Czekala na mnie przy jednym ze stolików ustawionych przed lokalem, w cieniu parasola. Przed nią stał kieliszek chłodnego białego wina. Uścisnęliśmy sobie dłonie i usiadłem naprzeciwko niej.

- Miło tutaj - powiedziałem.

Przez głowę przemknęło mi znowu, jak dobrze się prezentuje w prostej, pięknie skrojonej, beżowej płóciennej sukni. Odślonięte ramiona były gładkie i kształtne. Zastanawiałem się, czy ćwiczy na siłowni i po raz kolejny przypomniła mi się moja własna sylwetka, nie tak tragiczna, jak by to określiła Rianna, ale z pewnością nie tak wiotka w pasie jak kiedyś.

Może powinienem zacząć chodzić na gimnastykę razem z córką, pomyślałem.

Lidia uśmiechnęła się do mnie.

- Dobrze wyglądasz - zauważyła. - Wydajesz się bardziej odprężony.

- Bo tak jest. - Rozejrzałem się wokół. - Pogoda nam sprzyja.

Był cudowny, nowojorski dzień, z błękitnym niebem i ciepłym, rześkim wiatrem, mijali nas przechodnie w doskonałych humorach.

- Wiesz - powiedziała Lidia - przez chwilę, siedząc tutaj, czekając, sącząc wino, miałam wrażenie, jakbym znów znalazła się w normalnym świecie. - Pokręciła głową. - Złudne, oczywiście.

- Wolałabyś, żebyśmy podarowali sobie lunch i pojechali do domu porozmawiać?

- Nie - oświadczyła zdecydowanie. - Absolutnie nie.

Próbowałem wyczytać coś z jej twarzy, ale ciemne okulary utrudniały sprawę.

- Jeżeli chcesz być uprzejma, bo przyjechałem tu po raz drugi, i sądzisz, że liczę na lunch, to o mnie nie musisz się martwić.

- Nie martwię się - odrzekła. - I to fakt, że przyjechałeś z daleka. A ja spędziłam ostatnio zbyt wiele czasu w zamknięciu, więc zaplanowałam wyjście na najbliższe dwie godziny. Sally, moja gospodyni na pół etatu, będzie odbierać telefony i jeśli zdarzy się coś ważnego, zadzwoni do mnie na komórkę. - Pochyliła się, wyjęła z torebki mały kieszonkowy telefon i położyła na stole. - Tak więc możemy zamówić jedzenie i mam zamiar przynajmniej spróbować się odprężyć.

- Dobrze. - Zamówiłem dla siebie kieliszek chardonnaya.

Udało nam się utrzymać horror na dystans podczas pierwszego dania i częściowo podczas drugiego, na które zamówiliśmy ciasteczka z krabami i pieczoną salsę z kukurydzy. Kosztowało nas to sporo wysiłku i oboje wiedzieliśmy, że udajemy, Lidia znacznie bardziej niż ja, oczywiście, ale uznałem, że było to miłe. Zdołała trochę zjeść, a ja dowiedziałem się nieco więcej o jej karierze śpiewaczki i pracy nauczycielki śpiewu. Potem opowiedziała mi kilka anegdot z życia swojego zmarłego męża, a ja z kolei opowiedziałem jej o Simone, o wypadku, o naszej przeprowadzce do New Haven, o Riannie i Elli - choć o nich nie za wiele, bo wydawało mi się nie fair zachwycać się w tej sytuacji własnymi dziećmi, które były w tym czasie w szkole, dzięki Bogu, całe i zdrowe.

Uznałem, że czas przejść do rzeczy. Lidia powstrzymywała się zapewne tylko dlatego, żeby nie psuć mi lunchu.

- Mówiłaś, że masz problem z FBI.

Odłożyła widelec i zdjęła okulary.

- To bardziej obawa niż problem. - Jej oczy jakby nagle pociemniały. - Dwa dni temu rozmawiałam z Rogerem Kline'em, wiesz, z agentem specjalnym, kierującym grupą dochodzeniową.

- Wiem - potwierdziłem. - Baum mi o nim wspominał. Mówił, że facet ma dobry wskaźnik skuteczności.

- Zapytałam, czy porozumieli się z twórcami tej gry komputerowej. Myślałam, że mogłoby im to bardziej przybliżyć osobowość człowieka, którego szukają.

- Dobry pomysł. - Wydawało mi się, że to trop, którym FBI pójdzie niejako automatycznie.

- Zbył mnie - oznajmiła Lidia. - Oświadczył, że rozmawiał z właścicielami firmy, która stworzyła Limbo. Podobno byli wstrząśnięci, że ktoś mógł się posłużyć ich grą w takim celu, lecz na tym, mam wrażenie, zakończyło się jego zainteresowanie tymi ludźmi.

- Nie sądzę. - Przez chwilę obserwowałam jej twarz, na której odmawiało się powątpiewanie. - Czego się obawiasz? Sugerujesz, że ktoś stamtąd mógłby być zamieszany w tę sprawę?

- Nie, skądże - zaprzeczyła Lidia. - Choć sądzę, że niczego nie można wykluczać. - Urwała. - Mam po prostu wrażenie, że ta gra jest z jakiegoś powodu ważna dla człowieka, który uprowadził Robbiego i pozostałych, i wydaje mi się logiczne, że ludzie z firmy Eryx muszą wiedzieć na temat Limbo więcej niż ktokolwiek inny.

- Bardzo logiczne - uznałam.

Lidia nachyliła się właśnie w chwili, gdy kelner podszedł, żeby sprawdzić, czy skończyliśmy. Widząc napięcie na jej twarzy, dałam spokój ostatniemu ciastku i nakrycia zostały uprzątnięte.

- Postanowiłam pojechać i sama z nimi porozmawiać - oznajmiła ścisłym głosem. - Z dyrektorami korporacji. Właśnie o tym chciałam ci powiedzieć, Jake.

- Chcesz pojechać do Eryxu?

- Dlaczego nie? - Jej podbródek uniósł się buntowniczo.

- Powiadomiłaś o tym Kline'a?

- Jeszcze nie.

- Myślę, że powinnaś to zrobić. Choćby dlatego, że jak sądzę, jego pracownicy przyglądają się twórcom Limbo znacznie uważniej, niż przypuszczasz. - Zamilkłam na chwilę. - Z drugiej strony, jeśli masz do tych ludzi jakieś pytania, nikt nie ma większego prawa ich zadać niż ty.

- Dziękuję. - Jej ton nieco złagodniał.

- Ale ostrzegabym cię przed poczynieniem jakichkolwiek kroków bez konsultacji z Kline'em.

Lidia wyprostowała się na krześle, sięgnęła po ciemne okulary i włożyła je. Teraz nie widziałem jej oczu, lecz zdążyłem ją już poznać wystarczająco dobrze, aby się domyślać, że nie tak łatwo da się zniechęcić.

- Nie lekceważ FBI. - Mnie też niełatwo zbić z tropu, kiedy mam coś do powiedzenia. - Znam dość dobrze ich metody działania, jeśli chodzi o przestępstwa wobec młodocianych. Mogę cię zapewnić, że w tej chwili naprawdę stają na głowie.

- Tak sądzisz? - Nadal słyszałem powątpiewanie w jej głosie.

- Mogą cię nie informować, co w danej chwili robią - tłumaczyłem - dając ci jednak słowo, że najzdolniejsi agenci biura, mężczyźni i kobiety, wychodzą ze skóry, pracując dzień i noc, bez odpoczynku, nie mając czasu dla własnych rodzin. - Mój ton był poważny. - Weźmy chociażby list. Mógł nie zdradzić zbyt wiele na pierwszy rzut oka, ale FBI ma do dyspozycji niesamowite środki i zrobi z nich użytek, możesz być tego pewna, i dotyczy to nie tylko owej przesyłki, lecz każdego najdrobniejszego okrucichu informacji.

Kelner wrócił z kartą deserów. Oboje zamówiliśmy kawę, po czym ciągnąłem dalej, mając nadzieję, że uda mi się wlać w Lidie choć odrobinę otuchy.

- Kline będzie pewnie kierował śledztwem z Waszyngtonu, ale jego agenci działają wszędzie tam, gdzie zajdzie potrzeba. W zależności od tego, gdzie znajdowały się pozostałe dzieci w chwili uprowadzenia, w tych miesiącach mogą zostać zorganizowane ruchome grupy śledcze. Być może Kline rozmawia właśnie w tej chwili z Eryxem, a może jesteśmy za nim daleko w tyle, może ma już kogoś na oku, na przykład jakiegoś przestępcę, który był w przeszłości związany z gramami komputerowymi.

- Tak sądzisz?

Nie chciałem malować sytuacji w zbyt różowych barwach.

- Nie mówię, że to pewne, tylko że jest taka możliwość. Może ci się nie podobać, że Kline nie wyklada kart na stół, lecz robi tak zapewne w przekonaniu, że śledztwo przebiega sprawniej, kiedy każdy wie tylko tyle, ile musi.

- Ale ja muszę wiedzieć! - odparła Lidia tak gwałtownie, że ludzie przy sąsiednim stoliku obejrzel się z zaciekawieniem.

- Niekoniecznie jednak o całej operacji. - Pochyliłem się bardziej, żeby mogła mnie słyszeć, nawet kiedy będę mówił ściszym głosem. - Kline nie zna cię zbyt dobrze, Lidio. Nie wie, co mogłabyś zrobić z informacją,

której by ci udzielił. Nie ma pewności, czy nie przyjdzie ci do głowy wystąpić z tym w jakimś programie telewizyjnym. Wiem, że nie zrobiłabyś czegoś podobnego - dodałem, widząc wyraz jej twarzy.

- Wiesz?

- Tak, sądzę, że tak. Myślę... wiem, że masz na to zbyt wiele zdrowego rozsądku, i jestem przekonany, że Kline też cię szanuje, lecz przy tak rozgałęzionym śledztwie, gdzie w grę wchodzi pięć różnych rodzin, musi naprawdę trzymać wszystko w garści. - Urwałem. - Zdaje się, że brzmi to jak kampania reklamowa na rzecz FBI - dodałem z ironicznym uśmiechem.

- Coś w tym rodzaju - potwierdziła.

- Chciałem tylko podnieść cię trochę na duchu.

- W porządku - odrzekła. - Jestem podniesiona na duchu.

- I nadal masz zamiar porozmawiać z ludźmi z Eryxu?

- Zgadza się.

ROZDZIAŁ 27

To, do czego Robbie był podłączony za pośrednictwem hełmu i rękawic, miało tylko jeden plus. Odrywało go od myśli, że jest uwięziony w ciasnej, przypominającej celę klitce, którą może oglądać nie dłużej niż przez godzinę za jednym razem.

W świetle jednej, słabej, okratowanej żarówki widział materac na betonowej podłodze, drzwi bez klamki, i jakieś dziwaczne, elektroniczne urządzenie, od którego starał się trzymać jak najdalej. Za przepierzeniem znajdowały się ubikacja i umywalka, z papierem, mydłem i jednym, niemal zupełnie tępym plastikowym nożykiem do golenia. Gdyby nie fakt, że ciemność była znacznie gorsza, ta mikroskopijna klitka doprowadziłaby go do obłądu.

Od biedy znośna była cudaczna swojskość tego, z czym nawiązywał kontakt. Nie od razu to sobie uświadomił. Lecz mniej więcej wtedy, kiedy przestał płakać jak małe dziecko, zerknął w prawo i ujrzał tablicę z nazwą stacji metra przy ulicy Trzydziestej Czwartej. Wyglądała tak samo, jak w rzeczywistości, tylko że wisiała przekrzywiona, na dworcu nie dostrzegł ludzi ani normalnego oświetlenia, a w peronie ziały wyrwy, wokół których piętrzyły się płyty, niczym postrzępiony łańcuch górski. Nagle usłyszał dźwięk, który nie był hukiem pociągu, wyjeżdżającego z tunelu, lecz czymś przerażająco podobnym do ujadania dzikich psów.

Wtedy się upewnił, że to, co brał początkowo za senny koszmar, to rzeczywistość. Ze jakimś niepojętym sposobem wylądował w samym środku czegoś, co wyglądało jak Limbo, powiększone do naturalnych rozmiarów.

Spojrzał na siebie i po raz pierwszy zobaczył, że nie ma już na sobie dżinsów i nowej koszuli, którą kupiła mama w dniu urodzin Candice. Był ubrany w strój ze skóry, stopy miał bose, a u pasa zwisało mu coś, co przypominało wielki, myśliwski nóż.

Dokładnie taki, jak nóż Steela - z ohydny, zębatym ostrzem.
Jego narzędzie mordy.

O mało nie zemdlął na ten widok.

W tym momencie głos - tamten facet - przemówił do niego po raz drugi.

- Od tej chwili - oznajmił - jesteś Steelem. I tak długo, jak długo będziesz miał na sobie hełm i rękawice, pozostaniesz, jak to już z pewnością zdążyłeś zrozumieć, wewnątrz Limbo. I choć może ci się to wydawać bardzo niedogodne, jedyna możliwość, jaka ci pozostaje, to cisza i ciemność, co stanowczo doradzam zachować wyłącznie na sen.

Robbie wybuchnął śmiechem, piskliwym, nerwowym, histerycznym śmiechem. Nadal śnił, jak to sobie powtarzał. Cholernie długi senny koszmar.

Albo powiedział to na głos, albo „mistrz ceremonii” potrafił czytać w myślach, co by go znów tak bardzo nie zdziwiło, bo głos poinformował go, że jest w błędzie.

- To nie koszmarny sen, Steel, już ci mówiłem.

- Musi tak być. - Robbie nie dawał za wygraną.

- Nie, to nie sen. To się dzieje naprawdę. I co więcej, Steel, to jest zaszczyt.

Tak powiedział ten cholerny, pieprzony świr od sennych koszmarów. Zaszczyt.

ROZDZIAŁ 28

Lidia zadzwoniła do mnie rano, nazajutrz po naszym lunchu we dwoje.

- Pojutrze wybieram się do tej firmy software'owej - oznajmiła bez wstępów - i zastanawiałam się, czy nie miałbyś ochoty mi towarzyszyć.

Siedziałem na kanapie przed telewizorem, układając miesięczne rachunki do zapłaceniu. Na ekranie rozgrywały się przedpotopowe przygody szkockiego owczarka Lassie. Cóż, wychowałem się na tym poczciwym psisku i - tak - oczy nadal mi wilgotnieją, kiedy nie może znaleźć drogi do domu. Ale czy nie po to właśnie jest kablówka? Żeby znieczulić mózg przy takich zajęciach jak porządkowanie miesięcznych rachunków? Propozycja Lidii wyrwała mnie z otępienia.

- Dotarło do mnie to, co wczoraj mówiłeś - ciągnęła, niemal pośpieszenie - i wiem, że mój plan prawie na pewno jest bez sensu, lecz po prostu nie mogę znieść tego beczynnego oczekiwania.

Znalazłem pilota i wyłączyłem telewizor.

- Stu i Fran też mówią, że czekanie jest dla nich w tym wszystkim najtrudniejsze.

Niezupełnie to, myśleliśmy przypuszczalnie oboje.

- Może chcieliby pojechać z nami - zaproponowała Lidia bez przekonania.

Pomysł nie wydawał mi się najlepszy.

- Jeżeli chcemy spokojnie porozmawiać z tamtymi ludźmi - zacząłem, uświadamiając sobie w tym momencie, że powiedziałem „my” - i dowiedzieć się czegoś o psychologicznych aspektach gry czy o czymkolwiek, o co miałabyś zamiar ich wypytać, to wydaje mi się, że im mniej osób, tym lepiej. Ustaliłaś, jaką linię chcesz przyjąć w rozmowie? - zapytałem po chwili milczenia.

- Właściwie nie - przyznała. - Rozmawiałam z agentem Kline'em.

- I zaaprobował twój plan? - Byłem zaskoczony.

- Raczej nie. Prawdę mówiąc, okazał zdecydowany brak entuzjazmu, choć nie zabronił mi jechać. - Lidia spiesznie ciągnęła dalej, nim zdążyłam wtrącić choć słowo. - Wtedy zadzwoniłam do Eryxu i poprosiłam, żeby połączyli mnie z prezesem firmy, który, notabene, nazywa się Scott Korda.

- I?

- Był na zebraniu, ale - w tym „ale” dało się słyszeć lekką nutę triumfu - oddzwonił niemal natychmiast. Wiedział, kim jestem, zapewnił, że jest głęboko przejęty sprawą Robbiego. A co najważniejsze, oświadczył, że bardzo chętnie pomoże, w czym tylko będzie mógł.

- To dobrze. - Wierzyłem, że to naprawdę dobrze, pomimo wszelkich moich osobistych zastrzeżeń.

- A więc, Jake, czy miałbyś ochotę tam się wybrać? - Zabrzmiało to jak wyzwanie. - Tak się składa, że ich siedziba znajduje się w Connecticut.

- Wiem - odpowiedziałem. - Wczoraj wieczorem zajrzałem na ich stronę internetową.

- Naprawdę? - Lidia wyraźnie się ucieszyła. - Czy mam przez to rozumieć, że ze mną pojedziesz? Byłabym ci ogromnie wdzięczna za wsparcie moralne i oczywiście za to, że pomożesz mi swoim doświadczeniem. - Urwała. - I, naprawdę, miło by mi było mieć towarzystwo.

ROZDZIAŁ 29

Robbie ustalił kilka rzeczy. Po pierwsze, hełm i pozostałe akcesoria były częściami czegoś w rodzaju symulatora rzeczywistości wirtualnej. Poznał trochę ten temat w ciągu ostatnich lat, obejrzał parę filmów, od „Matrixa” poczynając, i wiedział, że wojsko używa bardzo skomplikowanych urządzeń tego typu do szkolenia żołnierzy i pilotów.

Po drugie, szajbus, który go więził, posługiwał się tym wszystkim, aby stworzyć wrażenie, że Robbie uczestniczy w grze Limbo jakiejś superrodzimotowej generacji.

„Zaszczyt” - tak to określił.

I nazwał go Steelem.

Tak naprawdę jeszcze nie uczestniczył w grze, facet tylko mu ją „puszczał” jak coś, co znajduje się niemal na wyciągnięcie ręki, lecz niezupełnie. I chwała Bogu. Robbie znał aż za dobrze okropności, którym musiał stawić czoło wirtualny Steel, i nigdy nie doświadczył pokusy, aby zostać wessanym do komputera niczym postać z powieści Stephena Kinga i zmierzyć się z tymi koszmarami naprawdę.

Miał jednak fatalne, okropne przecucie, że teraz była to tylko kwestia czasu.

Obowiązywały tu pewne prawidłowości. Ilekroć jego niewidzialny strażnik wyłączał aparaturę i wolno mu było zdjąć ten cholerny hełm, normalne światło paliło się przez jakiś czas, żeby mógł zjeść, załatwić się, umyć twarz, przepłukać usta, a nawet jako tako się ogolić prawie zupełnie stępionym plastikowym nożykiem jednorazowego użytku. Całe szczęście, że nie miał zbyt mocnego zarostu. Nie udało mu się dojść, w jaki sposób pojawia się jedzenie. Były to głównie kanapki i jak się Robbie domyślał, facet przynosił je wtedy, kiedy on albo spał, albo był uwięziony w wirtualnym świecie, nie widząc ani nie słysząc, co się wokół dzieje.

Ciarki go przechodziły na myśl, że ten śmieć zakrada się i wymyka chyłkiem, lecz z drugiej strony, niemal wszystko tutaj przyprawiało go o gęsią skórę. Pociuszający wydawał się fakt, że dawano mu jeść, a więc chciano go utrzymać przy życiu, co oznaczało nadzieję, czyż nie? I kanapki okazały się nie takie złe. Z początku był zbyt przygnębiony i zdecydowanie za bardzo podejrzliwy, żeby wziąć cokolwiek do ust, z czasem jednak głód okazał się silniejszy i wkrótce kartoniki z jedzeniem i picciem zaczęły wyznaczać rytm jego dnia, jako główna atrakcja. Dnia czy nocy? Nie sposób było to stwierdzić.

Ilekróć światło gasło, uciekał na jakiś czas w sen, a potem budził się wciąż w tym samym koszmarze, wpadał w panikę, mówił sobie, że dłużej nie wytrzyma, wreszcie opanowywał się i zmuszał, żeby wykorzystać ciemność na myślenie. Uznał za sprawę zasadniczej wagi, by nie ustawać w wysiłkach i starać się rozpracować to szaleństwo, a także walczyć z pokusą całkowitej bierności - przynajmniej w myślach - żeby kiedy pojawi się szansa wydostania się z tej przeklętej dziury, być gotowym.

Mama wydostanie mnie stąd wcześniej. Tej nadziei uchwycił się nade wszystko.

Mama ustawi policję, przypilnuje ich. Może ten porywacz to nie zwykły świr, może zażądał okupu albo postawił inne żądania, szalone i niemożliwe do spełnienia, jak uwolnienie wszystkich mieszkańców Riker's Island* czy coś w tym rodzaju. Jeśli to tylko forsa, to dobra nasza, nie są specjalnie dziani, ale matka znajdzie sposób, żeby wystraszyć sumę, której zażąda porywacz, nawet jeśli gliniarze są temu przeciwni, bo nigdy, przenigdy nie dopuści, żeby stało mu się coś złego, jeśli tylko zdoła temu zapobiec.

* Wyspa w pobliżu Nowego Jorku, na której znajduje się więzienie.

W różne rzeczy mógł zwątpić w tych ciemnościach, ale nie w to.

Im szybciej, tym lepiej.

Mamo, proszę cię.

Myślał też dużo o dziewczynie, tej, którą głos nazywał Dakotą, chociaż, rzecz jasna, była po prostu dziewczyną, ładną, ale zagubioną i przerażoną niczym zwierzątko w potrzasku. Przypuszczał, że siedziała tu znacznie dłużej niż on, chociaż nie chciał wiedzieć, jak długo. Nie widział jej od tamtego pierwszego spotkania. Pytał o nią, lecz zazwyczaj, kiedy o coś pytał, nie otrzymywał odpowiedzi.

Przyszło mu do głowy, że ten facet może tu w ogóle nie mieszkać, że wpada tylko na krótko, aby zobaczyć, co z nim i z dziewczyną, a także przynieść im jedzenie oraz upewnić się, że żyją, jak również zamieszać im trochę w głowach.

A co, jeśli przestanie przychodzić?

Była to jedna z tych myśli, które stawały się nie do zniesienia na dłuższą metę. Chwytał więc hełm i rękawice, aby odbyć kolejne nieinteraktywne spotkanie z podziemnym światem Limbo - wszystko, byle tylko odwrócić uwagę od owego dławiącego strachu.

Tylko do jednej myśli wciąż powracał, powtarzając ją jak modlitwę, jak mantrę.

Proszę cię, mamó, znajdź mnie szybko.

ROZDZIAŁ 30

Oczywiście pojechałem z Lidią. Po pierwsze, chciałem pomóc, w czym mogłem, nie tylko jej i Robbiemu, lecz również Mikeyowi, Cooperom i pozostałym rodzinom zaginionych dzieci. Po drugie, byłem tak ogromnie uradowany, że zależy jej na moim towarzystwie, że samego mnie to zaskoczyło.

Nikt od czasów Simone nie wzbudzał we mnie takich emocji.

Musiałem sobie wciąż powtarzać, że na wszystko jest właściwy czas i miejsce, a tu ani jedno, ani drugie. Potem rozeźliłem się na siebie, bojąc się, czy w jakiś sposób nie wykorzystuję Lidii w chwili, gdy jest tak bardzo podatna na zranienie.

Nie uważam się jednak za człowieka tego pokroju.

Naprawdę sędzę, że to nie w moim stylu.

Miałem jeszcze jeden powód, aby jej towarzyszyć. Nadal nie byłem przekonany, czy wizyta w Eryksie to dobry pomysł. Mimo całej inteligencji Lidii jej emocje osiągnęły już taką temperaturę, że wszystkie dyplomatyczne zamysły mogły spalić na panewce. Kline i jego ludzie mieli rację, starając się trzymać rodziców na dystans, dla dobra ich dzieci.

Lidia Johanssen była inteligentną kobietą.

Na firmowej stronie internetowej ludzie z Eryxu przedstawiali się jako „ojcowie Limbo”, deklarując, że ze wszystkich sił pragną zapewnić swoim klientom rozrywkę na najwyższym poziomie, możliwym do uzyskania na dzisiejszym, nasyconym gramami komputerowymi rynku. Założyciele spółki, Scott Korda i Hal Hawthorne, powołali ją do istnienia przed dziesięciu laty, tworząc dla chleba gry-łamigłówki, lecz mieli większe aspiracje. Na początku Korda i Hawthorne, obaj graficy i maniacy komputerowi, sami pisali większość oprogramowania i projektowali gry, potem jednak dołączył do nich William Fitzgerald, również grafik i, zdaniem współników, genialny programista. Wszyscy trzej byli nałogowymi graczami, a - według Kordy - Fitzgerald pozwolił im mierzyć wyżej, niż któremuś

kiedykolwiek się śniło. Wypuścili na rynek kilka gier przygodowych, zanim, dzięki Limbo, trafili na czołówki list bestsellerów. W tym czasie działał już dostatecznie rozbudowany zespół projektantów, programistów i grafików, aby Korda, Hawthorne i Fitzgerald mogli spocząć na laurach i grać, ile dusza zapagnie, gdyby mieli ochotę; mimo to wszyscy trzej postanowili nadal współtworzyć centrum koncepcyjne firmy.

Wydrukowałem egzemplarz tego peanu i wręczyłem Lidii na dworcu w New Haven, żeby mogła sobie przeczytać, kiedy ja będę siedział za kierownicą mojego starego cherokee.

- Eryx Software to zaledwie jedna gałąź większej korporacji - wyjaśniłem, zmierzając w stronę autostrady do Old Saybrook. - Producentem gier, w tym Limbo, jest firma Zeus Interactive, kierowana przez tych samych facetów, z siedzibą w Hartford.

Zerknąłem spod oka na Lidię. Wyglądała dobrze, chociaż znów nieco inaczej, bardziej oficjalnie, w granatowym kostiumie i śnieżnobiałej bluzce, a zwłaszcza z upiętymi włosami.

- Kiedy się nad tym zastanowić - ciągnąłem - jestem naprawdę mile zaskoczony, że Korda się fatygował, żeby osobiście do ciebie zadzwonić, i że się zgodził na to spotkanie.

- Nie wiem - odrzekła Lidia. - Jeśli wziąć pod uwagę to, co się stało, chyba nie miał wyjścia.

- Ktoś musiał telefonować i ktoś musiał się z tobą spotkać, ale Korda mógł to spokojnie scedować na swojego szefa public relations czy nawet na radcę prawnego.

- Jesteś bardziej cyniczny niż ja - zauważyła.

- Chyba tak - potwierdziłem. - Czasami.

Czytała przez jakiś czas. W pewnym momencie prychnęła z pogardą, jak mi się wydawało.

- Co takiego? - zapytałem.

- To całe gadanie, że kandydat na pracownika nie ma prawa przekroczyć progu firmy, jeśli nie jest takim samym niewolnikiem gier komputerowych jak jej właściciele. Brzmi to, jakby byli niewinnymi dziećmi, a nie multimilionerami, którymi muszą być.

Uśmiechnąłem się lekko.

- Młodzi, których zatrudniają, są pewnie naprawdę niewinni.

- I trzymają ich w jakiejś ciemnej dziurze niczym twórcze grzyby - odpowiedziała Lidia.

Jeśli chodzi o cynizm, wyglądało na to, że jesteśmy warci siebie nawzajem.

W siedzibie firmy nie dostrzeżliśmy jednak żadnych ciemnych dziur. Biura były naprawdę urocze, mieściły się w pięknie utrzymanym, dziewiętnastowiecznym budynku z drewnianą fasadą, w otoczeniu ogrodów i lasów.

Szef we własnej osobie czekał na nas w holu, kiedy przyjechaliśmy.

- Pani Johanssen, jestem Scott Korda. - Twardy akcent z Massachusetts, krępa budowa, gładka skóra, włosy równie złote jak oprawki okularów, piaskowy płócienny garnitur i lekka biała koszula bez kołnierzyka, tworzyły całość elegancką i oficjalną dokładnie w stopniu odpowiednim do sytuacji. - Niewymownie mi przykro z powodu pani syna.

Wzdrygnąłem się, gdyż zabrzmiało to tak, jakby Robbie już nie żył.

- Ale zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby wrócił do domu cały i zdrowy. - Krzepiące słowa natychmiast zneutralizowały niekorzystne wrażenie.

- Dziękuję, że zechciał się pan z nami zobaczyć. - Lidia odwróciła się, żeby mnie przedstawić. - Mój przyjaciel, profesor Woods.

- Jake. - Uścisnąłem dłoń Kordy. - Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe mojego przyjazdu.

- Wręcz przeciwnie. - Uśmiechnął się do mnie. - Cieszę się, że pani Johanssen nie musiała odbywać tej drogi sama.

- My również.

Odwróciliśmy się; dwaj mężczyźni wchodzili właśnie przez drzwi barwy złamanej bieli, z kolorowymi, witrażowymi szybkami. Jeden wysoki, chudy niczym chart, z bladą cerą, rudymi włosami i ostrym jak brzytwa nosem, a drugi, na oko gdzieś tak metr osiemdziesiąt wzrostu, też szczupły, o miłej, ujmującej powierzchowności i ciemnych włosach, rzadziejących nad wysokim czołem bez jednej zmarszczki. Obaj mieli na sobie garnitury, rudzielec nieco wymięty, ten drugi zaś nienagannie odprasowany, z pięknym, jedwabnym krawatem chabrowego koloru.

- Moi współnicy - oznajmił Korda, po czym dokonał prezentacji.

Ten o charciej sylwetce okazał się Fitzgeraldem, ten z wysokim czołem - Hawthorne'em. Mogli różnić się kolorytem, ale zauważyłem, że wszyscy trzej mężczyźni - jak przypuszczałem, mniej więcej w moim wieku, może trochę młodszy - robili wrażenie krzepkich i dziarskich, a ich błękitne oczy były zaskakująco przejrzyste. Jeżeli spodziewaliśmy się z Lidią ujrzeć zmalretowanych i przygarbionych niewolników komputera, byliśmy w błędzie. Korda i jego współnicy dosłownie tryskali energią - nader wymowna ilustracja hasła: „Limbo to zdrowie!”, stanowiącego przeciwieństwo ostrzegawczych komunikatów resortu zdrowia.

Uściliśmy sobie kolejno dłonie, Hawthorne i Fitzgerald powtórzyli za Kordą wyrazy współczucia, po czym udaliśmy się do gabinetu prezesa. Ujrzelśmy tu jeszcze więcej witrażowych szyb w oknach i drzwiach, które wychodziły na cichy ogród. Nie znam się na gatunkach kwiatów i innych roślin, lecz wiem o nich dosyć, aby docenić precyzyjne połączenie roślin ogrodowych i polnych. Ukoronowaniem cieszącego oko pomieszczenia był czarny pies myśliwski, leżący pod otwartymi drzwiami i żujący jakąś sztuczną kość. Postukiwał ogonem o ziemię.

- Ładny pies - zauważyłem.

- To Donald - wyjaśnił Korda. - Mój synek jest tradycjonalistą, przepada za Kaczorem Donaldem. - Uśmiechnął się szeroko. - Uwielbia Disneya i nie ma inklinacji do niczego, co trąci komputerem - nawet do gier.

- Co pokazuje nam, gdzie nasze miejsce - wtrącił Hawthorne.

Odniosłem wrażenie, że na wzmiankę o synu spojrzenie Kordy rozjaśnił naprawdę szczery uśmiech. Poczucie humoru Hawthorne'a, chociaż nieco sarkastyczne i zaprawione autoironią, też wydawało się nieszkodliwe.

Lidia, która powiedziała zaledwie kilka słów od chwili, gdy znaleźliśmy się w gabinecie prezesa, poruszyła się w swoim fotelu, stojącym obok sofy, na której siedział Korda. Wyglądała na zdenerwowaną. Ja czułem się podobnie.

- Jake - zwrócił się do mnie Korda. - Domyślam się, z tego, co mówił FBI, że to ty pierwszy dostrzegłeś związek między sprawą Robbiego i Michaela Coopera.

Do tego momentu żaden z nich nie dał po sobie poznać, że o mnie słyszeli.

- Ściśle rzecz biorąc, moja gospodyni to zauważyła - odpowiedziałem.

- Zresztą skoro informacja ukazała się w „New York Timesie”, tak czy inaczej była to tylko kwestia czasu.

Nie wdawałem się w wyjaśnienia, że Norman Baum też zauważył tę notatkę. Uznałem, że wzmianka o prywatnym detektywie tylko by zagęściła atmosferę.

- Nie ulega kwestii, że to, co się stało, wywróciło nasz świat do góry nogami - odezwał się Fitzgerald dość posępnym tonem. - Limbo, tak jak i pozostałe gry, stworzyliśmy, aby służyły zabawie, przyjemności i, w ograniczonym zakresie, rozwijaniu u dzieci i młodzieży określonych sprawności.

- Tak przynajmniej lubimy sobie wyobrażać - dodał Hawthorne, znów ze swoim sympatycznym sarkazmem.

- W każdym razie jesteśmy zgodni - wtrącił szybko Korda - że mamy wobec Jake'a ogromny dług wdzięczności. Za to, że choć trochę przyśpieszył sprawę, dzięki czemu możemy wspólnie pracować nad ujęciem osobnika, który stoi za tym strasznym czynem.

- A więc jak moglibyśmy pani pomóc, pani Johanssen? - zapytał Fitzgerald.

Nareszcie. Spojrzałem na Lidię, zobaczyłem, że szybko nabiera tchu, już opanowana.

- Po pierwsze - powiedziała - chcielibyśmy się więcej dowiedzieć na temat Limbo. Ta gra najwyraźniej coś znaczy dla osoby, która porwała mojego syna i pozostałych zaginionych, więc interesowałoby mnie, jakiego pokroju ludzie ją lubią.

- Logiczne - uznał Korda.

- Sądzi pani, że to jakiś gracz uprowadził dzieci? - zapytał Hawthorne.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, kto to może być - odrzekła.

- Niemniej nasza gra dostąpiła wątpliwego zaszczytu bycia wspólnym ogniwem - dokończył Korda nieco energiczniej, podchwytując jej ton. - A więc spróbujmy na początek dać pani to, czego pani oczekuje, pani Johanssen. - Spojrzał na Fitzgeralda. - Jak sadzisz, Bill, od czego powinniśmy zacząć?

- Od przedstawienia zespołu? - Chudzielec spojrzął na Lidię. - Ludzi, którzy tworzą gry.

- Myślałem, że to wy trzej stworzyliście Limbo.

- Pierwszą wersję - potwierdził Korda. - Prototyp, można by rzec.

- Ale jest szersze grono osób, które powinniście poznać - włączył się Hawthorne. - Bez nich gra nigdy nie stałaby się tym, czym jest.

Brzmiało to dla mnie jak ceremonia wręczenia nagród.

- Dobrze - powiedziała Lidia, wstając.

Podniosłem się również, a pozostali poszli za naszym przykładem. Za drzwiami, w ogrodzie, czarny Donald o lśniącej sierści podniósł łeb, kiwnął ogonem na pożegnanie i wrócił do swojej kości.

Pozostali członkowie zespołu, grupka dość nieliczna, wydawali się równie szczęśliwi jak pies. Pomimo ogromnego sukcesu rynkowego Eryxu Korda i jego wspólnicy dbali, jak nas zapewniono, aby w centrum koncepcyjnym firmy nadal panowały ład, skupienie i maksymalne zaangażowanie.

Nie dziwiłem się, że pracujący tu młodzi ludzie są szczęśliwi. Ich miejsce budziło zachwyty. Nie było tu żadnych przepierzeń, automatów z napojami i

przekąskami czy też jarzeniówką. W zasięgu wzroku nie znalazło się nic tak paskudnego i praktycznego jak powierzchnie pokryte kafelkami. Oko cieszyły drewniane podłogi, kominki, na których palił się prawdziwy ogień, krzesła, pewnie ergonomicznie zaprojektowane, ale wyglądające na wygodne, ceramiczne dzbanki i kubki do kawy, a tutejsza kuchnia mogłaby znaleźć uznanie nawet w oczach Simone, no i wszędzie te wspa- niałe witraże.

Gdybym nie wiedział, że ci ludzie pracują przy grach komputerowych, to niemal bym im zazdrościł. Wiercie mi, miejsce pracy profesora nie pierwszoliigowej uczelni nie jest aż tak przyjazne i malownicze.

Oj, Jake, Jake.

- Poznajcie państwo naszą załogę - powiedział Korda. No i zaczęło się.

Poznaliśmy główną programistkę Ellen Zito, młodą kobietę około trzydziestki, która trafiła tu z Brooklynu z przesiadką w MIT*. * Massachusetts Institute of Technology. Miała poważną, bladą twarz, jasne włosy ostrzyżone niemal najeża, nosiła workowate spodnie, koszulkę firmową Eryxu i sznurowane buty z cholewami. Kończyła właśnie jakieś japońskie danie na wynos w ramach drugiego śniadania, czytając przy tym magazyn „Wi- red”. Wyglądała na straszliwie niedospaną. Bill Fitzgerald potwierdził, że ma chyba największego bzika z całej ekipy, ale jest też zapewne bardziej utalentowana niż wszyscy trzej współwłaściciele razem wzięci.

Przedstawiono nam też Meg Binder - jedyną poza Ellen kobietę w ze- spole - Teksankę o świeżej buzi i z kolczykiem w nosie, na widok czego ciarki przeszły mi po plecach, bo pomyślałem ze zgrozą, że za jakiś czas moje dziewczynki mogą zechcieć zrobić to samo albo i coś gorszego. Meg została nam przedstawiona jako projektantka poziomów.

- Coś jak scenograf? - zapytałem, myśląc o teatrze lub filmie.

- W pewnym sensie - potwierdziła - chociaż poziomy to także kolejne etapy, przez które gracz musi przejść, żeby osiągnąć ostateczny cel.

- Na przykład w Limbo - wtrącił Lars Hendrick, chłopak o policzkach rumianych jak jabłka i włosach związanych w koński ogon - pierwszy poziom to stacja metra na Manhattanie, gdzie Dakota i Steel, dwoje na- stolatków ocalałych po katastrofie nuklearnej, budzi się i po raz pierwszy spotyka wilka Ghoulo.

W tym momencie zauważyłem, że krawat młodego człowieka jest usiany małymi, włochatymi potworkami, podobnie jak rulon materiału, służący Meg za pasek, podtrzymujący spodnie o wojskowym kroju. Uroczę, pomyślałem, o ile jest się typem, dla którego zmutowane wilki ludojady mogą w ogóle być uroczę.

Stanowili sympatyczną paczkę. Był tam też Anton Gluckman, poważny młody człowiek, odpowiedzialny za efekty dźwiękowe, i jeszcze jeden skrajnie wychudzony projektant poziomów, Jazz Brown, oraz Dave Kamiński, osobnik o zaspanych oczach, którego rola w firmie wydawała się niezbyt jasno określona, ale jak to później zgodnie ustaliliśmy z Lidią, nie ulegało wątpliwości, że ma fioła na punkcie Meg.

Domyślałem się, że gdzieś na terenie tej posiadłości albo może w biurach w Hartford musieli być księgowi, kuci na cztery nogi prawnicy, specjaliści od PR i od promocji - wszyscy owi ludzie, niezbędni do tego, aby chłodne, finansowe serce firmy było zdrowo i bez zakłóceń. Lecz jeśli znajdowali się tutaj, wśród sielskich plenerów Connecticut, Lidia i ja ich nie poznaliśmy. Czarowano nas, z czego, jestem przekonany, oboje zdawaliśmy sobie sprawę, uwodzono, pokazując urok tej gromady młodych zapaleńców i tego miejsca, z jego swobodną krzątaniną i atmosferą luzu, jak zresztą przypuszczam, najzupełniej autentycznego.

Słuchaliśmy i próbowaliśmy przyswoić sobie to, co Ellen Zito mówiła o rozbudowanym zespole, niezbędnym do stworzenia choćby średnio ambitnej gry komputerowej. Dziś potrzeba do tego nie tylko plastików i programistów, lecz również muzyków, specjalistów od animacji, aktorów do wygłaszania dialogów, a czasem również do odgrywania ról. Patrzyliśmy i usiłowaliśmy się skoncentrować, kiedy Meg i Lars demonstrowali nam grę. Zerkając od czasu do czasu na Lidię przekonałem się, że ona również, mimo swojej naturalnej awersji, była pod wrażeniem radosnego entuzjazmu, z jakim stawiali czoło kolejnym przeszkodom i okropnościom.

Wyszliśmy po z górą trzech godzinach, wykończeni, i ruszyliśmy w drogę powrotną w niemal zupełnym milczeniu. Okolica, przez którą jechaliśmy, zawsze wydawała mi się mniej atrakcyjna niż reszta stanu. Na wschodnim brzegu rzeki Connecticut przemysł wyparł rolnictwo, ale dzisiaj, po wysmakowanych uroczach otoczenia firmy Eryx, moje oczy z ulgą powitały szarzyznę.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem po dłuższej chwili.
- Uhum.

- No i co o tym sądzisz? - rzuciłem, przekazując inicjatywę Lidii. W końcu był to jej dzień.

- Nie mogli być bardziej uczynni.

- To prawda - potwierdziłem i czekałem na dalszy ciąg.

- Byli tak uczynni, że miałam ochotę wybiec z krzykiem z tego budynku. - Odetchnęła gwałtownie. - Mój Boże, co za gmach!

- Nie podobał ci się?

- Czy mi się podobał? Jest tak bezbłędny, że po prostu nie do zniesienia. - Zamilkła na chwilę. - Wiesz, co mi się przypomniało? Ta niesamowita historia Iry Levina o facecie, który przemieniał żony w idealne roboty.

- „Żony ze Stepford”* - Uśmiechnąłem się znad kierownicy.

* Tyt. oryg. „Stepford Wives”, polski przekład Anny G. Celińskiej, wyd. Phantom Press International, Gdańsk 1992.

- Do tych smarkaczy nic nie mam - zastrzegła się Lidia. - Byli fantastyczni, nieprawdaż?

- Uhum.

- Nie wiem nawet, czy tu chodzi o Korde lub któregoś ze współników.

- Zastanawiała się przez chwilę. - Trudno mi sprecyzować, w czym rzecz.

- Może po prostu o jeden pozytywny akcent za dużo?

- Ten wszechobecny optymizm - przyznała.

- Wesoła gromadka - potwierdziłem.

Lidia się roześmiała, co rozładowało napięcie.

- Niezła z nas para starych cyników, gdyby nas tak ktoś posłuchał!

- Nie takich znów starych.

- W porównaniu z nimi?

Wzruszyłem ramionami.

- W porównaniu z nimi rzeczywiście jesteście dziadkami na wózkach inwalidzkich.

Przejechaliśmy na drugą stronę rzeki na wysokości East Haddam, w pobliżu gmachu Goodspeed Opera, co skierowało rozmowę na musicale, śpiew i na to, jak podopieczni Lidii radzą sobie bez niej. Zapytałem, czy nie zrobiłoby dobrze i im, i jej, gdyby uczyła choć kilka godzin tygodniowo, ale powiedziała, że zupełnie sobie tego nie wyobraża, więc nie naciskałem. Rzecz nie należała do mnie, poza tym rozumiałem, że w tej chwili cała energia potrzebna jest jej do walki o odzyskanie syna, choćby wszystko, co

mogła zrobić, sprowadzało się do naciskania na FBI, żeby poruszyło niebo i ziemię.

- Jesteś głodna? - zapytałem, kiedy znaleźliśmy się z powrotem na trasie R9. W Eryksie proponowano nam lunch i przekąski, ale poprosiliśmy tylko o kawę i oto, nie wiedzieć kiedy, zrobił się prawie wieczór i poczułem głód.

Lidia skinęła głową.

- Teraz bym chyba coś zjadła.

- Wydajesz się zaskoczona.

- Właściwie nie. Wygląda na to, że jestem głodna, naprawdę głodna, bo po raz pierwszy coś zrobiłam, próbowałam coś zrobić, a przynajmniej czegoś się dowiedzieć.

Minęliśmy zjazd do Chester, więc pojechaliśmy dalej na Old Saybrook i zatrzymaliśmy się przy restauracji Dock and Dine* na Saybrook Point. Uznałem, że widok na rzekę mógł być tym, czego potrzebowaliśmy. Lidia zamówiła kurczaka, ja miałem ochotę na stek, po czym siedzieliśmy przez jakiś czas nad swoimi kieliszkami wina, każde pogrążone we własnych myślach.

* Sieć restauracji i moteli zlokalizowanych w pobliżu przystani, gdzie można przybić jachtem, motorówką itp.

- Byłam niesprawiedliwa. - Lidia pierwsza przerwała milczenie. - Mam na myśli firmę Eryx.

- Uczciwie rzecz biorąc - ciągnęła w zamyśleniu - niemal rozumiem, dlaczego są tym tak zafascynowani. Przyjmując ich punkt widzenia.

Przez chwilę oboje jedliśmy w milczeniu.

- Gra jest naprawdę brutalna - zauważyłem.

- I oni nazywają to rozrywką. - Wzdrygnęła się i odłożyła widelec.

- Przepraszam cię, jedz dalej. - Tak miło było zobaczyć, że odprężyła się choć na chwilę. - Najpierw skończymy, potem porozmawiamy.

- Możemy już rozmawiać - zaproponowała. - Nie sądzę, żebym coś jeszcze mogła zjeść.

Ogarnęła mnie potężna fala współczucia. Lidia była tak niebywale dzielna niemal przez cały czas, że miało się ochotę zapomnieć o jej cierpieniu. Nie naprawdę zapomnieć, choćby na sekundę, ale odsunąć je od siebie przynajmniej na chwilę.

- Wolałabym, żeby Meg i Lars nie spisali się tak dobrze przy demonstracji gry. - Lidia pokręciła głową. - Co nie znaczy, że zbyt wiele z tego

pojęłam. - Zawahała się. - Brutalna, to chyba właściwe słowo, prawda? Wszystkie te horrory...

Przypomniałem sobie stację metra z poskręcanyimi przewodami, zde-molowanymi peronami, mroczne tunele, kanały oraz wilkołaka-ludojada i też odłożyłem sztućce.

- Wystarczająco, żeby przyprawić człowieka o koszmarne sny.

Lidia skinęła głową potakująco. Nagle zdałem sobie sprawę, że w myś-lach z czymś się zmagam.

- Co cię gnębi? Chodzi o grę czy o firmę?

- Właściwie ani o jedno, ani o drugie.

Czekałem na dalszy ciąg.

- Wydaje mi się, że jestem raczej dość trzeźwa i rozsądna - zaczęła mówić. - To znaczy, czasem kieruję się intuicją w stosunku do innych osób, ale nigdy, ani przez chwilę nie podejrzewałam się o jakies zdolności parapsychologiczne czy, nie daj Boże, zdolność jasnowidzenia.

- Ale? - Byłem zaintrygowany.

- To się zdarzyło, kiedy siedzieliśmy w biurze Kordy z Hawthorne'em i Fitzgeraldem - wyznała. - W tym tak bezbłędnie uroczym wnętrzu, z ogrodem i Donaldem tuż za drzwiami. Nagle coś poczułam.

Przypomniałem sobie, że poruszyła się niespokojnie kilka razy, co odebrałem jako sygnał, że chciałyby przejść do konkretów.

- Mogłabyś to dokładniej określić?

- Powiedziałam sobie, że to moja wyobraźnia. I kiedy przystąpiliśmy do rzeczy, nakazałam sobie przestać o tym myśleć, lecz teraz...

- Teraz? - Staralem się być delikatny, ciekawość jednak zwyciężyła.

Lidia pokręciła głową. Kilka pasemek, które wysunęły się z jej starannej, wysoko upiętej fryzury, rozświetlonych słońcem chylącym się ku zachodowi, tworzyło delikatne obramowanie wokół zmęczonej twarzy.

- Nie wiem, Jake. To nonsens.

- Zaryzykuj.

- Pamiętasz, jaka tam panowała atmosfera - ciągnęła Lidia. - Jak w ulu. Ci kreatywni młodzi ludzie, tryskający inwencją, ta ciągła burza mó-zgów. Wszystko to było bardzo ciepłe, nie uważasz?

- Zgadza się.

- A mimo to w tamtym momencie, w biurze Kordy, poczułam chłód, którego nie potrafię opisać. - Znów pokręciła głową, szukając odpowied-nich słów. - Nie miało to nic wspólnego z klimatyzacją czy z wiatrem wie-jącym od ogrodu. I mogłabym przysiąc, że nie chodziło również o stan

moich nerwów. Ostatnio jest mi chłodniej niż zazwyczaj, ale to zupełnie inne uczucie.

- A co to było dokładnie? - Byłem zafrapowany. - Postaraj się opisać.

- Wydaje mi się, że coś jeszcze, poza wrażeniem chłodu. Albo coś w ramach tego odczucia, jakiś element, jeśli to ma w ogóle jakiś sens.

- Jesteś racjonalną i bardzo trzeźwą kobietą, Lidio - powiedziałem - co nie znaczy, że nie może cię czasem nawiedzić irracjonalne uczucie. Mnie też się to zdarza, jeśli to ci w czymś pomoże.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Dobra - powiedziała. - Chyba mam odpowiednie określenie.

- A więc?

- Wrogość.

Wpatrywała się we mnie usilnie, kiedy wymawiała to słowo. Zdawałem sobie sprawę, że służę jej za rodzaj płyty rezonansowej, że obserwuje moją reakcję.

- I co, dzwonicz po facetów w białych fartuchach czy mimo wszystko wsadzisz mnie do pociągu? - Znów zdobyła się na uśmiech.

- Potrafisz określić - zapytałem, powoli wymawiając słowa - czy to uczucie odnosiło się do kogoś z członków zarządu firmy, czy było bardziej ogólnej natury?

- Nie mam pojęcia - przyznała się szczerze.

- I zdarzyło się to tylko raz, w tamtym pomieszczeniu?

- Tak - potwierdziła.

Nasze nakrycia zostały uprzątnięte. Oboje zrezygnowaliśmy z deseru, przestając na kawie. Kiedy kelnerka odeszła, podjąłem temat.

- Nie wydaje ci się - zapytałem, starając się nie owijać niczego w bawełnę - że może po prostu chciałaś coś poczuć?

- Myślenie życzeniowe, tak? - Lidia skinęła głową. - Oczywiście, nie można tego wykluczyć, chociaż nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłam. - Zamilkła na chwilę. - Z drugiej strony, przecież mój syn nigdy dotąd nie został wprowadzony.

Nagle zobaczyłem, że wielkie łzy napłynęły jej do oczu. Musiałem się pohamować, żeby nie wstać i jej nie objąć.

- Przepraszam. - Opanowała się szybko.

- Niech ci nawet nie przychodzi do głowy przeproszać - powiedziałem miękko.

Podano kawę, co wybawiło nas oboje. Lidia nie wzięła śmietanki, ja też nie, zrezygnowała również z cukru, ja natomiast wsypałem całą saszetkę, więcej niż zazwyczaj, być może czując, że potrzebny mi zastrzyk energii.

- Wiesz co - odezwałem się wolno, z namysłem - wydaje mi się, że ja również wyszedłem stamtąd z jakimś dziwnym odczuciem, choć nie było to nic równie zdecydowanego, jak u ciebie. Uczciwie rzecz biorąc, powinienem być pod wrażeniem troski i przejęcia, jakie ci ludzie nam okazali.

- Ale nie jesteś. - W oczach Lidii malowało się najżywsze zainteresowanie.

- Otóż nie.

- Może to sprawa tej gry? Może dlatego, że nam obojgu wydaje się odrażająca, a tamci są w niej najwyraźniej zakochani?

- Może - odpowiedziałem - choć nie sędzę, żeby to w pełni wyjaśniało sprawę. - Nieznacznie wzruszyłem ramionami. - Może chodzi o to, że tak bardzo się starali, aby nie padł na nich nawet cień odpowiedzialności za to, co się stało.

- Trudno ich winić.

- Trudno.

Wiedziałem, że żadne z nas nie jest całkowicie przekonane.

ROZDZIAŁ 31

Obserwowanie męczarni Steela bynajmniej nie sprawiało mu przyjemności - nie był, do jasnej cholery, barbarzyńcą, nie robił tego wszystkiego, żeby się znęcać nad bezbronnym młodym chłopakiem. Przeciwnie - jak usiłował mu to uświadomić - czynił im obojgu wielki zaszczyt.

Dakota i Steel to jedni z największych cyberherosów ostatnich kilku lat, dorównujący sławą takim tuzom jak Lara Croft, Leisure Suit Larry czy inne gwiazdy pierwszej wielkości. Steel i Dakota, bohaterowie Limbo. Wszystkie nastolatki marzą o tym, żeby ich zagrać, cała czołówka nastoletnich aktorów trwa pewnie w gotowości, aby bić się o główne role, kiedy owa chwila nadejdzie. I oto on daje dzieciakom, zwykłym dzieciakom, najwspanialszą szansę, o jakiej mogły marzyć - i to w rzeczywistości, nie na ekranie. Co, tak się składa, kosztowało go sumy, nie mieszczące się w ich ciasnych mózgowicach.

Mimo wszystko rozumiał, że młodemu człowiekowi nie będzie łatwo oswoić się ze środowiskiem VR i, oczywiście, z więziennymi warunkami. Dobrze mu robi, kiedy zacznie grać. Dobrze mu również robi, kiedy znów zobaczy Dakotę, co nastąpi we właściwym czasie. Chłopiec pytał o nią kilka razy, a to jego zdaniem było normalną, zdrową reakcją, dobrze rokującą, jeśli chodzi o przyszły udział obojga w prawdziwej grze.

Jego grze.

Nie w tej, od której wszystko się kiedyś zaczęło. Z coraz większym trudem przypominał sobie, jak wyglądała pierwsza wersja, a może po prostu stracił dla niej zainteresowanie jakiś czas temu. Kiedy się zmieniła, uległa mutacji niczym Ghoulu (choć on osobiście nigdy nie gustował w tej odrażającej i dość niewyszukanej kreaturze). Kiedy stała się czymś znacznie bardziej frapującym.

Czymś, czego nikt poza nim nigdy nie zobaczy.

A szkoda, pomyślał.

Inni ludzie by go nie zrozumieli, wiedział o tym, było to dla niego jasne jak słońce.

Wciąż miał niezłe rozeznanie i sporo rzeczy było dla niego oczywiste.

Na przykład nowe zmartwienie z Dakotą, która wydawała się tracić zainteresowanie Steelem, a jej energia słabła wraz z utratą wagi. Ci młodzi ludzie chyba nie rozumieli, że muszą jeść, aby zachować zdrowie i siły. Elementarna logika, do licha ciężkiego. Czy rodzice niczego ich nie nauczyli?

Rodzice. Wiedział wszystko o rodzicach.

Jeżeli Dakota nie weźmie się szybko w garść...

Nie myśl o tym.

Przynajmniej chłopak jadł. Pytania Steela o Dakotę dodawały otuchy, stanowiły potwierdzenie teorii, że początkowa samotność zwiększa u nich potrzebę towarzystwa. To sprawa zasadniczej wagi, aby Steel zaczął tęsknić za Dakotą, podobnie jak istotną rzeczą było, żeby zmierzył się z bezkresnym jak samo życie światem Limbo. Dzieciaki muszą się z nim oswoić. Jeżeli tego nie zrobią, nie będą mogły stanąć na wysokości zadania. Zadania na miarę Steela i Dakoty, na miarę jego oczekiwań i wszystkich jego dotychczasowych wysiłków.

Po wszystkim, co zrobił, i po wszystkim, z czego zrezygnował, miał chyba prawo do tego, co najlepsze.

Wiedział, że w końcu będzie musiał zrezygnować ze wszystkiego.

Nawet z życia.

Co dawało mu prawo do najwspanialszej gry, jaką ktokolwiek kiedykolwiek stworzył.

Czyż nie?

Czyż nie?

ROZDZIAŁ 32

Rianna ćwiczyła na drążkach w sali gimnastycznej klubu High Fliers. Właśnie przefrunęła z dolnego na górny, rozluźniła chwyt, znów zacisnęła dłonie, przeszła do stania na rękach, a potem, puszczając drążek po zatonieniu wielkiego łuku, do lądowania.

Dobra nasza.

Oddychała ciężko, jej policzki pulsowały gorącem, na czoło wystąpiły krople potu. Wiedziała, co powie trenerka. Zepsuła ładną serię ćwiczeń beznadziejnym lądowaniem. Ale przejmowała się tym znacznie mniej, niż by wypadalo, bo uczucie było tak wspaniałe, końcowy zamach i wypuszczenie drążka z rąk przypominało niemal lot. W tym momencie czuła, że najchętniej w ogóle by nie lądowała, tylko wzbijała się coraz wyżej i wyżej...

Marsha Carlin uśmiechała się, idąc przez salę. Po drodze podniosła bluzę oraz ręcznik Rianny i rzuciła go dziewczynie, kiedy znalazła się dostatecznie blisko.

- Jak było?

- Fantastycznie. - Rianna wytarła twarz i ramiona, po czym wzięła bluzę z rąk trenerki. - Wiem, że wybicie było okropne, a lądowanie...

- Okropne to przesada - powiedziała z uśmiechem ciemnowłosa kobieta w średnim wieku. - A reszta była naprawdę dobra, zrobiłaś ogromne postępy. Bardzo się cieszę.

Poszła dalej, wciąż uśmiechając się do siebie na myśl o nieskrywanym zadowoleniu piętnastolatki. Wiedziała, że z inną gimnastyczką przerobiłaby raz jeszcze nieudane elementy, lecz zdążyła się już zorientować, że ambicje Rianny pozostają daleko w tyle za jej talentem, i jeśli z początku czuła się nieco rozczarowana, dawno już to minęło. Dzisiaj była naprawdę szczęśliwa, że ma pod swoją opieką młodą kobietę, która przychodzi tu z czystego zamiłowania do ćwiczeń, dla samej radości uprawiania sportu, a nie dla korzyści, jakie mogłoby to przynieść jej samej lub jej rodzinie. Wiedziała też, że dla Jake'a Woodsa liczy się tylko jedno, a mianowicie

szczęście i bezpieczeństwo jego córki. Profesor rozmawiał z nią kilka razy o potencjalnych zagrożeniach, jakie niesie sala gimnastyczna, i Marsha miała nadzieję, że udało jej się rozproszyć większość jego obaw. Choć, jak to sobie uświadomiła, Woods nie należał do rodziców, którzy kiedykolwiek przestaną się martwić o swoje dzieci, bez względu na ich wiek.

- Dziwię się, że mimo tych obaw pozwala pan Riannie tu przychodzić - powiedziała mu kiedyś.

- Cóż, chyba nie mam wielkiego wyboru - odparł Woods. - Wiem, ile to dla niej znaczy. Poza tym to naprawdę radość dla oczu zobaczyć ją w akcji - dodał z uśmiechem.

- Czasem chyba niełatwo być ojcem - zauważyła Carlin.

- Niełatwo - przyznał - ale to warte wszystkich niepokojów.

Marsha Carlin pomyślała, że Rianna i jej siostra mają szczęście.

Rianna wykonała kilka ćwiczeń rozciągających, aby ochłonić po treningu. Myślami była już daleko od sali gimnastycznej. Wiedziała, że na tym polega zasadnicza różnica pomiędzy nią a innymi zawodnikami z High Fliers, którzy traktowali sport z całą powagą. Nie była w stanie zastanawiać się bez końca nad jednym ćwiczeniem i w kółko powtarzać w myślach jakiś element, analizując słabe punkty.

W tej chwili, biorąc swój worek i kierując się w stronę wyjścia, myślała o tym, co się działo w ostatnich dniach z ojcem. Nie ulegało wątpliwości, że był nieobecny myślami, a praca nad książką się nie posuwała, choć na cztery tygodnie przed końcem wiosennego semestru niemal o niczym innym nie mówił. Dla niej i Elli był równie ciepły i kochający jak zawsze, może nawet bardziej - przytulał je mocniej niż zwykle - Rianna jednak nauczyła się z biegiem lat czytać w jego myślach i wiedziała, że choćby nie wiem jak się starał to ukryć, coś go naprawdę gnębiło.

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że to po części z powodu Michaela Coopera. Wolała nawet nie myśleć o tym, co mogło spotkać jego i Robbiego Johanssena. Pytała ojca, ale chociaż zwykle rozmawiał z nią szczerze niemal o wszystkim, tego tematu wyraźnie unikał.

Chce mnie chronić, mówiła do siebie, stojąc pod prysznicem i myjąc głowę. Jak to ojciec. Dlatego nie naciskała. Nie chciała, żeby wiedział, że się martwi. Jak to córka.

Na koszarne sny jednak to nie pomagało.

Z tatą musiało się dziać coś jeszcze, myślała, zakręcając kran, biorąc ręcznik i wychodząc z kabiny. Coś się zmieniło. To coś mogło mieć związek

z panią Johanssen. Podzieliła się tym z Shannon Gates, swoją najlepszą przyjaciółką, a ta doszła do wniosku, że Lidia Johanssen i jej ojciec mają romans.

- Nie wierzę - oświadczyła Rianna niepewnie.

- Dlaczego by nie? - zdziwiła się Shannon. - Słyszałam, jak mama powiedziała raz do taty, że twój ojciec to seksowny facet. Mówiłam ci już. Jeśli ona tak uważa, dlaczego nie miałyby tak myśleć ta Lidia, czy jak jej tam.

- Niby racja - przyznała Rianna. - Ale tata powiedziałby mi, gdyby coś się działo, jestem pewna.

Nadal była o tym przekonana. W końcu uprzedził ją nawet wtedy, kiedy wybierał się na swoją pierwszą randkę, pięć lat po śmierci mamy, więc dlaczego nie miałyby jej powiedzieć teraz? Chyba że niezręcznie mu było o tym rozmawiać z powodu tych okropnych okoliczności.

Wciągając dzinsy, Rianna powzięła postanowienie, że jeśli faktycznie coś jest na rzeczy, nie będzie robić problemów, tak jak niektóre dzieci samotnych rodziców. W końcu nie może oczekiwać od taty, żeby był mniem.

Ale żeby zaraz seksowny? Wciąż tego jakoś nie widziała. Był najlepszy, absolutnie najlepszy i każda kobieta, która by go dostała, miałyby szczęście. Ale seksowny? Dajcie spokój, przecież to po prostu jej tatuś.

ROZDZIAŁ 33

Robbie wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zagrać. Facet mu to zapowiedział, co sprawiło, że obawy chłopca wzrosły, niemal osiągając punkt wrzenia. Jak dotąd nie spotkało go znów nic tak straszego, jeśli nie liczyć porwania, trzymania w tej ciemnej dziurze i serwowania przymusowych sesji VR przez jakiegoś niewidzialnego czubka. I kto wie, co tutaj znaczyło „zagrać w Limbo”?

No, niezupełnie „zagrać”. Facet nazywał to ćwiczeniem. Czymś w rodzaju wtajemniczenia, lecz kiedy Robbie zapytał, co to znaczy, tamten nie odpowiedział. Miał niepokojące uczucie, że tego człowieka może tu wcale nie być, a jego głos został nagrany na taśmę, podłączoną do jakiegoś mechanizmu zegarowego. To przerażało go bardziej niż cokolwiek innego: być może został tu sam i nikt go już nigdy nie odnajdzie...

- Dobra, Steel, przygotuj się.

Robbie o mało nie wyskoczył ze skóry.

- Włóż hełm.

Znów to błękitne światło.

- Wstań.

Robbie wstał. Czuł, że nogi ma jak z waty.

- Teraz trzy kroki w prawo - poinstruował go głos.

Robbie wiedział, że tam znajduje się maszyna, którą zauważył już w rzeczywistym świetle żarówki, a która, jak z tego widać, musiała być częścią symulatora.

- Poczujesz co innego pod stopami, Steel.

Rzeczywiście, podłoże nie było już tak twarde jak beton i bardziej grząskie. Skulił się w pierwszym odruchu, bojąc się, że go wessie. W tak idiotyczny sposób funkcjonowała ostatnio jego psychika: tysiąc jeden sposobów, żeby zwariować, specjalnie się o to nie starając. Ale nic się nie stało, choć serce waliło mu tak, że był pewien, że facet to słyszy.

- Dobra, Steel, podnieś ręce i chwyć drążek - widziałeś go wcześniej, pamiętasz? Trzymaj i czekaj.

Robbie ujął drążek przez rękawice.

I zaczęło się.

Najpierw ciemność, nie absolutna jednak, tylko ciemność tunelu, który już przedtem widział.

Usłyszał, że nadciągają, nim je dostrzegł. Dobiegł go daleki odgłos szurania, drapania, a potem dyszenie, ziajanie i wtedy je ujrzał, zobaczył czerwone błyski w ich ślepiach. Pędziły tunelem prosto na niego, brzmiało to teraz niemal jak grzmot, tyle ich było, kiedy tak gnały. Biegły zupełnie tak samo jak wściekłe psy, pędzące na Steela na pierwszym poziomie gry...

Ty tylko grasz czyjąś rolę, chłopie, nic się nie dzieje naprawdę.

Ale hałas zbliżał się coraz bardziej i, o Boże, o Chryste, nagle były tuż-tuż, szły prosto na niego, widział ich kły, połyskujące ohydną bielą w padającym nie wiadomo skąd świetle...

Instynkt chłopca wziął górę, prawa ręka puściła drążek, sięgając do pasa po nóż - broń Steela. Ruch był nieporadny i Robbie omal się przy tym nie przewrócił, lecz już miał ostrze w dłoni, chociaż nóż wydawał się zbyt lekki jak na prawdziwy - dlaczego u diabła porywacz miałby dawać swojemu więźniowi prawdziwą broń? W każdym razie psy znajdowały się coraz bliżej i było ich zbyt wiele, żeby z nimi walczyć, tak więc majcher i tak okazał się bezużyteczny. Robbie odwrócił się w ostatniej chwili i oparł o ścianę tunelu, w każdym razie usiłował to zrobić, bo chociaż ją widział, nie poczuł niczego i runął na ziemię, a ten upadek okazał się jak najbardziej rzeczywisty, Robbie potłukł sobie boleśnie nogi i bok, podczas gdy wściekła horda minęła go w pędzie, warcząc i ujadając.

I już ich nie było.

Nieprawdziwe. Rzeczywistość wirtualna.

No jasne.

Dlatego nie czujesz ściany, Robbie, bo to tylko VR, a sensory są w rękawicach, nie w twoim ciele.

Edukacja. Pierwsza lekcja.

Sukinsyn.

Jak najbardziej realny łomot serca i wirowanie pod czaszką.

- Jak było, Steel? - zapytał głos.

Niech cię diabli, pomyślał, ale nie odważył się powiedzieć tego na głos.

- Dobra zabawa?

- Jeśli ktoś gustuje w takich rozrywkach. - Gniew dodał mu odwagi.

- Nie podobało ci się?

- Jak cholera.

- Nie szkodzi - odrzekł głos. - Z czasem to polubisz. - Chwila ciszy. - Możesz teraz zdjąć hełm i rękawice. Światło pozostanie zapalone przez jakiś czas.

I na tym skończyła się rozmowa.

Z tak szczupłym materiałem do analizy, nie mogąc zadawać pytań ani uzyskiwać odpowiedzi, Robbie usiłował dalej analizować fakty, o ile mógł cokolwiek wymyślić. Jeżeli miała to być wprawka przed partią Limbo i jeśli miał się wcielić w Steela, to nie najlepiej się spisał. Wprawdzie nie grał w to (w normalną grę) na tyle dobrze, żeby zostać mistrzem, ale pamiętał, że Steel starał się uśmiercić jak najwięcej tych bestii, szlachtując je, aż krew bryzgała. Zaczął dobrze, lecz to tylko odruch, zadziałał instynkt samozachowawczy, natomiast potem był już tylko sobą, nie żadnym Steelem, tylko Robbiem Johanssenem, tak przerażonym, że potrafił tylko rozpląszyć się na ścianie tunelu, czekając, aż psy popędzą dalej.

Ale udało mu się, czyż nie?

W całej sprawie chodziło o to, by przetrwać. Do czasu, kiedy go stąd wydostaną. Przetrwać. Nie pozwolić zrobić z siebie wariata. Jeść, pić, starać się odpoczywać. Niech gra, wszystko jedno w jakiej formie, daje mu zajęcie, pozwalając zachować zdrowie psychiczne. Gry komputerowe są pożyteczne, jak uważają niektórzy tam, w rzeczywistym świecie; wyrabiają refleks, gimnastykują umysł i choć nie zastąpią ćwiczeń fizycznych, mimo wszystko dobrze człowiekowi robią.

Niestety, ci, co tak mówią, nie słyszeli o tej wersji, prawda?

ROZDZIAŁ 34

Jak w każdy poniedziałek w biurze Kordy w siedzibie firmy Eryx Software odbywało się nieformalne zebranie zarządu, choć nie przy stole z granitowym blatem. Scott Korda, Hal Hawthorne i Bill Fitzgerald siedzieli naprzeciw siebie na fotelach i sofie, ustawionych w drugim końcu pomieszczenia. Hawthorne i Korda przyszli w dżinsach, tylko Fitzgerald był bardziej oficjalny, niemal jak japiszon, w swoim granatowym blezerze i beżowych spodniach. Panował minorowy nastrój.

- Rozmawiałem wczoraj z Kline'em - odezwał się Korda. - Pytałem go, czy moglibyśmy być w czymś pomocni. Powiedział, że raczej nie, ale że pozostaniemy w kontakcie.

- Co to wszystko ma znaczyć? - Fitzgerald już był poirytowany, a tydzień dopiero się zaczynał. - Jesteśmy w to zamieszani czy nie?

- Oczywiście, że jesteśmy - odpowiedział Hawthorne. - Nasz najważniejszy produkt został uwikłany w ciężkie przestępstwo przeciwko nieletnim. O ile się orientuję, są wystarczające powody, aby uznać nas za podejrzanych.

- Podobnie jak każdego, kto miał do czynienia z Limbo. - Korda pokręcił głową, zszokowany - To wszystko jest ohydne. Ta nieszczęsna kobieta, która przyjeżdża tutaj i usiłuje zrozumieć coś z tej gry, jakby to miało jej pomóc odnaleźć syna.

- Nie mam nic przeciwko jej wizycie - oświadczył Fitzgerald. - Ale co do Woodsa nie byłbym już taki pewny. Nie jest krewnym, nie wygląda też na jej sympatię, chociaż tu mogę się mylić. - Jego blade czoło pokryły bruzdy. - Nie byłbym zachwycony, gdyby profesor prawa karnego zaserwował w przyszłym semestrze swoim studentom materiał poglądowy, traktując naszą firmę jako poligon doświadczalny.

- Ja odniosłem wrażenie - wtrącił Hawthorne - że to po prostu przyjaciel.

- I nie zapominajmy - dodał Korda - że jest również zaprzyjaźniony z Cooperami. Jego przyjazd wydaje się całkiem logiczny.

- Mimo wszystko - nie dawał za wygraną Fitzgerald - nie zaszkodziłoby mieć na niego oko, na wypadek gdyby okazał się facetem z wielką głębią. Jeśli dziennikarze zaczną rozdmuchiwać sprawę Limbo, rodzice gotowi wpaść w popłoch, a wtedy Bóg raczy wiedzieć, co będzie ze sprzedażą.

- Może równie dobrze wzrosnąć - zauważył Korda sarkastycznie.

- Nie, jeśli konkurencja zechce to wykorzystać przeciwko nam - odparł Fitzgerald, po czym wzruszył ramionami. - Może Kline powinien uznać ich wszystkich za podejrzanych? Może cała sprawa została ukartowana, żeby zdyskredytować Limbo?

- Brzmi to jak kawałek z „Porucznika Columbo” - zachnął się Hawthorne.

- Bill żartuje - uspokoił go Korda.

- Niezupełnie. - Fitzgerald znów wzruszył ramionami. - Może warto by wspomnieć o tym Tillmanowi. - Allan Tillman był radcą prawnym firmy Eryx.

- Chcecie, żeby Nick zrobił mały rekonesans na temat Woodsa? - spytał Korda. Nick Ford był konsultantem spółki do spraw bezpieczeństwa.

- Dla mnie to paranoja - odrzekł Hawthorne.

- Nie zaszkodzi - powtórzył Fitzgerald.

ROZDZIAŁ 35

Lidia nie znosiła uczucia, że jest przez kogoś traktowana protekcjonalnie. A czuła to wyraźnie tego ranka, kiedy wreszcie udało jej się spotkać z agentem specjalnym Rogerem Kline'em, na co naciskała od chwili powrotu z siedziby firmy Eryx.

Kline przyjechał do niej parę minut po wpół do dziewiątej w towarzystwie funkcjonariuszki Angeli Moran. Był to mężczyzna średniego wzrostu, o nienagannej sylwetce, choć Lidia zauważyła, że pas opina mu talię dość ciasno. Próżność, oceniła z miejsca. Nie taka znów zła rzecz u szefa grupy dochodzeniowej, jeśli przekłada się na pasję w dążeniu do osiągnięcia wyników. Towarzysząca mu kobieta miała łagodnie zaokrąglone kształty, a w twarzy zaskakującą słodycz. FBI jakoś nigdy dotąd nie kojarzyło się Lidii ze słodyczą.

Kline miał rysy niewątpliwie ostre, spiczasty nos, wąskie zaciśnięte usta, wystające kości policzkowe i małe oczy o tak ciemnych tęczówkach, że Lidia zaczęła się zastanawiać, czy to czasem nie szkła kontaktowe. Jeszcze jeden przejaw próżności?

Lidia przywitała się z obojgiem, zaparzyła kawę, którą Melania Steinman kupiła jej w niedzielę rano w Sensuous Bean*, poczęstowała ich ciasteczkami, które Sally kupiła tego samego dnia po południu (Angela Moran wzięła, Kline nie) i podziękowała, że przyjechali.

* Sieć amerykańskich kawiarni, gdzie można też kupić kawę.

- Rozumiemy, że ma pani pewne obawy dotyczące firmy Eryx Software. - Kline przeszedł do rzeczy zaraz po wstępnych uprzejmościach.
- Ale tylko obawy.
- Rozumiem. - Kline wbił w nią spojrzenie swoich przenikliwych oczu i czekał.

Lidia nie miała zamiaru owijać sprawy w bawełnę.

- To raczej intuicja, niestety - powiedziała, uśmiechając się z przymusem. - Domyślam się, że to słowo nie ma u was najlepszej reputacji.

- Bynajmniej - zapewniła ją agentka Moran, wycierając w serwetkę lepkie palce. - Przeczucia zbyt często bywają trafne, żeby je lekceważyć.

Szef grupy dochodzeniowej milczał.

- To raczej wrażenie niż przecucie - starała się sprecyzować Lidia.

- Może nam je pani po prostu opisz - zaproponował Kline.

Wspominając później tę rozmowę, uznała, że naprawdę dobrze się wywiązała z zadania, odmalowując uczucie niepokoju, jakiego doświadczyła w biurze Kordy, i nie zapominając dodać, że Jake również doznał pewnego dyskomfortu.

- Wiadomo państwu zapewne, że profesor Woods był inspektorem śledczym w biurze prokuratora stanowego w Albany.

- Niezbyt długo - uzupełnił Kline.

Lidia wyjaśniła pośpiesznie, że i Jake, i ona liczą na to, że FBI będzie uważnie obserwować zarówno firmę, jak i jej dyrektorów.

- Już o to zadbałszy - powiedział Kline.

Gładko, uprzejmie i szybko jej wrażenia zostały zgrabnie zgarnięte na śmietniczkę i wyrzucone, jak była o tym przekonana, do kubelka z etykietą: „Irracjonalne obawy przewrażliwionych matek”.

Za to w innych sprawach byli bardzo uczynni. Angela Moran poświęciła sporo czasu, instruując ją, jak korzystać z niektórych pomocy dostępnych za pośrednictwem jej własnego komputera, takich jak witryna FBI poświęcona osobom zaginionym, gdzie zamieszczono fotografie i inne szczegóły dotyczące Robbiego, Michaela oraz pozostałej trójki, czy Krajowe Centrum do spraw Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci, którego strona główna miała odnośnik do strony FBI...

Niedługo potem się pożegnali.

Lidia pomyślała, że powinna być im wdzięczna za tę wizytę, lecz wcale nie czuła wdzięczności. Przeciwnie, była poirytowana, zawiedziona i naprawdę czuła się potraktowana protekcyjnie. Miała ochotę z kimś porozmawiać, aby podzielić się tymi odczuciami, ale nie bardzo wiedziała z kim.

A raczej wiedziała, tylko nie była pewna, czy powinna to zrobić.

Bo wizyta pary agentów nie była przecież jedynym powodem, dla którego chciała porozmawiać z Jakiem Woodsem, nieprawdaz?

Był dobrym, uczciwym człowiekiem.

Miał też pełne ciepła, łagodne, szczere piwne oczy, długi, prosty nos, ładnie wykrojone usta, mocno zarysowaną szczękę. Wijące się włosy robiły wrażenie miękkich.

Solidne bary dawały poczucie bezpieczeństwa.

Co robi najlepszego, myśląc w ten sposób o mężczyźnie w takiej chwili jak ta? Od czasu śmierci Aarona nie spotkała właściwie nikogo, kto wydałby się jej choć trochę atrakcyjny, jak więc mogła pozwalać sobie na to teraz, kiedy Robbie wciąż był nie wiadomo gdzie?

Nie mogła. Rozważanie związku z jakimś mężczyzną było w tej chwili dla niej czymś równie niewyobrażalnym jak szybowanie nad Manhattanem na własnych skrzydłach.

Więc dlaczego śniła o nim ostatniej nocy?

ROZDZIAŁ 36

Prawda dopadała go czasem nocami.

Mroczne, bezkształtne twory zdzierały z niego pościel, rozrywały gładki, szczelny kokon jego świata fantazji. Prawda o nim, o tym, kim się stał. Stawiał jej czoło przed świtem, wijąc się w męce na madejowym łożu, gdzie każde słowo było jak ostry gwóźdź.

Porywacz. Zboczeniec. Sadysta. Morderca.

Pierwszy brzask przybywał mu na ratunek, zdejmował go z łoża tortur, koił rany. Te słowa nie odnosiły się do niego, nie brzmiały prawdziwie. Nie opisywały, kim był w głębi swojego jestestwa. A już z pewnością nie mówiły, kim zamierzał być.

To miała być gra. Po prostu gra. Najwspanialsza, jaka kiedykolwiek istniała, najbardziej brawurowa, lecz wciąż tylko gra.

Światło dnia skazywało ohydne słowa na banicję, zmieniało je w kłamstwa. Kokon znów się zasklepił, spowijając słowa i czyny, pozwalając mu żyć dalej. Na razie.

Któregoś dnia jednak - którejś nocy - wiedział, że otworzy się na dobre, zostanie rozpruty w sposób nieodwracalny i nie będzie można go już z powrotem zszyć. Wtedy cała zawartość wyleje się na zewnątrz, zanieczyszczając jego życie swoim wstrętnym odorem.

Ale przynajmniej będzie wówczas po wszystkim.

Czasem - coraz częściej - pragnął, żeby to już nastąpiło.

ROZDZIAŁ 37

Uprowadzone dzieci śniły mi się po nocach. Były to złe sny. Zadzwo-
niłem do Lidii w sobotę, nazajutrz po naszej wyprawie, ale zgłosiła się
automatyczna sekretarka. Postanowiłem nie zostawiać wiadomości. Po-
myślałem, że czas najwyższy się wycofać, uszanować jej prawo do pry-
watności, zając się własnymi sprawami i własną rodziną.

Kiedy weekend dobiegł końca i dziewczynki wróciły do szkoły, usiło-
wałem zabrać się na serio do książki, ale bez skutku, z tych samych po-
wodów co poprzednio. Po prostu nie mogłem przestać myśleć o Michaelu
Cooperze i o Robbiem Johanssenie. Ani o Lidii. Zwłaszcza o Lidii, psia-
krew. I o trójcy z Eryxu. W środę rano zadzwoniłem do Normana Bauma.

- Nie wiem, czy to nie jakieś urojenia - uprzedziłem. - Ci ludzie zachowywali się nienagannie. Wykształceni, wygląda na to, że wszyscy trzej bogaci z domu - trzech na oko przyzwoitych facetów, zapewniających, jak bardzo pragną nam pomóc. Właściwe odpowiedzi na wszystkie pytania - urwałem. - Może po prostu są tacy, na jakich wyglądają.

- Ale ty tak nie sądzisz.

- Nie wiem. W tym sęk.

- Sugerujesz, że któryś z nich może być zamieszany w porwania?

- Bynajmniej. - Wciąż szukałem właściwych słów. - Tylko cały czas miałem uczucie, że to wszystko jest trochę zbyt perfekcyjne. Może jednak nie ufam perfekcji?

- A więc do czego zmierzamy? - Baum był cierpliwy.

- Mam obawy, czy FBI nie uzna, że są czyści jak łąza i poza wszelkim podejrzeniem. - Chciałem postawić sprawę uczciwie. - A być może gryzę się po prostu, że nawet jeśli się na nich zasadzą, Lidia i ja nigdy się o tym nie dowiemy. - Znow umilkłem. - Problem w tym, że jeśli sam zacznę ich sprawdzać, agent Kline podniesie krzyk, a nie chciałbym go rozsierdzić,

dla dobra wszystkich. Poza tym obawiam się, że zapomniałem, jak się to robi. Usłyszeliby, z odległości trzydziestu kilometrów, że nadciągam.

- Innymi słowy - zakomunikował Baum - chcesz, żebym ja to zrobił.

- Innymi słowy.

Facet podobał mi się coraz bardziej.

ROZDZIAŁ 38

Pragnienie, żeby zadzwonić do Jake'a, nie opuszczało jej już od tygodnia z górą. - To ta samotność - powtarzała sobie. - To przez to. Przebywanie w tym mieszkaniu bez Robbiego, nieustanne zmaganie się z sobą, żeby wciąż o nim nie myśleć, nie zastanawiać się, co się z nim dzieje, jak się czuje, jak bardzo musi być przerażony, czy traci już nadzieję, że matka go kiedykolwiek odnajdzie.

Z kolei rzadkie chwile, kiedy udawało jej się oderwać myśli od syna, okupione były straszliwymi wyrzutami sumienia. Poprzedniej nocy przysnił jej się nawet Aaron; wpadł do mieszkania bez uprzedzenia, we fraku i z goździkiem w butonierce, tak jak stał, prosto z podium w Carnegie Hall. Tyle że tym razem nie przyszedł, żeby się z nią spotkać, jak w tylu wcześniejszych snach, tylko żeby udzielić jej reprimendy, że traci czas na robienie listy zakupów, zamiast poświęcić każdą chwilę i każdą myśl ich uprowadzonemu synowi.

We śnie siedziała przy kuchennym stole z długopisem i bloczkiem papieru w dłoni, pisząc: sok Tropicana Smooth, miód naturalny itd., kiedy do kuchni wkroczył Aaron.

- Skoro już musisz to robić - powiedział karcącym tonem - przynajmniej zapisz masło orzechowe. Będzie potrzebny spory zapas, kiedy Robbie wróci do domu.

- On już nie lubi masła orzechowego - chciała powiedzieć, ale mąż wypadł z mieszkania, tak nagle jak się pojawił, i było za późno na jakiekolwiek wyjaśnienia.

Odłożyła długopis, oparła znużoną głowę na rękach i rozplakała się. I wtedy poczuła kojący uścisk silnych, męskich ramion. Uniosła wzrok i okazało się, że nie należą do Aarona, tylko do Jake'a Woodsa. Poczuła, że nie ma absolutnie nic przeciwko temu i to sprawiło, że znów się rozszlochała.

W tym momencie się obudziła.

Wreszcie dzisiaj, w środę, piątego lipca, rankiem, nazajutrz po Święcie Niepodległości, najokropniejszym, jakie kiedykolwiek przeżyła, gorszym, daleko gorszym niż tamto po śmierci Aarona, sięgnęła w końcu po słuchawkę, licząc po trosze, że może nikogo nie zastanie i będzie mogła albo zostawić wiadomość, albo się wycofać.

- Jake, tu Lidia.

Cudowny, niski głos, może odrobinę niepewny.

- Witaj - powiedziałam. - Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

- Naprawdę? - Opanowany, spokojny ton.

Zacząłem od streszczenia jej mojej rozmowy z Baumem z ubiegłej środy. Zapytałem, cokolwiek poniewczasie, czy nie ma nic przeciwko temu.

- Przeciwno? Chyba żartujesz, Jake. Zrobiłabym dokładnie to samo, gdyby nie ten kompletny mętlik w głowie. - Na chwilę zapanowała cisza. - A więc, czemu miałeś do mnie dzwonić?

- Bo właśnie dostałem raport Bauma.

- I?

Tyle było nadziei w tym głosie, że aż serce mi się ścisnęło.

- Nic szczególnego - odrzekłem szybko. - Podstawowe informacje o Kordzie, Hawthornie i Fitzgeraldzie. Chcesz, żebym ci to przeczytał przez telefon, czy masz faks? - zapytałem po chwili milczenia.

- Wiesz co? - urwała. - Na pewno jesteś zajęty.

- Niespecjalnie - uspokoiłem ją. - Dziewczynki mają wakacje, ale już sobie coś na dzisiaj zaplanowały, więc jestem wolny.

- Pytam, bo zastanawiałam się - mówiła niezbyt pewnym tonem - czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym przyjechała do ciebie. Mogłabym wsiąść w pociąg, wyrwać się na trochę i przy okazji zobaczyć raport. O ile nie sprawiłoby ci to kłopotu...

- Nie sprawiłoby - zapewniłem ją. - Najmniejszego.

- Na pewno? Jake, wiesz, że możesz mi spokojnie powiedzieć, żebym ci głowy nie zwracała.

Roześmiałem się tylko.

- Powiedz mi, którym pociągiem przyjedziesz, to po ciebie przyjdę.

Spotkaliśmy się na dworcu i jak zawsze uderzyła mnie uroda Lidii. Długie włosy miała tym razem rozpuszczone, ubrana była w spodnie z płótna żaglowego i białą koszulę o pięknym kroju, nieprzemakalną kurtkę przerzuciła przez ramię. Na twarzach innych widać już było pierwsze

ślady opalenizny, ale Lidia wydawała się coraz bledsza, co bynajmniej nie czyniło jej mniej atrakcyjną.

Przyjaźń, Jake, powiedziałem sobie twardo. Przyjaźń, nic więcej.

Lidia przywiozła bukiet kwiatów, piękne dzwonki i fiołki, które dała mi po krótkim wahaniu. Jak wyjaśniła, odkryła dawno temu, ku swojemu zaskoczeniu, że nie wszyscy mężczyźni lubią dostawać kwiaty, chociaż nie bardzo rozumie, dlaczego. Zapewniłem ją, że należę do mężczyzn, którzy uwielbiają dostawać kwiaty, a ponieważ nie pamiętam, kiedy się to zdarzyło po raz ostatni, tym większą radość sprawił mi ten bukiet.

- O ile ci to odpowiada - zaproponowałem, kiedy wsiedliśmy do mojego samochodu - moglibyśmy zjeść podwieczorek u mnie. - Chyba że wolałabyś się gdzieś wybrać. W New Haven jest mnóstwo dobrych herbaciarni i kawiarni.

Lidia uśmiechnęła się do mnie.

- Chcę zobaczyć, gdzie mieszkasz. Czy dziewczynki będą w domu?

Pokręciłem głową.

- W tej chwili są u przyjaciół. Potem Rianna pójdzie na trening, a Kim i Tom zaprosili Ellę do siebie na barbecue. - Zerknąłem na zegarek. - Będę je musiał odebrać dopiero za jakieś cztery czy pięć godzin.

Na wzmiankę o moich córkach poczułem ukłucie niepokoju. Każde wspomnienie o dzieciach innych osób musiało być dla Lidii torturą. Zacząłem się nagle martwić, czy to dobry pomysł, żeby zabierać ją do naszego mieszkania, gdzie wszędzie wokół były widoczne ślady ich obecności. A nie była to jedyna sprawa, niepokojąca mnie w ciągu ostatnich paru godzin w związku z planowaną wizytą. Prawdę mówiąc, czułem pewną ulgę, że nie będzie Rianny i Elli. Po trosze ze względu na Lidie, po trosze dlatego, że nigdy nie wiadomo, co palnie moja młodsza pociecha. Głównie jednak, jak przypuszczam, dlatego, że Rianna potrafi tak cholernie łatwo czytać w moich myślach.

Nic tu nie ma do wyczytania oprócz przyjaźni. A właściwie dopiero zadatków na przyjaźń.

O, czyżby?

W czasie, który upłynął od naszej rozmowy do wyjazdu na stację po Lidie, upiekłem ciasto z winnymi jabłkami pokrojonymi w plasterki, ozdobione kratką z ciasta i oproszone cukrem.

- Fantastyczne - powiedziała Lidia, kiedy siedzieliśmy w naszym salonie. - Smakuje jak domowe.

- Jeden z przepisów Simone.

- Jestem pod wrażeniem.

- Nie przesadzajmy. Simone nauczyła je piec Riannę, kiedy dziewczynka miała siedem lat, co mniej więcej określa poziom moich umiejętności.

Nie mogłem nie zauważyć, że Lidia zdołała przełknąć jedynie mały kęs. Była nie tylko bledsza, ale i szczuplejsza niż ostatnio. Serce ścisnęło mi się na ten widok.

- Rianna wydaje się bardzo pojętna.

- To prawda. - Pochamowałem impuls, żeby rozwinąć temat.

Tacę z herbatą ustawiłem przed nami na niskim stoliku, obok kwiatów Lidii. Był zrobiony z rzeźbionej meksykańskiej sosny, a regały pod ścianami z pewnego gatunku jasnego dębu. Nasze umeblowanie to konglomerat, który zapewne przypisałby dekorator wnętrz o palpitanie serca. Część mebli trafiła tu ze starego domu, część była na miejscu, kiedy się wprowadzaliśmy, inne wypatrzyliśmy w miejscowych sklepach i na targach staroci. Naszym zdaniem wszystko to się jednak komponuje, tworząc całość, w której się dobrze mieszka, choć sprzęty nie są specjalnie reprezentacyjne. Dom.

Lidia powiedziała, że nasze mieszkanie jej się podoba, a jego styl odzwierciedla moją osobowość.

- Chaotyczny i niepozberany - powiedziałem z uśmiechem.

- Swobodny i niewymuszony - sprostowała.

W innych ustach mogłoby to zabrzmieć jak wątpliwy komplement, ale mówiła szczerze, czułem to, i było mi miło z tego powodu. Rozmawialiśmy jakiś czas o tym i o owym: o tych aspektach mieszkania na Manhattanie, które uszły mojej uwagi, i o tych, które nie uszły, o zaletach życia w New Haven, o pogodzie, rzecz jasna, a także o mojej bardzo ograniczonej wiedzy na temat opery i o zamiłowaniu Lidii do jazzu.

Wiedziałem, że krążymy już dostatecznie długo wokół właściwego tematu, kiedy opowiedziała mi o wizycie Kline'a i o swoich wrażeniach. Rozumiałem, co czuje. Pomyślałem, że jej wnioski najprawdopodobniej są słuszne.

Potem wręczyłem jej raport Bauma. Nadszedł po niespełna tygodniu i zawierał trzy przyzwoite, aczkolwiek lapidarne charakterystyki dyrektorów firmy Eryx. Jak na razie wyglądało na to, że ich życiorysy odpowiadają rysopisom: Kordę i Hawthorne'a, wychowanków Harvardu, i Fitzgeralda, absolwenta Yale, łączyło więcej niż błękitne oczy, zamiłowanie do grafiki komputerowej oraz wykształcenie informatyczne.

Wszyscy byli majątni. Korda posiadał stadninę koni koło Salisbury w Berkshires i duży dom bliżej siedziby firmy, pod South Glastonbury, w pobliżu Meshomasic State Forest* - na kompletnym odludziu, według Bauma. * Najstarszy kompleks leśny w Nowej Anglii. Fitzgerald miał niewielką posiadłość, też położoną z dala od ludzkich oczu, w sąsiedztwie parku stanowego Devils Hopyard. Hawthorne mieszkał niedaleko, zdaniem detektywa, w zdecydowanie najsympatyczniejszej, najbardziej „cywilizowanej” okolicy.

Żaden z nich nie był aktualnie żonaty, chociaż okoliczności okazały się inne w każdym wypadku. Korda, trzydziestodwuletni, złotowłosa i gładkolicy prezes o chłopięcej aparycji, był rozwiedziony. Miał dwoje małych dzieci, mieszkających z matką Pamelą w willi na Manhattanie, niedaleko siedziby ONZ. Fitzgerald, trzydziestosiedmioletni genialny programista, stracił ciężarną żonę w wypadku samochodowym przed trzema laty. O rok młodszy od niego Hawthorne był kawalerem, Baum nie natrafił na ślad żadnego długotrwałego związku w jego życiu w ciągu ostatnich lat. Chociaż Korda miał najwięcej udziałów, dwaj pozostali też byli współwłaścicielami firm Eryx i Zeus Interactive. Wyglądało na to, że wszyscy trzej byli zamożni już przed założeniem przedsiębiorstwa, zawdzięczając swoją solidną pozycję finansową bogatym rodzinom, z których się wywodzili.

„To może być źródłem owej «perfekcji», której nie ufasz - dodał Baum tytułem nieformalnego, odrębnego postscriptum. - Pieniądze, i to duże. Ale jeśli Ty i Pani Johanssen życzyście sobie, żebym podrażył trochę głębiej, jestem do usług”.

Lidia skończyła czytać i siedziała w milczeniu. Dałem jej parę minut.

- Nie ma tu zbyt wiele - odezwałem się w końcu.

Pokręciła głową i przez chwilę wydawało się, że nie jest w stanie wydobyc głosu.

- Nie wiem, czego się spodziewałam - powiedziała, siląc się na autoironię. - Chyba czerwonej strzałki nad głową któregoś z nich.

- Wygląda na to, że jednemu z nich warto się bliżej przyjrzeć - zauważyłem.

- Hawthorne'owi? - Lidia wzruszyła ramionami. - Bo się nie ożenił?

- I nie ma śladu żadnego długotrwałego związku.

- W ciągu ostatnich lat, o ile Baum był to w stanie ustalić. Mizerna podstawa do oskarżenia o wprowadzenie pięciorga nastolatków.

Teraz z kolei ja milczałem przez kilka sekund.

- Nic, co by korespondowało z tym odczuciem, którego doznałeś podczas spotkania?

Użyła wtedy określenia „wrogość”, nie chciałem jednak teraz niczego sugerować. I bez tego dosyć się musiało kotłować w jej biednej głowie.

- Nic - odpowiedziała, patrząc mi prosto w oczy. - Więc może to po prostu przewrażliwienie, efekt działania mojej nadgorliwej wyobraźni?

Milczałem.

- O czym myślisz, Jake?

- O niczym konkretnym. - Pokręciłem głową. - Wydaje mi się po prostu, że nie powinniśmy zbyt pochopnie lekceważyć twojej intuicji oraz że, moim zdaniem, Baum wskazał kilka tropów, którymi być może warto pójść, choćby miało to oznaczać powielanie roboty FBI.

- To znaczy?

- Oto trzech mężczyzn dobiegających czterdziestki, żyjących, jak wszystko na to wskazuje, samotnie, aczkolwiek z różnych powodów, z czego dwóch na zdecydowanym odludziu. - Wyobrażałem sobie, jak musiało to zabrzmieć. - To nie znaczy, że sugeruję coś złego. Po prostu chciałbym poprosić Bauma o trochę więcej informacji, nim uznamy, że nie tędy droga. - Spojrzałem na nią. - Co o tym sądzisz?

Uniosła gestem kapitulacji dłonie, spoczywające na kolanach.

- Czemu nie? Nie mamy nic do stracenia. - Nagle coś jej się przypomniało. - Czy pan Baum przysłał ci już rachunek? - Bo jeśli tak, to daj mi go, proszę, żebym mogła wysłać czek.

- Przecież to nie ty go wynajęłaś - zaprotestowałem.

- Nie, wynajęli go Cooperowie, ale pracował też dla mnie. - Jej ton stał się nagle twardszy. - Jake, to nie podlega dyskusji. Robbie jest moim synem. Ja płacę Baumowi, jasne?

- Jasne. - Nie zamierzałem się z nią spierać, wiedząc aż za dobrze, że to jedna z tych nielicznych spraw, na które Lidia może mieć jakiś wpływ. - Rachunku dotąd nie dostałem, co świadczy o tym, że Baum jest wyjątkowo rzadkim okazem.

- Czy prywatni detektywi nie biorą na ogół zaliczek?

- Zawsze, ale, tak jak powiedziałem, Baum nie jest typowym przedstawicielem tej branży. Kiedy zagadnąłem go o honorarium, powiedział, że czuje się trochę nie w porządku, bo robił to bez uzgodnienia z Cooperami, swoimi głównymi zleceniodawcami. Poza tym nie cierpi brać pieniędzy za nic, więc będzie najlepiej, jeśli poczekamy, co z tego wszystkiego wywniknie. To jego słowa, nie moje.

- Musi otrzymać zapłatę - powiedziała Lidia zdecydowanie. - Wykonał tę pracę dla mnie.

- Przekażę mu to - obiecałem. - Czy wolałabyś, żeby następny raport przysłał bezpośrednio do ciebie? - zapytałem po chwili milczenia.

Odczekała chwilę, wpatrując się we mnie intensywnie, z napięciem. Miałem uczucie, że sięga do mojego wnętrza, rozważając coś, trudno dokładnie określić, co. Byłem poruszony, lecz niemal wszystko, co wiązało się z Lidią, wprawiało mnie w ten stan.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała w końcu cicho - wolałabym, żeby sprawy pozostały tak, jak do tej pory.

- Nie mam absolutnie nic przeciwko temu - zapewniłem ją.

ROZDZIAŁ 39

Była środa wieczór. Telefon Nicka Forda zastał Scotta Kordę w kuchni jego domu niedaleko South Glastonbury, gdzie właśnie przyrządził sobie omlet na kolację. - O co chodzi? - Korda przycisnął słuchawkę podbródkiem i odwrócił na drugą stronę omlet, smażący się na miedzianej patelni.

- Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. Prywatny detektyw z Bostonu, z firmy, która, notabene, ma oddział w New Haven...

- Gdzie mieszka nasz profesor - wszedł Nickowi w słowo Korda.

- Zgadza się - powiedział Ford. - No więc ten gość wypytywał o ciebie i twoich współników.

- A konkretnie o co? - Korda posypał omlet odrobiną tymianku.

- Podstawowe fakty: gdzie mieszkacie, do jakich szkół chodziliście, żonaci, rozwiedzeni i tak dalej.

- I sądzisz, że to Woods albo ktoś z jego przyjaciół go wynajął?

- To logiczne. - Głos Forda był szorstki jak papier ścierny. - A pani Johanssen odwiedziła profesora dziś po południu w jego mieszkaniu w New Haven.

- Prawdę mówiąc, nie jestem specjalnie zaskoczony, że usiłują dowiedzieć się o nas czegoś więcej. Ta biedaczka nie robiła wrażenia osoby, która będzie siedzieć w domu i załamywać ręce.

- Więc nie przejmujesz się tym?

- Dlaczego miałbym się przejmować? - Omlet był gotowy. - Nie ma chyba obawy, że prywatny detektyw czy FBI, skoro już o tym mowa, dokopie się czegoś droższego na temat któregośkolwiek z nas.

- Nie jestem pewien, czy Bill będzie tego samego zdania co ty.

Korda zgrabnie zsunął omlet na podgrzany talerz firmy Rosenthal, wstawił patelnię do zlewu, gdzie miał się nią później zająć Roman, który prowadził mu gospodarstwo, po czym wymieszał przygotowaną wcześniej zieloną sałatę.

- A musi o tym wiedzieć?
- Czy to przypadkiem nie jego pomysł, żeby mieć oko na Woodsa?
- Na to wygląda. - Korda był głodny. - Wspomnę mu o tym jutro. Powiem, że twoim zdaniem to nic wielkiego. Dobranoc, Nick.
- Mam im dalej patrzeć na ręce?
- Na to wygląda - powtórzył Korda.
- No to smacznego - pożegnał się Ford.

ROZDZIAŁ 40

Następne ćwiczenie. Kolejna przymiarka przed prawdziwą grą. Tylko że tym razem, jak mu to właśnie oznajmił głos, była kolej Dakoty. - Ty możesz się odprężyć i patrzeć - powiedział.

- Nie chcę patrzeć - zaprotestował Robbie. - Te cholerne gogle ważą chyba tonę i miażdżą mi nos, głowa mi pęka pod hełmem, niedobrze mi się robi od tego wszystkiego. Nie mam ochoty teraz tego wkładać.

- Skoro tak sobie życzysz - odparł głos.

- Tak sobie życzę - potwierdził Robbie.

- Ale to będzie oznaczać ciemność i ciszę przez resztę dnia. A może i dłużej. - Nastąpiła chwila milczenia. - Słuchaj, Steel, nie pora na fanaberie. To nie jest spacer po parku w niedzielne popołudnie, jeżeli dotąd tego nie zauważyłeś.

Robbie włożył hełm i rękawice, czując, że ogarnia go przygnębienie.

- Grzeczny chłopiec - pochwalił go głos. - Nie pożałujesz.

Pieprz się, powiedział Robbie w myśli.

I nagle znów ją zobaczył. Dziewczynę - Dakotę. Była tutaj, choć nie naprawdę; przyszło mu nawet do głowy, że może jest nie bardziej rzeczywista niż cała reszta, niż wirtualne tunele, psy czy stacja metra. Miał ją wprawdzie przed oczyma, ale przecież nie mógł jej dotknąć. A jednak wiedział, patrząc na dziewczęcą postać w ohydnych goglach, wymizerowaną i jeszcze szczuplejszą, niż kiedy ją widział po raz ostatni, wiedział, że jest równie rzeczywista jak on sam.

Wiedział też, że, tak jak poprzednio, ona również go widzi.

- Cześć - powiedział miękko, nie chcąc jej przestraszyć. Żadnej reakcji.

- Dakota?

Nie słyszała go, więc może nie wolno im było się porozumiewać. Lecz skoro go widziała...

Uniosł rękę w rękawicy powitalnym gestem.

Znów nic. W tej chwili nie patrzyła na niego. Odwróciła głowę, spoglądając w stronę...

Jasny gwint!

Tak się zapatrzył, że nie zauważył, gdzie dziewczyna się znajduje.

Nie w swojej celi. Ani na stacji metra. Było to kolejne wirtualne środowisko Limbo. Miejski ściek kanalizacyjny.

- Chryste - szepnęła Robbie.

Poczuł skurcz żołądka, kiedy przypomniał sobie wszystko, z czym mieli poradzić sobie Steel i Dakota na tym poziomie gry: walące się dachy, szczury, wielkie niczym bobry, wizyta Ghoulu i nie koniec na tym...

Cieszył się, że dziś tylko patrzy. Ludzie, jak się cieszył!

Dakota kuliła się w swoim skórzanym stroju, całe jej ciało sygnalizowało skrajne napięcie i nagle Robbie usłyszał w słuchawkach cienkie piśki, a potem coś jakby odgłos drapania, ohydny, aż ciarki przebiegły mu po plecach. Był niemal równie spięty, jak musiała być ona. Wiedział, co teraz nastąpi, bo widział ją wcześniej w akcji... Poprawka: widział cybernetyczną Dakotę, widział, jak z rozmachem odrąbuje łeb jednemu z monstualnych szczurów, po czym wykonuje potężny skok, taekwondo, czy jak to się nazywa, ponad głowami tych sukinkotów.

Boże, proszę cię, powstrzymaj je...

Ale widział, że są coraz bliżej, nadciągają ławą, lada chwila kanał się nimi zaroi, lada chwila Dakota pokaże im, gdzie raki zimują, im i sukinnowi, który ją do tego wszystkiego zmuszał...

Ale nic się nie działo. Nic. Robbie wpatrywał się w twarz dziewczyny pod groteskowym hełmem i widział, że wargi miała kurczowo zaciśnięte, tak pobladle, że niemal białe, widział, że trzęsła się gwałtownie...

Dźwięk urwał się nagle. Cisza.

Po chwili znikł i obraz. Błękit. Potem czerń.

Robbie omal nie upadł, jak pchnięty, pod wpływem szoku.

- Co się stało? Co się stało, u diabła?

Nikt mu nie odpowiedział.

Jeżeli Steel czuł się wytrącony z równowagi, to co on miał powiedzieć?

Dla niego było to znacznie gorsze.

Dziewczyna poddała się, nie miał już co do tego wątpliwości. Gasł nie tylko jej blask, ale co gorsza, jej odwaga, co było największą katastrofą. Nie wszyscy rozumieją, na czym polega sprawa z odwagą. Nie ma żadnego pola dla odwagi, dopóki człowiek nie zacznie się bać. Każdy duren może być odważny, jeżeli nie czuje strachu. Potrzeba inteligencji i wraź-

liwości, żeby uświadomić sobie niebezpieczeństwo, żeby się nim przerazić, a wówczas potrzeba wielkiej odwagi, żeby stawić mu czoło.

Steel spisał się nieźle, jak na początek, podczas swojej pierwszej próby, mimo że starał się uciec przed sforą psów, zamiast z nimi walczyć, lecz tu zadziałały wrodzona inteligencja oraz instynkt samozachowawczy. Będzie walczył, jeśli uzna, że nie ma wyboru, jeśli mu się nie da wyboru.

Dakota też taka była na początku. Kiedy przymykał oczy, w uszach rozbrzmiewały mu jej przeraźliwe krzyki z tamtego okresu. Pamiętał, jak dreszcz go wówczas przechodził, jak wiele sobie po niej obiecywał na przyszłość. Dzisiaj nie było krzyków, nie było nawet autentycznego przerażenia. Wydawała się poza strachem. Gorzej - jakby poniżej poziomu lęku. Otębiała i bierna.

Zupełnie jak ten ostatni, nie całkiem autentyczny Steel pod sam koniec.

O Boże, chyba by tego nie zniósł.

Gdyby znowu...

Nie, tylko nie to!

ROZDZIAŁ 41

Rianna wiedziała, że pani Johanssen była u nich poprzedniego dnia na podwieczorku. Po pierwsze, ojciec jej powiedział, a po drugie, dwie trzecie jabłecznika, który upiekł (on upiekł, nie Kim!), wciąż stało na blaszce pod przykryciem, jako dowód rzeczowy.

Zapytała tatę o to i powiedział jej, że Lidia przyjechała omówić pewne sprawy, związane z zaginięciem syna. To, jak przypuszczała Rianna, wyjaśniało, dlaczego zjadła tak mało ciasta. W pierwszym odruchu odebrała to niemal jako zniewagę wobec swojej mamy. Ojciec upiekł jabłecznik Simone Woods specjalnie dla tej kobiety, a ona nim wzgardziła. Lecz kiedy przypomniała sobie o nieszczęściu, które spotkało Lidię, zrozumiała, jak bardzo nie na miejscu była jej reakcja. Gdyby ona albo Ella zaginęły, to wątpliwe, czy ojciec zdołałby przełknąć ciasto albo cokolwiek innego w większej ilości, dopóki by ich nie odnalazł.

Następnego dnia powiedziała o tym Shannon, kiedy plotkowały przez telefon.

- Słuchaj, Ree, on się w niej durzy - orzekła z miejsca przyjaciółka. - Dlatego upiekł ciasto.

- Tak sądzisz?

- Czy wiesz, jak ona wygląda? - indagowała Shannon.

- Nigdy jej nie widziałam.

- Myślałam, że może tato ci opowiedział, jaka jest boska.

- Ależ nie.

- Ani słówka?

- Ani słówka. - Rianna umilkła. - Myślę, że teraz bardzo łatwo ją zranić - dodała po chwili.

- A faceci uwielbiają wrażliwe kobiety - oświadczyła Shannon. - W każdym razie starsi faceci.

Później, ścieląc łóżko, Rianna zastanawiała się, jak z tym właściwie jest. Jej mama nie była typem wrażliwej kobietki. Zawsze silna i gotowa na wszystko, zawsze coś robiła albo dla nich, albo dla innych. Z drugiej

strony jednak, Simone nie musiała przechodzić przez to, co pani Johansen...

Rianna strzepnęła kołdrę, wygładziła ją i usiadła na łóżku.

Zastanawiała się, jak Lidia może wyglądać.

Ojciec któregoś dnia pokazał Elli i jej fotografię Robbiego Johanssena. Musiała przyznać, że wydał jej się jednym z najprzystojniejszych chłopaków, jakich w życiu widziała. Mimo to zdjęcie ją przygnębiło. Współczuć matce Robbiego, to jedna sprawa, a wyobrazić sobie, co mogło się z nim dziać, to całkiem co innego.

O tym Rianna zdecydowanie nie chciała myśleć.

ROZDZIAŁ 42

Zebrań informacji do kolejnego raportu zajęło Baumowi prawie tydzień. Żadnych rewelacji, jak powiedział mi przez telefon, ale być może warto rzucić na to okiem. Ponieważ miał w Nowym Jorku chorego kuzyna, którego zamierzał odwiedzić, i ponieważ Lidia nie zmieniła swojego stanowiska co do mojego udziału w sprawie, ustaliliśmy, że spotkamy się w jej mieszkaniu. Na lunchu, jak na nas wymogła. Pojechaliśmy razem. Baum wyciskał ze swojego starego volkswagena szybkości, od których włosy stawały dęba i przybył na miejsce punktualnie o dwunastej, z czekoladkami i raportem w ręku.

- Tak się cieszę, że pana widzę - powitała go Lidia w drzwiach mieszkania.

- Proszę mi mówić Norman - odrzekł detektyw. - I cała przyjemność po mojej stronie.

Zerknąłem na niego i spostrzegłem, że mój nierzucający się w oczy przyjaciel (spotkaliśmy się dotąd tylko raz, ale myślałem już o nim jak o przyjacielu, którego chciałbym mieć) czerwieni się, patrząc na naszą gospodynię.

- Muszę wyglądać jak czarownica - odezwała się Lidia, wprowadzając nas do salonu. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu wzięłam się na serio do gotowania i chyba trochę się zagalopowałam. - Dostrzegła nasze porozumiewawcze spojrzenia. - Zanim zaczniecie mnie przekonywać, że nie powinnam sobie robić kłopotu, chciałam wam powiedzieć, że była to dobra terapia.

- Pachnie zbyt smakowicie, żeby polemizować - zauważyłem.

- A co do wyglądu, to nie jak czarownica, tylko czarująco - dodał Baum.

Lidia się uśmiechnęła.

- Podoba mi się ten facet, Jake.

Przyznałem Normanowi rację, przyglądając się jej, kiedy szła do kuchni po lód do whisky. Włosy miała związane w koński ogon, tak jak za

pierwszym razem i tak jak wtedy z uczesania wymknęło się kilka pasek. Jej twarz była zaróżowiona od gotowania i robiła wrażenie niemal odprężonej. Czarująca, dokładnie tak, jak powiedział Baum. Gdybym tylko jeszcze znał zaklęcie dość potężne, aby zmienić prawdziwy powód naszej wizyty.

- Najpierw zjemy, potem zajmiemy się twoim raportem, Norman - powiedziała, kiedy wróciła z lodem i zaczęła przyrządzać dla nas drinki. - O ile nie masz nic przeciwko temu.

- Bynajmniej - zapewnił ją Baum. - Jake pewnie ci wspomniał, że nie znalazłem nic szczególnego.

- Wspomniał - potwierdziła Lidia i podała nam szklaneczki.

Najbliższych kilka godzin upłynęło niezwykle miło. Baum spytał, czy mógłby zobaczyć jej pokój muzyczny. Kiedy znaleźliśmy się wśród dźwiękoszczelnych ścian, uprosiliśmy Lidie, żeby zagrała nam coś na fortepianie zmarłego męża. Nie wiem, co to było, bo nie należę, niestety, do znawców muzyki, jednak wiem, że brzmiało przepięknie. Powiedziała nam potem, z rozbijającą skromnością, że nie jest najlepszą pianistką, ale że nietrudno nas zwieść. Prosiłmy też, żeby zaśpiewała, nie chciała, więc nie naciskaliśmy.

Lunch okazał się prawdziwą ucztą. Filigranowe porcyjki cieniutkiego jak włos makaronu z delikatnym sosem z małży jako przystawka, idealnie upieczona jagnięcina jako główne danie, a na deser czekoladowy pudding na parze z waniliowymi lodami, po którym oczy Bauma zaszyły mgłą zachwyty.

- Miałaś rację, Jake, że powinnam się czymś zająć - powiedziała podczas posiłku. - Miałam nawet w tym tygodniu jedną lekcję śpiewu, chociaż tylko z Sally - to znaczy z moją gospodynią. Właściwie nie chciałam, żeby przychodziła, odkąd uprowadzono Robbiego, lecz nasza umowa zawsze obejmowała bezpłatne lekcje, więc miałam wyrzuty sumienia.

Ponieważ nalegała, zostawiliśmy zmywanie i Baum przedstawił swój raport.

Korda, jak ustalił, był kolekcjonerem nieruchomości, w skład których wchodził apartament na Manhattanie w Upper East Side, dom w Beverley Hills, willa w Cap d'Antibes na Francuskiej Rivierze i, oczywiście, farma oraz dom w Connecticut. Nie robił też tajemnicy z tego, że kupuje konie, motocykle, stare filmy i zabytkową biżuterię. Dostęp do jego domu w Nowej Anglii, acz położonego na odludziu, wydawał się równie łatwy

jak do farmy, ale chodziły słuchy, że całe wnętrze to rodzaj hołdu złożonego najnowszej technologii, co, jak przypuszczał Baum, obejmowało również wysoki standard bezpieczeństwa.

- Korda ma dwie siostry, jego ojciec jest emerytowanym bankierem, a matka pisze książki, albumy na temat pięknych domów - ciągnął Baum.

- Korda i Pamela rozwiedli się z powodu niezgodności charakterów. Dał jej mniej więcej wszystko, czego sobie zażyczyła, w tym dom w pobliżu siedziby ONZ. Z dziećmi widuje się często. Kiedy jest w mieście, nocują nawet u niego, więc jego żona najwyraźniej nie robi trudności.

Spytałem Bauma, czy próbował ustalić, czy wszystkie anonimowe listy zawierały aluzje do osiągnięć sportowych. Powiedział, że wykorzystał swoje kontakty w FBI, aby coś na ten temat przewąchać i odpowiedź brzmi „tak”, z wyjątkiem jednej dziewczyny z Atlantic City, która, jak się wydaje, była laureatką konkursu cheerleaderek.

- Czy sam Korda ma coś wspólnego ze sportem? - zapytała Lidia.

Norman zerknął w swój raport i przewrócił stronę.

- Niezły gimnastyk w szkole średniej, ale dalszą karierę udaremniła kontuzja. - Podniósł wzrok na Lidie. - Raczej bez trwałych następstw, bo dzisiaj gra w tenisa i squasha oraz pływa.

- Z tego, co się orientuję, Eryx sponsoruje jakieś trofea sportowe - wtrąciłem.

- A Korda zawsze je wręcza. - Baum skinął głową. - Zazwyczaj mówi przy tym, że organizują zawody, aby odwzajemnić się w jakiś sposób młodzieży, której zawdzięczają tak wielki sukces. Wybrali sport, jak tłumaczy, aby podkreślić, że również ich zdaniem nie jest najzdrowiej, kiedy młodzi ludzie spędzają każdą wolną chwilę zgarbieni nad klawiaturą komputera.

- Cóż za wspianiali faceci - mruknąłem.

- Mam kontynuować? - zapytał detektyw, zerkając na Lidie znad okularów. - Czy zrobimy przerwę?

- Kontynuujmy, proszę, jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedziała.

- Gdyby któreś z was się nad tym zastanawiało, Hawthorne rzeczywiście ma na imię Hal, tak jak jego zmarły ojciec - mówił dalej. - O domu w pobliżu Chester już wiemy, ma też winnicę na północy stanu Nowy Jork i apartament nad brzegiem morza w Bostonie.

Wyjaśnił, że rozpytał się trochę w Chester, z zachowaniem środków ostrożności, bo jest to ten typ miejscowości, gdzie nadmiar pytań zadawanych na temat któregośkolwiek z mieszkańców trafia rykoszetem do

zainteresowanego, a tego, jak się domyślał, nie chcieliśmy. Według jego rozmówców Hawthorne wiódł życie raczej proste, często korzystając z usług miejscowych sklepów i firm. Jego majątek pochodził od pradziadka, działającego w branży wydawniczej. Ojciec, zmarły przedwcześnie inwalida i bohater wojenny, był znany z licznych akcji dobroczynnych. Matka wyszła ponownie za mąż, także za bogatego człowieka, i również zajmowała się działalnością charytatywną.

- Nadal nic, jeśli chodzi o życie osobiste, ale może po prostu należeć do ludzi, którzy zachowują w tych sprawach daleko posuniętą dyskrecję - ciągnął Baum. - Jeśli chodzi o sport, wygląda na to, że od szkoły średniej poczynając, nie błyszczał na tym polu, mimo usilnych starań. Był raczej typem mózgowca, mającym zdolności do matematyki i nauk ścisłych, a także już wtedy do informatyki, zanim podjął studia na Harvardzie.

Norman przeszedł do Fitzgeralda, największego pracoholika spośród trzech współników. Chodziły słuchy, że kupił przed dwoma laty dom w pobliżu Devils Hopyard State Park i urządził tam sobie pracownię, w której miał spędzać kilka nocy w tygodniu.

- Nad czym pracuje? - spytałem.

- Tego nikt nie wie, tu zresztą też nie drążyłem zbyt głęboko. Ustaliłem, że ma zdecydowanie największą obsesję na punkcie prywatności ze wszystkich trzech. Być może z tego powodu trudno mi się było czegokolwiek dowiedzieć na temat jego rodziców. Ojciec prawnik - to właściwie wszystko, co wiem.

Chociaż praca zdawała się wypełniać mu większość czasu, Fitzgerald był też znany ze swojej namiętności do igrzysk olimpijskich. Nie opuścił żadnej olimpiady, letniej ani zimowej, od czasu gdy ukończył Yale.

- Wiadomo, czy wybiera się do Sydney? - spytałem.

- Nie trafiłem dotąd na trop żadnej rezerwacji, chociaż to nie musi o niczym świadczyć.

Baum dodał, że Fitzgerald cieszył się na uczelni sławą znakomitego biegacza. Prawda, że obecnie żył jak samotnik, jeśli nie liczyć pracy, ale jego żaloba to zapewne usprawiedliwiała. W końcu pracował nad czymś, co go niewątpliwie pasjonowało i w czym był znakomity, przez cały dzień obracał się wśród młodych, utalentowanych i energicznych ludzi, więc zaszczyt się po godzinach we własnych pieleszach nie wydawało się czymś nienaturalnym.

- Jestem w stanie zrozumieć, że ktoś stroni od ludzi po przeżyciu takiej tragedii - przyznała Lidia.

- Tragedia osobista potrafi doprowadzić człowieka do najróżniejszych aberracji - zauważył detektyw.

- Wiadomo coś o wypadku, w którym zginęła jego żona? - zapytałem.

- Samochód - powiedział krótko Norman. - Ona prowadziła.

Serce wezbrało mi współczuciem dla Fitzgeralda. Simone zostawiła mi przynajmniej dziewczynki.

- Pasja olimpijska wydaje się czymś całkiem zdrowym - zauważyłem, zmieniając temat.

- Chociaż ślęczenie po nocach we własnej pracowni, kiedy facet zarobił już górę pieniędzy, to niewątpliwie obsesja. Skądinąd w ich branży nie należy to do rzadkości. Przyjrzałem się trochę Ellen Zito i kilku spośród jej kolegów, między innymi Hendrickowi oraz Kaminskiemu. Notabene nadal nie udało mi się ustalić, co ten ostatni właściwie robi. Zito też pracuje po nocach, tyle że w firmie, nie u siebie. Nie ma zresztą dużego domu, tylko niewielkie mieszkanie w Hartford.

- Masz cokolwiek na temat Meg Binder lub pozostałych?

- Nic ciekawego, gdyż skupiłem się głównie na prezesach.

- A więc to wszystko?

- Obawiam się, że tak. - Baum skinął głową.

- Wykonałeś wspaniałą robotę - pochwaliła go Lidia. - Jestem ci ogromnie wdzięczna.

- Byłbym rad, gdybym dokopał się czegoś, co samo prosi, żeby pójść dalej tym tropem - wyznał detektyw.

- No nie wiem - powiedziałem w zamyśleniu. - Nadal wydaje mi się, że Hawthorne zasługuje na większą uwagę ze strony FBI. Brak bliskich związków to rzecz niecodzienna.

- Niecodzienna, czyli anormalna? - sprecyzowała Lidia, unosząc brwi.

- Wielu seryjnych morderców to samotnicy - zgodził się Baum, po czym ugryzł się w język, czerwieniejąc gwałtownie.

- W porządku, Norman - odrzekła Lidia życzliwie. - Nie możesz uważać na każde słowo. - Pokręciła głową. - Ale chociaż ci ludzie mieszkają samotnie, nie sądzę, abyśmy mogli nazwać któregoś z nich samotnikiem.

- Co sądzisz na temat Kordy? - zapytałem, przechodząc dalej. - To kolekcjoner, więc może nie jest znów takim niepodobieństwem wyobrazić go sobie jako kolekcjonera młodych ludzi, obdarzonych talentem sportowym? - Wzdrygnąłem się w duchu na tę myśl i teraz ja z kolei żalowałem poniewczasie, że wypowiedziałem ją na głos.

- Tylko że - Norman pośpieszył mi z pomocą - jego życie wydaje się jeszcze bardziej wypełnione niż tamtych dwóch, a małżeństwo nie ujawniło chyba żadnych złych cech, bo inaczej była żona nie pozwalałaby mu spędzać tak wiele czasu z dziećmi.

- Poza tym wielu bogatych ludzi kolekcjonuje różne rzeczy - zauważyła Lidia.

- Myślę, że musimy uświadomić sobie pewne fakty - powiedział detektyw, przechodząc do podsumowania. - To oczywiste, że nie jesteśmy w stanie prowadzić autentycznego śledztwa w sprawie tych ludzi i szczerze mówiąc - dodał, podnosząc wzrok na Lidię - nie sądzę, abyśmy znaleźli coś, co upoważniałoby nas do żądania od FBI czegoś więcej niż rutynowe postępowanie wobec tych trzech przykładowych obywateli tylko dlatego, że zarządzają firmą, która wydała na świat Limbo.

- Zwłaszcza dlatego - przytaknąłem. - W końcu mają najwięcej do stracenia, gdyby opinia publiczna zwróciła się przeciwko ich produktowi.

- Chociaż nie ulega wątpliwości - odezwała się Lidia - że szaleni nie przejmowałyby się stanem interesów firmy. - Urwała. - Tak samo niegodziwiec, jeśli na dodatek jest bardzo bogaty.

- Wszystko jest możliwe, Lidio - zgodził się Baum, wzruszając ledwo dostrzegalnie ramionami.

- Tyle że niezbyt prawdopodobne - czułem się w obowiązku dodać.

Detektyw wyszedł niedługo potem, żeby odwiedzić swojego kuzyna. Wcześniej uzgodniliśmy, że wrócę do New Haven pociągiem, kiedy skończymy. Pozmywaliśmy z Lidią naczynia, niewiele przy tym mówiąc. Wiedziałem, że raport i rozmowa bardzo ją wyczerpały.

- Będę się zbierał - odezwałem się, gdy ostatni talerz został odstawiony na miejsce. - Powinnaś odpocząć. - Była prawie piąta po południu.

- Musisz iść? - Lidia pokręciła głową. - Przepraszam, oczywiście, że musisz.

Wydawało mi się, że przez dziarski ton przebija błagalna nuta.

- Właściwie nie muszę. Kim jest z dziewczynkami i wie, że mogę wrócić późno.

- Jej mąż nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Tom? Nie, on nie ma pretensji o takie rzeczy. Jeżeli się stęskni za Kim, po prostu przyłączy się do nich.

- Masz szczęście.

- Wiem o tym - powiedziałem.

Wróciliśmy do salonu i usiedliśmy. Telefon zadzwonił dwa razy. Za każdym razem, kiedy Lidia go odbierała, kostki jej palców białeły, tak kurczowo ścisnęła słuchawkę, ale byli to tylko przyjaciele, którzy dzwoniли, chcąc się dowiedzieć, co słycać.

Pomyślałem, że na jej miejscu chyba zacząłbym krzyczeć.

A może to nie tak? Może z Lidią było podobnie, jak ze mną po śmierci Simone? Wtedy nie krzycałem, chyba że w duchu. Bardzo często krzycałem w duchu.

- Przepraszam cię - powiedziała po drugim telefonie. - Czasem włączam automatyczną sekretarkę, kiedy już nie mogę tego wytrzymać, na ogół jednak wolę sama odbierać telefony, na wszelki wypadek.

Siedzieliśmy w milczeniu przez kilka minut, widziałem jednak, że coś ją zaprzęta, że chce mi coś powiedziec.

- Śmiało - zachęciłem ją w końcu.

- Chyba robię się całkiem bezczelna.

- Nie jest to słowo, którego bym użył w odniesieniu do ciebie.

- Nie byłabym taka pewna. Chciałam cię prosić o jeszcze jedną przysługę. Pamiętaj, że masz pełne prawo odmówić.

- W porządku - zapewniłem ją.

- Zastanawiałam się nad Hawthorne'em. Sama mówiłam, że jego samotny tryb życia o niczym nie świadczy, i pamiętam, co powiedział Baum na zakończenie naszej rozmowy, lecz wciąż coś mi mówi, że Kline powinien zostać przynajmniej zwrócony w tym kierunku - w ogóle w kierunku firmy Eryx. Sam to w pewnym momencie zasugerowałeś.

- Zgadza się - przytaknałem.

- Tak więc jutro mam zamiar zadzwonić do Kline'a i poprosić o jeszcze jedno spotkanie. - Milczała przez chwilę. - I byłabym ci bardzo wdzięczna za wsparcie, jeśli uda mi się z nim umówić. Nie tylko moralne. Kiedy przyszli tutaj z Angellą Moran i wspomniałam o tobie, zlekceważył to, lecz gdybyś był tu osobiście...

- Myślę, że zlekceważyłby mnie dokładnie tak samo.

Lidia przygryzła ledwie dostrzegalnie dolną wargę, ale kruchość tego gestu podziałała na mnie z nokautującą siłą.

- Przepraszam cię, Jake. Nie powinnam cię była prosić. - Wykonała ruch, jakby chciała wstać. - Musisz wracać do domu.

- Siadaj, Lidio - powiedziałem, podnosząc się. - Proszę cię, usiądź. - Zadzwonię do domu i dowiem się, czy Kim może zostać na noc. - Dostrzegłem wyraz jej twarzy. - Jeśli będzie to niewygodne dla niej lub dla Toma, wrócę do domu.

- Obiecujesz?

- Nie będę miał wyjścia.

Zadzwoń i dowiedziałem się, że nie ma przeszkód, Tom może przyjść i skorzystać razem z Kim z naszego zapasowego łóżka.

- Dziewczynki proszą cię na słówko - odezwała się Kim.

Ella podeszła pierwsza. Wyjaśniłem jej, zgodnie z prawdą, że muszę zostać na noc w Nowym Jorku, aby pójść rano na ważne spotkanie z panią, do której przyjechałem, i że wrócę nazajutrz.

- W porządku, tato. - Wyglądało na to, że ze strony Elli też nie ma żadnych przeszkód.

Gdyby było inaczej, mała nie miałaby zahamowań, żeby mnie o tym powiadomić. Powiedziałem jej, że ją kocham, a ona odwzajemniła mi się tym samym, czułem jednak, że chce jak najprędzej wrócić do tego, czym była zajęta, cokolwiek robiła.

Teraz przyszła kolej na Riannę. Wiedziałem, że z nią muszę być nieco bardziej konkretny.

- Chcemy spróbować porozmawiać jutro z szefem grupy dochodzeniowej z FBI.

- To agent Kline, prawda? - spytała Rianna.

- Zgadza się. Ale jeżeli nie będzie się mógł z nami jutro spotkać, wracam do domu tak czy inaczej, dobrze?

- Dobrze.

- U was wszystko w porządku?

- W porządku - zapewniła mnie Rianna. - Gdzie będziesz nocował, tato? - zapytała po chwili milczenia.

Uświadomiłem sobie, że w ogóle o tym nie pomyślałem.

- W hotelu - odrzekłem.

- W którym?

- Jeszcze nie wiem, w Nowym Jorku jest zatrzęsienie hoteli.

Zatrzęsienie, być może, ale wszędzie, gdzie próbowałem dzwonić, mieli komplet rezerwacji.

Tak się złożyło, że przekonałem się o tym dopiero po wyjściu od Lidii. Opuściłem mieszkanie za kwadrans szósta, zapewniając ją z przekonaniem, że znam kilka przyzwoitych miejsc, gdzie zawsze mają wolne pokoje, o czym wiem, bo korzystają z nich moi koledzy z uczelni, kiedy wypada im nieprzewidziany nocleg na Manhattanie.

W końcu udało mi się załatwić nocleg w jakiejś zakazanej dziurze na Broadwayu. Zgodnie z obietnicą zadzwoniłem do Lidii, skłamałem, że

znalazłem przytulny ką, podałem numer telefonu i obiecałem zadzwonić rano, po czym poszedłem coś zjeść. Zmordowany, nie pragnąc niczego więcej oprócz kanapki, skierowałem się do baru, łyknąłem tosta z szynką i musztardą, popijając go jednym piwem i poprawiając trzema kolejkami whisky.

Dawno to było, kiedy po raz ostatni wypilem tyle alkoholu. Bardzo dawno.

Toteż kiedy wróciłem do swojego, pozał się Boże, „hotelu” i zobaczyłem, że w holu czeka na mnie Lidia, moja zdolność obrony była bardzo ograniczona.

Przebrała się w dzinsy, luźny biały sweter i tenisówki i wyglądała po prostu pięknie.

- Dzwoniłam do ciebie jakiś czas temu - wyjaśniła cicho - i w ten sposób dowiedziałam się, w jakim to „sympatycznym hotelu” się zatrzymałam.

- Znasz to miejsce? - zdziwiłem się.

- Kiedyś nocował tu mój przyjaciel, muzyk. Stąd wiem, co to za nora.

- Jest całkiem przyzwoity - bąknąłem.

- Nie, nie jest - oświadczyła - i dlatego wracasz do mnie i będziesz spał w naszym gościnnym pokoju.

Nie miałem siły protestować.

Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty protestować.

ROZDZIAŁ 43

Tej nocy Rianna leżała bezsennie przez dłuższy czas. Ojciec nie zadzwonił po raz drugi, czego podświadomie oczekiwała, chociaż nie obiecywał, że to zrobi. Powiedział, że idzie spać do hotelu, wyczuła jednak ledwie dosłyszalne wahanie w jego głosie, więc zastanawiała się...

Nad czym, Rianno?

Tata miał prawie czterdzieści lat. Nie potrzebował pozwolenia swojej piętnastoletniej córki, żeby nocować w hotelu albo nie nocować w hotelu, cokolwiek miałyby z tego wynikać. Poza tym nie potrafiła jednoznacznie stwierdzić, czy ma coś przeciwko temu, aby spędził tę noc u pani Johanssen i właśnie w tej chwili był w łóżku z Lidią. W końcu musiał sypiać z kobietami od czasu śmierci matki - to normalne, czyż nie?

„Jak cholera” - powiedziałyby Shannon, gdyby tu była w tej chwili.

Tylko że tamte kobiety - jeśli istniały - przypuszczalnie niewiele dla niego znaczyły.

A Rianna miała nieodparte wrażenie, że z Lidią Johanssen jest inaczej.

- W porządku - powiedziała do siebie w ciemności i zauważyła, że się uśmiecha.

To też jej specjalnie nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, w ogóle jej to nie przeszkadzało.

Pod warunkiem, że Lidia nie zrani taty.

ROZDZIAŁ 44

Obudziły mnie jakieś odgłosy. W jednej chwili otrzeźwiałem, przypominając sobie natychmiast, gdzie się znajduję. W podwójnym łóżku w gościnnym pokoju Lidii. Wydawało mi się również, że wiem, co to za dźwięk.

Lidia miała zły sen.

Koszmarny sen.

Leżałem, usiłując nie słuchać, ale nie mogłem nie słyszeć i nie wiedziałem, co robić. Na zegarze stojącym na nocnym stoliku widniała trzecia pięćdziesiąt trzy. Nie mogłem wejść ot, tak sobie do jej pokoju. Na pewno byłaby skrepowana, a to ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem...

Lidia krzyknęła. Przeszywający dźwięk, niemal skowyt.

Wstałem, włożyłem szlafrok wiszący na drzwiach, zawiązałem pasek i ruszyłem przez ciemny, obcy korytarz w poszukiwaniu źródła dźwięku.

Tutaj.

Otworzyłem drzwi. Tu też było ciemno, widziałem jednak jej kształt w łóżku stojącym na środku pokoju. Leżała skulona pod przykryciem, bijąc rękami wokół siebie i jęcząc, teraz ciszej, lecz wciąż jęcząc...

Pomyślałem, czy nie zapalić światła, lecz wydało mi się to zbyt brutalne, więc podszedłem cicho do łóżka i przyglądałem się jej przez chwilę. Piękne włosy w nieładzie, zakrywające pół twarzy.

Wyciągnąłem rękę i delikatnie dotknąłem policzka Lidii.

Poruszyła się, znów wydając jeden z tych okropnych jęków.

- Lidio. - Poglądziłem delikatnie jej policzek. - Już dobrze. - Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego wygadujemy takie rzeczy, czemu wmawiamy komuś, że jest dobrze, kiedy to oczywista nieprawda. Mimo wszystko powtórzyłem jeszcze raz. - Już dobrze, Lidio. Obudź się.

Ocknęła się, zobaczyła mnie i jej ręka szybkim ruchem nakryła moją. Lidia zrobiła to odruchowo, nie całkiem jeszcze rozbudzona. Chciała przytrzymać moją dłoń i ta świadomość napełniła mnie czymś niebezpiecznie bliskim radości.

Dawno już, bardzo dawno nie czułem czegoś podobnego.

- Coś ci się przyśniło - tłumaczyłem tonem, jakim mógłbym przemawiać do jednej ze swoich dziewczynek. - To tylko zły sen, nic więcej. Już wszystko dobrze.

Nie odezwała się, ale moje oczy przyzwyczajały się powoli do ciemności i wydawało mi się, że dostrzegam łzy na jej rzesach. Po chwili puściła moją dłoń i wyciągnęła do mnie ramiona.

- Nie sądz z pozorów, Jake.

Nie mogłem odpowiedzieć na ten gest, nie siadając na jej łóżku.

- Jake - szepnęła nagłym tonem. - Proszę cię, Jake.

Znalazłem się na łóżku, poczułem, że jej ramiona otaczają mnie ciasno, objąłem ją i przytuliłem.

Jej zapach, jej ciało w moich objęciach, to było nieomal więcej, niż mogłem znieść. Tak miękkie, tak ciepłe, tak niewiarygodnie cudowne.

Najwspanialsze ukojenie pod słońcem, choć nie był to po prostu uścisk niosący ukojenie, dla żadnego z nas.

Bynajmniej.

- Jesteś pewna, Lidio? - Pytanie stare jak świat, lecz musiałem je zadać, musiałem mieć pewność, że nie jest to dalszy ciąg jej snu, że wie, co robi. Nie mógłbym znieść myśli, że ją w jakiś sposób wykorzystałem.

- Najzupełniej - odpowiedziała.

W jej głosie nie było teraz śladu senności. Wiedziała, co robi, wiedziała, ku czemu zmierzamy. Dzięki Bogu. O, dzięki Bogu.

Nie bardzo pamiętam, jak pozbyliśmy się ubrań. W jednej chwili Lidia miała na sobie piżamę z jakiegoś jedwabistego materiału, a ja ten szlafrok - po chwili zaś była tylko naga skóra i gmatwanina doznań, chociaż najśłodsze, najcudowniejsze ze wszystkiego wydały mi się nasze pocałunki, ta intymność i ciepło, ta nieopisana bliskość, kiedy nasze usta się spotykały...

I nagle byłem w niej, w ciemnym, cudownym, aksamitnym miejscu, a ona znów jęczała, był to jednak zupełnie inny dźwięk niż przedtem, Bogu dzięki. Ja też coś krzychałem, nie bardzo wiem co, nie wiem, czy z moich ust wydobywały się normalne słowa i nie miało to najmniejszego znaczenia, nie obchodziło mnie.

Tylko ona mnie obchodziła. Tylko Lidia. Tak bardzo jej potrzebowałem. Tak bardzo potrzebowaliśmy siebie nawzajem.

Za szybko, o wiele za szybko, do mojej świadomości zakradło się pytanie Rianny, gdzie mam zamiar zatrzymać się na noc. Zacząłem się nagle zastanawiać, z niejasnym poczuciem winy, czy już wtedy coś mi nie chodziło po głowie. Ale nie, przynajmniej miałem nadzieję, że nie...

- Nie zaczynaj z wyrzutami sumienia.

Jej głos zabrzmiał tak niespodziewanie. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że Lidia mi się przygląda, z iskierkami humoru w tych swoich pięknych oczach.

- W każdym razie nie z mojego powodu.

- Nie chodzi o wyrzuty - wyjaśniłem, szukając właściwych słów i starając się odpowiedzieć uczciwie. - Może po prostu się boję, czy cię nie wykorzystalem.

Lidia utkwiała we mnie wzrok.

- Sądzisz, że bym na to pozwoliła, Jake?

- Nie. - Miała rację.

- No to w porządku.

I znów znalazła się w moich objęciach, tym razem, żeby usnąć.

Obudziłem się ze straszliwym bólem głowy i w pustym łóżku, naciągnąłem szlafrok i poczłapałem do łazienki, żeby spryskać twarz zimną wodą i podkraść z apteczki aspirynę.

Lidia już była ubrana, znów w dżinsach i w prostej białej koszulce z krótkim rękawem, zajęta przygotowywaniem śniadania.

- Dzień dobry.

Przez chwilę stałem w drzwiach, przyglądając się jej z zachwytem i już tęskniąc do tego, żeby znów ją objąć.

- Pomyślałam sobie, że nie będziesz miał ochoty na wiele więcej niż tosta i kawę. - Odwróciła się w stronę kuchenki. - Najpierw kawa.

Jej ton był ciepły, lecz świadomie lekki, manewr zamierzony. Odprawa. Tego nie przewidziałem. Serce ścisnął mi chłód i smutek.

- Lidio.

- Usiądź, Jake. - Postawiła na stole dzbanek z kawą, potem dzbanuszek ze śmietanką.

- Dziękuję. - Świetne przemówienie, Jake. Co za popis elokwencji!

Zacząłem się zastanawiać, czy to wszystko mi się przypadkiem nie przyśniło.

Usiedliśmy oboje.

- Pozwól, że ja zacznę - odezwała się Lidia. - Na policzki wystąpił jej

lekki rumieniec. - Muszę to zrobić, zanim oboje zaczniemy się czuć niezręcznie.

- Czy coś się stało? - Może miała jakiś telefon, może nie słyszałem, jak dzwonił?

- Nie. - Urwała. - Po prostu myślę, że życzysz sobie w duchu, aby ostatnia noc nigdy się nie zdarzyła.

- Nieprawda - odparłem szybko, zdecydowanie. - Nic podobnego.

- W takim razie myślisz, że to nie powinno było się zdarzyć.

To wydawało się nieco bliższe prawdy, w każdym razie wystarczająco bliskie, aby zamknąć mi usta.

- Wyobrażam sobie, jak się musisz czuć - ciągnęła szybko. - Najpierw cię proszę, żebyś został na noc w Nowym Jorku, potem niemal wywlekam cię z hotelu i wreszcie znajdujesz mnie w środku nocy, w chwili mojej największej słabości. A ponieważ jesteś, jaki jesteś, starasz się mi pomóc i prawda jest taka, że jeśli ktoś tu kogoś wykorzystał, toja ciebie.

- Żartujesz? - Wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem.

- Nie, Jake, nie żartuję. - Lidia wstała, żeby przynieść tosty. - Ostatnia noc była naprawdę cudowna - powiedziała, odwrócona do mnie plecami.

- Najwspanialsza rzecz, jaka mi się przydarzyła od bardzo długiego czasu.

- Odwróciła się do mnie, z wyrazem zdecydowania na twarzy. - Ale nie chcę, żebyś się martwił, że zaczęliśmy coś, do czego nie jesteś gotów - ciągnęła jasnym głosem - bo rozumie się samo przez się, że ja mam w tej chwili inne sprawy na głowie.

Robbie. Biedny zaginiony Robbie.

Jeszcze nigdy żadna kobieta tak mnie nie zbiła z pantałyku. Nawet Simone, która była mistrzynią w zaginaniu mnie, żebym przypadkiem nie wyszedł z wprawy.

- Lidio... - zacząłem, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. W głowie miałem mętlik.

- Wszystko gotowe - oznajmiła.

Gonisz w piętę, stary.

Wstałem.

- Lidio, musimy porozmawiać.

Uśmiechnęła się, unosząc koszyczek na tosty. Nie był to prawdziwy uśmiech, raczej rodzaj zasłony i nagle koszyczek wydał mi się w jej dłoni tarczą.

- Zjedzmy śniadanie - powiedziała. - A potem, jeśli to z twojej strony nadal aktualne, może spróbowałibyśmy zadzwonić do Kline'a.

Kłapa na całej linii.

Na domiar wszystkiego, Kline'a nie było pod telefonem, Angeli Moran również. Proponowano Lidii w zamian kogoś innego, lecz domagała się rozmowy z szefem. Wsłuchiwałem się w jej głos: ani śladu hysterii, tylko żelazna, niczym nieskazona determinacja matki walczącej o swoje dziecko.

- Co teraz? - zapytałem, kiedy skończyła.

- Myślisz, że celowo mnie unika?

- Nie sędzę - odrzekłem. - Myślę, że powinnaś mu trochę bardziej ufać - dodałem po chwili.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle jeszcze komukolwiek ufam - odparła, po czym się zaczerwieniła. - To nie tak. - Pokręciła głową. - Pamiętam, co mi mówiłeś o tych ludziach, o tym, jak się starają, ale po prostu trudno mi uwierzyć, że człowiek tego pokroju przejmuje się wystarczająco moim synem.

- Nie tak jak ty, oczywiście - powiedziałem. - Jednak jestem przekonany, że zależy mu na odnalezieniu Robbiego, Michaela i pozostałych.

- Mam nadzieję, że to prawda.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że czekam, niczym jakieś samolubne dziecko, żeby włączyła mnie w tę kwestię, żeby powiedziała, że mi ufa, bez względu na to, co sądzi na temat Kline'a. Oczywiście nie zrobiła tego, bo nie było powodu, bo to się rozumiało samo przez się, a przynajmniej powinno się rozumieć.

A także dlatego, że, jak to lapidarnie określiła, nim zasiedliśmy do śniadania, miała w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie.

Czas do domu.

Znowu.

ROZDZIAŁ 45

Wiedział, że tym razem, kiedy dziewczyna zniknie, będzie musiał działać szybko, żeby znaleźć jej następczynię. Tego ranka urządził Steelowi kolejne solowe ćwiczenie. Chłopak wydawał się zaniepokojony tym, że nigdzie nie widział Dakoty, i wyglądało na to, że jest szczerze przejęty.

Pocziwy Steel.

Jakie to krzepiące dostrzec w nim tę serdeczną troskę. Pocziwy dziłkus. Dwie cechy, które miał nadzieję częściej u niego podziwiać w przyszłości.

Steel się zbiesił, zrobił scenę, oświadczył, że nie będzie grał, a potem, że nie będzie jadł. Nie przejął się tym i użył swojego zwykłego straszaka, grożąc chłopcu ciemnością i ciszą, co oczywiście podziałało. To było zawsze skuteczne narzędzie perswazji, bo odwoływało się do najbardziej elementarnych, prymitywnych lęków.

Miał jednak kolejny sygnał, że nie wolno mu powtórzyć poprzedniego błędu. Tego Steela po prostu nie mógł zmarnować. Musiał znaleźć dla niego nową Dakotę - tym razem właściwą - która będzie go warta, która stanie się dla niego godną partnerką.

I musiał to zrobić szybko.

ROZDZIAŁ 46

Kline zadzwonił do mnie w sobotę rano. Od razu przystąpił do rzeczy, zaznaczając na wstępie, że dzwoni jedynie przez uprzejmość.

- Przed chwilą rozmawiałem z panią Johanssen i powtarzam panu dokładnie to samo, co powiedziałem jej. Jasne, profesorze?

- Jasne. - Ja również byłem lakoniczny.

- Po pierwsze, chciałem panu przypomnieć to, o czym pan z pewnością wie, a mianowicie, że nie mam obowiązku udzielać panu jakichkolwiek informacji na temat śledztwa, prowadzonego przez FBI.

- Oczywiście.

- Otóż nadal prowadzimy szczegółowe rozpoznanie w Eryksie, od góry aż do najniższego szczybla. Szczerze mówiąc, nie sądzę, abyśmy znaleźli tam porywacza, przyglądamy się jednak tym ludziom uważnie, co oznacza, że pan, pani Johanssen i pan Baum powinniście się od tej pory trzymać z daleka od firmy. Rozumiemy się?

- Oczywiście - powtórzyłem. - I dziękuję, że pan do mnie zadzwonił. - Mówiłem szczerze. Było to o wiele więcej, niż się spodziewałem.

- Nie jestem pewien, czy pani Johanssen jest tego samego zdania - odrzekł Kline. - Może mógłby się pan upewnić, czy mnie dobrze zrozumiała?

- Zrobię, co będę w stanie.

Podziękował mi i na tym zakończyliśmy rozmowę. Mogłem próbować go naciskać. Bóg mi świadkiem, że w głowie kłębiło mi się pod dostatkiem pytań, ale wiedziałem, że Kline nie zechce, a może i nie będzie mógł na nie odpowiedzieć, więc dałem mu spokój.

W końcu jego czas był cenny.

Życie Robbiego, Mikeya i pozostałych znajdowało się w jego rękach. Nie zazdrościłem mu tego.

Hal Hawthorne wykluczył sam siebie z kręgu podejrzanych, a przynajmniej rozpoczął starania w tym kierunku mniej więcej w godzinę po

telefonie Kline'a, o czym Norman Baum doniósł mi w niedzielę wieczorem, kiedy było po wszystkim.

Rzecz miała miejsce w Chester, wczesnym sobotnim popołudniem. Hawthorne musiał zauważyć - prawdopodobnie nawet miał zauważyć - agentów FBI: Freda Friedricha i Martę King, siedzących w cywilnym samochodzie na parkingu, niezbyt oddalonym od zakładu fryzjerskiego, w którym akurat się strzygł. Jedli hot dogi, jakby mieli właśnie przerwę na lunch. Jak domyślaliśmy się z Baumem, usytuowali się w tym dogodnym punkcie, sprawdzając, jak na to zareaguje śledzony. Były to oczywiście jedynie nasze spekulacje na temat ich obecności w tym miejscu. Istotne, że po wyjściu od fryzjera, jeszcze otrzepując włosy z marynarki, Hawthorne podszedł prosto do samochodu, zastukał lekko w szybę, za którą siedziała agentka King i oświadczył, że zamiast patrzeć, jak oboje tracą cenny czas, chętnie oprowadziłby ich, wraz z dowolną ekipą, jaką chcieliby ze sobą zabrać, po swoim domu.

- Jak to ustaliłeś? - zapytałem, kiedy Norman zadzwonił do mnie z tą informacją.

- Znam faceta, który zna faceta, który zna Friedricha - wyjaśnił detektyw. - Uprzedzając dalsze pytania, dodam od razu, że Friedrich tylko zastępował w sobotę kogoś, kto zachorował, nie oznacza to więc, że mamy wtyczkę w grupie operacyjnej rozpracowującej sprawę Limbo.

Według informatora Bauma Hawthorne miał powiedzieć, że czułby się o niebo lepiej i łatwiej byłoby mu się zająć własnymi sprawami, gdyby FBI wyeliminowało go ze swojego śledztwa. Powiedział, że świadomość bycia nawet marginalnym podejrzanym w tej sprawie jest dla niego niemal nie do zniesienia.

- Prawnicy przygotowali grunt dla obu stron - ciągnął Baum - po czym ekipa Kline'a wkroczyła i przeszukała posesję.

- Okazja, jaka im się drugi raz nie trafi - zauważyłem.

- Zgadza się.

Ludzie przeszukujący dom zostali poinstruowani, że mają być drobiazgowo skrupulatni i równie oględni. Nie wolno im niczego przeoczyć, ale też niczego zniszczyć, mają pytać o pozwolenie, nim otworzą jakąkolwiek szafę lub szufladę, nim bodaj rzucą okiem w stronę czegokolwiek, co przypominałoby schowek, strych lub piwnicę...

- I? - zapytałem, chociaż odpowiedź była z góry przesądzona.

- Nic.

- I to wszystko? Ten dom i już?

- Podobno Hawthorne zaproponował też przeszukanie jego winnicy

i apartamentu w Bostonie, mój informator nie wie jednak, czy z tego skorzystano, bo Friedrich wrócił do swoich obowiązków.

Uzgodniliśmy, że to ja zawiadomię Lidie. Nie paliłem się do tego. Rozmawialiśmy dwukrotnie od czasu mojej ostatniej wizyty w Nowym Jorku. I za pierwszym, i za drugim razem wypadło to niezręcznie. Lidia dawała jasno do zrozumienia, nie mówiąc tego wprost, że lepiej, abyśmy trzymali się z daleka od siebie.

Tym razem miałem przynajmniej coś konkretnego do zakomunikowania, chociaż nic, co dawałoby nadzieję na radykalny przełom w śledztwie.

- I to wszystko? - rzuciła, kiedy skończyłem. - Przeszukują dom jednego człowieka, gdy sam ich do niego zaprasza, i na tym koniec? - W jej głosie usłyszałem skrajne rozdrażnienie, jak wcześniej, jednego z owych dni, kiedy czuła, że jest u kresu wytrzymałości.

- Nie sądzę - odpowiedziałem. - Kline nie jest naiwny. Wie, że podejrzani robią w takiej sytuacji najróżniejsze wolty. Jedni stają się agresywni, inni udają, że nic się nie dzieje, jeszcze inni otwierają szeroko drzwi, żeby zakończyć sprawę.

- Niewinni ludzie - zauważyła Lidia sarkastycznie.

- Kline wie, że Hawthorne mógł potraktować to jako szansę, aby zademonstrować swoją niewinność. Wie też, że to go nie czyni niewinnym. Winnym również - urwałem. - W sumie, moim zdaniem, najważniejszy w tym wszystkim jest fakt, że Hawthorne zaczął współpracować z ludźmi Kline'a, którzy, jak utrzymuje znajomy Bauma, mogli dzięki temu zadać w Chester znacznie więcej pytań, niż byłby to w stanie zrobić on sam.

- Czy wiemy, co ustalili?

- Nic nowego. Że jest całkiem towarzyskim facetem i widuje się go w mieście, na przykład pija regularnie kawę z właścicielem księgarni - a nawet wydaje od czasu do czasu przyjęcia dla ludzi z sąsiedztwa.

- Kamuflaż, to masz na myśli? Nie, o ile byli w stanie to ustalić.

Lidia westchnęła.

- A co z Kordą i Fitzgeraldem?

- Brak równie pomyślnych wieści. - Postanowiłem, że nie będę robić uników. - Baum przypuszcza, że ci z FBI bez ważnych powodów nie będą ryzykować, robiąc sobie z Kordy wroga. Facet jest, zdaje się, grubą rybą, ma koneksje i koligacje.

- Jakiego typu? - Lidia natychmiast rzuciła się na tę informację.

- Nie ten rodzaj koligacji. - Uśmiechnąłem się. - Prawnicy wśród

krewniaków, nawet kilku sędziów. Dosyć, żeby policja wystrzegala się wszystkiego, co mogłoby trącić szykanowaniem.

- A Fitzgerald? - indagowała dalej Lidia.

- Bardzo drażliwy, wygląda na to, że jest gotów iść do sądu o byle co. Jeżeli go wezmą pod lupę, zrobią to znacznie dyskretniej.

- A sądzisz, że wezmą?

- Prawdopodobnie - zapewniłem ją. - Ale myślę, że chodzi głównie o proces eliminacji, potencjalnych podejrzanych wyłuskiwać będą spośród użytkowników gry czy w innych miejscach, w których spodziewają się ich znaleźć. - Chciałem powiedzieć coś, co zabrzmiałoby choć trochę optymistycznie. - Sądzę na przykład, że mają oko na wszystkich autentycznych mistrzów Limbo.

Lidia umilkła. Niemal czułem, jak rozwiewają się jej ostatnie nadzieje na szybki finał. Mogłem jedynie wyobrazić sobie jej rozpacz na myśl o potężnym oceanie, w jakim FBI zarzuca sieci.

- Wiedzą, co robią. - Łatwo było mi mówić, kiedy moje córki siedziały bezpieczne w swoich pokojach. - Musisz w to wierzyć, Lidio.

- Wygląda na to, że nie mam innego wyjścia - odrzekła.

Ani słowa - uświadamiałem to sobie aż nazbyt jasno, kiedy się poze- gnaliśmy - ani jednego słowa, które dawałoby nadzieję, że nasza noc nie została wrzucona na dno szuflady z etykietą: „Niechlubne”, albo co gor- sza: „Nigdy więcej”. Wiedziałem, że to nierealistyczne, nawet nie na miej- scu, myśleć o intymnym związku z Lidią w obecnej sytuacji. W chwilach szczerości zdawałem sobie jednak sprawę, że tamta noc była dla mnie jak pierwszy haust chłodnej, krystalicznie czystej wody dla kogoś, kto spędził siedem lat na pustyni. Co tam wody - to było wino, takie, od którego cie- pło rozchodzi się po całym ciele, przenikając człowieka aż po czubki pal- ców. Więc choć starałem się usilnie, nie mogłem stłumić nadziei, że kiedy już będzie po wszystkim, kiedy, daj Boże, Robbie wróci bezpiecznie do domu, to kto wie...

I jeszcze jedno. Nie znałem Robbiego Johanssena, nigdy wcześniej go nie widziałem, lecz zaczynałem sobie uświadamiać, że jego bezpieczny powrót leży mi na sercu tak mocno, że nie jestem w stanie znieść nawet myśli o jakimkolwiek innym finale. Ze względu na Lidię i na niego.

I być może również ze względu na siebie.

ROZDZIAŁ 47

Było po wszystkim.

Dzięki Bogu.

Albo diabłu.

Miał to za sobą. Tak samo jak przedtem, tylko łatwiej, bez horrorów w ostatniej sekundzie. Po prostu śpiąca w ciemności dziewczyna nie zbudziła się, kiedy wszedł, i pomyślał sobie wtedy, że może nie chce się obudzić, nie chce już dalszego ciągu, a więc w gruncie rzeczy wyświadczał jej największą możliwą przysługę, kładąc kres cierpieniom.

Jeden strzał, bezbłędnie wymierzony mimo trzęsących się rąk. Trzęsły się nadal, cała owa przyprawiająca o mdłości makabra była mu nienawistna, tak jak za każdym razem.

Wydawało mu się, że i tym razem krzyczał, choć nie mógł sobie tego przypomnieć. Zbyt wiele się wydarzyło od tego czasu. Po pierwsze, wszystkie te ohydne zabiegi: przykrywanie, sprzątanie, zawijanie w folię, odstawianie do chłodni. Torsje po wszystkim.

A potem objawienie.

Starał się być na bieżąco, jeśli chodzi o śledztwo prowadzone przez FBI, co okazało się niełatwe, biorąc pod uwagę wieczny brak czasu, i to wszystko, czego musiał dopilnować, za co odpowiadał, a był człowiekiem sumiennym. Lecz dawno już nauczył się robić właściwy użytek ze swoich zasobów umiejętności i odwagi.

A dzisiaj odkrył coś szczególnego, coś niezwykłego i niemal zbyt pięknego, żeby miał odwagę w to uwierzyć.

Profesor. Ten, który zdaje się wpadł w oko mamie Steela. Który wtykał swój długi nos w nie swoje sprawy, ponoć dlatego, że był zaprzyjaźniony z Cooperami, chociaż jemu nie zdołał zamydlić oczu ani na chwilę. Wiedział, że facet chce po prostu wskoczyć do majątek mamusce Steela. Czy to nie obrzydliwe?

Nie o to chodziło jednak, już nie. Nie na tym polegała rewelacja, o której się dzisiaj dowiedział. Szczęśliwy traf, cudowne niewątpliwie zrządzenie losu. Otóż profesor Jacob Woods miał córkę.

Nie jakąś tam córkę.

Widział jej fotografie.

Rianna Woods miała piętnaście lat i była piękna.

I uprawiała z powodzeniem gimnastykę.

Niemal przestał oddychać, kiedy zobaczył te zdjęcia.

Wiedział, że aparat fotograficzny czasem kłamie, że musi zobaczyć ją z bliska i przekonać się na własne oczy. Lecz już teraz był pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, instynkt mu to podpowiadał, serce waliło jak młotem, wnętrze stawały dęba, całe ciało i umysł płonęły tą niemal całkowitą pewnością.

Tamta w chłodni była już niewiele więcej niż wspomnieniem. Przedmiotem. Smutna sprawa, ale skończona, zamknięta.

Musiał skupić się teraz na czym innym.

Odpowiednia partnerka dla Steela. Godna tego młodzieńca towarzyszka zabawy.

Prawdziwa Dakota. Nareszcie.

CZEŚĆ IV

ROZDZIAŁ 48

To było jak zastrzyk nowego życia.

Jak transfuzja.

W czwartek dwudziestego lipca dwutysięcznego roku znalazł Dakotę.

Patrzył, jak gra we frisbee ze swoją młodszą siostrą i z tą Ryan z Wooster Square. Rianna rzuciła krążek do Elli, mierząc starannie, miała złapała go przy aplauzie opiekunki, po czym chciała odrzucić z powrotem, ale chybiła, omal nie trafiając w lewą łydkę posągu generała Woostera.

Obserwował je z samochodu, trzymając w rękę plan New Haven w charakterze rekwizytu. Profesora nie było widać w pobliżu, ale piętnastolatka była pod równie troskliwą opieką co zawsze, kiedy ją widział w ciągu ostatnich dwóch dni. Jeśli nie znajdowała się w domu, to towarzyszył jej ojciec, gospodyni lub przyjaciele, a w klubie High Fliers przejmowała nad nią straż czujna i baczna trenerka Carlin.

Zanosilo się na to, że będzie trudniej niż kiedykolwiek. Nie dawał jednak za wygraną.

To było przeznaczenie. Musiało mu się udać.

Nawet jeśli nie w poetyckim akcie sprawiedliwej odpłaty ekspliniarzowi-profesorowi, który zdawał się nie pamiętać, że wycofał się z aparatu ścigania przed dziesięcioma laty z okładem... Nawet jeśli pominąć ten aspekt, nie zdołałby zrezygnować z Rianny Woods.

Była olśniewającą młodą kobietą. Kobieta-dzieckiem pod wieloma względami, może mniej wyrafinowaną niż niektóre dzisiejsze piętnastolatki, a jednak w jej sposobie bycia pojawiała się jakaś dojrzałość. Wysoka jak na swój wiek, smukła, lecz nie za chuda, drobne piersi nie w pełni rozwinięte. Wciąż jeszcze córeczka tatusia. Piękna twarz. Wyraźne ciemne brwi nad szarymi, myślącymi oczyma. Duże, zmysłowe usta o pełnej dolnej wardze. Zachwycająca w momentach powagi i w chwilach wesołości.

Wczoraj obserwował przez jakiś czas Woodsa, który pojechał odebrać najpierw młodszą córkę z domu przyjaciół w Mildford, a potem Riannę z

klubu sportowego. Ich powitalny uścisk był tak naturalny, tak pełen miłości, że poczuł pod powiekami piekące łzy.

On w dzieciństwie nie zaznał uścisków ojca.

Oczywiście, sam był sobie winien.

Nie miał teraz czasu o tym myśleć.

Będzie musiał wymyślić dla Rianny coś innego, coś specjalnego. I zachować nadzwyczajne środki ostrożności, wysyłając grę. Choć tym razem, oczywiście, trzeba poczekać, aż będzie po wszystkim, inaczej tatuś nie spuściłby dziewczyny z oka ani na sekundę.

Nim przesyłka dla profesora Woodsa dotrze na miejsce, jego hoże dziewczę - prawie kobieta - zniknie. I czy nie pożałuje wtedy, że wtykał nos w nie swoje sprawy?

Już nie Rianna.

Dakota.

ROZDZIAŁ 49

Lidia nie była w stanie przestać myśleć o Eryksie, chociaż starała się ze wszystkich sił i nawet wyrzucała sobie brak logiki. Rozmawiała z Jake'em kilka razy od tamtej niedzieli i za każdym razem zmieniał temat, kiedy rozmowa schodziła na Korde, Fitzgeralda i Hawthorne'a.

Wiedziała, że prawdopodobnie miał rację. Tak jak wiedziała, że FBI prawdopodobnie miało rację, kierując śledztwo na inne tory niż korporacja.

Tylko że „prawdopodobnie” nie było w tej chwili słowem, które robiłoby na niej wrażenie. Zbyt przypominało stwierdzenie, że „prawdopodobnie” znajdą Robbiego w najbliższej przyszłości. I „prawdopodobnie” będzie wtedy jeszcze żył. Odpukać w niemalowane. To za mało. O wiele, wiele za mało.

Wciąż nie mogła zapomnieć uczucia, które owładnęło nią wtedy w gabinecie Kordey. Usiłowała wybić sobie z głowy te myśli albo przynajmniej doszukać się w nich jakiegoś sensu, odniesienia do czegoś lub kogoś konkretnego, jednak nie mogła. Za łatwe by to było.

Łatwe. Dlaczego cokolwiek miałoby stać się dla niej łatwe? Z pewnością nie było łatwo Robbiemu. Samotnemu i przerażonemu, zmuszonemu do stawiania czoła Bóg jeden wie czemu...

Przestań. Myśl praktycznie.

Czas zrobić coś konkretnego.

Nawet jeśli żaden ze współwłaścicieli czy pracowników firmy Eryx nie był bezpośrednio zamieszany w sprawę, nie znaczyło to, że jakieś tropy nie mogły prowadzić od nich do innych, którzy byli w nią zamieszani. Zasugerowała kiedyś Jake'owi, że mogłaby pojechać tam jeszcze raz, sama, że może mniej by się mieli na baczości, gdyby go z nią nie było, lecz zdecydowanie odrzucił ten pomysł, zwłaszcza po tym, gdy Kline kazał im trzymać się z daleka od Eryxu.

Nie zmieniało to jednak faktu, że z dnia na dzień Lidię ogarniała większa rozpacz, tak wielka, że nawet wrażliwy, współczujący Jake nie zdołałby sobie tego wyobrazić.

Miotła się między wysiłkami, by nie myśleć o ich wspólnej nocy, a świadomym przywoływaniem tego wspomnienia, aby się przy nim ogrzać, przypomnieć sobie, jaki smak mogłoby mieć życie. Poczucie winy zwyciężało bez trudu w tym pojedynku.

Istniały dla niej ważniejsze rzeczy niż seks czy nawet pociecha.

Jedna rzecz, tak naprawdę.

Odzyskanie Robbiego.

ROZDZIAŁ 50

Plan był gotowy. Bardziej skomplikowany niż jakikolwiek wcześniejszy, w większym stopniu uwzględniał nieprzewidziane przeszkody, jakie mogły się pojawić w ostatniej chwili. Odważniejszy, zuchwalszy. Bardziej ryzykowny.

Odwaga to dobra rzecz.

Tak mawiał ojciec.

Dziewczyna była bardziej chroniona niż wielu nastolatków w dzisiejszych czasach.

Dobrzy ojcowie ochraniają swoje dzieci tak długo, jak długo są w stanie. Tylko że nawet najlepsi nie mogą pilnować ich przez cały dzień, w każdej sekundzie.

Zwłaszcza kiedy są zaabsorbowani czym innym.

On zaś był zaabsorbowany tylko jednym. Idealnie skoncentrowany.

Skoncentrowany na Riannie Woods. Na Dakocie.

Obserwował.

Czekał.

ROZDZIAŁ 51

W sobotni rano Lidia wyruszyła w drogę wynajętym autem. Mieszkając na Manhattanie, nie widziała potrzeby posiadania własnego samochodu, ale jej prawo jazdy wciąż było ważne.

Cel jej podróży stanowił dom Williama Fitzgeralda, położony na wschód od Moodus. Zaplanowała starannie trasę: najpierw autostrada do Connecticut, potem droga numer dziewięć, po zachodniej stronie rzeki, omijająca Chester (i dom prawdopodobnie, zapewne, być może niewinnego Hawthorne'a). Przejechała na drugi brzeg po stalowym moście zwozonym w pobliżu Goodspeed Opera House, jak wtedy z Jakiem (wydawało jej się teraz, że przed wieloma miesiącami), po czym skręciła na szosę...

I co dalej?

Nie miała wątpliwości, dlaczego znów przyjechała w te okolice stanu Connecticut. Bo była zdesperowana i w rozpacz. I nie miała pewności, czy ktokolwiek inny to zrobi. Bo Fitzgerald był drażliwy, a Korda to zbyt ważna figura. A Kline uważał (być może, zapewne, najprawdopodobniej), że węszenie wokół tych ludzi to marnotrawienie czasu i zasobów. Dlatego przyjechała tu w pojedynkę, czując, że musi to uczynić, musi sama zrobić w myślach grubą kreskę, oddzielającą nazwiska trzech współwłaścicieli firmy Eryx, zanim będzie w stanie pójść dalej.

Oto zjazd...

Największy problem polegał w tej chwili na tym, że dalej właściwie nie miała konkretnego planu. Co zrobi, kiedy znajdzie się w posiadłości Fitzgeralda, o ile uda się dostać w pobliże domu i nie zatrzymają jej ochroniarze? Obejrzy go sobie z daleka? Zastuka do drzwi? I co dalej? Powiedzieć, że przyjechała na kawę i czekać, niczym jakiś jasnowidz od siedmiu boleści, czy znów nie pojawi się tamto uczucie? Fitzgerald byłby zachwycony.

Psiakość, Lidio.

Im była bliżej, tym mniej pewnie się czuła. A co, jeśli Fitzgerald machał palce w tym porwaniu? Co przyjdzie Robbiemu z jej nieprzemysłanych ruchów? A jeśli coś odkryje i w ten sposób spłoszy Fitzgeralda?

To tutaj.

„Posiadłość” - to zbyt wielkie słowo, jak się od razu zorientowała. Po prostu kilka akrów ziemi, część porośnięta trawą, jakby czekająca, aż coś lub ktoś zrobi z niej użytek, może zwierzęta albo dzieci. Ale dzieci tu oczywiście nie było, bo nieszczęsna ciężarna żona właściciela zginęła w wypadku, dlatego teraz Fitzgerald przesiadywał całymi dniami w firmie lub w domu, zamknięty w swojej pracowni...

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. I poczucie, że to wszystko daremne.

Mimo to jechała dalej, przez szeroką, otwartą bramę, a potem po wewnętrznej drodze, wysadzonej drzewami po obu stronach, w kierunku domu, stojącego na końcu alei. Nie było ochroniarzy, którzy mogliby ją zatrzymać.

Dom wyglądał dość malowniczo i przyjaźnie, z belkowaniem w stylu Tudorów, tak jak mogłoby zapewne wyglądać brytyjskie domostwo...

Nigdzie ani śladu Fitzgeralda. Ani kogokolwiek innego.

Dym. Pasemko, wydobywające się z kamiennego komina, ponad dachem krytym czerwoną dachówką. Co mogło oznaczać, że budynek nie jest zamknięty na cztery spusty, że ktoś znajduje się w środku. Albo gdzieś niedaleko.

Może właśnie ją obserwował.

Lidia zatrzymała samochód, wyłączyła silnik, otworzyła drzwi i wysiadła.

Skoro już tu dotarła, mogła podejść trochę bliżej.

Chociaż nie miała pojęcia, czego właściwie szuka, poza, ewentualnie, przekonaniem się, czy w tym domu dałoby się ukryć pięcioro nastolatków.

Od tego jednak jest FBI.

Tylko że Kline tego nie zrobi - bez względu na to, co powiedział Jake'owi - z obawy, że Fitzgerald pozwie go do sądu. Dobrze, niech więc pozwie ją za wtargnięcie na teren prywatnej posesji czy za napaść, wszystko jedno, jeśli tylko pomoże jej to odnaleźć Robbiego.

Mokasyne na miękkich podszewkach stąpały bezgłośnie i Lidia dziękowała w duchu, że pod stopami ma asfalt i jej kroków nie zdradzi chrzęszczący żwir. A jeśli już była obserwowana? Jeśli właściciel śledził ją z ukrycia i rzeczywiście więził tutaj dzieci? I jeżeli uzna teraz, że kryjówka przestała być bezpieczna i przeniesie je w jakieś inne miejsce?

Na litość boską, Lidio.

Opanowując nagle pragnienie, by czmychnąć, przyspieszyła kroku i wkrótce stała pod domem. Zebrała całą odwagę, nacisnęła dzwonek i czekała.

Nikt się nie pojawił. Zadzwoniła jeszcze raz, a potem zastukała, na wypadek gdyby dzwonek był zepsuty, po czym cofnęła się o kilka kroków i zobaczyła, że smużka dymu wciąż się wije na tle nieba.

Co wszakże nie musiało oznaczać, że ktoś jest w domu. A w takim razie może spróbowałyby porozglądać się trochę, niewidziana i niezatrzymana przez nikogo. Sprawdzić, czy gdzieś nie ma niskich okien albo drzwi prowadzących do piwnicy...

Zaczęła obchodzić dom, kierując się w lewo. Zauważyła, że ceglana fasadę przydałoby się odmalować, i chociaż dęby rosnące za domem były piękne, otaczający go ogród mógłby być bardziej zadbany.

Co innego zaprzęta właściciela?

Szła dalej. Wszystkie drzwi i okna były zamknięte. Nigdzie śladu piwnicy ani podejrzenie wyglądających przybudówek, nieużywanych garaży albo...

Nic.

Obeszła dom dookoła i ruszyła z powrotem w stronę samochodu. Nagle zatrzymała się i odwróciła.

Czuła, że musi zrobić jeszcze jedno.

Zawołać go.

- Robbie! - Zabrzmiało to zbyt słabo, zbyt niepewnie. Zaczerpnęła tchu i krzyknęła ze wszystkich sił.

- Robbie!

Nic.

Odwróciła się nagle.

Przez bramę, od której prowadziła wewnętrzna droga, wjeżdżał właśnie jakiś inny samochód. Oznakowany. Policja stanowa.

ROZDZIAŁ 52

To do ciebie.

Ella podała mi słuchawkę bezprzewodowego telefonu. Wziąłem ją, nie przerywając zmywania naczyń.

- Słucham, Jake Woods - powiedziałem.

- Jake, tu Lidia.

Radość, natychmiastowa. Wycisnąłem gąbkę i wrzuciłem ją do zlewu.

- Jak się masz?

Ella kręciła się koło lodówki, nie spuszczać ze mnie swoich szarobłękitnych oczu, w których malowało się żywe zainteresowanie. Palcami jednej dłoni machinalnie przegarniała włosy, bawiąc się nową, krótką fryzurką.

- Pewnie mi nie uwierzysz, Jake - głos Lidii brzmiał dziwnie - ale dzwonię z posterunku policji w Moodus. Zostałam zatrzymana i potrzebuję twojej pomocy.

Scott Korda był w samochodzie, kiedy zadzwonił Nick Ford.

- Pomyślałem sobie, że powinieneś o tym wiedzieć. Kamery w domu Billa zarejestrowały parę godzin temu wizytę Lidii Johanssen.

- Była sama?

- Do momentu przyjazdu policji stanowej.

- Miło się przekonać, że system działa.

- Oczywiście, że działa. - Ford osobiście nadzorował instalację kamer.

- Na taśmie widać, że zdążyła nieźle pomyszkować wokół domu, zanim przyjechali gliniarze.

- Nic więcej? - zapytał Korda.

- Billa nie ma w domu i wygląda na to, że nie wyrządziła żadnych szkód, ale pomyślałem sobie, że może chciałbyś o tym wiedzieć i ewentualnie pogadać z Kline'em.

- Woods się nie pojawił?

- Tym razem nie - odrzekł Ford. - Przynajmniej dotąd.

- Powiedziałeś Halowi?
- Zaraz do niego dzwonię. Przypuszczam, że spędza weekend w swojej winnicy.
- Nie zwracaj mu głowy - zadysponował Korda. - Należy mu się trochę spokoju i ciszy. Mnie zresztą też. Zostaw Lidię Johanssen policji. Prawdopodobnie sami się skontaktują z FBI, kiedy im wyjaśni, czego tam szukała.
- Może po tej nauczce przestanie nas nękać na jakiś czas.
- Chciałbym, żeby przestała nękać Kline'a - powiedział Korda. - Może wtedy FBI będzie mogło się skupić na znalezieniu sukinsyna, który za tym wszystkim stoi.
- I dzieciaków.
- Amen - zakończył Korda.

Lidia robiła wrażenie ogromnie zakłopotanej, ja z kolei, w pierwszych minutach po odłożeniu słuchawki, doznawałem najróżniejszych, wzajemnie sprzecznych uczuć. Z jednej strony byłem na nią zły za lekkomyślność, a z drugiej pełen najgłębszego podziwu dla jej odwagi. Nie wiedziałem, co konkretnie zrobiła, lecz rozumiało się samo przez się, że działała nierozważnie, wręcz jak szalona. Była jednak matką porwanego syna i w obliczu tego faktu wszystkie normalne reguły postępowania należało zawiesić na kołku.

Zapytałem, czy potrzebuje adwokata, ale powiedziała, że wystarczy, jeśli ktoś przyjedzie i za nią poręczy, zagwarantuje, że będzie się trzymać z daleka od domu Fitzgeralda, no i odwiezie ją do domu, jako że jej wynajęty samochód został zarekwirowany. Szybko ustaliłem plan działania. Rianna wybierała się do klubu, więc musiałem tylko ją tam zawieźć, lecz Ella nie miała nic w planie, a Ryanów nie było w mieście, bo pojechali odwiedzić rodzinę Toma.

Myślałem, że będę się musiał nieźle nagimnastykować, żeby moja młodsza latorośl nie nudziła się w drodze do Moodus, okazało się jednak, że nie wyobraża sobie większej atrakcji niż wyprawa na północ stanu w celu odebrania z komisariatu aresztowanej kobiety. Miałem wprawdzie wrażenie, że wolałaby, aby Lidia włamała się do domu Fitzgeralda, a nie tylko weszła na teren jego posesji. Oświadczyła, że nie bardzo rozumie, dlaczego policja może zatrzymać kogoś tylko dlatego, że sobie spaceruje, więc musiałem wygłosić krótki wykład na temat prywatnej własności i prawa człowieka do ciszy i spokoju we własnym domu i ogrodzie.

- Czy to znaczy, że pani Johanssen jest złą kobietą? - zapytała Ella w którymś momencie.

- Nic podobnego.

- Ale powiedziałaś...

- Pytałaś, dlaczego policja ją aresztowała. Tłumaczę ci, jakie jest prawo.

- To znaczy, że złamała prawo.

- Tak, na to wygląda. - Usiłowałem skoncentrować się jednocześnie na prowadzeniu samochodu i wyjaśnieniach. - Pani Johanssen po prostu robi wszystko, co może, żeby odnaleźć swojego syna.

- Robbiego - powiedziała Ella. - Tego, którego porwano.

- Zgadza się. - Nie miałem najmniejszej ochoty drażnić tematu.

Ella odwróciła się, wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia wzruszającym, krzepiącym gestem.

- Tato, wiem o tej sprawie, wszystkie dzieciaki wiedzą - urwała. - Myślisz, że Robbie i Mikey nie żyją? - zapytała po chwili.

Zrobiło mi się niedobrze.

- Nie, skarbie, nie sędzę. - Zerknąłem na nią spod oka, żeby sprawdzić, czy nie jest za bardzo przejęta, wyglądało jednak na to, że wszystko w porządku. - I proszę cię, żadnych takich odzywek w obecności pani Johanssen.

- Nie jestem idiotką - oświadczyła Ella z godnością.

Nawet moja mała córeczka dorośleje.

ROZDZIAŁ 53

Stokrotne dzięki, pani Johanssen.

Za pani cholerne wścibstwo, za zdesperowanie kochającej, zrozpaczonej, pełnej poświęcenia rodzicielki, które kaźalo pani zignorować wszystko, co, jestem przekonany, powiedzieli pani spece z FBI. Za to, że wyruszyła pani w pojedynkę, ścigając coś, co nie mogło być niczym więcej niż złudą, na podstawie mglistych, niczym nieuzasadnionych, macierzyńskich podejrzeń.

Za to, że dała się pani aresztować, i co najważniejsze, że zadzwoniła pani do profesora.

Który zrobił dokładnie to, co należało, czyli zabrał swoje młodsze piskłę i wyruszył, aby wyrwać atrakcyjną wdówkę-mamuśkę ze szponów policji stanowej.

Zostawiając starsze piskłę niemal bez opieki. Taka okazja drugi raz się nie powtórzy.

ROZDZIAŁ 54

Rianna odpoczywała po serii skoków, kiedy zobaczyła, że na salę wchodzi Alex Vecchio - młody człowiek, utykający na jedną nogę, który odbierał telefony i pilnował klubu w weekendy. Zamienił parę słów z trenerką, po czym oboje spojrzeli na dziewczynę.

Na widok wyrazu twarzy Marshy Carlin Riannę tknęło niedobre przeczucie.

Kobieta już szła w jej kierunku.

Przecucie zmieniło się w pewność, jak gdyby potężna pięść zacisnęła się na jej wewnętrznościach.

- Zdarzył się wypadek samochodowy...

Słyszała łagodny głos Marshy Carlin, docierały do niej poszczególne słowa, ale w dziwny sposób, jakby poza nią, jakby gdzieś nad głową pojawiał się „dymek”, niczym napis nad postacią z kreskówki, nie całkiem realny, nie całkiem jej dotyczący.

- Nic poważnego, nie ma powodu do paniki, ale twój ojciec i siostra zostali zabrani do szpitala gdzieś na trasie - tam, dokąd jechali.

- Na północ - powiedziała Rianna zdrętwiałymi wargami. - Jechali na północ.

Trenerką podniosła z podłogi bluzę i zarzuciła dziewczynie na ramiona, Vecchio wziął jej torbę i wszyscy skierowali się w stronę drzwi. Rianna czuła, że odprowadzają ich ciekawe spojrzenia innych.

- Ten, kto dzwonił, powiedział, że twój tata zamówił dla ciebie taksówkę. Jest już tutaj, więc możesz od razu do nich jechać.

Rianna przystanąła.

- Jak się czuje tata?

- Wystarczająco dobrze, żeby móc zamówić dla ciebie taksówkę - zauważyła trenerką z uśmiechem.

- A Ella? - Złe przeczucie jej nie opuszczało.

- Z tego, co mi wiadomo, żadne z nich nie odniosło poważniejszych obrażeń.

- Ale musiało im się coś stać, skoro zabrano ich do szpitala i skoro chcę, żebym do nich przyjechała.

- Pewnie tata uważa, że sama będziesz się bardziej denerwować - wyjaśniła Marsha Carlin.

Brzmiało to logicznie. Rianna znów ruszyła w stronę drzwi.

- Chciałabym z tobą pojechać - powiedziała trenerka - ale nie mogę zostawić klubu.

- Nie szkodzi - odrzekła machinalnie Rianna. - Dam sobie radę.

Minęli drzwi i znaleźli się w holu. Vecchio podał torbę Rianny trenerce i wymamrotał coś, co miało dodać Riannie otuchy. Podziękowała, zaskoczona, jak normalnie brzmi jej głos.

- Idź się przebrać - powiedziała Marsha Carlin. - Zaczekam tu na ciebie.

- Nie będę się przebierać, szkoda czasu.

- Nie chcę, żebyś się przeziębiła.

- Jest prawie sierpień.

Carlin ujęła ją za ramiona łagodnym gestem.

- Słuchaj, człowiek, który tu dzwonił, specjalnie podkreślał, że nikomu nic poważnego się nie stało.

- Więc dlaczego to nie tata zatelefonował? Dlaczego sam mi tego nie powiedział?

Wspomnienia owej nocy, kiedy zginęła matka, ożyły w wyobraźni Rianny, świeże i wyraziste.

Trenerka zobaczyła wyraz jej twarzy.

- Chodźmy do taksówki.

Wyszła z Rianna na ulicę, upewniła się, że kierowca wie, dokąd mają jechać, sprawdziła, czy miał ważne prawo jazdy, otworzyła drzwi, postawiła torbę na siedzeniu i cmoknęła Riannę w policzek, zdając sobie sprawę, że do dziewczyny prawie to nie dotarło. Rianna usiadła z tyłu obok swoich rzeczy, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Marsha Carlin odprowadziła wzrokiem odjeżdżający samochód.

ROZDZIAŁ 55

Wyciągnięcie Lidii z komisariatu nie nastęczyło mi specjalnych trudności, ale zajęło sporo czasu. Nadal była zakłopotana i chyba zła, sądząc po minie, chociaż domyślałem się, że przede wszystkim na siebie. Na policzkach miała wypieki, na bluzce plamę, chyba od kawy, makijaż był rozmazany. Pragnąłem ją pocałować albo przynajmniej otoczyć ramieniem, była jednak niemal sztywna ze wstydu, więc tylko oparłem delikatnie dłoń na jej plecach, kiedy opuszczaliśmy owo miejsce upokorzenia.

- Zamknęli panią do celi? - zapytała moja córka w kilka minut potem, kiedy usadowiliśmy się w samochodzie: Lidia obok mnie, Ella na tylnym siedzeniu.

- Ella! - rzuciłem ostrzegawczym tonem.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Lidia. - Nie, nie zamknęli.

- Widziała pani jakichś prawdziwych kryminalistów?

Zerknąłem na swoją córkę w lusterku wstecznym i zobaczyłem, że jej oczy iskrzą się ciekawością. Wyglądało na to, że powinienem być wdzięczny za nacisk, jaki położyła na słowo „prawdziwych”.

- Chyba nie - odrzekła Lidia.

- Co gliniarze pani zrobili? Jak się pani czuła?

- Ella! - przerwałem jej, tym razem bardziej zdecydowanie.

- Przepraszam. - Mała opadła z powrotem na oparcie.

- Nic mi nie zrobili - wyjaśniła Lidia - tylko czuję się głupio.

- Dlatego, że pani to zrobiła, czy dlatego, że panią przyłapali?

Było to pytanie, jakie ja zwykle zadaję Elli, kiedy napyta sobie biedy w szkole, więc nie skarciłem jej, być może dlatego, że byłem ciekaw odpowiedzi Lidii.

- Dlatego, że mnie przyłapali. - Lidia zerknęła na mnie przepraszająco. - Lecz tylko ze względu na szczególne okoliczności, w jakich się znalazłam. Nie uważam, że wchodzenie na cudzy teren jest w porządku.

- Wiem - odpowiedziała Ella. - Tata już mi zrobił wykład na ten temat.

Nie mogłem powstrzymać rozbawienia i zauważyłem, że Lidia też się uśmiecha. Nagle się ucieszyłem, że musiałem zabrać Ellę ze sobą. Lidia odwróciła się na swoim siedzeniu.

- Świetna fryzura.

- Dziękuję - powiedziała Ella, zadowolona z komplementu. Kiedy ujechaliśmy trochę, powiedziałem Lidii, że jeśli nie jest głodna albo nie chce, abyśmy się zatrzymali, to powinienem wracać do New Haven, bo muszę odebrać Riannę z klubu. Zapewniła mnie, że niczego nie potrzebuje. Jej poczucie winy znów się wzmoгло.

- Jedno pytanie. - Nie byłem w stanie się powstrzymać.

- Oczywiście.

- Na co liczyłaś?

- Chciała znaleźć Robbiego, to oczywiste - odezwała się Ella z tylnego siedzenia.

Posłałem jej kolejne miażdżące spojrzenie za pośrednictwem lusterka.

- Ella ma rację - potwierdziła Lidia. - Wiedziałam, że to głupie, ale pojechałabym wszędzie i zrobiłabym wszystko, jeżeli tylko bym uznała, że to mi pomoże go odnaleźć. A jeśli przy tym komuś się narażę albo nadepnę Kline'owi na odcisk, to trudno. Naprawdę strasznie mi przykro, że ciągnęłam was oboje taki kawał drogi, i to jedyne, czego żałuję.

- Mój tata zrobiłby to samo, gdyby to się przydarzyło mi.

- Mnie - poprawiłem ją.

- Uchowaj Boże! - Lidia się wzdrygnęła.

Znów zerknąłem w lusterko wsteczne na dziewczynkę i dostrzegłem jej pełen aprobaty uśmiech.

Moja radość, że Ella polubiła Lidie, była cokolwiek niewspółmierna do przyczyny.

ROZDZIAŁ 56

Ledwie wyjechali z miasta, taksówkarz zjechał z szosy i wjechał na rampę załadunkową koło fabryki o nazwie Sparkelite. Plac był pusty, jak to w sobotnie popołudnie, jeśli nie liczyć trzech zaparkowanych ciężarówek i białego mikrobusu.

- Co się stało? - Do Rianny dopiero po chwili dotarło, że stoją. Myślamy była daleko, przez głowę przelatywały jej wszelkie możliwe horrory z ostrych dyżurów.

- Coś jest nie tak z samochodem - wyjaśnił kierowca. - Trzeba zajrzeć pod maskę.

- Ale ja muszę się dostać do szpitala - powiedziała Rianna nagłym tonem, prostując się.

Mężczyzna otworzył drzwi.

- Jeśli to to, co podejrzewam, naprawa nie potrwa dłużej niż kilka minut.

Maska samochodu podjechała w górę. Rianna siedziała i czekała, żalując, że nie ma telefonu komórkowego, jak Shannon i połowa dzieciaków w szkole, ale ojciec obawiał się, że może być trochę prawdy w pogłoskach o szkodliwym wpływie tych aparatów na organizm. Gdyby miała komórkę, mogłaby zadzwonić do szpitala albo spróbować złapać Kim i Toma. Tylko że nie było ich w mieście i chociaż wiedziała, że Tom ma służbowy aparat, nie знаła numeru, zresztą i tak nie miała tego cholernego telefonu. No i co by jej przyszło z dzwonienia do Kim, oprócz ewentualnej pociechy?

Pociecha - to słowo dobrze brzmiało.

- Hej! - zawołał taksówkarz spod maski. - Przydałaby mi się pomoc. Rianna się zawahała.

- Druga para rąk znacznie przyśpieszyłaby sprawę.

Otworzyła drzwi, wysiadła i podeszła do niego.

Pochylał się nad silnikiem, wskazując coś lewą ręką.

- Tutaj jest problem, widzisz?

- Nie wiem...

- Tutaj. Widzisz?

Wiedza Rianny na temat silników samochodowych była mniej niż zera, lecz jeśli to miało jej pomóc dojechać szybciej do szpitala... Pochyliła się, usiłując dojrzeć coś, co pokazywał jej kierowca. Wtedy padł cios.

ROZDZIAŁ 57

Kiedy dotarliśmy do New Haven, pojechałem prosto do klubu po Riannę, mając wciąż w samochodzie obie pasażerki. Zastanawiałem się, czy powinienem zaprosić Lidię na obiad, może zaproponować jej nocleg, czy raczej poszukać pokoju w jakimś hotelu. Jak przypuszczałem, nie powinno być tego wieczoru problemu ze znalezieniem w New Haven przyzwoitego lokum, więc nie było powodu, żeby Lidia czuła się jeszcze bardziej zakłopotana w związku z...

Poprosiłem, żeby poczekały w samochodzie, a sam wszedłem do środka.

Rianny nie było widać ani w holu, ani przy automacie z napojami, więc zajrzałem do sali gimnastycznej. Trochę młodzieży wciąż jeszcze ćwiczyło, ale o tej porze klientelę stanowili głównie dorośli.

Tu też nie dostrzegłem Rianny.

Marsha Carlin była na drugim końcu sali, dawała wycisk jakiemuś mężczyźnie, na oko mniej więcej dwudziestopięcioletniemu, który ćwiczył na dużej macie. Na mój widok w pierwszej chwili się rozjaśniła, lecz nagle wyraz jej twarzy się zmienił i ruszyła spieszenie w moją stronę, wycierając dłonie o spodnie.

- Cześć - powiedziałem, kiedy podeszła bliżej. - Czy Rianna się ubiera? Nie widziałem jej w holu.

Trenerka obejrzała mnie od stóp do głów.

- Jesteś cały.

- Jasne - odrzekłem lekko zdziwiony.

- A Ella?

- Została w samochodzie z naszą znajomą.

- Z nią też wszystko w porządku?

Spojrzałem jej w twarz i zobaczyłem, że nagle pobladła.

- Co się dzieje? - Przez chwilę stała jak skamieniała, bez słowa, jak gdyby miała nadzieję, że w ten sposób czas również zatrzyma się w miejscu i wybawi ją z opresji.

A potem mi powiedziała.

Wszyscy zaczęliśmy działać jak automaty. Nie czułem paniki. Byłem przypuszczalnie zbyt przerażony, żeby pozwolić sobie na coś równie bezcelowego jak panika. Marsha Carlin pobiegła zadzwonić na policję, a ja wyszedłem po Ellę i Lidię.

- Zaszło jakieś nieporozumienie - powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem.

- Gdzie jest Rianna? - spytała Ella.

- Nie bardzo rozumiem, skarbie - odrzekłem. - Dlatego musimy wejść do środka i chwilę poczekać, zanim się to wyjaśni.

Czułem na sobie wzrok Lidii i wiedziałem, że rozpoznała mój strach, tak straszliwie podobny do jej własnego.

Wziąłem córeczkę za rękę i choć ostatecznie tego nie znosiła, tym razem się nie wzbraniała: ścisnęła kurczowo moją dłoń, dopóki nie minęliśmy drzwi wejściowych i nie znaleźliśmy się w holu.

- Co się stało z Rianną? - Jasno postawione pytanie domagało się uczciwej odpowiedzi.

Jej dłoń spoczywająca w mojej była chłodna. Nachyliłem się odrobinę. Ella pozostała trochę w tyle za siostrą, jeśli chodzi o wzrost, lecz teraz zaczęła ją szybko doganiać. Jej oczy znów były utkwione w moich, wciąż naglące, choć równocześnie załęknione.

- Nie wiemy, co się stało - odpowiedziałem łagodnie. Każde słowo rozdzierało mi serce. - Możliwe, ale tylko możliwe, że ktoś ją stąd zabrał.

- O Boże! - jęknęła Lidia bardzo cicho.

- To znaczy, jakiś zły człowiek? - Mała wciąż patrzyła mi prosto w oczy.

- Mam nadzieję, że nie.

Przez chwilę wydawało się, że Ella walczy ze sobą, żeby się nie rozplakać, w końcu jednak wygrała tę batalię.

- Nic mi nie jest - oświadczyła. - Idź i znajdź Riannę.

- Właśnie... - zakrzusiliśmy się gwałtownie, przełknąłem ślinę i ciągnąłem dalej (w końcu, jeśli moja dziewięcioletnia córka dawała sobie radę, toja też powinienem) - ...dzwonimy w kilka miejsc, sprawdzamy niektóre możliwości.

- Zostanę z Ellą - zaproponowała Lidia, błada jak płótno.

- Dziękuję. - Skinąłem głową.

- Idź, tato - powiedziała Ella.

Odwrociłem się i pobiegłem w stronę biura Marshy Carlin. Trzeba oddać Kline'owi sprawiedliwość, że oddzwonił do mnie, jeszcze zanim w High Fliers pojawiła się lokalna policja. Wszyscy gimnastycy, którzy

jeszcze byli w sali, zostali przesłuchani, po czym odesłano ich do domu i zamknięto klub. Alexa Vecchio odwieziono do pizzerii w North Haven, a następnie zabrano z powrotem, żeby przedstawił swoją wersję wydarzeń. Zwolniono go po złożeniu zeznań. Vecchio nie widział kierowcy taksówki, lecz Marsha Carlin go widziała. Była kompletnie roztrzęsiona.

- Jak mogłam ją z nim puścić? Jak mogłam być taką idiotką? - Płakała, oczy miała czerwone i zapuchnięte.

- To nam nie pomoże, proszę pani - przerwał jej stanowczo sierżant Jim Connolly, duży, krzepki detektyw z New Haven. - To, czego potrzebujemy, to rysopis.

Rozmowa odbywała się w biurze. Przysłuchiwałem się jej, chodząc tam i z powrotem, co musiało być strasznie denerwujące w tak niewielkim pomieszczeniu, ale żadne z nich nie zareagowało. Co tam chodzenie, mógłbym wrzeszczeć albo urządzać awantury, a Marsha Carlin nie odważyłaby się pisnąć ani słowa. Unikała mojego wzroku od chwili, kiedy mi powiedziała, że puściła Rianę z obcym człowiekiem. Jakaś częśćka mojego „ja” zareagowała współczuciem, nawet w takiej chwili, była to jednak częśćka zbyt niewielka, żebym zdobył się choćby na słowo pociechy.

- Mówiłam już, że prawie na niego nie patrzyłam.

- Ale wyszła pani na ulicę i rozmawiała z nim - powiedział Connolly.

- Żeby sprawdzić, czy wie wszystko, co powinien wiedzieć...

- Już to mówiłaś - wtrąciłem głośno, nie przerywając chodzenia.

Marsha spąsowała.

- Proszę kontynuować - polecił detektyw, nie zwracając na mnie uwagi.

- I żeby się upewnić, czy ma papiery w porządku.

To też już słyszałem, przynajmniej trzy razy, lecz tym razem zdołałem się powstrzymać od komentarza.

- Tak więc właściwie nie patrzyłam na niego.

- Widziała go pani - indagował Connolly cierpliwie.

- Tak, ale... - Trenerka wyglądała, jakby miała zacząć chodzić po ścianach. - Wciąż sobie powtarzam, że musiałam zauważyć coś istotnego, co by go wyróżniało, jednak nic takiego nie zauważyłam. Po prostu mężczyzna w baseballowej czapce Ravensów, tego jestem pewna, z nowym logo.

- Jest pani pewna, że nie widziała pani jego oczu? - zapytał Connolly. Pokręciła przecząco głową.

- Miał okulary przeciwsłoneczne, mówiłam panu.

- Jakiego typu? - Przystanąłem na chwilę. Wiedziałem, że powinienem

zostawić tę sprawę detektywowi, a jestem tolerowany tutaj tylko dlatego, iż sam byłem kiedyś policjantem, i uznano, że wiem, jak się zachować, lecz po prostu nie mogłem milczeć. - Jakie okulary, Marsha? Markowe? Na opasce? Jakie szkła?

- Ciemne - odrzekła bezradnie. - Zwyczajne okulary przeciwsłoneczne, nie żadne markowe czy na opasce, jeśli dobrze widziałam. - Nie miała teraz innej możliwości, jak spojrzeć na mnie i nieczęsto zdarzało mi się widzieć kogoś równie zgnębionego. - Jake, ja nie patrzyłam na jego okulary, nie patrzyłam na niego, nie tak, jak powinnam to zrobić, gdyby mi przyszło do głowy, że będę musiała go później opisać.

- A jego koszula? - Nie mogłem się powstrzymać. - A zegarek? Czy nosił zegarek? Jakie miał ręce? Opalone? Blade? Piegowate? Czy widziałaś obrączkę? A rękawiczki? Jaki miał głos? Rozmawiałaś z nim, na litość boską, przecież musiałaś słyszeć jego głos!

- Profesorze - odezwał się cicho Connolly. - Myślę, że łatwiej nam pójdzie, jeśli poczeka pan na zewnątrz i zobaczy, co z siostrą Rianny.

- Dlaczego wtedy miałyby pójść łatwiej?

- Może pani Carlin przypomni sobie jakieś szczegóły, jeśli damy jej trochę odetchnąć.

- To może najlepiej pozwólmy jej się z tym przespać? - Wiedziałem, że zachowuję się jak świnia, ale na to też nic nie mogłem poradzić. - Z każdą upływającą minutą moja córka może być coraz dalej stąd, sierzancie.

- O Boże. - Marsha ukryła twarz w dłoniach.

- Profesorze. - Spojrzenie Connolly'ego mówiło, żebym nie utrudniał mu pracy.

- W porządku. - Moje serce gnało z szybkością kilku kilometrów na minutę. - Przepraszam.

- W drodze jest już prawdziwa artystka - powiedział Connolly. - Jest fantastyczna, wie jak wydobyć z człowieka te drobne szczegóły.

- Dobrze. - Otworzyłem drzwi i wyszedłem z gabinetu.

Artystyczna interpretacja baseballowej czapki z nowym logo New Haven Ravens i niczym się niewyróżniających okularów przeciwsłonecznych. Dużo to da.

Lidia i Ella siedziały na ławce koło automatu z napojami. Lidia ścisnęła filiżankę kawy, której prawie nie tknęła i która chyba zdążyła wystygnać. Na podłodze, między obutymi w tenisówki stopami Elli stała puszka coca-coli. Lidia podniosła się na mój widok.

- Coś już wiadomo? - zapytała miękko.
 - Nic. - Usiadłem z drugiej strony obok Elli. - Jak się trzymasz?
 - Wiedzą, kto wprowadził Riannę?
 - Nie mamy pewności, że ktoś ją wprowadził, skarbie. Być może zaszła tylko jakaś pomyłka.
 - Myślisz? - Jej oczy poszukały moich z nagłą nadzieją, która po chwili zgasła.
 - Czy chciałbyś, żebym zabrała Ellę do domu? - zapytała Lidia. - I została tam z nią?
- Byłem rozdarty pomiędzy pragnieniem, by moja córeczka znalazła się jak najdalej od tego miejsca, a potrzebą, żeby ją widzieć i wiedzieć, że jest bezpieczna.
- Chcę tu zostać, tatusiu - rozstrzygnęła sprawę Ella.
 - Dobrze, skarbie. - Zerknąłem na Lidię. - Powinnaś jechać. Niepotrzebne ci to.
 - Nie ma mowy - zaprotestowała.
 - Mógłbym wezwać taksówkę, żeby cię zawiozła na stację.
 - Jake, ja nie chcę jechać - oświadczyła. - Chyba, że sobie tego życzysz.
 - Jak uważasz - odpowiedziałem.

Po niespełna półgodzinie nadeszła informacja, że jakaś taksówka została skradziona parę godzin wcześniej z parkingu przed lokalem szybkiej obsługi. Kierowca wszedł w tym czasie do środka, w restauracji był ruch, na parkingu tłok i nie było świadków, tylko wciąż rosło prawdopodobieństwo, że Rianna ma poważne kłopoty.

Connolly radził, żebym zabrał Ellę do domu i tam czekał na dalsze informacje. Oświadczyłem, że nigdzie się stąd nie ruszę, jeśli mi nie przysięgnie na życie swoich trojga dzieci, że będę wyczerpująco informowany o każdym kolejnym ruchu policji, a nie pozostawiony w próżni. Dał mi słowo i postanowiłem mu uwierzyć.

Wsiadaliśmy do samochodu, kiedy zauważyłem, że Marsha Carlin ma kłopoty z uruchomieniem swojej renówki. W pierwszym odruchu chciałem zostawić ją z tym pasztetem, po chwili jednak poprosiłem Lidię i Ellę, żeby zaczekały, i poszedłem zobaczyć, co się da zrobić.

- Nie wiem, co się dzieje - powiedziała żałośnie.
- Często ci się to zdarza?
- Pierwszy raz.
- Chcesz, żebym zerknął?

- Dzięki, Jake, dam sobie radę.

- Podnieś maskę. - Zaczynało do mnie docierać, że chyba za ostro potraktowałem Marszę. W końcu widziałem, jak się troszczy o Riannę i o wszystkich swoich młodych podopiecznych.

Nacisnęła dźwignię i maska się uniosła.

Nie jestem mechanikiem, nie trzeba było jednak geniusza, żeby się zorientować, że żadna część silnika - pasy, rurki, kable, śruby - nie znajdowała się na swoim miejscu. Co przypuszczalnie oznaczało, że ktokolwiek uprowadził Riannę, liczył się z tym, że trenerka może zechcieć sama ją odwiedzić do szpitala, zamiast pozwolić jej jechać taksówką.

Wróciliśmy do klubu i po kilku minutach znów miałem na linii Rogera Kline'a.

- To nie przypadek - oznajmiłem.

- Z pewnością wydaje się to mało prawdopodobne. - Nastąpiła chwila milczenia. - Czy w mieszkaniu jest ktoś, kto mógłby sprawdzić, czy podczas pańskiej nieobecności nie nadeszła przesyłka?

- Nie ma nikogo. - Czuję, że mój żółądek zachowuje się niczym łódź podwodna przy zanurzeniu.

- Wydaje mi się, że powinien pan pojechać do domu, profesorze.

- Właśnie tam jadę - powiedziałem.

Nie było przesyłki. Ani listu. Ani żadnej wiadomości. Connolly zadzwonił w niespełną godzinę po naszym powrocie.

- Znaleźli taksówkę na północ od Hamden, tuż za rogatkami, na przyfabrycznej rampie. Zakład był nieczynny podczas weekendu, nikogo tam nie ma od piątkowego popołudnia - urwał - Rozbierają ją w tej chwili na części do ekspertyzy.

- Jak długo?

- Poszła pod lupę od razu, poza kolejnością - zapewnił mnie detektyw.

- Nie wiem, ile to potrwa, lecz jeżeli jest tam cokolwiek, znajdą to.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Jake - odezwała się Lidia w jakiś czas potem - to wolałabym zostać.

- Jak chcesz - mruknąłem, nie patrząc na nią. Przypuszczalnie oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że nie spojrzaliśmy jej w oczy od tamtej chwili, pod klubem.

Okropna, przytłaczająca cisza wisiała nad mieszkaniem niczym niewidzialna mgła. Ella była potulna jak nigdy, zupełnie jak nie ta sama. Ileż

to razy marzyłem, żeby stała się choć o włos bardziej ustępliwa, teraz jednak przyłapałem się na tym, że niemal tęsknię za dąsami czy sceną - czymkolwiek, co stwarzałoby pozory, że wszystko jest normalnie.

Normalnie. Chryste.

Lidia zaproponowała, że zrobi kanapki, a ja się zgodziłem, wiedząc, że potrzebuje jakiegoś zajęcia. Sam nic nie zjadłem, podobnie jak ona. Ella przełknęła kilka kęsów, po czym zbladła, biedactwo, i przestała jeść.

- Może byś poszła do łóżka, skarbie? - zaproponowałem.

- Dobrze - zgodziła się cicho.

- Przyjdę cię opatulić.

- Dam sobie radę - powiedziała.

Pojawiła się z powrotem po niecałych dziesięciu minutach, ubrana w piżamę w misie. Nagle wydała mi się strasznie krucha i młodsza, niż była, bo nie wyglądała na swoje dziewięć lat. Nadal siedzieliśmy z Lidią w kuchni, milcząc. Na widok Elli odwróciłem się na krzesło i wyciągnąłem rękę. Podeszła, a ja ją uściśkałem, niezbyt mocno, tyle tylko, żeby poczuć jej ciepło i zapach włosów.

Rianno, gdzie jesteś?

Przenieśliśmy się do salonu, gdzie przesiedzieliśmy całą noc. Ja umościłem się z Ellą na kanapie, z której wstałem dopiero, gdy dziewczynka zrobiła się tak senna, że mogłem chodzić po pokoju, nie przeszkadzając jej. Widziałem, że Lidia czuje się osamotniona. Jej fotel stał zaledwie o kilka kroków ode mnie, ale oddzielało nas potężniejące gwałtownie morze wyrzutów sumienia, w którym się pogrążyła. Nie dotknąłem tej sprawy, ona też nie, lecz wisiało to w powietrzu, we mgle rozpościerającej się pomiędzy nami.

Gdybym nie musiał wyjechać z miasta z powodu Lidii, może by do tego wszystkiego nie doszło.

Oczywiście nie była to do końca prawda. Rianna tak czy inaczej miała pójść tego popołudnia do klubu, więc porywacz musiałby po prostu wynaleźć inny fortel, żeby ją stamtąd wywabić... To znaczy, jeśli ów taksówkarz był porywaczem, a nie wynajętym człowiekiem. A może jest ich więcej, może mieliśmy do czynienia nie z jednym zdeprawowanym sukinsynem, tylko z całym gangiem.

Tymczasem Lidia oskarżała się w duchu, a ja, jeśli mam być zupełnie szczerzy, może w tym jej sekundowałem.

Dwie minuty po siódmej zadzwonił telefon.

Znów Connolly.

- Znaleźli włos. Nic więcej. Tylko jeden włos.

Mdłości chwyciły mnie tak gwałtownie, że o mało nie upuściłem słuchawki.

- Rianna ma długie i ciemne włosy, prawda, profesorze?

- Tak. - Piękne, jak ciężki, lejący się jedwab.

- Ktoś się zgłosił po próbkę, może z jej szczotki, dobrze?

- Dobrze - powiedziałem i przełknąłem ślinę. - Nic więcej, tylko to?

- Samochód został wyczyszczony - wyjaśnił Connolly. - Facet wiedział, co robi.

- A więc włos mógł zostać pozostawiony celowo?

- Mógł - potwierdził detektyw.

Domofon zadzwonił, kiedy wsypywałem Elli płatki kukurydziane do miseczki. Lidia zaproponowała, że zrobi śniadanie, ale jej podziękowałem. Bóg świadkiem, że rozumiała lepiej niż ktokolwiek inny moją potrzebę zajęcia się czymkolwiek.

Nacisnąłem guzik, wpuszczając policjanta do budynku i poszedłem do kuchni, wziąłem z blatu szczotkę Rianny, przygotowaną w szczelnie zamkniętej plastikowej torebce śniadaniowej, po czym wróciłem, żeby otworzyć mu drzwi. Facet był po cywilnemu, w prawej ręce trzymał legitymację, wystawioną na nazwisko detektywa Marka Oliviera, w lewej walizeczkę.

Patrzył pod nogi.

Na brązową wyścielaną kopertę leżącą na naszej wycieracze.

Popatrzyliśmy na siebie. Olivier był młody, ciemnoskóry, miał okulary i lekki płaszcz przeciwdeszczowy, który wyglądał na mokry. Nie zdawałem sobie sprawy, że pada, nie wiem, czy dotarłoby do mnie, gdyby do mieszkania wtargnął huragan.

- Jest zaadresowana do pana - powiedział.

Ton jego głosu i sposób, w jaki patrzył na przesyłkę, świadczyły, że doskonale zna okoliczności zaginięcia Rianny.

Przykucnęliśmy obaj. Nie było znaczka ani stempla pocztowego, tylko biała nalepka z nadrukiem: PROFESOR JACOB WOODS.

Do mnie, nie do Rianny.

- Mam to podnieść? - zapytał detektyw.

Skinąłem głową.

Wziął ostrożnie przesyłkę za jeden róg, niemal jakby się obawiał, że w środku może być bomba, po czym wyprostował się i zaniósł kopertę do kuchni. Pozdrowił skinieniem głowy Lidie i Elle, obie patrzące w milczeniu,

po czym położył swoje znalezisko na kuchennym stole, z dala od zaparacza z kawą i dzbanka z mlekiem.

- Czy wygląda jak ta, którą dostał Robbie? - spytałem cicho Lidie.

Twarz miała barwy popiołu.

- Trudno powiedzieć, dopóki nie zostanie otwarta. Nie zapominaj, że wyrzuciłam kopertę, zanim się zorientowałam, co w niej jest. Właściwie w ogóle jej się nie przyjrzałam.

- Co to jest, tatusiu? - Ella wyglądała, jakby się miała rozplakać.

- Być może nic - odrzekłem uspokajająco.

- Może byśmy poszły do salonu? - odezwała się Lidia łagodnie.

Ella poszła jak trusia. Była zbyt zmęczona, żeby zaprotestować, albo nie chciała wiedzieć, co jest w kopercie.

Olivier otworzył walizeczkę i wyjął parę cienkich gumowych rękawiczek.

Przypomniałem sobie o szczotce do włosów, którą trzymałem w ręku.

- Może włożę ją panu do teczki, za pamięci.

- Dziękuję - odpowiedział.

Położyłem ostrożnie szczotkę obok małej skórzanej torebki zapinanej na zamek błyskawiczny.

Policjant podniósł kopertę i obejrzał ze wszystkich stron, żeby sprawdzić, jak będzie ją najłatwiej otworzyć. Górny brzeg został po prostu zaگیęty i umocowany taśmą samoprzylepną, którą łatwo odkleić.

- Proszę jej nie... - zacząłem, lecz zobaczyłem, że detektyw już chowa taśmę do małego woreczka na materiały dowodowe i wkłada do walizeczki. - W porządku - dokończyłem. - Dziękuję panu.

- Nie ma za co - odrzekł Olivier.

Zawartość koperty była taka sama, jeśli chodzi o grę - ta sama luksusowa wersja Limbo, którą otrzymał Robbie, Michael i pozostali. List był zupełnie inny.

Pańskiej wyjątkowej córce została dana absolutnie wyjątkowa szansa.

Niech Pan nie wtyka nosa, gdzie nie trzeba, to może Pan jeszcze kiedyś zobaczy Riannę. I niech Pan się za bardzo nie martwi. Jest w dobrych rękach. Wręcz otoczona miłością. Bo to rzeczywiście ONA. Nareszcie.

Dziękuję za ten prezent, Profesorze, i w zamian ofiaruję Panu to.

Aby pomóc Panu zrozumieć choć trochę więcej.

ROZDZIAŁ 58

Rianna obudziła się ze straszliwym bólem głowy, najgorszym, jaki miała w życiu, miazdzącym czaszkę niczym potworne imadło. Na twarzy czuła coś, co zasłaniało jej oczy - coś ciężkiego, śmierdzącego skórą, której zapach przyprawiał o mdłości.

Wyciągnęła rękę, żeby to ściągnąć, ale jej dłonie też były uwięzione w czymś, co przypominało rękawice narciarskie, jak tamte przed wielu laty, kiedy wybrali się całą rodziną do Vermontu - dawno, jeszcze za życia mamy - tylko że te były grubsze, cięższe i bardziej nieporęczne.

- Tato? - wyszeptała ledwie dosłyszalnie.

To coś, co zasłaniało jej oczy, sprawiało, że światło w pomieszczeniu wydawało się niebieskie - dziwny, nienaturalny błękit. Legowisko (podłoga?) było twarde i zimne. O Boże, o mój Boże, gdzie jestem?

Nagle przypomniała sobie kierowcę taksówki.

A potem wiadomość, którą przekazano jej w klubie, o wypadku samochodowym taty i Elli.

Wreszcie przypomniała sobie syna pani Johanssen.

I wówczas ogarnęła ją zimna, lodowata, nieznośna, pozbawiona cienia wątpliwości pewność, że cokolwiek spotkało Robbiego i Mikeya, teraz spotkało również ją.

Otworzyła usta i zaczęła krzyżeć.

ROZDZIAŁ 59

Wydawało się, że połowa grupy operacyjnej zajmującej się sprawą Limbo znalazła się nagle w naszym mieszkaniu i nigdy nie przypuszczałem, że tak chętnie powitam w swoich progach gromadę obcych ludzi o marsowych, zdecydowanych twarzach.

- Kim oni wszyscy są, tato? - Ella wyglądała na nieco wystraszoną.

- Pracują nad tym, żeby odnaleźć Riannę, skarbie.

- Ale co oni właściwie robią? Dlaczego jej nie szukają?

- Tym zajmują się inni - wyjaśniłem, mając nadzieję, że naprawdę tak jest. - Ci tutaj starają się ustalić jak najwięcej faktów na temat Rianny - wszystko, co ich zdaniem mogłoby ułatwić odnalezienie jej, więc musimy im pomóc, zgoda?

- Może zapytam, czy nie chcieliby się czego napić?

- Świetna myśl, kochanie.

Koperta, list i gra zostały już zabrane i odesłane samolotem do centrali w Waszyngtonie albo do najbliższego laboratorium, gdzie można było poddać te rzeczy szybkiej i gruntownej analizie. Zdawałem sobie jednak sprawę, iż ktoś, kto potrafił tak idealnie wyczyścić samochód, że został w nim tylko jeden jedyny włos - niemal na pewno specjalnie pozostawiony jako przynęta, szyderstwo lub fałszywy trop - tym bardziej potrafił zadbać, aby nie pozostawić istotnych śladów na swojej przesyłce lub nawet pozostawić ślady mylące.

Kline się nie pojawił, lecz kilkakrotnie rozmawiałem z innym funkcjonariuszem. Agent Phil Rubik, ostrzyżony najeża, mający byczy kark facet w średnim wieku, najwyraźniej był zdecydowany wykonywać swoje obowiązki „pomimo” mojej obecności.

W tej chwili jednak czułem się wyłącznie ojcem.

Wydawało mi się wcześniej, iż rozumiem rozdrażnienie Lidii, lecz teraz pojąłem, że nie miałem najmniejszego wyobrażenia, co odczuwa. Wiedziałem, że powinienem z nią posiedzieć, powiedzieć jej o tym, co sobie uświadomiłem, ale się nie zdecydowałem. Bóg jeden wie, jak bardzo

za nią tęskniłem od tamtej nocy w Nowym Jorku, i oto teraz była ze mną w tych najstraszniejszych dla mnie chwilach, a ja robiłem to samo, co ona przedtem: trzymałem ją na dystans.

- Przynajmniej jedno się wyjaśniło - zauważyłem w jakiś czas potem podczas rozmowy z Rubikiem.

- Co takiego, profeszorze?

Wcześniej lubiłem, kiedy ludzie zwracali się do mnie w ten sposób. Nie wydaje mi się, aby był to z mojej strony przejaw tytułomanii. Po prostu brzmiało to sympatycznie, no i być może sądziłem, że sobie na owo miano zapracowałem. Ale w ciągu ostatnich tygodni, zwłaszcza podczas rozmów z Kline'em, słowo to zaczęło przybierać odcień protekcyjny. W jego ustach, a także wymawiane przez Rubika, brzmiało jak synonim życiowej porażki policjanta-nieudacznika, który marnie skończył jako wykładowca.

Co nie znaczy, że mnie choć trochę ziębiło lub grzało, co obaj sobie myślą, byle tylko znaleźli Riannę.

I odstawili ją do domu zdrową i całą.

- Co takiego się wyjaśniło, profeszorze? - powtórzył pytanie Rubik.

- Urowadzenie Rianny świadczy o tym, że porwania są w jakiś sposób powiązane z Eryxem. - Obserwowałem jego twarz o świadomie nieprzeniknionym wyrazie. - Napisał, żebym „nie wtykał nosa, gdzie nie trzeba”. Nie zrobiłby tego, gdyby nie był na mnie wściekły, że go wtykam, zgadza się?

- Nie wydaje mi się, żeby to przesądzało sprawę - oświadczył Rubik wyważonym tonem, niczym pielęgniarka przemawiająca do pacjenta, który może w każdej chwili dostać ataku hysterii. - Nikt nie twierdzi, że uprowadzenie pańskiej córki to zbieg okoliczności, profeszorze...

- Mógłby mi pan wyświadczyć pewną przysługę? - przerwałem mu.

- Jeżeli będę w stanie.

- Mam na imię Jake. Nie musi mnie pan tytułować.

- Jeśli to panu bardziej odpowiada - odrzekł Rubik, nadal tonem pielęgniarki.

- To wspaniale, że nikt nie uważa jej zniknięcia za zbieg okoliczności - powiedziałem, wracając do tematu. Ton głosu nie oddawał mojego rozjuszenia. - Pięcioletnie dziecko połapałoby się bez trudu, że to nie może być zbieg okoliczności. Mówię o liście, który ten drań mi przysłał.

- List niewątpliwie zdaje się wskazywać, że ktokolwiek uprowadził pańską córkę, znana mu była pańska zażyłość zarówno z rodziną Cooperów, jak i z panią Johanssen.

Łebski z niego facet, nie ma co.

- Państwo Cooper i pani Johanssen - ciągnąłem, powstrzymując wybuch - mają wielu przyjaciół, ale ich dzieci nie zostały uprowadzone, bo nie zadawali zbyt wielu pytań na temat firmy Eryx.

Rubik mnie nie lubił. Zmrużone i tak już wąskie szparki oczu i czerwieniejący tłusty kark agenta nie pozostawiały co do tego wątpliwości. Domyślałem się, że z jego punktu widzenia nie dałem FBI powodów do sympatii.

Zgadnijcie, gdzie miałem to, czy mnie lubi czy nie.

- Ma się rozumieć, gra nadal stanowi ważny trop - odezwał się spokojnie.

- Ma się rozumieć - powtórzyłem.

- Dlatego nadal tym tropem idziemy, Jake.

Teraz również ta forma była mi głęboko nienawistna - w jego wydaniu.

Rubik wyciągnął pulchną dłoń i dotknął mojego ramienia gestem, który zapewne miał mi dodać otuchy.

- Zaufaj mi, Jake - powiedział. - Zaufaj nam, że wiemy, co robimy.

Nie wiem, jakim cudem udało mi się powstrzymać, żeby mu nie przywalić.

Ufałem mu co do pewnych spraw. Niewątpliwie, o ile pozwolono mi się w tym zorientować, prowadzili sprawne, prężne śledztwo. Przesłuchania odbywały się non stop, jak mnie poinformował - dyskretnie i przypuszczalnie poza protokołem - sierżant Connolly, teraz mało widoczny, odkąd sprawę przejęło FBI.

Mieszkańcy naszej kamienicy zostali przepytani, w jaki sposób ktoś mógł się dostać do budynku i zostawić przesyłkę pod drzwiami. Nikt nic nie wiedział, nikt niczego ani nikogo nie widział. Inni sąsiedzi mieszkający przy Wooster Square powiedzieli to samo.

Przesłuchano wszystkich mieszkańców okolic klubu High Fliers. I tu również nikt, nic...

Nadal przesłuchiowano kierowcę z West Haven, którego taksówka została skradziona, chociaż nikt nie sugerował, że ten człowiek mógł być zamieszany w przestępstwo - i tu wielka niespodzianka, on również niczego i nikogo nie spostrzegł. Pracownicy lokalu szybkiej obsługi też nie wnieśli nic użytecznego, zresztą, jak powiedział Connolly, dotarcie do wszystkich, którzy posilali się tam w czasie, kiedy skradziono samochód, okazało się niełatwą sprawą. Pralnia chemiczna po lewej stronie była

nieczynna, w sklepie po prawej nic się nie działo od dwóch miesięcy. Jeżeli któryś z lokatorów, mieszkających nad tymi pomieszczeniami coś zauważył, to o tym nie powiedział.

- Tracą czas! - Po dwudziestominutowej porcji takich optymistycznych wieści, którą uraczył mnie życzliwy mi sierżant Connolly, ręce mi opadły.

- Nikt nie traci czasu, profesorze - odrzekł detektyw łagodnie.

- Dlaczego wciąż się zajmują tym cholernym taksówkarzem? Czy myślał, że ktoś mu zapłacił, żeby pozwolił sobie ukraść samochód?

Connolly pokręcił głową.

- Uważają, że jest czysty. Jest na nich wściekły, że odciągają go od roboty. Pyta, czy mają zamiar opłacać jego rachunki.

- Więc czemu nie posuwają się naprzód?

Rozmawialiśmy w niewielkim holu. Dochodzeniowcy okupowali salon i kuchnię, a do sypialni bez ważnego powodu nie wpuszczałem nikogo.

- Może sądzą, że mógł coś zauważyć, nie zdając sobie z tego sprawy - usłyszałem głos Lidii.

Odwrociłem się. Nie wiedziałem, że weszła do holu.

- Nowojorska policja starała się odszukać ludzi, którzy byli w restauracji tamtego wieczoru, kiedy zniknął Robbie. Mówili, że potencjalny świadek jest lepszy niż żaden i że jedna rzecz może prowadzić do następnej.

- Znamy się na tym, co? - Wiedziałem, że mówię agresywnym tonem, byłem o to zły na siebie, ale nie potrafiłem się pohamować. - Do tego, co się stało, doprowadził mój wyjazd z miasta i wyciąganie ciebie z kłopotów, kiedy powinienem być na miejscu i zajmować się córką.

Twarz Lidii znów poszarzała.

- Prawdopodobnie masz rację.

Nie odpowiedziałem. Kątem oka widziałem, że Connolly wychodzi do kuchni, zostawiając na samych.

- I wiem, że zapewnienie, jak bardzo mi przykro z tego powodu, w niczym nie pomoże ani tobie, ani Riannie, więc pozwolisz, że skorzystam z telefonu, żeby zamówić taksówkę i zejść ci z oczu.

- Nie miałem tego na myśli.

- Oczywiście, że miałeś, Jake. Jak mogłoby być inaczej? - mówiła cicho, ale zdecydowanie, jakby przez ostatnich kilka godzin nie myślała o niczym innym. - Chociaż, jeśli mamy być całkiem szczerzy, moja wina ma dużo wcześniejsze podłoże. Oboje wiemy, że twoje zaangażowanie w sprawę Robbiego doprowadziło do tego, co się stało.

- To ja się z tobą skontaktowałem - przypomniałem jej, myśląc, że dobrze

byłoby samemu o tym pamiętać, zanim następnym razem zaatakuję nie-właściwą osobę. - To moja decyzja i mój wybór.

- Bo jesteś dobrym człowiekiem. - Lidia nadal była bardzo blada.

Pokręciłem głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Wszystkie emocje nagle wezbrały, ściskając mnie za gardło.

- Tak czy inaczej muszę wracać do domu. - Dotknęła mojej dłoni, nie-śmiało, jakby się obawiała, że ją wyrwę. - Słyszałam, jak jeden z tych ludzi mówił, że niedługo kończą. Tobie i Elli należy się trochę spokoju. - Urwała, przyglądając się uważnie mojej twarzy. - W każdej chwili, kiedy zechcesz ze mną porozmawiać, o dowolnej porze, w dzień czy w nocy, znajdziesz mnie pod telefonem.

- Dziękuję.

Niewiele brakowało, abym poprosił, żeby została. Chyba tego chcia-łem, choć nie byłem pewien, nie byłem pewien niczego, najchętniej położyłbym się na ziemi i pozwolił, żeby to wszystko przewaliło się nade mną niczym potężna, oceaniczna fala.

- Przyjadę w każdej chwili, jeżeli zechcesz - dodała Lidia.

Skinąłem głową. W tym momencie nie umiałem zdobyć się na nic wię-ciej.

Do salonu wszedł Rubik.

- Niedługo będziemy się zbierać, Jake, więc jeśli masz jakieś pytania...

Lidia puściła moją dłoń. Kiedy przestałem czuć jej dotyk, wrażenie chłodu i zagubienia jeszcze się wzmogło.

- Pójdę zadzwonić - powiedziała i znikła w kuchennych drzwiach.

- Miła kobieta - zauważył agent Rubik. - Przykra sprawa z jej synem.

Znów ogarnęło mnie gwałtowne, absurdatne pragnienie, żeby go ude-rzyć, zamiast tego jednak odwróciłem się ku niemu i chyba udało mi się nawet wywołać na twarzy coś na kształt uśmiechu.

A fale nadal przetaczały się po mnie, jedna za drugą.

ROZDZIAŁ 60

Przestań krzyczeć.

Męski głos był donośny, przenikliwy.

- Przestań krzyczeć, Dakota.

Rianna uniosła dłonie w rękawicach do uszu, lecz nie mogła ich dosięgnąć, bo coś je zasłaniało. Umilkła jednak.

- Tak lepiej - powiedział głos. - Wszystko jest w porządku. A będzie wręcz wspaniale. Nie ma powodu do paniki, o co ten cały krzyk?

Nie ma powodu. O Boże, co się dzieje?

- Chciałabys zobaczyć, gdzie jesteś?

Nie była pewna, wcale nie była tego pewna.

- Tak.

- Grzeczna dziewczynka.

Przemknęło jej przez głowę, że skądś zna ten głos, chociaż brzmiał teraz inaczej, jakby był zniekształcony. Taksówkarz? Nie. A może? Trudno powiedzieć.

Dakota? Czy tak ją nazwał?

Błękitne światło zgasło, zostawiając ją w kompletnych ciemnościach.

Ogarnęła ją panika. Teraz nie mogła nawet krzyczeć, jedynie kwiliła cichutko:

- O Boże, o mój Boże, proszę...

Coś tam majaczyło... Albo ciemność nie była absolutna, albo oczy Rianny zaczęły się przyzwyczajać. Jakieś kształty...

- Przyjrzyj się - polecił głos.

Teraz dosłyszała coś poza własnym jękiem. Szuranie? I jeszcze coś. Inny głos.

- Psiakrew - zaklął ktoś cicho.

Zobaczyła go.

Siedział na ławce w niewielkim, niskim pomieszczeniu, zjedna okratowaną żarówką na ścianie i jakimś dziwnym urządzeniem na podłodze.

Był młody. Może w jej wieku. Przystojny, gdyby nie strach i wyczerpanie, widoczne na jego twarzy.

Rianna wiedziała, kto to.

- Poznajesz go? - zapytał pierwszy głos.

- Robbie - powiedziała.

- Mylisz się - odrzekł głos.

- To jest Robbie Johanssen. - Rianna wiedziała, bo знаła jego twarz z fotografii. Zrozumiała niemal natychmiast, gdy tylko się ocknęła, że znajduje się przypuszczalnie w tym samym miejscu co syn Lidii, więc niech ten taksówkarz-porywacz czy lichy wie kto nie wciska jej kitu.

- Robbie! - zawołała do chłopca.

- On cię w tej chwili nie słyszy. I mylisz się co do jego imienia.

Nie myliła się.

- Nie wiesz, kto to? - zapytał głos. - Nie wiesz, Dakota?

Znów ta Dakota.

I nagle zrozumiała.

I w tej samej chwili ogarnął ją mdlący, obrzydliwy strach, najgorszy, jakiego doświadczyła w całym życiu. Głos wypowiedział to za nią.

- To jest Steel. Twój Steel.

Robbie miał dość siedzenia po ciemku, więc włożył hełm, po czym naciągnął rękawice. Nie wiedział, czemu facet zawsze tego żądał, zanim zgodził się uruchomić całe urządzenie, bo jeśli Robbie nie wykonywał akurat „ćwiczenia”, rękawice nie były do niczego potrzebne, ale była to jedna z owych idiotycznych reguł, które tutaj obowiązywały, i czasem okazywało się to w sumie lepsze niż siedzenie w ciemności. Miał nadzieję, że nie sprowokuje w ten sposób kolejnego „ćwiczenia”, bo bynajmniej nie miał na to ochoty, chciał po prostu pobyć gdzieś, gdzie nie panowały kompletne ciemności, nawet jeśli miały to być te pieprzone dekoracje do Limbo.

Tak właśnie ostatnio o tym myślał, jak o dekoracjach na planie filmowym. Pomagało mu to trochę, przypominało mu pierwsze chwile po przebudzeniu, kiedy myślał, że wszystko mu się śni i nie było tak źle, dopóki w to wierzył...

Nagle ją zobaczył; poznał jej długie, ciemne włosy i ucieszył się, że Dakota wróciła.

- Przyjrzyj się - powiedział głos.

Zrobił to. Dziewczyna wyglądał lepiej, inaczej, choć trudno było cokolwiek ocenić, kiedy to paskudztwo zasłaniało jej oczy. Pomijając hełm, wyglądała wspaniale.

Wręcz zachwycająco.

Wystraszona.

Nie ta sama.

- To nie ona.

- Lepsza - zapewnił go głos.

O Jezu. Inna dziewczyna, co oznaczało... Nie chciał myśleć, co to znaczy.

- Wszystko w porządku, Steel. - Głos brzmiał radośnie. - Nie ma powodu do niepokoju. Ta jest prawdziwa. Prawdziwa, jedyna, ta, a nie inna - Dakota.

Robbie widział teraz, że dziewczyna jest młodsza niż jej poprzedniczka i robi wrażenie jeszcze bardziej bezbronnej, i nienawidził faceta tak, jak jeszcze nikogo w swoim życiu.

- Pieprz się! - warknął. - Nienawiść była przez chwilę silniejsza niż strach. - Pieprz się, gnoju!

- Ejże, ejże - powiedział głos karcącym tonem, w którym dało się jednak wyczuć nutę rozbawienia. - To tak się wita młodą damę? Zdobyłem ją dla ciebie, Steel. Tylko dla ciebie - urwał. - Przywitaj się ze swoją Dakotą - dodał po chwili.

Robbie milczał.

- Przywitaj się ze swoją towarzyszką, Steel.

ROZDZIAŁ 61

W siedzibie firmy Eryx, w gabinecie Kordy, odbywało się nadzwyczajne, zwołane po godzinach pracy posiedzenie zarządu z udziałem prawnika Allana Tillmana i Nicka Forda.

- Powinniśmy coś zrobić - odezwał się prezes. U jego stóp leżał czarny pies myśliwski.

- Na przykład? - zapytał Hawthorne.

- Nie wiem - odrzekł Korda. - Po prostu cholernie mnie martwi, że akurat to dziecko zostało porwane. - Twarz miał zaszępioną. - Wstyd mi, że jestem takim egoistą i strasznie mi żal Woodsa, gdyby jednak ofiara była kimś obcym, zainteresowanie FBI przeniosłoby się przypuszczalnie na inny teren, w obecnej sytuacji natomiast...

- Sprzedaż już spada - wtrącił Fitzgerald. - Jeszcze trochę świateł reflektorów i będziemy kompletnie ugotowani.

- Nie bardzo wiem, jak dałoby się temu zaradzić.

- Może - podsunął Hawthorne - spróbowalibyście zrobić to samo co ja. Zaprosić ich do swoich domów, zaproponować, żeby przeszukali też ten budynek i siedzibę Zeusa.

- To nie takie głupie - powiedział Ford. - Im szybciej to zrobią, tym szybciej sobie pójdą.

- Niekoniecznie - zaprzeczył Tillman. - Mogą być prawne komplikacje.

- Na przykład jakie? - zapytał Hawthorne. - Po prostu rozgrywamy piłkę, zamiast czekać z założonymi rękami. Przyjemne to nie jest, lecz nie przewiduję komplikacji, jeśli to my wystąpimy z inicjatywą. - Umilkł. - Wizerunek firmy mógłby na tym nawet zyskać - dodał po chwili.

- Po moim trupie - oświadczył Fitzgerald. - Niczyja noga nie postanie na moim terenie, przynajmniej u mnie w domu.

- Ale pomyśl, Bill, co to będzie za ulga, kiedy już wszystko się skończy - powiedział Hawthorne.

- Nie rozmawiamy o bólu zęba - warknął Fitzgerald.

- Cenisz swoją prywatność - odezwał się Korda pojednawczym tonem.
- Wszyscy ją sobie cenimy. - Urwał. - Może byś się nad tym zastanowił, Alan - zwrócił się do prawnika. - Zorientuj się, czy coś takiego mogłoby się na nas w przyszłości zemścić...

- Zajmę się tym - obiecał Tillman.

- Mówiłem poważnie z tym wizerunkiem - ciągnął Hawthorne. - Moglibyśmy zwołać konferencję prasową, zaprosić na nią rodziców zaginionych dzieci i pokazać światu, że nie mamy nic do ukrycia.

- No nie wiem - mruknął Tillman.

- Jest to jakiś pomysł - przyznał Korda powątpiewającym tonem.

- A ja wiem - oznajmił Fitzgerald zdecydowanie. - Jeżeli chcecie zrobić z tego nieszczęścia medialną szopkę, to beze mnie, uprzedzam.

- Masz coś do ukrycia, Bill? - zapytał Ford żartobliwie.

- Kiepski dowcip! - zachnął się Hawthorne.

- Nie bądź świnia, Nick - zawtórował mu Korda.

Donald wstał, przeciągnął się i poczłapał w drugi koniec pomieszczenia.

- Mam to gdzieś, co myśli Nick czy ktokolwiek inny. Wystarczy mi w zupełności, że pani Johanssen wybrała się pod mój dom na przeszpiegi. Nikt więcej nie wejdzie na mój teren bez ważnego nakazu.

Tillman popatrzył na Kordę, Korda na Hawthorne'a, a ten wzruszył ramionami.

Donald ziewnął.

ROZDZIAŁ 62

Druga noc bez Rianny.

W końcu udało mi się przekonać Ellę, żeby poszła do łóżka.

Dla mnie nie było wytchnienia.

Przeprowadziłem kilka rozmów telefonicznych na drugiej linii, którą FBI zainstalowało do normalnego użytku, na wszelki wypadek, gdyby porywacz zadzwonił. Wiedziałem, że się tego nie spodziewają, chcieli jednak uwzględnić wszystkie ewentualności i byłem im za to wdzięczny.

Co nie znaczy, że im to powiedziałem. Zachowywałem się jak ranny niedźwiedź.

Lub raczej jak szalejąca z rozpaczy niedźwiedzica.

Zadzwoniłem do Cooperów. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli się dowiedzą ode mnie. Słyszałem w ich głosach straszny ból świeżo rozdrapwanej rany, współczucie dla mnie, Rianny i Elli, ale przede wszystkim rozpacz z powodu Mikeya, wymykającego im się coraz bardziej w miarę upływu czasu. W cichych, na wpół szeptanych słowach Fran usłyszałem też cień poczucia winy, że mnie w to wszystko wciągnęli. Powiedziałem jej, tak przekonująco jak potrafiłem, że to raczej moje zaangażowanie w sprawę Johanssenów mogło odegrać jakąś rolę, lecz tak naprawdę nikt tu nie jest winien, tylko porywacz. Wiedziałem, że mi nie wierzy i, oczywiście, nie było to całkiem bezpodstawne.

Kim i Tom, którzy w tym czasie wrócili do New Haven, spędzili z nami całe popołudnie i wieczór. Byli tak wstrząśnięci, że niemal nie mogli mówić. Krzatali się, jak w transie, obsługując mnie i Ellę. Chcieli, naprawdę chcieli zostać z nami na noc. Norman Baum, który dowiedział się o wszystkim od swoich znajomek z FBI, też zadzwonił, proponując, że przyjedzie i ze mną posiedzi. Podziękowałem jednak im wszystkim.

Nie potrzebowałem nikogo oprócz moich córek. Obu córek. Ból stał się po prostu nie do zniesienia. Nie wierzyłem, że zdołam to przeżyć. Tkwił w mojej głowie, w sercu, we wnętrznościach, paląc, tnąc,

rozprzestrzeniając się po całym ciele niczym szalejący rak, aż byłem gotów krzyknąć na całe gardło, po czym przygasał na chwilę, a później wszystko zaczynało się od nowa...

Po raz pierwszy w życiu cieszyłem się, że nie ma ze mną Simone.

W którymś momencie podczas tej nieskończonej długiej nocy jakaś część mojej jaźni wymknęła się z mieszkania, opuściła Wooster Square, New Haven, stan Connecticut i powędrowała do Nowego Jorku na Manhattan, do budynku z fasadą z jasnego kamienia przy Siedemdziesiątej Trzeciej, do mieszkania na piętnastym piętrze, wśliznęła się do ciemnej sypialni, w której Lidia i ja...

Przywołałem ją z powrotem. Tam, gdzie było jej miejsce.

Tutaj, tylko tutaj, skąd każda moja myśl powinna się kierować do Rianny, mojego zaginionego dziecka. Gdziekolwiek była, cokolwiek się z nią działo - o tym nie umiałem nawet myśleć, bo bym oszalał, a tego nie mogłem zrobić jej ani Elli - gdziekolwiek jednak się znajdowała w tej chwili, potrzebowała każdej odrobiny mojej energii, jaką zdołałem zmobilizować.

Rianna jest silna, mówiłem sobie, wiedząc, że przynajmniej to jest prawda.

Proszę, niech nadal będzie taka, błagałem. Zanosilem wszelkie modły, jakie tylko przychodziły mi do głowy, składałem te wszystkie oferty, których Bóg, jeżeli słucha, musi słyszeć miliony każdego dnia, we wszystkich możliwych językach świata.

Lidia zmagala się z tym znacznie dłużej. I Fran, i Stu. I pozostali rodzice, których nie znałem, a z którymi nagle poczułem się związany.

Moja myśl znów uciekła do Nowego Jorku i wśliznęła się, na kilka pełnych poczucia winy chwil, pomiędzy prześcieradła, aby się ogrzać w ramionach Lidii.

I znów przywołałem się do porządku.

O mój Boże, Rianno, dziecino, gdzie jesteś?

Lidia leżała w ciemności z otwartymi oczyma, patrząc w przestrzeń i myśląc o swoim sercu. Wyobrażała je sobie, rozdarte przed pięć laty po śmierci Aarona, gojące się powoli, boleśnie, ale gojące się dzięki Robbiemu, aż pozostała jedynie blizna, ukryta głęboko przed ludzkim wzrokiem. Teraz ta blizna została na nowo rozerwana, otwarta na oścież, aż buchała krwią, którą dobrzy ludzie na próżno usiłowali zatamować.

Jake zdołał tego dokonać, na jedną jedyną chwilę.

Oczywiście to tylko łatanie dziury.

A teraz przez nią - i przez tego potwora, Lidio, nie zapominaj o potworze - lecz niewątpliwie również przez nią, przez jej idiotyczną brawurę, przez jej kretyńską bezmyślność blizna Jake'a, pozostała po stracie żony, też została na nowo otwarta.

Przynajmniej miał drugie dziecko.

Ta myśl była tak niegodziwa, tak haniebna, że Lidia usiadła na łóżku, oddychając gwałtownie i czując, że zasłużyła na mocny policzek.

Położyła się z powrotem. Była taka zmęczona, tak wyczerpana, me mogła jednak zasnąć.

Myślała o Riannie, o zdjęciach tej czarującej młodej dziewczyny, które widziała u Jake'a w mieszkaniu. Zastanawiała się, czy Rianna może być w tej chwili razem z Robbiem, czy to możliwe, żeby na skutek tego koszmarnego rozwoju sytuacji córka Jake'a mogła przynieść jej synowi pociechę, a może nawet nadzieję, powiedzieć mu, że jego matka, jej ojciec i FBI nie spoczną, póki ich nie znajdą. Że to tylko kwestia czasu.

A pozostali?

Lidia nie mogła o nich myśleć. Nie dlatego, że nie umiała sobie wyobrazić reszty zaginionych. Widziała zdjęcia porwanych nastolatków na stronie internetowej FBI, lecz nie mogła ich sobie wyobrazić razem. Pomyslała, że to byłby nawet krzepiący widok, wszystkie te dzieci pomagające sobie nawzajem i troszczące się o siebie. Ale jakoś nie potrafiła wywołać tego obrazu, co przeraziło ją jeszcze bardziej, bo skoro pozostali nie byli z Robbiem i Rianną, to mogło oznaczać...

Stop. Nie idź w tę stronę.

Jej myśl powróciła do obrazu świeżo otwartej rany w sercu Jake a.

Tak strasznie chciała podnieść słuchawkę i zadzwonić do niego, wiedziała jednak, że on nie chce z nią rozmawiać.

Może, kiedy dzieci wrócą do domu...

Ta myśl i to pragnienie opanowały ją tak gwałtownie, tak bez reszty, że jej dłonie zacisnęły się kurczowo na prześcieradle niczym szpony, aż jeden z paznokci przebił materiał. Wtedy wstała z łóżka, oddychając ciężko, a serce waliło jej jak oszalałe. Odszukała tę dziurkę i wsunęła w nią środkowy palec prawej dłoni, powiększając ją. Uczucie było wspaniałe, jakby to właśnie chciała zrobić, jakby musiała to zrobić, teraz przecisnęła już przez otwór całą dłoń i szarpnęła. Materiał ustąpił, a Lidia płakała w głoś, krzyczała bez słów, z jej ust wydobywał się skowyt, w którym znalazły ujście cała wściekłość, zgryzota, frustracja i wstyd. Zerwała prześcieradło z łóżka i zaczęła je drzeć na strzępy, dopóki starczyło jej sił.

Rozszarpać go, rozszarpać...

ROZDZIAŁ 63

Noce stawały się coraz gorsze od czasu, gdy znalazł nową Dakotę. Prawda osaczała go niczym rozżarzone węgle, sypiące się z jakiegoś niewidzialnego paleniska, palące i syczące w zetknięciu z krwią, która zalewała jego świadomość.

Kończył się czas na realizację marzenia - kończył się jego czas. Wiedział, że musi to przeprowadzić, nim będzie za późno, zanim go powstrzymają. FBI, rodzice, wszyscy ci ludzie, którzy na niego polowali.

Ale teraz ją miał, czyż nie? Miał ich oboje!

Więc tej nocy zostawił zapalone światło.

Gdyż była to noc zbyt szczególna, aby pozwolić ją zepsuć koszmarem na jawie i zakradającym się podstępnie wizjom otchłani.

Zdawał sobie doskonale sprawę, co zrobił. Wiedział, że porywając tę właśnie Dakotę i robiąc to w pośpiechu, a także po części z chęci odegrania się na profesora, wziął na siebie znacznie większe ryzyko niż kiedykolwiek przedtem.

I co z tego?

Szybszy koniec wszystkiego. Krótsza droga do piekła.

I co z tego?

Jeśli tylko będzie miał dosyć czasu - to wszystko, czego pragnął, dosyć czasu, nic więcej.

Chyba tyle mu się należało?

No i ryzyko ryzykiem, lecz naprawdę dołożył wszelkich starań, żeby pomieszać szyki tropicielom.

Przynajmniej na jakiś czas.

ROZDZIAŁ 64

Eric Stephen Barnes przeżył paskudny szok.

To przyszło pocztą.

Wielka paczka. Barnes nie dostawał paczek. Od dawna. Kiedyś, przed wielu laty, oznaczały dla niego mieszaninę przyjemności i bólu. Przede wszystkim jednak powodowały kłopoty. Gigantyczne, niewyobrażalne kłopoty.

Pobiegł za listonoszem, gdy tylko otworzył paczkę i zobaczył, co jest w środku, dogonił go, kiedy mężczyzna wychodził z budynku, powiedział, że to pomyłka, żeby ją zabrał z powrotem. Ale listonosz oświadczył, że na paczce jest właściwe nazwisko i adres, więc jeśli ktoś tu się pomylił, to nie on. Nie może nic zabrać z powrotem, bo jego obowiązkiem jest dostarczyć przesyłkę, a co dalej, to już nie jego sprawa.

O Jezuu.

Czytał o tej grze w gazecie zaledwie przed kilkoma dniami. Czasem pozwalał sobie na czytanie gazet, tych przyzwoitych, bezpiecznych. Stąd wiedział o zaginionych młodych ludziach i o grze.

I jeszcze jedno.

Wiedział, że po niego przyjdą. Był tego równie pewien jak tego, że nazywa się Eric Stephen Barnes.

Nic nie mógł na to poradzić, pozostawało mu jedynie czekać. Siedział samotnie w swoim jednopokojowym mieszkaniu w „mieście braterskiej miłości”, w ogołoconym niemal ze wszystkiego domostwie - bez książek na półkach, bez telewizora, bez czasopism, z jedną jedyną fotografią matki z nim, kiedy miał trzy lata. Lepsze czasy, niemal szczęśliwe. Niemal normalne.

Cały czas był taki ostrożny. Prerażony, a jednocześnie ostrożny. Prerażony, że znów opamięta go te myśli. Prerażony, że znów przyjdą policjanci. Zrobił wszystko, naprawdę wszystko, żeby powstrzymać te obawy, pozbył się telewizora i nie czytał prawie nic ze strachu, że może natrafić na jakiś wers lub zobaczyć fotografię, która zadziała jak zapalnik...

Dbał też o czystość, zużywał chyba więcej kostek mydła Dove w ciągu miesiąca niż większość ludzi w ciągu roku - jak powiedziała mu kiedyś ze śmiechem dziewczyna z drogerii, w związku z czym musiał przestać tam chodzić. Zresztą i tak na zbyt wielu produktach były wizerunki dzieci i niemowląt i zbyt wiele mam przychodziło tam ze swoimi pociechami. W samoobsługowym A&P nie czuł się lepiej, ale to przynajmniej większy sklep, bardziej anonimowy. Mógł tam wpaść, przemknąć między regałami i wycofać się, zanim ktokolwiek go zauważył lub zapamiętał.

Mimo wszystko nadal czuł brud, ponieważ znajdował się w nim. Powiedziano mu przed wieloma laty, że jest brudny, i wiedział - nadal wiedział - że to prawda. Raz spróbował nawet połknąć mydło, skończyło się jednak na wymiotach i nie zrobił się potem czystszy. Kupił nawet wybielacz, nie był jednak durkiem, wiedział, co by się stało, na jakie tortury by się skazał i chociaż zdawał sobie sprawę, że pewnie na nie zasłużył, nie mógł się na to zdobyć.

Tak więc musieli przyjść prędzej czy później i wiedział, że kiedy przyjdą, nie uwierzą mu, choćby nie wiem co mówił. Mógł przysięgać na życie matki i na Biblię w każdym kościele w Filadelfii, a oni i tak by mu nie uwierzyli.

Paczka czekała na nich na podłodze w kącie pokoju. Koperta była niemal nienaruszona. Zawsze otwierał pocztę starannie, nie lubił bałaganu. Wiedział, że każdy skrawek papieru to magnes dla myszy, że lubią robić sobie gniazda wśród papierków i może nie miałyby nawet nic przeciwko mysiemu towarzystwu, lecz myszy były brudne, a on musiał za wszelką cenę unikać brudu, bo inaczej wszystko zaczęłoby się od nowa.

Koperta wyglądała więc niemal dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy listonosz dostarczył mu przesyłkę, i być może dałoby się na niej znaleźć odciski palców.

Tylko że na samym wierzchu będą jego własne odciski. A kiedy już go dopadną, przestaną się interesować kimkolwiek innym. Wprawdzie to on dostał przesyłkę, zawsze jednak mogą uznać, że sam ją do siebie wysłał.

- Po co miałbym to robić? - ćwiczył ciągle to zdanie. - Po co, u licha, miałbym zrobić coś takiego?

Nie będą go słuchać.

Dlaczego mieliby słuchać? Wszystkie te zaginione dzieci... Potrzebowali kogoś, na kogo mogliby zrzucić winę. Dlaczego nie miałyby to być on? Eric Stephen Barnes. Słyszał już, jak sędzia odczytuje oba jego imiona, przeciągając zgłoski, jakby coś mu śmierdziało pod samym nosem.

Tak więc czekał, aż przyjdą.

ROZDZIAŁ 65

Próbowałem grać w Limbo z Kim, kiedy zadzwonił telefon.

FBI zabrało „luksusową” wersję, więc poprosiłem Kim, żeby kupiła normalny egzemplarz, który moglibyśmy wypróbować na konsoli Rianny. Zdążyłem już zapomnieć niemal wszystko, czego Binder i Hendrick próbowali nas nauczyć podczas wizyty w Eryksie, poza tym ich sprzęt był bez porównania bardziej wymyślny niż mojej córki, ale wyglądało na to, że Kim wie, jak zacząć. Mimo to szło nam jak krew z nosa i jeżeli jakiś element tego paskudztwa, nazywanego „rozrywką”, powinien mi pomóc zrozumieć, czemu uprowadzono Rianne, nadal nie miałem pojęcia, co to takiego.

Przypuszczalnie ów list to jeszcze jedna gierka tego sukinsyna. Chciał ze mnie zakpić, poznać się, a może podsunąć mi fałszywy trop.

Telefon sprawił, że zapomniałem o wszystkich grach.

Z Waszyngtonu dzwoniła współpracownica Kline'a. Miała miły głos o lekko nosowym brzmieniu. Jak powiedziała, szef prosił ją o przekazanie mi, że FBI przesłuchuje w tej chwili podejrzanego.

Krew uderzyła mi do głowy, aż mnie zamroczyło.

- Gdzie? - zapytałem. - Kto to taki?

- Nie mogę udzielić panu tej informacji. - Nadal słyszałem jej sympatyczny ton.

- Nie pytam o szczegóły. Proszę mi tylko powiedzieć gdzie, proszę mi powiedzieć cokolwiek.

- Przykro mi, profesorze, nie mogę panu powiedzieć nic ponadto.

Poczułem nagły, rozsadzający czaszkę ból głowy.

- Chce pani dać mi do zrozumienia, że szef zabronił pani mówić, że-
bym przypadkiem się tam nie wybrał, tak? Nie zrobię tego, nie ma obawy, chcę tylko wiedzieć.

Wszystko na nic. Kline zlecił niezwłoczne przekazanie mi tej informacji, lecz nic ponadto. Specjalne względy dla profesora.

Podziękowałem asystentce, po czym zepsułem dobre wrażenie, oświadczając, że jeśli szef postanowił od tej chwili nabrać wody w usta,

przyjadę do centrali do Waszyngtonu i będę siedział pod drzwiami jego gabinetu tak długo, aż wydobędę od niego co i jak.

- Agenta Kline'a nie ma dzisiaj w centrali, profesorze - oświadczyła kobieta.

- Proszę mu to po prostu powiedzieć, dobrze?

- Przekażę pańską wiadomość, profesorze.

Tak, proszę pana, nie, proszę pana, wielkie ucho od śledzia, profesorze.

ROZDZIAŁ 66

Telefon zastał Lidię w kąpieeli.

- Psiakrew - mruknęła, bo zapomniała włączyć automatyczną sekretarkę, po czym pomyślała, że może to w sprawie Robbiego i wyskoczyła z wanny z takim impetem, aż woda chlusnęła na podłogę. Chwyliła ręcznik i dopadła telefonu w swoim pokoju przy czwartym dzwonku. -Tak?

- Tu Jake.

Tak się ucieszyła, poznawszy jego głos, że dopiero po chwili dotarły do niej dalsze słowa. „Podejrzany” - usłyszała coś takiego, przynajmniej tak jej się wydawało.

- Co mówileś?

- Mówilem, że przesłuchują podejrzanego, ale to wszystko, co mi przekazali.

- Kline do ciebie zadzwonił?

- Jedna z jego współpracownic.

Na jedną, niedobłą chwilę Lidię ogarnęła złość, że do niej nikt nie zadzwonił, pewnie dlatego, że Robbie zajmował teraz dalszą pozycję na liście uprowadzonych, nie tak jak świeżo porwana Rianna. Odepchnęła od siebie tę sugestię, owinęła się ciasniej ręcznikiem, usiadła na brzegu łóżka i zaczęła słuchać, co mówi Jake.

ROZDZIAŁ 67

Ford przekazał nowinę Kordzie, dodając, że jego zdaniem powinni teraz siedzieć cicho i nie zwoływać żadnych konferencji.

- To może nic nie znaczyć, po prostu znalazł się jakiś frajer, którego postanowili przesłuchać. Ale może też oznaczać zwrot, którego tak bardzo potrzebujemy, żeby nareszcie się od nas odczepili.

- Rzykując, że zabrzmi to patetycznie - odrzekł Korda - dodam, że może to być również zwrot, na który czekają te nieszczęsne dzieciaki, nie wspominając o ich rodzicach.

- Nie musisz mi mówić - zachnął się Ford.

Korda podniósł słuchawkę jednego z telefonów stojących na jego biurku.

- Zawiadomię pozostałych - powiedział.

ROZDZIAŁ 68

Postanowił, że tego wieczoru po raz pierwszy zagrają naprawdę. Wiedział, że dla Dakoty to za szybko, że nie zdążyła się oswoić ani z otoczeniem, ani ze sterownikami VR. Nie jest gotowa, psychicznie ani fizycznie, przez co zadanie będzie dla niej trudniejsze. Z drugiej strony, inni mieli aż za dużo czasu na przygotowania i mobilizację, a jak skończyli. Tak więc postanowił rzucić Dakotę na głęboką wodę, dopóki Steel był w dobrej formie.

Zresztą nie zamierzał już czekać ani chwili dłużej na prawdziwą grę.

Chciał zobaczyć ich razem w akcji.

Wieczorem. Już za kilka godzin.

Nareszcie.

Rianna nie mogła się zdecydować, co jest w tym wszystkim najgorsze. Ciemność? Cisza? Odcięcie od świata? Czy niepewność tego, co ją czeka?

Wszystko razem.

Cały ten świat Limbo, który porwacz jej demonstrował, to lipa. Potarzała to sobie od chwili, kiedy sobie uświadomiła, że gogle i reszta akcesoriów to część jakiegoś nieprawdopodobnego symulatora rzeczywistości wirtualnej - coś jak niektóre trasy w Disneylandzie - mającego stworzyć złudzenie, że znajdujesz się wewnątrz gry. Zwyczajna lipa. Udawanie. Wszystko to razem. Tunele, które nie były tunelami, ściek, który nie był ściekiem, cała ta „rzeczywistość” pod Manhattanem.

Nieprawdziwa.

Tylko że...

Tylko że ona była prawdziwa, czyż nie? To wciąż ona, Rianna Woods, ubrana w idiotyczny strój Dakoty, który nie został wygenerowany na komputerze, grała jej rolę, tak jak Robbie Johanssen - wszystko na to wskazywało - miał grać rolę Steela.

Wielkie, największe pytanie brzmiało: dlaczego? Zastanawianie się nad tym i snucie różnych domysłów przynosiło pewną ulgę, pozwalało

zając myśli. Niestety, jedyna odpowiedź, jaka przychodziła Riannie do głowy, brzmiała, że facet, który porwał ją, Robbiego, Michaela i pozostałych (kolejna sprawa, o jakiej nie chciała myśleć: dlaczego ich tutaj nie widzi?), to jakiś kosmiczny świr i tak się składało, że odbiło mu na punkcie Limbo.

Rianna żałowała teraz serdecznie, że obejrzała tyle filmów o szaleńcach, nie słuchając ojca, który jej tłumaczył, iż będzie miała potem koszmarnie sny.

- Ja nie miewam koszmarnych snów - odpowiadała.

O Boże, teraz miała!

Jedno w tym wszystkim stanowiło słabą, połowiczną pociechę: dawało jej - przypuszczalnie im obojgu - jeść. Jedzenie i picie pojawiało się w kartonowych pojemnikach i kubeczkach z pokrywkami jak od McDonalda, dostarczano je w nocy, kiedy leżała w ciemności, usiłując zasnąć. Słyszała odgłosy, prawdziwe, nie efekty VR. Za pierwszym razem była przekonana, że przyszedł po nią, i leżała bez ruchu, udając, że śpi. Ale jej nie dotknął, zostawił tylko jedzenie i picie i wyszedł.

Nie od razu odważyła się wziąć cokolwiek do ust. Po jakimś czasie jednak głód okazał się silniejszy niż lęk przed trucizną. Wiedziała, że musi jeść albo umrzeć. Ten pierwszy posiłek nie był taki zły, kanapka z kurczakiem, chociaż mniej więcej w połowie Rianna przypomniała sobie o truciznie i omal nie zwymiotowała wszystkiego. Udało jej się pohamować i nic się nie stało, więc chociaż tym się pocieszała. Chciał, żeby jadła, co oznaczało, że nie pragnie jej śmierci.

Przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ 69

Kolejna noc oczekiwania. Wypełniona tymi samymi straszliwymi obawami, ale złagodzonymi, przynajmniej odrobinę, dzięki nadziei, że ostatecznie aresztowanie może naprowadzić nas na ślad Rianny, Robbiego i Michaela.

Baum zdobył okrucuch informacji: podejrzanego przesłuchano w Filadelfii.

Filadelfia, Pensylwania.

Czy tam jest moje dziecko?

Musiałem zmobilizować całą siłę woli, żeby nie wsiąść w pierwszy samolot lecący w tamtym kierunku, ale zdrowy rozsądek mówił mi, że to nie ma sensu. Nawet jeśli zdołałbym dotrzeć tam, gdzie go trzymano, nie pozwoliliby mi się zobaczyć z tą szumowiną i nie dowiedziałbym się ani słowa, jeśli nie uznaliby tego za stosowne.

Jak zechcą mi coś powiedzieć, to zadzwonią.

Zostałem więc w domu, żeby wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Lidia zadzwoniła późnym wieczorem, kiedy Ella już była w łóżku.

- Nie będę cię pytać o samopoczucie - odezwała się na powitanie.
- Ja też nie.
- Jestem tu, gdybyś chciał porozmawiać.
- Cieszę się - odrzekłem ciepłej.

Zwykła rozmowa, parę słów, lecz trochę mi ulżyło. Napięcie panujące między nami zelżało od czasu, gdy zadzwoniłem do niej z informacją o podejrzanym. Znów czuliśmy się sobie bliscy, mimo dzielącej nas odległości. Jak kochankowie, którzy się pokłócili, a teraz zrobili pierwszy nieśmiały krok w stronę pojednania. Chociaż, rzecz jasna, nie byliśmy naprawdę kochankami, pomimo tego, co zaszło tamtej nocy; staliśmy się bratnimi duszami, rzuconymi w ten sam, przerażający ocean, które trzymają się siebie kurczowo, żeby nie utonąć.

W głosie Lidii wciąż brzmiało poczucie winy. Czowała pewnie, że gdyby, uchwaj Boże, coś złego spotkało moje dziecko, ją bym za to winił, ją bym znienawidził.

Może miała rację, nie wiem. Nie chcę wiedzieć.

Znów próbowałem grać w Limbo, tym razem sam. Kim odesłałem już dawno do domu, do Toma. Gra doprowadzała mnie do szału, głównie dlatego, że nie mogłem się połapać, jak zacząć.

Miałem jednak ogólny obraz tego, o co w niej chodzi.

Młodzi, bezbronni ludzie na łasce i niełasce złych mocy.

Jeżeli było w tym jakieś przesłanie, które miało mi pomóc, nie potrafiłem go znaleźć.

Może tylko to: dziewczyna i chłopak z gry komputerowej przeżyli - a raczej, jeżeli ginęli, wracali do życia przy ponownym włączeniu gry. Przetrawienie. To jedyna wskazówka, jakiej się uczepliłem.

Ale Dakota i Steel nigdy nie wrócili do domu.

Bo w grze Nowy Jork został zmieciony z powierzchni ziemi, więc nie mieli domu, do którego by mogli wrócić.

Jakaś pociecha w tym była.

Ella znalazła mnie o drugiej w nocy w salonie, śpiącego w fotelu, z nogami opartymi o kanapę.

- Skarbie, powinnaś spać.

- Nie mogę.

Przyjrzałem się Elli. Miała na sobie luźną bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawami. Policzki jej się zaróżowiły, bo noc była ciepła. Oczy nie wydawały się zaczerwienione, więc uznałem, że nie płakała. Ale na buzi mojej córki malował się taki smutek. Nie widziałem jej tak smutnej od bardzo długiego czasu.

- Chyba już jesteś za duża, żeby mi usiąść na kolanach, co, robaczku?

Nie odezwała się, tylko podeszła bliżej. Zdjąłem nogi z kanapy i posu-
nąłem się, żeby zrobić Elli miejsce obok siebie w fotelu. Usiadła i oparła się o mnie. Przytulilem ją delikatnie. Bóg jeden wie, jak bardzo chciałem przygarnąć ją mocniej, bałem się jednak, że uzna to za odruch słabości.

Potrzebowała mojej siły. Tego byłem pewien.

- Tato? - Cichutki głos, stłumiony przez naszą bliskość. - Czy Rianna nie żyje?

Gdyby ktokolwiek inny zadał mi to pytanie, chyba bym go uderzył. Ale to była Ella. Mała siostrzyczka Rianny, drugie dziecko Simone i moje.

I jeżeli to pytanie ją najbardziej dręczyło, miała prawo je zadać i usłyszeć odpowiedź. Odpowiedź, co do której byłem przekonany. Szczerze, w głębi serca.

- Nie - powiedziałem i odsunąłem się trochę, żeby mogła zobaczyć moją twarz i wyczytać z oczu prawdę. - Rianna nie umarła, skarbie. Żyje i wróci do nas.

- Kiedy? - zapytała Ella.

- Nie mam pojęcia, dziecino. Sam chciałbym wiedzieć.

ROZDZIAŁ 70

Rianna się ocknęła. Czuła się fatalnie. Gorzej niż przedtem. Coś było nie tak z jej kostką. Próbowwała wyprostować nogę, napotkała jednak opór, coś zimnego krępowało jej ruchy. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć w dół i zorientowała się, że ma na głowie hełm.

Nie miała go, kiedy kładła się spać. Tego była pewna.

W głowie jej się kręciło. Nagle przypomniała sobie, że poczuła się tak po zjedzeniu ostatniej kanapki. Żytni chleb z sałatką z tuńczyka. Zaraz potem zasnęła.

On tutaj był. On to zrobił.

Jęknęła przerażona, po czym zmusiła się do sprawdzenia, gdzie jest. „Była” na stacji metra, w częściowo zawalonym tunelu, co wydawało się w każdym razie lepsze niż ściek. Nienawidziła ścieków.

Z trudem wyciągnęła szyję i spojrzała na swoją kostkę.

I wtedy zobaczyła, co ją trzyma.

Przypominało to sidła na dzikiego zwierza. Gruba, stalowa obręcz, za pomocą której została przykuta do starej, zniszczonej szyny.

Chytra sztuczka. Wirtualna pułapka.

Ale nie. Kiedy próbowała poruszyć nogą, stalowy brzeg wbijał jej się w ciało.

Pułapka była prawdziwa.

Obudził Steela i polecił mu, żeby włożył hełm i resztę ekwipunku.

Znów jakaś cholerna wprawka, pomyślał Robbie i zaklął, lecz zrobił, co mu kazano, zbyt zmęczony i za bardzo zamroczony, żeby się zdobyć na sprzeciw.

Tunel w stacji metra, zrzuconej, z zapadniętym dachem. To co zwykle.

Niezupełnie.

Coś leżało na ziemi, dość daleko, na torach.

Robbie wyteńczył wzrok.

Dakota.

To ćwiczenie było inne niż poprzednie. Do tej pory albo tylko on wciełał się w Steela, albo Dakota - dawna lub nowa, szamotała się w pojedynkę w tym sfabrykowanym szajsie.

Tym razem zanosilo się na coś nowego.

Rianna usłyszała jakiś dźwięk.

Niskie, miarowe dudnienie. Coraz głośniejsze.

Poczuła też nasilające się dygotanie.

Wiedziała, co to takiego. Wiedziała też, że to niemożliwe.

Niemożliwe.

Szarpnęła mocniej, lecz obręcz nie puściła.

Dźwięk był coraz głośniejszy. Szarpnęła z całej siły, nie zwracając uwagi na ból - prawdziwy ból - czuła się jednak nieporadnie, nie miała swobody ruchów, a kiedy sięgnęła dłonią do stalowej obręczy, okazało się, że przeszkadza jej rękawica.

Dudnienie przechodziło w głuchy łoskot.

Rianna uniosła głowę i spojrzała w stronę, skąd dochodził dźwięk.

Zobaczyła światło, dalekie, ale coraz bliższe.

Robbie też je zobaczył. Wiedział, co to znaczy, powiedział sobie, że znowu lipa, że to tylko stary, idiotyczny pociąg-widmo z Limbo, ale w tym samym momencie zobaczył twarz dziewczyny, a raczej część twarzy, która nie była zasłonięta, bo wciąż nie dostrzegał jej oczu i żałował, że ich nie widzi...

Łoskot stawał się ogłuszający, a światła jaśniejsze, coraz bliższe i bliższe.

Może pociąg nie był rzeczywisty, lecz rosące przerażenie dziewczyny sprawiało wrażenie najzupełniej autentycznego.

Ruszył w jej stronę, uświadamiając sobie, z nagłym zdumieniem, że naprawdę idzie, że to nie stepper, że nie trzyma w dłoniach żadnych dźwigni. Był tak zamroczony, kiedy się obudził, a ćwiczenie zaczęło się tak nagle - gdy tylko włożył hełm - że nie miał nawet pewności, czy obudzil się w tym samym pomieszczeniu, w którym zasnął...

Coraz głośniej.

Chryste.

Zobaczyła go. Steel szedł jej na ratunek, tak jak w Limbo.

Robbie, nie Steel.

Wołał coś do niej.

- To wszystko nieprawda!

Ale pociąg wciąż się zbliżał, widziała go i słyszała - przypominał setki, tysiące rozpędzonych bawołów.

- Ściągnij mnie z torów! - wrzasnęła, przekrzykując huk. - Pomóż mi, Robbie!

Już był przy niej, człowiek z krwi i kości, prawdziwy, i gdyby nie zbliżający się z każdą sekundą pociąg, czułaby się taka szczęśliwa...

- Zdejmij mi to z nogi!

- Staram się. - Robbie szarpnął ze wszystkich sił, obręcz jednak ani drgnęła. - Nie mogę!

- Spróbuj tym! - krzyknęła Rianna, pokazując nóż, który miał przytroczone do pasa. On też wyglądał na autentyczny, ale nie miała pewności...

- To na nic! - odkrzyknął Robbie, choć mimo wszystko wyciągnął nóż, upuszczając go przy tym niechcący, a ten zaklinował się pod jedną z szyn. Jak to możliwe, skoro to tylko VR? Nie ma czasu się zastanawiać, podnieś i już! Chwył go i spróbował podważyć obręcz, tylko że nóż do niczego się nie nadawał. Tak jak się obawiał, był metalowy, ale tępy - oczywiście, że tępy. Rób coś, Robbie, rób coś, Steel!

Teraz oboje widzieli pociąg. Był coraz bliżej, już prawie, prawie...

I jeszcze coś. Coś niemożliwego. Zapadnięty strop się podnosił, przybierał dawny kształt, niczym na filmie puszczanym w odwrotnym kierunku... Światło było coraz jaśniejsze, oślepiało ich... rozległa się ostrzegawcza syrena...

Rianna zrozumiała pierwsza, olśnienie eksplodowało w jej świadomości poprzez strach.

- Hełmy! - krzyknęła. - Musimy ściągnąć hełmy!

Zaczęła się nieporadnie mocować ze swoim, lecz nie mogła go zdjąć. Robbie stał przez chwilę jak wryty i nagle pojął, w czym rzecz, odwrócił się, rzucił nóż i skoczył jej na pomoc, chociaż ręce w rękawicach nie chciały go słuchać.

Dobra! - Miał go. Widział teraz jej twarz, całą twarz, w oczach dziewczyny dostrzegł osłupienie, zrozumiał, że rzucił ją w ciemności, lecz jej dłonie już go szukały, próbując dotrzeć po omacku jego hełmu. Wyciągnął ręce, żeby jej pomóc, ale czasu mieli coraz mniej, pociąg był tuż-tuż i Robbie napiął mięśnie, przygotowując się na uderzenie...

Gogle puściły, potem słuchawki.

Ciemność i dzwoniąca w uszach, ogłuszająca cisza.

Pociąg zniknął.

Chwile mijały. Na wpół siedzieli, na wpół leżeli, wyczerpani, bez sił, powoli uświadamiając sobie, że cisza nie jest już absolutna.

Wypełniał ją szmer ich własnych oddechów. Odgłos życia, przetrwania.

Zdjęli rękawice, i kierując się instynktem, odszukali w ciemności swoje dłonie. Skóra, ciepło, siła. Rianna krzyknęła cicho. Robbie chłonął ten nieartykułowany dźwięk, w którym brzmiała nieskończona ulga.

Przywarli do siebie.

Rianna odezwała się pierwsza.

- Ty jesteś Robbie, prawda? - Wyczuła jego zaskoczenie.

- Skąd wiesz, jak się nazywam? - zapytał.

- Długa historia.

- Mamy czas.

Wciąż się obejmowali, zbyt przerażeni, żeby rozluźnić uścisk.

- Robbie?

- Tak?

- Ten pociąg nie był prawdziwy, prawda?

- Nie.

- Ani tunel.

- Uhum.

Jej ciałem wstrząsnął lekki dreszcz, jakby jeszcze nie całkiem ochłonęła po szoku.

- To dlaczego wciąż mam na nodze tę obręcz?

Obserwował ich przez jakiś czas, zbyt przejęty, żeby się poruszyć. Albo odezwać.

Zbyt wstrząśnięty. Wyczerpany.

To było lepsze, niż się spodziewał. Lepsze niż wszystko, co dotąd w życiu widział lub robił.

Kiedyś myślał, że delektowanie się grą na ekranie komputera, w ciemności, w zaciszu własnego domu, to już jest to, o co chodzi. Sterowanie Steelem i Dakotą, zmuszenie ich, żeby robili to, co on zechce, obserwowanie, jak stają oko w oko z niebezpieczeństwem wciąż i wciąż od nowa, jak strach wykrzywia ich piękne, cybernetyczne twarze, a usta obojga zaciskają się z determinacją, jak ich wirtualne uda prężą się do skoku.

Wciąż pamiętał tamte chwile, to przypadkowe odkrycie, pamiętał zaskoczenie, na wpół zakłopotanie i na wpół zawstydzenie. Lecz przede wszystkim zdumienie.

A także, oczywiście, wspaniałość tego wstrząsu, owo fizyczne i emocjonalne spełnienie, którego szukał na tyle różnych sposobów od tak wielu lat.

Takie proste. I absurdalne.

Wiedział od razu, że nie powie o tym nikomu, absolutnie nikomu, ani swojemu psychiatrze, ani nawet spowiednikowi.

To była jego nieszkodliwa tajemnica.

Minęło wiele czasu, zanim odkrył, jak to ulepszyć. Doprowadzić do perfekcji.

W końcu mu się udało.

I miał rację, ach, miał absolutną rację.

To było perfekcyjne.

A stanie się jeszcze lepsze.

Robbie i Rianna wciąż czekali na dalszy ciąg.

Objęowali się w ciemnościach, czekając, co się jeszcze wydarzy, spodziewając się, że on znów ich rozdzieli albo zrobi coś jeszcze gorszego. Robbie doszedł do wniosku, że on też musiał dostać środek nasenny, że niemal na pewno został przetransportowany ze swojej celki do tego pomieszczenia, które wydawało się nieco większe i inne.

Chociażby przez to, że ona tu była.

Sekundy upływały jedna za drugą.

- Opowiedz mi o sobie - poprosił szeptem. - Skąd się o mnie dowiedziałaś?

Rianna wyjawiała mu, jak się nazywa.

- Wszyscy już o tobie wiedzą. Jesteś sławny. A twoja mama...

- Co z mamą? - Wzmianka o matce zelektryzowała chłopca. - Jak sobie radzi?

- Świetnie - szepnęła Rianna. - Postawiła na nogi całe FBI, a mój tata - wiesz, on jest profesorem, ale kiedyś był policjantem - więc mój tata i twoja mama pomagają sobie nawzajem, teraz, kiedy mnie też porwali, jestem pewna, że nas znajdą i wyciągną stąd - umilkła na chwilę. - Co z resztą?

- Z jaką resztą?

- Przed tobą uprowadzono czworo innych. Policja na to wpadła, bo wszyscy dostali grę i list - urwała. - Wszyscy oprócz mnie.

- Czworo?

Usłyszała niedowierzenie w jego głosie.

- Nie spotkałeś tu na dole nikogo więcej?

- Owszem - odrzekł Robbie. - Ale tylko jedną osobę.

- Chłopaka czy dziewczynę? - Rianna pomyślała o Mikeyu.

- Dziewczynę.

- Dobrze się bawicie?

To był jego głos.

Umilkli i tylko objęli się jeszcze mocniej. Usłyszeli w ciemności głośnie szcęknięcie.

- Otworzył - szepnęła Rianna, czując, jak obręcz zwalnia ucisk. Wy-swobodziła nogę z potrzasku, odsunęła się na chwilę od Robbiego, żeby rozmasować kostkę, po czym znów go objęła.

- Lepiej? - zapytał głos. Rianna nic nie mówiła.

- Boicie się, że znów was rozdzielę, co?

Robbie i Rianna niemal wstrzymali oddech.

- Możecie się uspokoić - powiedział. - W końcu Steel i Dakota należą do siebie, prawda? - urwał. - Czyż nie należycie do siebie? - dodał po chwili.

ROZDZIAŁ 71

Rano znów zadzwoniłem do Kline'a, przewidując, że go nie zastanę w biurze, gdyż domyślałem się, że pojechał do Filadelfii. Był wtorek, dwudziesty piąty czerwca, dwa i pół dnia bez Rianny. Kline oddzwonił dwie godziny później, kiedy właśnie miałem się nagrać po raz drugi na automatyczną sekretarkę.

- Dobra - odezwał się. - Podam panu podstawowe fakty i ani słowa więcej.

- Będę wdzięczny i za to - odrzekłem szczerze. Dla kogoś tak zlaknionego informacji jak ja to też było coś.

- Przesłuchiwany facet jest notowanym pedofilem i przestępcą seksualnym, którego nazwisko pojawiło się w bazie danych mistrzów Limbo. - Proszę się nie ekscytować, profesorze, chcemy po prostu zadać mu kilka pytań.

- Ma jakieś nazwisko?

- Bądźmy rozsądni - powiedział Kline.

No tak.

- Jak dotąd nie postawiliśmy mu żadnych zarzutów, może w ogóle ich nie postawimy, nadal szukamy innych podejrzanych i innych tropów, więc proszę sobie nie robić zbyt wielkich nadziei.

Nadziei.

Podziękowałem mu, wiedząc, że już nic więcej nie usłyszę, że i tak wyświadcza mi wielką uprzejmość.

Powoli docierały do mnie trzy słowa.

- Pedofil. Przestępca seksualny.

Byłem w gabinecie. Rianna patrzyła na mnie z fotografii z tym swoim rozbrajającym uśmiechem. Spoglądała mi prosto w oczy. Ledwie zdążyłem dobiec do łazienki.

Po południu zadzwonił Baum. Po usilnych perswazjach Kim udało się zabrać Ellę na trochę do siebie, chociaż mała uprzedziła nas, że chce być

przez cały czas pod telefonem, na wypadek gdyby nadeszły jakieś wieści.

- Mam dla ciebie trochę wiadomości - powiedział detektyw.

Dzięki Bogu za Normana Bauma. Przekazałem mu skąpe informacje, których udzielił mi Kline.

- Ptaszek nazywa się Eric Barnes - mówił detektyw. - Zarzeka się, że nigdy w życiu nie grał w Limbo ani w żadną inną grę komputerową, ale konsola i gra zostały znalezione w jego mieszkaniu. Barnes przysięga, że dostał je pocztą tydzień temu, i zapewnia, że niczego takiego nie zama-
wiał.

- Wierzymy mu? - Boże mój, to brzmiało dość wiarygodnie, a w takim razie co z tego dla nas za pożytek?

W głosie Bauma dało się wyczuć zmęczenie.

- Barnes zeznał, że wiedział od razu, czym to się dla niego skończy, bo czytał o całej sprawie w gazecie.

- Zadzwoił na policję, kiedy dostał przesyłkę?

- Miał pietra.

- Ma alibi?

- Żadnego. Ale utrzymuje, że to dlatego, że nigdzie nie wychodzi - chyba że do poradni - z obawy, że ulegnie pokusie albo zostanie o coś fałszywie oskarżony.

Zbierało mi się na wymioty.

- Widuje się ze swoim terapeutą?

- Regularnie. - Detektyw milczał przez chwilę. - Mógł wysłać tę paczkę sam do siebie.

- Aha. - Usiłowałem się skoncentrować. - Ma pracę?

- Nie - odrzekł Norman. - Ani pieniędzy. Mieszka w jednopokojowym mieszkaniu, wypucowanym niczym w dowcipach o matce przełożonej i prawdopodobnie cierpi na manię prześladowczą.

- Czy może to być jakiś pieprzony geniusz-idiota?

- Z tego, co słyszał mój człowiek, raczej nie.

- Tracą czas, prawda? - zapytałem ponuro.

- Być może - zgodził się Baum. - Albo wiedzą o czymś, o czym my nie wiemy.

ROZDZIAŁ 72

U niesienie minęło.

Pozostał wstyd. Straszny, okropny wstyd.

Wiedział o tym od dzieciństwa.

Seks to zło.

Trzeba się z tego oczyścić.

Ojciec kazał mu się szorować aż do krwi. Mówił, że to doskonałe antidotum na nieprzyzwoite ciągoty. I to prawda. O Chryste, tak, to prawda. Próbował ją ignorować, ale nie mógł.

Ponieważ w głębi duszy wiedział, że to zło.

Właśnie tak, jak mówił ojciec.

I ta świadomość psuła wszystko.

Aż do owej nocy, wiele lat po śmierci ojca, kiedy pracował samotnie w półmroku swojego gabinetu, sam, jeśli nie liczyć Steela i Dakoty, i nagle zdał sobie sprawę, że ma wzwód. Tak wiele czasu upłynęło, odkąd mu się to przydarzyło po raz ostatni, lecz wciąż pamiętał tamto przerażenie, wstyd, a potem niesamowite, bajeczne uczucie i wreszcie niewiarygodną ulgę spełnienia.

Tej nocy poszedł do domu i znów szorował całe ciało do krwi, modlił się o przebaczenie, przysięgał, że to ostatni raz. Od tamtego czasu jednak pragnienie nigdy go nie opuściło i stawało się coraz potężniejsze. Brało go w posiadanie.

Wiedział teraz, że od początku okłamywał sam siebie. Kłamał, kiedy mówił sobie, że to po prostu gra. Zawsze było w tym zło, jakiś brud, wiedział o tym. Okłamywał się, bo to łatwiejsze niż spojrzeć prawdzie w oczy.

Prawda znów go dopadła, ostra jak sztylet, chociaż noc już minęła. W miarę upływu czasu stawała się coraz bardziej bezlitosna, dając mu coraz mniej wytchnienia i ograbiając go z resztek spokoju.

Kim trzeba być, żeby szukać ekstazy w panicznym strachu uwięzionych dzieci? Kim trzeba być, żeby krzyczeć, zabijając, a potem zaczynać wszystko od nowa? A potem iść do pracy i udawać, że się jest człowiekiem?

Już niedługo.

To wszystko już nie potrwa długo.

Przynajmniej to było jasne.

Nawet dla potwora.

ROZDZIAŁ 73

A co Baum sądzi o tym człowieku? - zapytała Lidia, kiedy do niej zadzwoniłem.

- Uważa, że za wcześnie na wnioski.

- A ty jak uważasz?

Nie zamierzałem mówić jej niczego oprócz prawdy, tak jak sam ją widziałem.

- Myślę, że ten nieszczęśnik mógł zostać wrobiony.

Milczała przez chwilę.

- Przez porywacza, to masz na myśli?

- To jedna z możliwych teorii.

- Czy Kline też tak sądzi?

- Kto wie? - odpowiedziałem. - Mogą mieć na Barnesa coś, o czym nie wiemy.

- Sugerujesz, że ten, kto porwał nasze dzieci - myślała głośno Lidia - mógł - jak to się mówi? - włamać się do bazy danych mistrzów Limbo?

- Już ci mówiłem, to tylko teoria.

- Więc ów ktoś mógł wziąć nazwisko z rejestru pedofilów w Pensylwanii i po prostu dodać je do bazy danych firmy Eryx?

- Nie całkiem po prostu - odrzekłem. - Ale nie znam się na komputerach tak dobrze, żeby ci powiedzieć, jak łatwo czy jak trudno coś takiego zrobić.

- Sądzisz, że porywacz mógłby być hakerem? - Lidia, coraz bardziej podekscytowana, rzuciła się na ten pomysł niczym pies na kość. - Powie-działeś Kline'owi, co myślisz?

- Próbowałem się z nim skontaktować, zanim zadzwoniłem do ciebie. Wygląda na to, że swój przydział na dzisiaj już otrzymałem. - Pokręciłem głową, starając się zebrać myśli. - W każdym razie, skoro mnie coś takiego przyszło do głowy, FBI też musi brać to pod uwagę.

- Nadal w to wierzysz? - zapytała cicho.

- Nie wiem. Nie jestem pewien, czy w ogóle jeszcze cokolwiek wiem.

Nie pytałem Kline'a, czy mogę podzielić się tą wiadomością z Lidią i z Cooperami, ale nie prosił, żebym zachował informacje dla siebie, a uznałem,

że nie jest to człowiek, który zapomniałby zrobić takie zastrzeżenie. Myślałem, że Lidii powiedziałbym tak czy inaczej. Nie miałem też skrupułów, dzwoniąc do Fran i Stuarta.

Wiedzieli już o tym od agenta z terenowego biura w Bostonie, które miało z nimi kontakt od jakiegoś czasu.

- Myślisz, że go znaleźli? - zapytała Fran. - Myślisz, że to może być on?

W jej łamiącym się głosie usłyszałem nutę nadziei i nie mogłem być tym, kto jej ową nadzieję odbierze. Tak czy inaczej nie przeszłoby mi przez gardło, że moim zdaniem to najprawdopodobniej kozioł ofiarny.

- Nie wiem, Fran - odrzekłem.

- Wygląda na to, że musimy po prostu czekać, prawda?

Bóg jeden wie, jak bardzo im współczułem od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o zniknięciu Mikeya. W tym momencie jednak uznałem, że zastanawianie się, co mogą czuć rodzice, których dziecko nie daje znaku życia od tak dawna, jest ponad moje siły.

Zadzwońm jeszcze raz do Lidii i powiedziałem, że mam do niej prośbę.

- Oczywiście.

- Możesz odmówić, nie krępuj się absolutnie, dobrze?

- Co to za prośba, Jake?

- Czy nie chciałabyś przyjechać do New Haven? - urwałem. - Mogłabyś zamieszkać u nas w gościnnym pokoju albo zatrzymać się w hotelu jako mój gość, jeśli tak byłoby ci wygodniej...

- Myślę, że będzie mi wygodniej w twoim gościnnym pokoju. - W jej głosie wyczułem ślad uśmiechu. - Jeżeli tylko ty i Ella nie macie nic przeciwko temu.

- Nie mamy.

- Pytałeś Ellę?

- Ella wyszła do Kim - wyjaśniłem - więc nie mogę zapytać. Ale wiem, że nie będzie miała nic przeciwko temu. Od czasu twojego aresztowania uważa, że jesteś czadowa.

Jedynie króciutka chwila milczenia świadczyła, że Lidia zauważyła zmianę w moim nastawieniu. Dotarło do mnie, zdaje się, że potwór, który zaatakował Rianne, zrobiłby to, czy bym pojechał do Moodus, czy nie.

- Przyjadę pierwszym pociągiem, który uda mi się złapać - powiedziała. - Będę wieczorem.

Zadowolenie, to nie było właściwe słowo.

Wydawało się bardzo blade w porównaniu z tym, co czułem.

ROZDZIAŁ 74

Robbie i Rianna nadal byli razem. Wiedzieli, że on obiecał ich nie rozdzielać, ale zdawali sobie również sprawę, że nie mogą ufać żadnemu jego słowu.

Światło zostało włączone jakiś czas temu i po raz pierwszy naprawdę zobaczyli swoje twarze i oczy, niezasłonięte okularami.

- Jesteś piękna - wypalił Robbie prosto z mostu. W jego głosie zabrzmiało zdumienie.

Rianna nie miała w czym się przejrzeć i była pewna, że wygląda jak siedem nieszczęść, lecz te słowa poprawiły jej samopoczucie, autentycznie poprawiły, co musiało być z jej strony okropnie płytkie, zważywszy na okoliczności. Robbie wydawał się szczuplejszy niż na zdjęciach, które widziała, miał cienie pod oczyma i ślad zarostu na brodzie, mimo wszystko jednak był super.

- Myślałem, że już nigdy nikogo nie zobaczę - powiedział.

- To i żaba pewnie byłaby teraz dla ciebie piękną. - Rianna zdobyła się na żart.

- Wyglupiasz się? - Robbie patrzył na nią z niedowierzaniem. - I to, co zrobiłaś, kiedy nadjeżdżał pociąg...

- Kiedy myśleliśmy, że nadjeżdża - poprawiła go Rianna.

- Ale tak szybko na to wpadłaś - był pełen szczerego podziwu - i od razu wiedziałaś, co robić.

- Ty wpadłbyś na to chwilę później.

- Nie sądzę.

Rianna chodziła po klitce, zaglądając we wszystkie kąty. Byli w tym samym pomieszczeniu, w którym zasnęła, miała co do tego pewność, ale teraz znajdowały się w nim dwa materace, dwie kostki mydła i dwa ręczniki.

- To wszystko jest takie niesamowite - zauważyła cicho.

- O tak. - Robbie siedział na materacu, zbyt zmęczony, żeby się utrzymać na nogach.

- Dobrze się czujesz?

- Jestem tylko wypluty. - Podniósł na nią wzrok. - Czy wiesz, jak długo tu przebywam?

Rianna pamiętała z gazety datę jego zaginięcia.

- Zniknąłeś trzydziestego pierwszego maja. - Zawahała się, po czym spytała: - Pamiętasz cokolwiek? Jak to się stało? - Sama zdążyła mu już opowiedzieć o klubie, o fałszywym telefonie i o tym, jak została porwana.

- Pamiętam. Obchodziliśmy urodziny Candice.

- Candice?

- Koleżanki. Siedzieliśmy całą paczką w restauracji. Poszedłem do toalety i tam, zdaje się, mnie dopadł. - Pokręcił głową. - Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim obudziłem się tu, na dole. - Znów podniósł na nią oczy. - Ty też przedtem powiedziałaś „na dole”. Wiesz, że tak jest czy to przeczucie?

- Przeczucie - odrzekła Rianna po chwili zastanowienia. - Lecz jestem prawie pewna, a ty?

- Aha. - Robbie milczał przez chwilę. - Więc ile to czasu? Czy wiesz, kiedy zostałaś porwana? Znasz datę?

Rianna usiadła obok niego na materacu.

- To była sobota. - Pomyślała przez chwilę. - Dwudziesty drugi lipca. - Znów urwała. - Też nie wiem dokładnie, jak długo tu jestem, trudno powiedzieć na sto procent. Myślę, że kilka dni.

Robbie milczał.

Rianna rozumiała dlaczego. To musiał być dla niego straszny wstrząs.

- Pięćdziesiąt dwa dni - powiedział w końcu bardzo cicho. - Jestem tutaj dłużej niż pięćdziesiąt dwa dni. - Urwał. - Połowa wakacji... Urodziny Josha...

- Josha?

- Mojego najlepszego przyjaciela.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę, po czym Rianna przysunęła się bliżej i otoczyła go ramieniem. Bez słowa. Nic, co mogłaby powiedzieć, nie było w stanie go pocieszyć. Ani jej, skoro już o tym mowa.

- Przynajmniej mamy siebie nawzajem - zauważyła w końcu.

Robbie skinął głową.

- I wiemy, że nasi nie spoczną, dopóki nas nie znajdą.

- Tak - zgodził się Robbie. - Chyba tak.

- Na pewno - oświadczyła Rianna.

Zdjęła dłoń z ramienia chłopca, lecz nadal siedziała obok niego, zastanawiając się, jakie to wszystko jest niecodzienne. Chociażby to. Mogła słyszeć o Robbiem Johanssenie, zanim się tu znalazła, nie zmieniało to

jednak faktu, że tak naprawdę był obcym chłopakiem, który nic o niej nie wiedział. Ale teraz i tutaj, w tym okropnym miejscu, czuła, że jest jej bliższy niż ktokolwiek inny, kogo w swoim życiu spotkała, jeśli nie liczyć rodziny, Ryanów i Shannon.

- Zdaje się, że teraz rzeczywiście jesteśmy prawie jak Steel i Dakota - zauważył Robbie. - Ostatnia para nastolatków ocalałych w podziemiach Nowego Jorku, wspierających się nawzajem...

Rianna odsunęła się trochę i spojrzała na niego.

- Myślisz, że naprawdę tam jesteśmy?

- Uhm. - Robbie skinął głową, po czym wzruszył ramionami. - Nie wiem.

Światło znów zgasło. Rianna wzdrygnęła się i teraz Robbie otoczył ją ramieniem. Jego kolej na dodawanie otuchy.

- Przyzwyczaisz się - powiedział.

- Nie sędzę - szepnęła.

- Ja też nie - przyznał Robbie. - Ale teraz będzie mi łatwiej, kiedy tu jesteś. - Uświadomił sobie, jak fatalnie musiało to zabrzmieć. - Co nie znaczy, że się cieszę, że tu trafiłaś.

Rianna nie odpowiedziała.

- Prześpijmy się trochę - zaproponował Robbie.

Położyli się razem, jedno obok drugiego, nie zastanawiając się, czy tak by się zachowali na wolności, w normalnym życiu, wiedząc tylko, że potrzebują tego i pragną, żeby trwało to jak najdłużej.

Robbie leżał niemal bez ruchu, wsłuchując się w oddech Rianny, poznając, że usnęła, kiedy stał się miarowy. Cieszył się, że przynajmniej w ten sposób dziewczyna może uciec stąd chociaż na chwilę. On tymczasem spróbuje pomyśleć w spokoju.

Coś go w tym wszystkim nurtowało i jeśli Rianny nic do tej pory nie uderzyło, nie chciał niepotrzebnie pomnażać je obaw. Jeżeli rzeczywiście mieli być jak Steel i Dakota, jeśli mieli się stać żywymi elementami oprogramowania, stworzonego przez tego szalonego maniaka - to obecna sytuacja nie znalazła żadnego odpowiednika w grze, którą znał z komputera. Otóż Dakota i Steel zawsze razem stawiali czoło kolejnym przygodom, wyciągali się nawzajem z opresji, nigdy jednak nie spędzili razem dłuższego czasu, nigdy nie byli naprawdę razem...

Może to po prostu wspaniałomyślny gest z jego strony?

Nie w stylu tego sukinsyna.

Więc może chciał ich poobserwować przez jakiś czas, aby zobaczyć, jak na siebie zareagują, posłuchać, o czym rozmawiają, czy będą próbowali

układać jakieś plany ucieczki. Ale jakie? Robbie chciałby, żeby udało im się wymyślić tutaj coś, co tamten mógłby podsłuchać.

Niedobrze mu się robiło na myśl o tym gadzie, szpiegującym ich i może podglądającym przez jakąś dziurkę od klucza albo filmującym z ukrytej kamery, kiedy rozmawiają, załatwiają się albo śpią. Lecz jeszcze gorsza była inna, uporczywie powracająca myśl, że kiedyś ten sukinsyn przestanie ich obserwować, że któregoś z owych ni to dni, ni to nocy kartony z jedzeniem i piciem nie pojawią się w celi...

Że światło już nigdy się nie zapali.

Skończ z takimi myślami, chłopie.

- Robbie? - Głos Rianny, ledwie słyszalny, jakby przyplął do niego na fali ciemności.

- Sądziłem, że śpisz - odrzekł.

- O czym myślisz? - zapytała. W jej głosie wyczuł lęk.

- O niczym - urwał. - Może przysunęlibyśmy się trochę bliżej? - zapytał po chwili milczenia.

- Tak byłoby lepiej - szepnęła Rianna.

I rzeczywiście było.

ROZDZIAŁ 75

Nadstawiał uszu, nasłuchując wieści o Barnesie - jak szybko go puszcza, czy długo będą przypiekać tę żalosalną gnidę.

Żalosalna gnida. Nikt!

Pedofil, napastujący dzieci.

Nie było nic gorszego, nic bardziej tchórzliwego pod słońcem.

Z wyjątkiem stwora-potwora.

Dlatego uchwycił się Barnes'a. Musiał znaleźć kogoś, kto posłużyłby mu jako tymczasowy kozioł ofiarny, zasłona dymna, drugie ja. Ten sposób, jak mu się wydawało, był wystarczająco skuteczny, aby on sam mógł normalnie funkcjonować. Plus wszystkie inne środki, które przedsięwziął.

Kiedy będą musieli wypuścić Barnes'a, zawsze może im podsunąć następnego.

Stwór-potwór potrzebuje więcej czasu.

Steel i Dakota mieli przed sobą jeszcze tyle gier.

Ledwie zaczęli.

Lubił na nich patrzeć, jak przytulali się i garnęli do siebie.

Potrzeba mu więcej czasu.

ROZDZIAŁ 76

Niedługo po przyjeździe Lidii znowu zadzwonił Baum. Powiedziałem mu, że zamieszkała u mnie i będzie słuchać z drugiego telefonu.

Usłyszeliśmy szczęknięcie, kiedy podniosła słuchawkę w salonie. Ja rozmawiałem z kuchni.

- Jak się masz, Lidio?

- Nie najgorzej - odezwała się. - A ty, Norman?

- W porządku, dzięki.

- Co masz? - zapytałem, ucinając wstępy.

- Wydaje mi się, że niedługo będą musieli wypuścić Barnes'a - powiedział Baum. - Podobno nikt naprawdę nie wierzy, że jest mistrzem Limbo czy czegokolwiek innego.

- A więc został wrobiony - zauważyłem.

- Co znów wskazuje na tych z Eryxu, prawda? - wtrąciła szybko Lidia.

- Równie dobrze może wskazywać na jakiegoś hakera - odparł Norman, zwracając się do nas obojga. - Może porywacza, a może po prostu jakiegoś figlarza od siedmiu boleści.

- O Boże - jęknęła Lidia. - Naprawdę myślisz, że ktoś mógłby coś takiego zrobić?

- Mógłby - odrzekłem cicho. - Jakiś zbzikowany komputerowy geniusz, znudzony wymyślaniem kolejnych wirusów.

- Jeszcze nie wypuścili Barnes'a - przypomniał nam Baum.

- Co oznacza, że znaleźli powód, żeby go przetrzymać dłużej niż zwykle.

- Po co go w ogóle jeszcze trzymają? Mówiłeś, że nie ma pieniędzy, więc nie mógł dysponować środkami koniecznymi, żeby uprowadzić dzieci z sześciu różnych stanów.

- Na to nie trzeba wielkich środków - odrzekł detektyw. - Wystarczy furgonetka i... no nie, nie wiem, czy Barnes ma prawo jazdy.

- A czy ma wystarczającą wiedzę i odwagę, żeby ukraść taksówkę z New Haven, majstrować w biały dzień przy samochodzie Marshy Carlin, po czym porzucić taksówkę, wyczyściwszy ją przedtem tak dokładnie, że pozostał tylko jeden włos?

- Wątpliwe - zgodził się Baum.

- Bo to nie Barnes, prawda? - odezwałem się podniesionym głosem. - Bo Barnes to tylko zwyczajny, chory facet bez piątej kleпки.

- I dlatego pewnie do rana go wypuszczą - oznajmił Norman.

- Po co czekać do rana? Może mają coś, o czym nie wiemy?

- Nie wiem, Jake. - Detektyw był wyjątkowo cierpliwy.

Słyszałem w słuchawce lekki oddech Lidii. Niemal zapomniałem, że ona też słucha.

- Przepraszam was - powiedziałem. - Dzięki za telefon, Norman. - Nie byłem w stanie rozmawiać ani chwili dłużej. Nagle poczułem, że zbiera mi się na płacz.

- Nie ma sprawy - pożegnał się detektyw.

Odłożyłem słuchawkę, zrobiłem kilka głębszych wdechów, otarłem oczy grzbietem dłoni i poszedłem do salonu.

Lidia siedziała na kanapie, wpatrując się w swoje dłonie, złożone na kolanach.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem. Podniosła na mnie wzrok, jej oczy były wilgotne.

- To mimo wszystko może być ktoś z Eryxu, prawda?

Wykonałem jakiś gest, ni to skinienie, ni to wzruszenie ramion. Nie mogłem mówić.

Usiadłem obok niej.

Oboje czuliśmy się tak samo, to nie ulegało wątpliwości. Wciąż nie było wiadomo, gdzie są nasze dzieci, i wyglądało na to, że sprawy nie posuwają się naprzód.

Jak mieliśmy się czuć?

ROZDZIAŁ 77

Liczył na więcej niż marne czterdzieści osiem godzin.

Boże, to go wykańczało. Musiał zajmować się tyloma sprawami naraz. Dogłądanie dzieciaków. Własne życie, praca, ludzie. Wystawienie na strzał kolejnego podejrzanego, na wypadek gdyby okazał się potrzebny.

Tam i z powrotem, tam i z powrotem, nieustanna huśtawka.

Dziękował Bogu za inteligencję i wytrzymałość, które jednak szwankowały chwilami w ostatnich dniach, co doprowadzało go do szału.

Najlepsze dopiero przed nim. Młodzi nie byli jeszcze gotowi. Wymagali więcej pracy, więcej ćwiczeń, które powinien im zorganizować. Nic dziwnego, że przeżywał chwile zwątpienia, że jego psychika czasem słabła. To jeszcze nie powód, żeby się nad sobą pastwić, tak jak ostatnio, czy żeby ubliżać sobie samemu.

„Stwórz-potwór”! Jakie to niesmaczne i okrutne.

Przecież tak naprawdę był geniuszem.

Wciąż ta huśtawka, w górę i w dół, w górę i w dół.

Więcej czasu. To wszystko, czego potrzebował, żeby doprowadzić rzecz do perfekcji.

ROZDZIAŁ 78

Ella była u swojej przyjaciółki, Maggy Stewart, mieszkającej niedaleko Short Beach, gdzie miała spędzić cały dzień. Nie chciała jechać, mówiła, że woli zostać ze mną w domu. Ja z jednej strony też wołałbym mieć ją przy sobie, z drugiej jednak, skoro pojawiła się szansa, żeby moja córka spędziła kilka godzin w warunkach choć trochę zbliżonych do normalności, to nie wolno było jej tego pozbawiać.

- Jeśli chciałabyś wrócić wcześniej, to nie ma problemu - zapewniłem Elle, zanim pani Stewart po nią przyjechała. - Po prostu zadzwoń do mnie albo powiedz mamie Maggy.

Utkwiła we mnie te swoje niezwykle oczy o przykuwającym spojrzeniu.

- Zgoda. I wzajemnie.

Chyba wyglądałem na nieco zdezorientowanego.

- Jeśli będziesz mnie potrzebował - wyjaśniła - to zadzwoń, a ja poproszę mamę Maggy, żeby mnie odwiozła, dobrze?

Uśmiechnąłem się, po czym pochyliłem się i uściskałem ją ze wszystkich sił.

- Dobrze, skarbie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Aż do ostatniej soboty nie podejrzewałem, że Ella potrafi tak się zachować. To Rianna zawsze była dla mnie oparciem, jakby zastępowała nieżyjącą matkę, podczas gdy Ella prawie zawsze okazywała się tym trudniejszym, częściej wystawiającym mnie na różnego rodzaju próby dzieckiem. Teraz nagle ujawniła się ta strona jej natury, z której istnienia w ogóle nie zdawałem sobie sprawy.

Wchodziła w rolę Rianny.

Gdy tylko samochód pani Stewart odjechał, wróciłem biegiem do mieszkania, minąłem w holu Lidę, nie zamieniając z nią ani słowa, wszedłem do

łazienki, zamknąłem za sobą drzwi, usiadłem na brzegu wanny i rozpląkałem się jak dziecko.

- Jake, musisz coś zjeść - odezwała się Lidia jakiś czas potem.

Robiła omlęty. Nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym cokolwiek przekłknąć.

Telefon Bauma mnie od tego wybawił. Ale tylko od tego.

- Barnes wyszedł - powiedział detektyw.

- Dobra.

- Mój informator przekazał, że przesłuchują kogoś innego. Znów nadzieja, niczym prąd przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

- Mów.

- Nie ma tu wiele do dodania poza tym, że to kolejny przestępca. Kiedy Baum powiedział „przestępca”, od razu wiedziałem, co ma na myśli.

Przestępca seksualny.

Te dwa słowa żarzyły się w mojej świadomości niczym rozpalone po-grzebaczce, rozsiewając wokół iskry ślepej furii. Wydawało mi się, że nawet palce mnie pieką.

Jakby były zdolne do mordu.

Lidia patrzyła na mnie zza stołu, na którym przed chwilą postawiła jedzenie. Spojrzałem na nią. Miała na sobie dzinsy i białą koszulkę z krótkimi rękawami, była bez makijażu, włosy zostawiła rozpuszczone - najprostsza z możliwych fryzur. Wyglądała tak pięknie, w jej twarzy było tyle lęku, tęsknoty, rozpacz, że miałem ochotę rzucić słuchawkę, rzucić wszystko, wziąć ją w ramiona i zgnieść w uścisku jej ból - nasz ból.

Wiedziałem jednak, że nie tędy droga.

Rób coś, Jake.

- Jake? - To był głos Bauma. - Jesteś tam?

- Jestem.

Zdjęcia Rianny znajdowały się w całym mieszkaniu, nawet w kuchni. Dopiero w ciągu ostatnich kilku dni zdałem sobie sprawę, że jest ich aż tyle. One też na mnie patrzyły, tak jak Lidia, szare oczy córki wpatrywały się we mnie z taką ufnością.

Tato, pomóż mi. Zrób coś.

Ale co?

- Dam ci znać, jak tylko dowiem się czegoś więcej - obiecał Norman. - Wiem, że śledztwo jest równie intensywne, jak na początku.

Co oznacza, że może to być kolejny żaloszny świr. Zmusiłem się, żeby myśleć logicznie.

- Możliwości - powiedziałem. - Ta kwestia wciąż mi nie daje spokoju. Mówiłeś, że tu nie trzeba wielkich zasobów, pamiętam, ale się z tobą nie zgadzam.

Możliwości oznaczają pieniądze, te zaś często idą w parze z arogancją, a styl, w jakim ów drań rzuca ci na wycieraczkę swoją grę i list albo zostawia pojedynczy włos w samochodzie... Facet, który się tak zachowuje, zapewne wierzy, że jest nietykalny dla FBI, może dlatego, że ma potężne wpływy albo dlatego, że znają go z procesowania się o każde głupstwo...

- Znów wracamy do Eryxu - przerwał mi Baum. - Chociaż to, co powiedziałaś, odnosi się równie dobrze do tysięcy bogatych mężczyzn z całego kraju.

- Dobrze, spotkajmy się w pół drogi - odrzekłem. - Czy szukając wśród mistrzów Limbo, Kline bierze pod uwagę również ludzi bogatych, nie tylko pedofilów i innych biednych wyrzutków społeczeństwa?

- Kline prawdopodobnie bierze pod uwagę wszystkie ewentualności - oświadczył detektyw - chociaż nazwiska bogatych, wpływowych osób zazwyczaj nie figurują w bazach danych producentów gier komputerowych; ci ludzie zbyt sobie cenią prywatność.

- Jak Fitzgerald. - Pomyślałem chwilę. - Dzieci bogatych i wpływowych rodziców lubią być uważane za mistrzów.

- To już prędeż.

- Mógłbyś im to podsunąć?

- Spróbuję - obiecał. - Chociaż pewnie sami już na to wpadli. - Urwał, wyczuwając, że znów ogarnia mnie przygnębienie. - Jest parę nowych rzeczy, Jake. - W jego głosie było wahanie.

- Jakich?

- Nie ekscytuj się. I niech Lidia za bardzo się nie denerwuje.

- Dobra. - Odwróciłem się nieco, tak żeby nie widziała mojej twarzy.

- Jedno to tylko pogłoska - zaczął mówić Baum. - Być może rozwód Kordy nie został przeprowadzony w sposób tak cywilizowany, jakby się mogło wydawać, może zatuszowano przy tej okazji coś mniej przyjemnego. To tylko pogłoska, jasne?

- Jasne. - Krew zaczęła mi mocniej pulsować, starałem się jednak, żeby mój głos nadal brzmiał powściągliwie.

- Drugą rzecz wygrzebała Thea, moja współpracownica, na temat Fitzgeralda.

Teraz naprawdę miał coś w zanadrzu, słyszałem to w jego głosie.

- To też nie jest potwierdzone, ale wygląda na to, że przed wielu laty, w szkole średniej - katolickiej szkole niedaleko Stamford - kiedy nasz młody Bill miał czternaście czy piętnaście lat, był oskarżony o napaść na nauczycielkę.

- O Jezu.

- Nic seksualnego - Baum uprzedził moje obawy - niemniej sprawa zdecydowanie dziwna. Kobieta oświadczyła, że Bill zaczął się na nią któregoś zimowego popołudnia, ogłuszył ją, po czym zamknął w komórce na terenie szkoły. Mógł to być głupi kawał, mogło być w to zamieszanych więcej uczniów, wymieniła jednak tylko Fitzgeralda.

- Co się z nim stało?

- Policja zabrała go na przesłuchanie, lecz wtedy nauczycielka wycofała oskarżenie i sprawę umorzono.

Dlatego wcześniej do tego nie dotarliśmy, pomyślałem.

- Zapewne mama i tata mieli jakieś wpływy w miejscowym świątku - ciągnął Baum. - Nic więcej na ten temat nie wiemy. Nikt nie ma pojęcia, dlaczego młody Bill miałby zrobić coś takiego. - Milczał przez chwilę. - Thea uważa, że może należałoby przyjrzeć się bliżej wypadkowi, w którym zginęła jego żona.

Moje serce pracowało na maksymalnych obrotach.

- Czy mam rozumieć, że nie zamierzasz wtajemniczać w to Lidii?

- Na razie - odpowiedziałem.

- Cóż, rób, jak uważasz. - Baum znów milczał przez chwilę. - To może nic nie być, Jake.

- Wszystko możliwe.

Gdybym dziesięć minut wcześniej zadał sobie pytanie, czy byłbym gotów okłamać Lidię lub zataić przed nią informację, która mogła mieć żywotne znaczenie zarówno dla niej, jak i dla mnie, uznałbym, że to wykluczone.

Ale kiedy odłożyłem słuchawkę i odwróciłem się do niej - nadal siedziała w milczeniu przy moim kuchennym stole - byłem gotów kłamać w żywe oczy.

- Mów - rozkazała.

Opowiedziałem jej o nowym podejrzanym, o tym, że to facet z przeszłością i że na razie nie wiemy nic więcej. Baum poinformuje nas, gdy tylko czegoś się dowie.

- A o czym rozmawialiście na samym końcu? - spytała. - Wtedy, kiedy wspomniałeś o dzieciach bogatych ludzi?

Aby zyskać na czasie, usiadłem za stołem, gdzie czekał na mnie omlet, który zdążył w tym czasie wystygnać. Zauważyłem, że talerz Lidii też jest właściwie nietknięty.

- Norman po prostu mnie przekonywał - wyjaśniłem, wzruszając nieznacznie ramionami - że jego zdaniem ludzie Kline'a są tym razem na właściwym tropie, i powinienem przestać uważać firmę Eryx za wroga.

- To wszystko? - zapytała Lidia. - Wyglądało na więcej.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Tylko wykład o tym, że trzeba wiedzieć, kiedy dać sobie spokój.

- Więc naprawdę uważa, że Eryx to po prostu kolejna ofiara?

- Chyba tak, w komercyjnym sensie.

Wyglądało na to, że kupiła moją historyjkę. Nie wiedziałem, że potrafię tak dobrze kłamać. Nie czułem dumy z tego powodu.

- Obiecał, że przekaze moją sugestię na temat dzieci bogatych rodziców.

- Nie, nie dzieci - zaprotestowała Lidia. - Nie mogę w to uwierzyć. To zbyt straszne.

- Młodzi ludzie czasem robią straszne rzeczy - przypomniałem jej. - Pomyśl o braciach Menendez.

- To była zupełnie inna sytuacja - odparła.

- Mogę przedstawić ci listę innych przypadków.

- Proszę cię, nie rób tego - Lidia się wzdrygnęła.

Zostawiłem ją przy zmywaniu. Chciała to zrobić, a ja jak rzadko kiedy miałem ochotę uciec. Od swoich kłamstw, nie od Lidii.

Powtarzałem sobie, że nie mam innego wyboru. Gdybym jej teraz powiedział, co postanowiłem zrobić - a właśnie podjąłem decyzję, bo słowa Bauma wwierały mi się w mózg niczym płonące świdy - chciałyby mi koniecznie towarzyszyć, a do tego nie mogłem dopuścić...

Poszedłem do swojego pokoju, zamknąłem drzwi, zadzwoniłem do Normana i powiadomiłem go o tym, co zamierzam.

- Rozum ci odjęło? - Usłyszałem w słuchawce.

- Może tak, może nie - odrzekłem - lecz nie mam zamiaru siedzieć bezczynnie przez kolejną noc, jeśli jest choćby cień szansy, by wpaść na trop porwacza naszych dzieci. - Z najwyższym trudem kontrolowałem własny głos.

- Nie sądzisz, że Kline też doszedł do tego, co Thea?

- Norman, Kline mi się nie zwierza. Nie mogę dalej tracić czasu, czekając, aż znów mi coś kapnie. - Mówiłem szybko, żeby załatwić sprawę, zanim Lidia mnie znajdzie. - Wiem, że to to samo, co próbowała zrobić

Lidia, ale będę o wiele ostrożniejszy i mam zamiar zrobić naprawdę wszystko, żeby nie dać się złapać... - Urwałem. - I mam nadzieję, że może zgodziłbyś się pojechać ze mną - dodałem po chwili.

- Nadzieja nic nie kosztuje - zauważył Baum.

- Norman, ktoś porwał moją córkę. - Może jeden z tych ludzi, może nie. Wiem, że miałbym większe szanse, jeśli taki facet jak ty...

- Taki facet jak ja - powtórzył ironicznie.

- Facet, który zna się trochę na wchodzeniu tam, gdzie go nie zaproszono. - Siedziałem na brzegu łóżka, rozcierając sobie kark lewą dłonią i modląc się w duchu, żeby Norman powiedział „tak”, a mój pomysł, aby się do niego zwrócić, nie okazał się niewypałem i, o Boże, byłem tak strasznie spięty. - Nie będę miał pretensji, jeżeli odmówisz, ale...

- Ale i tak pojedziesz - dokończył.

Oczywiście, że pojedę. Tak naprawdę nigdy nie pozbyłem się przekonania, że jeden z tamtych ludzi uprowadził nasze dzieci i że któryś z nich więzi w tej chwili moje dziecko. Dygotałem z wysiłku, aby nie podnieść głosu.

- Jestem pewien, że porwanie Rianny to przynajmniej po części odwet za to, że nie chciałem zostawić w spokoju facetów z Eryxu. Poza tym spójrz na sprawę z innej strony: jeżeli się myślę, to przynajmniej FBI nie będzie tracić na to czasu i angażować bez potrzeby swoich ludzi. Niech szukają tam, gdzie uważają za stosowne, a ja będę robił to samo - umilkłem. Nie miałem nic więcej do dodania, a musiałem oszczędzać siły.

- Nie zamierzasz powiedzieć Lidii?

- Jeszcze nie teraz. - Czekalem na ochrzan.

- Nie powinienes tego przed nią ukrywać - oświadczył Baum. - Ale może to i lepiej.

- Coś podobnego - zdziwiłem się.

- Nie chcę z tobą jechać, Jake.

- W porządku. - Byłem rozczarowany, lecz nie zaskoczony.

- A ty nadal jesteś zdecydowany?

- Już odpowiedziałem na to pytanie.

- W takim razie muszę być takim samym wariatem jak ty.

- Jedziesz ze mną?

- Tylko dlatego, że na twoim miejscu pewnie zrobiłbym to samo.

Z wdzięczności nie mogłem nic powiedzieć.

- Lecz zanim to zrobię - ciągnął Baum - najpierw powiem facetowi, którego już raz podpuściłem, aby włamał się do komputerowych planów domów właścicieli Eryxu. - Wiesz, piwnice i takie rzeczy. - Norman myślał

na gorąco. - Chociaż to bez sensu, żeby którykolwiek z nich trzymał porwanych u siebie w domu. Sam zwracałeś uwagę na kwestię zasobów, a ci faceci dysponują ogromnymi środkami.

- Tylko że... - urwałem, bo wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki. - Tylko że jeśli to jeden z nich, to prawdopodobnie jest szalony, a zgodziliśmy się, że szaleńcy nie zawsze postępują logicznie.

- Zdaje się, że masz rację - odrzekł Baum z nutą ironii. - Sądząc z naszej rozmowy.

ROZDZIAŁ 79

Tuż po piątej skłamałem, że rozmawiałem przed chwilą ze Stuartem Cooperem, który powiedział mi, że Fran niemal odchodzi od zmysłów, naprawdę nie jest z nią dobrze i prosił mnie, żebym przyjechał do Brookline z nią porozmawiać.

- Czy skontaktował się z jej lekarzem? - zapytała Lidia rozsądnie.

- Lekarz uważa, że przepisywanie jej w tej chwili dalszych leków to nie najlepszy pomysł. - Kolejne kłamstwo.

- Biedna Fran.

- Stu ma chyba nadzieję, że rozmowa ze mną dobrze by jej zrobiła.

- Musisz jechać - oświadczyła zdecydowanie.

Zawahałem się trochę.

- Miałem odebrać Ellę, ale mama jej przyjaciółki zaproponowała, że chętnie ją odwiezie.

- Jak sądzisz, będzie miała coś przeciwko temu, żeby zostać tylko ze mną?

Pokręciłem głową.

- Na pewno nie.

- W takim razie nie ma problemu, prawda? - powiedziała Lidia. - Ja się zajmę Ellą, a ty jedź do Cooperów. Wygląda na to, że twoje towarzystwo dobrze by zrobiło im obojgu. - Dostrzegła coś w mojej twarzy i mylnie wzięła poczucie winy za niepokój. - Jake, jeśli będą jakieś nowiny, mogę cię tam złapać telefonicznie.

Ledwie zdołałem spojrzeć jej w oczy.

Zabrałem Bauma spod Omni i wyjechaliśmy z New Haven tak szybko, jak na to pozwalał ruch uliczny.

- A co, jeżeli Lidia zadzwoni do Cooperów?

- Pomyślałem o tym - uspokoiłem go. - Stu obiecał mnie kryć.

- Mam nadzieję, że nie mówiłeś mu, dokąd jedziesz?

Pokręciłem głową, nie odrywając oczu od szosy.

- Wyjaśniłem mu tylko, że muszę pojechać gdzieś sam, a nie chcę urazić Lidii.

Popatrzyła na mnie tak dziwnie, kiedy wyjeżdżałem, jej spojrzenie wydawało się przenikać mnie na wskroś, jak gdyby doskonale wiedziała, że mój wyjazd nie ma nic wspólnego z Cooperami, lecz rozumiała również, że bez sensu byłoby kwestionować to, co mówię. Poczulem się wtedy jak ostatnie bydło, a i teraz nie czułem się lepiej.

- Może byśmy naszkicowali jakiś planik? - Baum wybawił mnie od tych myśli.

- Jasne - powiedziałem. - Wydaje mi się, że powinniśmy zacząć od Fitzgeralda, a potem, jeżeli nic z tego nie wyniknie, pojedziemy do domu Kordy, a jeżeli uda się tam zajrzeć szybko i gładko, a u żadnego nic nie znajdziemy, to jeszcze bym zahaczył o stadninę.

- A co z domem Hawthorne'a? - zapytał Norman. - W końcu, jeżeli to on jest tym, kogo szukamy, jaką znalazłby lepszą kryjówkę niż dom, który przeszukało FBI? - Wzruszył ramionami. - Skoro i tak zamierzamy objechać trzy czwarte Connecticut, to czym jest drobny wypad do Chester?

Rzuciłem mu kpiące spojrzenie.

- Myślisz, że nie wiem, jak idiotycznie to wszystko brzmi?

- Myślę, że wiesz - odparł.

- Wiem, że musimy czekać do zmroku, zanim zbliżymy się do czyjegokolwiek domu, wiem, że będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się w ogóle coś zrobić. I wiem też, że to robota dla przynajmniej pięciu wykwalifikowanych ludzi, a nie dla jednego niedorobionego gliniarza i jednego starzejącego się prywatnego detektywa - bez urazy.

- Bez urazy.

- No i niewykluczone, że naprawdę mam świra na punkcie Eryxu.

- A mimo wszystko musisz to zrobić - dodał Norman.

Miałem ochotę go uściskać z wdzięczności.

- Więc jeśli starczy czasu - zakończyłem z przewrotnym uśmiechem - to może w powrotnej drodze rzucimy jeszcze raz okiem na dom Hawthorne'a. Myślę jednak, że winnica będzie musiała poczekać do następnego razu.

- Tak, Jake - zgodził się ze mną Baum. - Obawiam się, że będzie musiała.

Korda był w gabinecie Hawthorne'a z Ellen Zito i Dave'em Kamin-skim, kiedy Ford doniósł mu, że Woods i Baum jadą na północ.

Korda przestawił telefon na głośnik, żeby Hawthorne też mógł słyszeć.

- Mój człowiek mówi, że mogą jechać dokądkolwiek - powiedział Ford.

- Ale ty czujesz, że jadą tutaj?

- To jedna z możliwości. - Ford milczał przez chwilę. - Muszę wydać mu dalsze polecenia.

- Oddzwonię do ciebie.

- Śledzicie Jake'a Woodsa? - Kamiński miał osłupiałą minę.

- To trochę zbyt dramatyczne określenie, Dave. - Korda odwrócił się do niego z uśmiechem. - Nasz profesor i pani Johanssen wiercili ostatnio dziurę w brzuchu na temat Eryxu każdemu, kto chciał ich słuchać, więc Nick uznał, że roztropnie będzie mieć na nich oko.

- Słyszeliście, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu pod domem Billa? - zapytał Hawthorne.

- Jasne - odezwała się Ellen. - Biedaczka musi naprawdę gonić w piętę. - Pokręciła głową. - Profesor też, teraz.

- Oczywiście - przytaknął Korda. - Tym bardziej powinniśmy się zatroszczyć, żeby nie zrobili jakiegoś głupstwa, które by im przysporzyło nowych kłopotów. A o tej porze, nieumówieni, wątpię, żeby jechali do biura. - Spojrzał na Ellen i Dave'a. - To na razie wszystko. - Zawiesił głos. - Ellen, czy mogłabyś odszukać Billa i powiedzieć mu, żeby tu zaszedł?

- Jasne.

Zito i Kamiński ruszyli w stronę drzwi, rozumiejąc, że była to delikatna forma odprawy.

Fitzgerald zjawił się w ciągu dwóch minut. Minę miał ponurą.

- Co mamy, do cholery, zrobić z tymi ludźmi, Scott?

- Na razie nic - odrzekł Korda. - Nie wiemy, dokąd jadą.

- Ellen mówi, że zdaniem Forda jadą w naszą stronę.

- Możliwe. - Korda milczał przez chwilę. - Zamierzam powiedzieć Nickowi, aby odwołał swojego człowieka.

- Dlaczego? - zapytał Hawthorne.

- Nie bardzo rozumiem, po co mielibyśmy ich dalej śledzić - wyjaśnił Scott. - Albo jadą tutaj czy do domu jednego z nas, albo nie. Jeżeli nie, to nie nasza sprawa, dokąd się wybierają.

- A jeżeli tak? - zapytał Fitzgerald.

- To wtedy się tym zajmiemy.

- W jaki sposób? Wzywając policję? - zapytał Fitzgerald zjadliwym tonem. - Żeby pogrozili im palcem i odesłali do domu?

- Nie będę wam mówił, co macie robić, kiedy wejdą na wasz teren -

oświadczył Korda. - To wasza decyzja. Ja zamierzam pojechać do domu i zobaczyć, co będzie dalej.

- Może chcą po prostu porozmawiać? - podsunął Hawthorne.

- Bez uprzedzenia? - Fitzgerald był sceptyczny.

- Moim zdaniem nie powinniśmy reagować zbyt gwałtownie. - Korda wziął tekturową teczkę, którą przyniósł ze sobą, i ruszył w stronę drzwi. - Wolałbym unikać kłopotów, o ile to możliwe.

- Zgadzam się - powiedział Hawthorne.

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać z Tillmanem - zaproponował Fitzgerald.

- Proszę bardzo - zgodził się Korda.

ROZDZIAŁ 80

Matka Maggy Stewart przywiozła Ellę do domu jakiś czas temu i chociaż dziewczynka wiedziała, że ojciec pojechał tylko do Cooperów, jego nieobecność wyraźnie ją zasmuciła.

- Czy wystarczy, jeśli ja z tobą pobędę? - zapytała Lidia bez wstępów. - Bo jeśli nie, to możemy zadzwonić do Kim, zobaczymy, czy jest wolna.

Mówiąc to, miała nadzieję, że Ella nie wpadnie na pomysł, żeby zatelefonować do Cooperów, bo była niemal pewna - choć nie bardzo wiedziała dlaczego - że Jake Woods nie wybrał się tego wieczoru do Brookline i że dokądkolwiek pojechał, pchnęło go do tego coś, co usłyszał od Bauma podczas rozmowy telefonicznej. Coś, co postanowił zachować dla siebie. Dopuszczenie do tego, żeby Ella wpadła w popłoch, nie wiedząc, gdzie jest jej tata, to ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili pragnęła Lidia.

- Nie potrzebuję niańki. - Bródka dziewięcioletniego twarziela drgnęła.

- Wiem o tym. - Lidia pohamowała impuls, żeby otoczyć małą ramieniem. - Ale byłoby mi bardzo miło, gdybyś dotrzymała mi towarzystwa dziś wieczorem.

- Pani mnie właściwie nie zna. - Szybki strzał z biodra.

- Wydaje mi się, że zaczynam cię trochę poznawać - odrzekła Lidia. - Dlatego powiedziałam, że liczę na twoje towarzystwo. Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Chyba nie mam - uznała Ella.

Telefon zadzwonił parę minut po wpół do ósmej. Ella pobiegła go odebrać, rozmawiała przez chwilę, po czym przyniosła bezprzewodową słuchawkę Lidii, która właśnie polewała sosem pomidorowym spaghetti, przygotowane w miseczce dla dziewczynki.

- To do taty, ale ta pani chce rozmawiać z panią.

Lidia wzięła słuchawkę i gestem pokazała małej, że może zacząć jeść.

- Tu Lidia Johanssen - powiedziała.

Ella nie ruszyła się z miejsca, przyglądając się Lidii uważnie, jak gdyby nie całkiem dowierzała, że zechce ją wtajemniczyć w „dorosłe” sprawy. Dzwoniła Thea Lomax, współpracowniczka Bauma.

- Nic wielkiego, pani Johanssen - odezwała się szybko, zdając sobie sprawę, że każdy telefon musiał przyprawiać rodziców zaginionych dzieci niemal o zawał serca. - Po prostu pomyślałam sobie, że Norman pewnie powiedział profesorowi Woodsowi o kolejnym podejrzanym.

- Zgadza się.

- Niestety to też nie on - ciągnęła Thea Lomax łagodnie. - Został zwolniony.

- Ach. - Lidia nie wiedziała, co powiedzieć.

- Wygląda na to, że kolejny niewypał, tym razem nie z bazy mistrzów Limbo. Ten facet jest degeneratem i maniakiem gier komputerowych w jednej osobie. - Kobieta milczała przez chwilę. - Nasz informator z FBI uważa, że to jacyś dowcipnisie zabawiają się w te „krzyżówki”.

- Jake mówił, że może to jakiś haker się wprawia. - Lidia zobaczyła, że oczy Elli zabłyśły, niewątpliwie na dźwięk słowa „haker”.

- Możliwe.

- A może to sam porywacz? W końcu to amator gier, prawda? - Lidia urwała. - Czy ludzie Kline'a nie mogliby go dzięki temu namierzyć? W filmach takie rzeczy się udają - dodała sarkastycznym tonem.

Ella przestała udawać, że je.

- W filmach namierzają w ułamku sekundy ludzi oddalonych o tysiące kilometrów - przytaknęła Thea Lomax. - Szczerze mówiąc, Lidio, po prostu nie wiem. Wiem, że FBI ma do dyspozycji niesamowite środki i jestem pewna, że Kline poruszy niebo i ziemię, żeby odnaleźć wasze dzieci, nie wiem jednak, czy i w jaki sposób wykorzystają hipotezę o hakerze.

- Oczywiście - odrzekła Lidia. - Doceniam twoją szczerość.

- Po prostu pomyślałam, że ty i profesor powinniście wiedzieć o tym podejrzanym.

Nagle Lidii przyszło do głowy, że Thea Lomax może wiedzieć, gdzie jest Jake.

- Gdybyś chciała porozmawiać z Jakiem - odezwała się chytrze - to pojechał do rodziców Michaela Coopera. Może ich też należałoby powiadomić?

- Norman mówił mi, że nie chce przytłaczać Cooperów zbyt wieloma niepomyślnymi wieściami. Wiem, że są na granicy wytrzymałości psychicznej.

Ty też musisz mieć już dosyć - dodała Thea. - Ale ludzie różnie to znoszą, prawda?

- Pewnie tak. - Lidia umilkła. - Normana dzisiaj nie ma? - zapytała po chwili. - Na ogół sam dzwoni do Jake'a.

- Nawet Norman Baum musi czasem wziąć wolne - zaśmiała się jego współpracownika.

Lidia nie była w stanie orzec, czy zostało to powiedziane na odczepnego czy nie. Nadal chciała wierzyć Jake'owi; uczucie, że ją okłamał było bardzo bolesne. Z drugiej strony niemal rozumiała, iż jeśli tak zrobił, to w mylnym przekonaniu, że ją chroni, a być może również Ellę, co mogło oznaczać, że zamierzał podjąć jakieś ryzyko. Dlatego miała nadzieję, że Thea Lomax też kłamie, bo wówczas, dokądkolwiek pojechał Jake, istniała szansa, że Baum jest z nim i go ubezpiecza.

- Co powiedziała? - zapytała Ella, kiedy Lidia usiadła z powrotem przy stole.

- Dzwoniła współpracownika pana Bauma...

- Wiem kto to. - Ella nie była nieuprzejma, tylko niecierpliwa.

- Nie ma powodu do niepokoju - odrzekła Lidia, zdając sobie sprawę, że to bystre dziecko z pewnością nie zadowolony się taką odpowiedzią. - FBI przesłuchiwało pewnego człowieka...

- Podejrzanego? - przerwała Ella.

Lidia skinęła głową.

- Był podejrzany, ale go zwolnili, bo doszli do wniosku, że nie ma nic wspólnego z porwaniem Rianny albo Robbiego.

- I pozostałych.

- Zgadza się.

- Czy ta pani uważa, że są w stanie złapać tego człowieka, jeżeli to haker?

Bystre dziecko - to o wiele za mało powiedziane.

- Ta pani nie wie. Powiedziała mniej więcej tyle, że jeśli ktokolwiek jest w stanie to zrobić, to FBI, jednak nic więcej nie potrafi dodać, bo FBI nie rozmawia o tej sprawie ot tak sobie, z kim popadnie.

- A z tatą by rozmawiali?

- Prawdopodobnie nie - odrzekła Lidia.

- Bo ja nie sądzę, żeby tatuś pojechał do Cooperów.

- Dlaczego? - Lidia poczuła nagły skurcz żołądka.

- Bo już by zadzwonił, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

- Pewnie jeszcze nie dojechał. - Uważaj, Lidio. Co jej powiesz za godzinę?

- Myślę, że pojechał się spotkać z kimś z FBI.

- Naprawdę? - Zdumienie Lidii było najzupełniej autentyczne. - Skąd ten pomysł?

- Wiedział, że nie chce jechać do Maggy, a mimo to uznał, że powinienam. Wyczułam, że coś jest nie tak, ponieważ tata teraz naprawdę nie lubi, kiedy jestem poza domem, chyba że z Kim i z Tomem.

- Ale przecież zna dobrze Maggy i jej rodziców, prawda?

- To nie to samo. - Dziewczynka posłała Lidii jedno z tych swoich przeciągłych, dociekliwych spojrzeń. - Z początku myślałam, że chce zostać z panią sam na sam, tylko że wtedy by nie wyjeżdżał, prawda?

Lidia się uśmiechnęła.

- Może powinnaś zostać detektywem, kiedy dorosniesz?

- Może. - Ella milczała przez chwilę. - Wie pani, że tatuś był kiedyś policjantem?

- Wiem - potwierdziła Lidia. - A potem inspektorem.

- Inspektorem śledczym w biurze prokuratora stanowego - dokończyła mała z dumą. - Ale woli uczyć. Nie rozumiem dlaczego. Uważam, że być detektywem to o wiele większa frajda.

- Czy ja wiem? - zastanowiła się Lidia. - Moim zdaniem być profesorem na wyższej uczelni to też duża frajda.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Znów to spojrzenie, tym razem jeszcze uważniejsze.

- Czy pani kocha tatusia?

Lidia zastanawiała się tylko ułamek chwili.

- Tak, kocham go - powiedziała. - Czy masz coś przeciwko temu? - zapytała po chwili.

- Nie jestem pewna. - Ella przechyliła głowę na bok. - Nie, nie wydaje mi się.

- To dobrze - odrzekła Lidia.

- Lidio... - Dziewczynka się zawahała. - Czy mogę tak do pani mówić?

- Jasne.

- Jak myślisz, czy z tatą wszystko w porządku?

Pora na kłamstwo, przynajmniej częściowe.

- Jestem pewna, że tak.

ROZDZIAŁ 81

A więc dobrze... dobrze...

Wkrótce będzie gotów stawić im czoło. Stawić czoło jemu.

Ojcu.

Profesor znów wyruszył w drogę, żeby mieszać się do spraw, których nie rozumie.

Do jego spraw.

Zaczynał być zły, musiał to przyznać. Dotąd zachowywał zimną krew wobec tych dzieciaków i wobec wszystkich pozostałych, a także panował nad sytuacją, chociaż noce były coraz gorsze; mimo wszystko zachowywał spokój niemal przez cały czas, czyż nie? Czyż nie? Ale teraz zaczynała go ogarniać prawdziwa furia.

Jego plany się nie powiodły. Ostatni kozioł ofiarny został już wypuszczony na wolność, co nie było w porządku. Zaplanował przecież wszystko tak starannie, wyszukał pedofila-gwaiciciela, który miał świra na punkcie wszystkich gier komputerowych z wyjątkiem Limbo, co było nawet lepsze, bo już samo w sobie zasługiwało na karę...

Tamci jednak wypuścili go niemal natychmiast, co oznaczało, że czasu pozostało coraz mniej, mniej niż kiedykolwiek, a i bez tego było go wystarczająco mało.

W końcu miał obowiązki. Musiał się troszczyć o tych dwoje, karmić ich - o Boże, o Boże, kiedy ich po raz ostatni nakarmił? Nie mógł sobie przypomnieć, gubił się, jego inteligencja zaczynała szwankować, płątał się...

Jednego wszakże był pewien.

Jest zły.

I gotów stawić im czoło.

Stawić czoło jemu.

ROZDZIAŁ 82

Według planów architektonicznych pod domem Fitzgeralda znajdowała się sporych rozmiarów piwnica. Fitzgerald, jedyny z trzech współwłaścicieli Eryxu, o którym było wiadomo, że ma na swoim koncie przestępstwo, i to paskudną sprawę. Fitzgerald, którego ciężarna żona zginęła w wypadku, być może nie aż tak przypadkowym, jak sądzono.

William Fitzgerald, fanatyk pracy, maniak igrzysk olimpijskich, zażdośnie strzegący własnej prywatności, o czym mogliśmy się przekonać, kiedy Lidia została zatrzymana za niewiele ponad to, że zadzwoniła do drzwi jego domu.

Tamtej soboty, w drodze powrotnej do New Haven, Lidia powiedziała mi, że posiadłość, to określenie trochę na wyrost, jeśli chodzi o siedzibę Fitzgeralda. (Czyżby to była ostatnia sobota? Czy to możliwe, że te, jak mi się wydawało, wieki spędzone w czyścicu, to zaledwie kilka dni?). Lidia opisała jego siedzibę jako sympatyczny dom dla rodziny, chociaż wiedzieliśmy od Bauma, że Fitzgerald kupił go już po śmierci żony.

Dom z dużą piwnicą.

Od którego dzieliła nas coraz mniejsza odległość.

ROZDZIAŁ 83

Rianna i Robbie wciąż siedzieli w ciemności.

Nic się nie wydarzyło od, jak im się wydawało, bardzo długiego czasu. Nie było gier ani wprawek. Nie było światła. I jedzenia.

Gdyby nie to, że mieli siebie nawzajem, mieli się do kogo odezwać, poczuć wzajemną bliskość...

- Może - odezwała się Rianna niepewnie, próbując opanować drzenie głosu - może on już w ogóle nie wróci? A jeśli nas zostawił, żebyśmy tu umarli z głodu?

No, w końcu to wykrztusiła. Bóg świadkiem, że przechodziło jej to przez myśl ze sto razy, zanim zdobyła się, żeby wypowiedzieć te przypuszczenia na głos.

- Oczywiście, że wróci - odrzekł Robbie.

- Może nie żyje. - A niech tam, skoro już zaczęła, może za jednym zamachem wyrzucić z siebie wszystkie ukryte obawy. Przynajmniej te, do których była w stanie się przyznać przed sobą samą.

- Dlaczego miałyby nie żyć? - Brzmiało to o wiele bardziej logicznie, niż Robbie czuł w głębi ducha.

- To możliwe. Ludzie umierają. - To było równie logiczne. - Mógł dostać zawału albo wpaść pod samochód, albo miał wylew i nie może mówić - urwała. - Przynajmniej jest woda w kranie, więc mamy co pić.

- On nie umarł - oświadczył Robbie z przekonaniem. - W rzeczywistości upłynęło pewnie o wiele mniej czasu, niż ci się wydaje. Zdarzały mu się już dłuższe okresy nieobecności. - Akurat nie była to prawda, ale dziewczyna nie musiała o tym wiedzieć. - Do tej pory zawsze wracał i teraz też wróci.

Rianna zaczęła rozważać inny scenariusz.

- A może go aresztowali? Może właśnie w tej chwili go przesłuchują, każą mu powiedzieć, gdzie jesteś?

- W takim wypadku - odparł Robbie - to nie on się tu zjawi, tylko FBI.

- Chyba że im nie powie - zauważyła Rianna.

ROZDZIAŁ 84

Byliśmy na miejscu. Zatrzymałem samochód niedaleko bramy wjazdowej; za nią widziałem początek długiej, wysadzonej drzewami alei prowadzącej w stronę domu.

- Żółte brzozy - odezwał się Baum nieoczekiwanie.

- Skąd możesz wiedzieć po ciemku?

- Lubię drzewa - wyjaśnił po prostu. - Wydaje mi się, że rozpoznaję kształt. Wyciągnął szyję, wpatrując się w głęb alei. - Bliżej domu są dęby.

- I ogromne świerki kanadyjskie. Pełno ich w Devils Hopyard.

- Sprawdziłeś na planie. - Zerknąłem na niego.

- Aha. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Ale naprawdę lubię drzewa.

Chwila odprężenia, normalności, minęła. Wrócił posępny nastrój.

- Mam zamiar zrobić to sam - powiedziałem nagle, zdecydowanym tonem. - Myślałem o tym przez całą drogę i nie chcę cię narażać na utratę licencji.

- Nie ma mowy - zaprotestował.

- Nie zamierzam dyskutować na ten temat.

- Ja nie dyskutuję. - Mój dobroduszny przyjaciel był stanowczy. - Jak sam niedawno powiedziałeś, jesteś tylko nedorobionym gliniarzem i do tego mocno przeterminowanym.

- Z ciebie też nie taki znowu Bruce Willis - zauważyłem.

- Być może, ale wiem to i owo na temat zamków i systemów alarmowych.

Tu mnie zażył.

Oznaczało to jednak, że jesteśmy o krok od włamania się do cudzego domu.

Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

- Zjedź całkiem na bok, Jake.

Zatrzymałem samochód tak blisko pobocza, jak tylko się dało, zastawiając jak najwięcej miejsca, żeby Norman mógł wysiąść i wsiąść z powrotem. Wcześniej wyłączyłem reflektory i przestawiłem światło w samochodzie, żeby nie zapalało się automatycznie przy otwieraniu drzwi.

- Powinniśmy poczekać parę minut - powiedział detektyw. - Nawet na publicznej drodze mogą być kamery, które nas namierzą.

Rozejrzałem się wokół, lecz nie dostrzegłem niczego. Wiedziałem jednak, że o niczym to nie świadczy.

- Nie mogą nas aresztować za to, że siedzimy tutaj we własnym samochodzie.

- Nigdy nie słyszałeś o włóczęgostwie, Jake?

- Słuchaj, Norman, włóczęgostwo mnie w tej chwili nie interesuje. - Nie mogłem już usiedzieć na miejscu. - Rozejrzeć się porządnie dookoła i znaleźć drogę do piwnicy Fitzgeralda, oto mój plan na dzisiaj.

Położył mi szybkim ruchem dłoń na ramieniu.

- Wyluzuj się. Im większy pośpiech, tym większe prawdopodobieństwo, że spaprzymy sprawę - urwał. - To dopiero pierwsza wizyta z zaplanowanych na tę noc, pamiętasz?

- Dlatego pora zaczynać. - Drzwi po mojej stronie otworzyły się bezszelestnie. - Idziemy?

Drzwi od strony Normana skrzypnęły ledwie dosłyszalnie.

- Nie zamykaj - uprzedził mnie. - Tylko przykniij.

Zostawiliśmy samochód na poboczu i poszliśmy pieszo w stronę bramy.

- Zaczekaj - mruknął. - Dlaczego brama jest otwarta?

- Lidia mówiła, że też tak było, kiedy tu przyjechała. Może nigdy jej nie zamykają?

Obaj spojrzeliśmy na wielką bramę po prawej stronie. Wyciągnąłem latarkę - najmniejszą, jaką udało mi się znaleźć w mieszkaniu - z kieszeni sportowej marynarki. Chciałem włożyć granatowy dres, który od dawna leżał w szafie, ale zazwyczaj tak się nie ubieram, więc pomyślałem, że Lidia mogłaby uznać ów strój za nieco dziwny na wizytę u Cooperów.

Skrzydło bramy wydawało się nieco przekrzywione, jeden koniec zarył się w ziemię.

- Dobra - powiedziałem.

Norman skinął głową.

Przeszliśmy przez bramę i odbiliśmy w lewo, żeby pozostać pod osłoną drzew tak długo, jak to możliwe. Nagle zaszczekał pies.

- Cholera - zaklął Baum. - Lidia nie wspominała o psach, prawda?

Pokręciłem głową.

- Może ostatnio je sobie sprawił?

Pomyślałem, że ten dźwięk nie odstraszyłby chyba tylko skrajnie zdeterminowanego włamywacza. Był głęboki i donośny, chociaż wydawał się

dochodzić z domu, nie z zewnątrz. Dobrze i to, pomyślałem i ruszyłem naprzód.

- Zaczekaj. - Detektyw położył mi rękę na ramieniu. Stałem. - Pamiętaj, jak mówiłem, że lubię drzewa? - Jego głos był cichy, ale wyraźny. - Otóż gdybyś mógł zobaczyć w tej chwili moją twarz, wiedziałbyś, że jest na tym świecie jedna rzecz, której się naprawdę boję. Naprawdę się boję, rozumiesz?

- Cholera - mruknąłem.

- To wielkie psy obronne.

Szczekanie niesło się po całej okolicy.

- A ten tutaj, sądząc po głosie, wygląda mi na wyjątkowo dużego - dodał Baum. - I być może jest ich więcej niż jeden.

Staliśmy bez ruchu przez kilka minut, czekając i obserwując.

- Przy takim rabaniu - zastanawiałem się - alarm nie alarm, jeżeli ktośkolwiek jest w domu i jeśli to normalny, porządny obywatel, to powinien wyjść i zobaczyć, co się dzieje.

- Albo wezwać policję - zauważył Baum.

Czekaliśmy dalej.

Policja się nie pojawiła.

Z domu też nikt nie wyszedł.

- Może nikogo nie ma?

Wiedziałem, że może to być myślenie życzeniowe, ale przed oczyma stała mi Rianna, więc chociaż nigdy nie uważałem się za specjalnego bohatera ani też ryzykanta, to jeśli istniał bodaj cień szansy, że moja córka znajduje się w piwnicy tego domu, żadne psy czy systemy alarmowe, czy nawet sam Fitzgerald z dubeltówką w ręku nie byli w stanie mnie powstrzymać.

- Musisz tu poczekać - szepnąłem.

- Nie ma mowy.

- Przymknij się na chwilę i posłuchaj.

Baum ucichł. Pies - czy też psy - nie.

- Ktoś mnie musi ubezpieczać - wyjaśniłem. - Jak słusznie zauważyłeś, źle by było spaprać sprawę na samym początku, dlatego pójdę tam sam, a ty zostaniesz na czatach i będziesz miał na wszystko oko. Dobrze?

- No nie wiem...

- A ja wiem - odparłem. - Moje dziecko może być w środku, poza tym ja nie mam problemu z psami...

- Jeśli Fitzgerald spuści je ze smyczy, to będziesz miał problem - odrzekł detektyw.

- Wtedy wezmę nogi za pas. - Uścisnąłem go za ramię. - Obaj weźmiemy nogi za pas, jasne? Jasne, Norman?

Psy przeważały szalę.

- Ty tu jesteś wodzem - uznał detektyw.

- Nie - sprostowałem. - Tylko ojcem.

- Jeżeli coś się stanie, będę...

- Jeżeli coś mi się stanie - przerwałem mu - będziesz musiał sprowadzić pomoc, zawiadomić policję, jasne? Jasne?

- Jasne - powiedział Baum. - Mam tylko jedną małą prośbę - dodał po chwili.

- Jaką?

- Działaj tak, żeby się nic nie stało.

- Jeśli tylko zdołam.

Gdy zacząłem się oddalać, usłyszałem, jak Norman cofnął się o parę kroków pod osłonę drzew. Nie potrzebowałem już latarki, oczy przyzwyczaiły się do ciemności.

Dalej w pojedynkę, profesorze.

Detektyw patrzył przez jakiś czas za Jakiem, potem zmienił pozycję i nagle poczuł, że coś dotyka jego pleców. Zamarł.

To pień drzewa, tylko pieprzony pień.

Weź się w garść, Norman, powiedział sobie, i rób, co do ciebie należy.

Łatwo mówić.

Jake oddalał się szybko, jego sylwetka niknęła w mroku.

Baum przypomniał sobie o płaskiej flaszczyce w kieszeni spodni.

Nie był pijakiem, zawsze jednak zabierał ze sobą małe co nieco na nocne wyprawy. Miał też oczywiście większy termos z kawą, ale ten zostawił w samochodzie.

Odrobina whisky - właśnie tego obecnie potrzebował.

Jake zniknął w mroku.

Baum namacał flaszkę, wyjął, odkręcił i pociągnął łyceczek.

Nieźle.

Zaczął zakręcać butelkę z powrotem, kiedy usłyszał za sobą jakiś dźwięk.

Szuranie.

Zaczął się odwracać odrobinę zbyt późno. Poczuł, jak czyjeś ramię opasuje go od tyłu, dłoń zatyka mu usta, a druga ręka zaciska mu się na krtani.

Ucisk na szyi, z boku.

Ból.

Koniec.

Ujadanie stawało się coraz głośniejsze, coraz bardziej zajadłe, lecz wyglądało na to, że nikt nie zwraca na nie uwagi, no i zaszedłem za daleko, żeby się teraz wycofać. Jeśli okazałoby się, że nie ma tu mojej córki, Robbiego ani Michaela i jeśli by mnie złapali, byłem gotów ponieść wszelkie konsekwencje, iść do więzienia i tak dalej...

Bylebym przedtem znalazł Riannę.

Proszę, pozwól mi znaleźć moje dziecko, zanim mnie zamkną, a reszta mnie nie obchodzi...

Coś się poruszyło z tyłu, za mną.

Zacząłem się odwracać. Za wolno.

Poczułem uderzenie w skroń.

I nic więcej.

CZEŚĆ V

ROZDZIAŁ 85

Ella była nareszcie w łóżku i - kiedy Lidia sprawdzała po raz ostatni - spała twardo.

W mieszkaniu zrobił się teraz cicho, niesamowicie cicho. Lidia poszła do kuchni, myśląc, że mogłaby zaparzyć herbatę, po czym uznała, że właściwie nie ma na nią ochoty, wróciła do holu i nagle przyłapała się na tym, że otwiera drzwi do pokoju Rianny.

Wyglądał tak zwyczajnie, aż jej się serce ścisnęło.

Już miała się odwrócić i wyjść, kiedy jej spojrzenie padło na grę. Pudełko było wsunięte między kompakty stojące na półce, lecz napis przyciągał wzrok z siłą krzykliwego neonu. Limbo. Przypuszczalnie to egzemplarz, który Kim kupiła na prośbę Jake'a, na wszelki wypadek - a nuż coś z tego wyniknie. Gra nie przydała się dotąd na nic, ale być może...

Odszukała konsolę Rianny i zaczęła się zastanawiać, jak ją uruchomić...

- Może pomóc?

Lidia odwróciła głowę i od razu się zorientowała, że Ella jest zupełnie rozbudzona i nie ma najmniejszego sensu wysłać jej z powrotem do łóżka. Czy powinna pozwolić dziewczynce zagrać - co do tego nie była już taka pewna.

- Nie ma problemu. - Ella czytała w jej myślach. - Tata pozwala mi grać.

- Naprawdę?

- Nie wierzysz mi? - Wyzywająco niewinne spojrzenie.

- Dlaczego miałabym ci nie wierzyć?

Ella nie odpowiedziała, a Lidia pozwoliła jej przejąć inicjatywę. Było jasne, że raczej nie ma innego wyboru, bo nie pamiętała już prawie niczego z lekcji, której wysłuchali z Jakiem w Eryksie, w dodatku ten sprzęt wyglądał zupełnie inaczej.

- Tak naprawdę - wyznała Ella w kilka minut później, kiedy siedziały

obok siebie przy biurku Rianny, Lidia na obrotowym krześle, Ella na taborecie - tata nie pozwala mi grać w takie gry.

- Nie? - W głosie Lidii nie było wyrzutu.

Ella pokręciła głową.

- Nauczyłam się u koleżanki.

- U Maggy? - zapytała Lidia.

Dziewczynka znów nie odpowiedziała, najwyraźniej nie zniżala się do donosów.

- Rianna nigdy nie robi takich rzeczy - odezwała się Ella po chwili milczenia. - Nie kombinuje, kiedy tatuś na coś jej nie pozwala.

- Naprawdę? - rzuciła Lidia lekkim tonem. - Pewnie też jej się zdarza od czasu do czasu.

- Rianna jest o wiele lepsza niż ja.

- Wiem, że ty też jesteś dobra. - Lidia zastanawiała się, ku czemu zmierza ta rozmowa. Spoza dziecięcej brawury wyzierało niewątpliwie przygnębienie.

- Czasem strasznie się złościę o różne rzeczy - wyznała Ella. - I inni się przeze mnie martwią, nawet tatuś. Rianna też - dodała po chwili.

Znów to poczucie winy, pomyślała Lidia. Przekłete poczucie winy. Nawet u dziecka.

- Każdemu się zdarza. - Ostrożnie, Lidio, uważaj, co mówisz.

- Ale nie powinno się robić przykrości tym, których się kocha.

- Nie powinno się tego robić specjalnie - zgodziła się Lidia. - Najlepiej w ogóle, jeśli człowiek da radę.

- W tym sęk - westchnęła Ella. - Wydaje mi się, że czasami nie daję rady.

- Ja też.

- Naprawdę? - Oczy dziewczynki zlustrowały ją bacznie, z niedowierzaniem.

- Pewnie.

- Chcesz, żebym ci pokazała, jak się w to gra? - Ella odwróciła się z powrotem do komputera.

- Chyba nie - odrzekła Lidia. - Ale dzięki za propozycję.

- Bo ci powiedziałam, że tatuś mi nie pozwala?

- Właściwie tak. Chyba nie byłoby w porządku, gdybyśmy w to grały tylko dlatego, że go nie ma w domu.

- Dobra. - Mała ustąpiła bez oporu.

- Czy mogłabym zamiast tego zadać ci kilka pytań na temat gry?

- Jasne. - Ella wyłączyła konsolę i usiadła na łóżku Rianny, stojącym pod przeciwległą ścianą. - Co chcesz wiedzieć?

Lidia odwróciła się na krześle, żeby być twarzą do dziewczynki.

- Jakiś czas temu próbowano mnie nauczyć grać, ale widocznie słuchałam niezbyt uważnie, bo niewiele pamiętam.

- To tak jak ja w szkole. - Ella się uśmiechnęła.

Lidia odwzajemniła uśmiech.

- Przypomnij mi, do czego zmierzają Steel i Dakota. Po prostu chcą przeżyć?

- Próbują się wydostać na powierzchnię - odrzekła mała.

- Ale skoro Nowy Jork został zburzony, to co im z tego przyjdzie? - Lidia nie była pewna, czy Jake zaaprobowałby rozmowę o zniszczeniu wielkiego miasta leżącego w bezpośrednim sąsiedztwie, skoro jednak dziewczynka i tak знаła grę, nie mogło to wyrządzić zbyt wielkiej szkody.

- Chodzi o to - wyjaśniła Ella - że tam czeka helikopter.

- Nie wiedziałam. - Teraz coś sobie zaczęła przypominać.

- Otóż to! - Mała była w swoim żywiole. - Ostatni w całym mieście, tak jak Dakota i Steel to ostatnia para nastolatków, którzy ocaleli, rozumiesz? Tylko że nie ma żadnej drogi do lądowiska, na którym stoi.

- A gdzie znajduje się to lądowisko?

- Nad stacją metra przy Trzydziestej Czwartej - tłumaczyła Ella cierpliwie. - Ale stacja jest odcięta od świata, bo wszystkie wejścia zostały zasypane, kiedy miasto się sfajczyło, a nie ma żadnych maszyn ani czółgów, których Steel i Dakota mogliby użyć.

- W porządku. - Wystarczy tego, jak na wrażliwość dziewięcioletniego dziecka. - A więc, w pewnym sensie, ich wszystkie przygody to kolejne kroki na drodze do uwolnienia? Za każdym razem, kiedy uporają się z jednym problemem, pojawia się następny, dopóki nie dotrą do stacji przy Trzydziestej Czwartej ulicy. Zgadza się?

- Chyba tak.

- Czy udało ci się kiedykolwiek tam dotrzeć?

- Niestety nie, ale znam dzieciaki, którym się udało.

- A czy ktokolwiek z nich wsiadł do helikoptera?

- Niestety nie - powtórzyła dziewczynka.

- Ale gdyby im się to udało - Lidia przypomniała sobie rozmowę w Eryksie - to zostaliby mistrzami Limbo, prawda?

- Chyba tak - odrzekła Ella.

Mała była zbyt podekscytowana, żeby iść do łóżka, ale napojona ciepłym mlekiem pozwoliła się ułożyć na sofie i opatulić kocem. Po obejrzeniu kilku kreskówek wydawała się w końcu przysypiać, więc Lidia mogła pójść do gabinetu Jake'a i poszperać na półkach z książkami.

Właściwie nie wiedziała, czego szuka. Wiedziała tylko, że w jej świadomości zaczyna kiełkować nowe, straszliwe przypuszczenie, choć nie bardziej przerażające niż większość pomysłów, które pojawiły się w jej głowie od czasu uprowadzenia Robbiego.

Tutaj tego nie ma. Dlaczego miałoby być?

- W salonie jest więcej książek.

Dziewczynka wciąż nie spała.

- Ella, kochanie, naprawdę powinnaś odpocząć.

- Nic mi nie będzie - zapewniła ją dziewczynka. - Jeżeli czegoś szukasz, może spróbowałabyś w Internecie? - Dziecko dwudziestego pierwszego wieku! - Możesz skorzystać z komputera tatusia. Nie będzie miał pretensji.

- Dobry pomysł.

Ella, oczywiście, chciała go włączyć, a przy okazji trochę się popisać i opowiedzieć o uruchamianiu systemu, logowaniu i wyszukiwarkach. Akurat o tym Lidia wiedziała dosyć, żeby poradzić sobie bez asysty, ale wiedziała też, że pomaganie dorosłemu może poprawić samopoczucie przygnębionej młodej osobki.

- Dziękuję ci - powiedziała po chwili. - Dalej już sobie chyba poradzę, a ty naprawdę powinnaś iść do łóżka.

- Za minutkę - obiecała Ella. - Czego szukasz, Lidio?

Lidia się zawahała.

- Po naszej rozmowie nabrałam ochoty, żeby znaleźć coś więcej na temat nowojorskiej kolei podziemnej - wyjaśniła ostrożnie. - I w ogóle na temat transportu. - Chyba każde dziecko powinno uciec galopem do łóżka, słysząc o takich nudziarstwach.

- Wejdz na Ask Jeeves - poradziła Ella i pokazała jej, jak uruchomić wyszukiwarkę, korzystając z listy ulubionych stron internetowych Jake'a. - Teraz wpisz hasło. Po prostu „nowojorski system kolei podziemnej”. Dobrze. I czekaj.

- Ella, proszę cię, idź do łóżka.

- Za minutkę - powtórzyła dziewczynka.

- Twój tata będzie na mnie zły, kiedy się dowie, że pomagałaś mi przez całą noc.

- O - powiedziała Ella, wskazując ekran. - Teraz wybierasz jedno z tych albo zadajesz nowe pytanie.

Lidia spojrzała na opcje. Nie wierzyła własnym oczom.

Trzecia pozycja od góry to było dokładnie to, czego szukała.

„Gdzie mogę znaleźć w Nowym Jorku opuszczone stacje kolei podziemnej?”

Kliknęła w ikonkę z napisem: „Spytaj” .

Siedemnaście stron. Lidia szybko przebiegła wzrokiem zawartość listy. Nic na temat ulicy Trzydziestej Czwartej, jeśli dobrze widziała...

- Myślisz, że tam jest Rianna?

Lidia zamarła. Odwróciła się powoli i napotkała przerażone oczy Elli. Zalała ją fala wstydu z powodu własnego egoizmu i niewybaczalnej bezmyślności.

- Ależ skąd, skarbie - zaprzeczyła. - Nic podobnego.

Szybko odwróciła się z powrotem, wylogowała się i wyłączyła komputer.

- Nienawidzę kolei podziemnej - powiedziała dziewczynka, wzdygając się.

Lidia wstała i wyciągnęła rękę. Mała ujęła jej dłoń.

- Ziębłaś - powiedziała Lidia i wyprowadziła ją z gabinetu.

Nawarzyła piwa, to je teraz pij.

- Do głowy mi nie przyszło, że Rianna mogłaby być w takim miejscu - tłumaczyła, prowadząc Ellę w stronę jej pokoju. - To przez tę idiotyczną grę zaczęła mi chodzić po głowie kolej podziemna. - Urwała. - Oto całe Limbo, prawda? Idiotyczna gra i właśnie dlatego twój tata nie chce, żebyś w nią grała.

Drzwi do sypialni dziewczynki były otwarte, światło zgaszone. Lidia zapaliła lampę stojącą przy łóżku. Wielka różowa kula nappełniła pokój łagodną poświatą.

- Muszę iść do łazienki - powiedziała Ella.

- Dobrze. Zaczekam na ciebie.

Lidia zmobilizowała się w oczekiwaniu na dalsze pytania, ale kiedy Ella wróciła z łazienki, żadne pytanie nie padło i to było niemal jeszcze gorsze, bo oznaczało, że mała wie, jak straszna jest sytuacja. Zbyt straszna, żeby wypowiadać na głos swoje obawy.

- Bardzo jesteś śpiąca, kochanie?

- Nie bardzo.

- Może ci poczytać? Czy jesteś już na to za duża?

- Chyba nie jestem. - Ella wzruszyła ramionami.

Lidia podeszła do regału z książkami, zobaczyła dwa tomy Harry'ego Pottera, rozejrzała się za czymś innym, wybrała „Pajęczynę Szarloty”^{*} i podeszła do łóżka.

* „Charlotte's Web”, Elwyn Brooks White, polski przekład Ryszardy Jaworskiej, Prószyński i S-ka, Warszawa 1998. Bohaterem opowieści, należącej do klasyki literatury dziecięcej, jest prosiaczek Wilbur.

- Co ty na to? Wiem, że pewnie czytałaś to dawno temu... - Zawiesiła głos, czekając na aprobatę.

- Dobrze. - Ella opadła na poduszkę. - Stary pocziwy Wilbur!

Lidia odetchnęła z ulgą, usiadła na brzegu łóżka i zaczęła czytać o prosiaczku w opałach i pajęczku, który wybawił go z opresji. Nie czytała na głos od czasu, kiedy Robbie był małym chłopcem i była pewna, że dziewczynce też już od dawna nie czytywano do poduszki.

- Zostaniesz, aż zasnę? - Ella przerwała jej tylko raz.

- Oczywiście - obiecała Lidia.

Gdy w końcu nadszedł sen, niosąc małej ukojenie, Lidii łzy napłynęły do oczu.

Odczekała trochę, chcąc tym razem mieć pewność, po czym wstała, przygasiła lampę tak, że ledwie się paliła i wyszła z pokoju.

Dreczęło ją pytanie, którego nie chciała zadawać Elli, niemal obawiając się odpowiedzi. Czy Rianna też boi się podziemnych czeluści?

Robbie zawsze lubił nowojorskie metro i nigdy nie przerażały go tunele, zamknięte przestrzenie czy ciemności.

Lidia miała nadzieję, którą przywoływała wiele razy, odkąd córka Jake'a została porwana, że gdziekolwiek znajdowały się w tej chwili ich dzieci, były razem.

ROZDZIAŁ 86

Ocknąłem się, bijąc wokół rękami niczym tonący. Mimo zamroczenia przypomniałem sobie wszystko natychmiast.

Ktoś z tyłu, za mną. Ręka wyciągająca się w moją stronę, straszliwy cios w skroń, palący, oślepiający ból, a potem nic, aż do chwili... Jak przez mgłę pamiętałem moment przebudzenia, ból, nudności, wysięk, żeby coś zobaczyć lub powiedzieć, później znów ból, ale inny, narastający powoli, po którym zapadłem na powrót w gęstniejące ciemności... Aż do tej chwili.

Czułem coś na głowie, na oczach. Opaska? Sięgnąłem, żeby ją zerwać, ale na rękach miałem grube rękawice. Nic nie widać. O Jezu. Próbowałem się podnieść, lecz nogi miałem jak z waty.

- Hej! - Mój głos też był słaby. - Hej! - Co ja najlepszego zrobiłem? Jak, do cholery, zdołam teraz pomóc Riannie?

Zdjąć te rękawice.

Podniosłem prawą rękę do ust i próbowałem ściągnąć rękawicę zębami, była jednak ciasno opięta na nadgarstku. Straciłem cierpliwość, uniosłem ręce i usiłowałem zerwać z głowy to coś, co na niej tkwiło...

Aż podskoczyłem, bo nagle przed oczyma rozbłysło mi niebieskie światło. Płasnąłem dłońmi o podłogę, odruchowo, żeby się nie przewrócić. Zamrugąłem, żeby lepiej widzieć, ale światło wydobywało się z tego, co miałem na oczach - okularów? gogli? - i, o Boże, było jakieś dziwne...

Zdjąć to!

Szarpnąłem z całych sił.

- Niech pan to zostawi. Głos, męski, znikąd. On.

- Proszę niczego nie dotykać, profesorze, dopóki panu nie powiem.

Odczekałem chwilę, po czym znów zacząłem się szarpać z tym czymś.

- Chce pan ją jeszcze zobaczyć, profesorze?

Moje ręce opadły, zacisnąłem pięści, dygocąc.

- Będzie pan grzeczny?

Wściekłość odebrała mi mowę, lecz jakiś wewnętrzny głos perswadował mi, że powinienem zachować maksymalny spokój i wsłuchiwać się uważnie w ten głos, starając się go zidentyfikować. Niestety był zbyt niekształcony. Fitzgerald? Któryś z pozostałych?

- Pytałem, czy będzie pan grzeczny, profesorze?

Zaczerpnałem tchu i opanowałem się, jak tylko zdołałem.

- Tak.

Ty gnoju, ty sukinsynu, powtarzałem w duchu. Dopóki nie powiedziałem tego na głos, bydlak nie mógł czytać w moich myślach. Błękitne światło zgasło. Wróciła czerń.

- Hej! - wrzasnąłem. Nie byłem już w stanie się powstrzymać, miałem ochotę ryczeć, nie tylko wrzeszczeć.

I nagle ich zobaczyłem.

Zobaczyłem ją.

Dzięki Bogu, dzięki Bogu, dzięki Bogu.

- Rianna!

Nie zareagowała, nie słyszała mnie i nie widziała, być może nie mogła mnie zobaczyć. Coś zasłaniało jej oczy, uszy i niemal pół twarzy. Szybko uniosłem ręce, rozpoznając to samo, co widziałem u niej - gogle, słuchawki, połączone w całość i umocowane z tyłu głowy.

Wszystko to zasłaniało piękne oczy Rianny. O Chryste.

- Rianna, to ja, tata! - wrzasnąłem.

Nic.

Wściekłość opanowała mnie bez reszty. Rianna miała na sobie skórzaną tunikę, bardzo kusą, odsłaniającą nogi i ręce; była boso. Jak dziewczyna z gry komputerowej.

Jak Dakota.

Żołądek podjechał mi nagle do gardła, ale zmusiłem się, żeby przenieść wzrok na młodego człowieka obok mojej córki. Siedzieli blisko, niemal oparci o siebie.

Robbie. Twarz jedynie na wpół widoczna, ale to on.

Razem i żywi, dzięki Bogu, to było najważniejsze.

Chciałbym móc powiedzieć Lidii choć tyle.

Przyprowadź ich oboje do domu, Jake. To jedyne, co się w tej chwili liczy.

Ta jedna jedyna sprawa.

ROZDZIAŁ 87

Znowu się zaczynało.

Rianna i Robbie zobaczyli to jednocześnie i usłyszeli w tym samym momencie.

Znów ściek kanalizacyjny.

- Nie! - wyszeptała Rianna.

Poczuła, że ma gęsią skórkę i zapagnęła ukryć się w swoim wnętrzu, stać się niewidzialna, uciec, zasnąć, zniknąć. Nie lubiła scen w kanałach, od czasu kiedy zobaczyła w szkole, jak Shannon gra w to z kolegą. Wzdrygała się na widok szczurów i obrzydliwej mazi, w której stała po kostki Dakota. Niemal czuła w tej chwili, jak wstrętna breja chlupocze wokół jej bosych stóp...

„Ree, to przecież tylko gra”, powiedziała Shannon wtedy w szkole. O Boże, tak strasznie tęskniła za przyjaciółką, tak się bała, że już nigdy jej nie zobaczy.

- Wszystko w porządku - powiedział Robbie łagodnie. W tym momencie usłyszał jakiś dźwięk i odruchowo zacisnął dłoń na jej ramieniu.

Znów będą szczury, ohydne, znenawidzone szczury. Czekał na piski, na zgrzyt pazurów.

- Wszystko w porządku - skłamał. - Wiemy przecież, że nic nam się nie stanie.

- Tak - Rianna również skłamała.

- Musimy po prostu pamiętać, że to nie dzieje się naprawdę, dobrze? - Głos mu drżał. Na Boga, weź się w garść, chłopie. - To się nie dzieje naprawdę.

To nie szczury.

Coś nowego.

O Boże!

Smród. Prawdziwy smród.

- Co to jest? - zapytała Rianna, po czym zasłoniła dłonią usta i nos.

Robbie zrobił to samo. Odór był straszny, najohydniejszy, jaki można sobie wyobrazić, ale czy to możliwe, skoro wszystko to rzeczywistość wirtualna, jeden wielki pic?

- O Boże, Robbie, słyszysz?

Zerwali się na równe nogi, trzymając się mocno za ręce.

Dźwięk był coraz głośniejszy.

Woda.

Pędząca woda.

Wpatrywali się w ciemną czeluść kanału, aż oczy ich rozbolały, usiłowali coś dojrzeć przez gogle, czekali i, o Boże, to nadchodziło, rzeczywistość nadchodziło i jeśli nie było rzeczywiste, to skąd się brał ów smród? Dźwięk się przybliżał, przechodził w ryk...

Fala, potężna, gigantyczna fala ścieków.

Rianna krzyknęła przeraźliwie.

Robbie otoczył ją ramionami i przycisnął mocno do siebie.

- Zamknij oczy! - wrzasnął, przekrzykując hałas. - Trzymaj się mocno i zamknij oczy! - Zrobił to samo, odcinając się od tego, co widział. - To nieprawda, pamiętaj!

Nieprawda.

Potrafię rozpoznać u kogoś śmiertelny strach. Widziałem go w tej chwili w twarzy ukochanego dziecka.

Rianna i Robbie stali, zastygli w uścisku, z otwartych ust mojej córki wydobywał się niemy krzyk - niemal na pewno dostrzegła coś, co dla mnie pozostawało niewidzialne. Ale chociaż nie mogłem ujrzeć tego, co ich tak przeraziło, co oglądali przez te swoje ohydne gogle, czułem ich strach jak własny, i to wystarczyło, żeby przyprawić mnie niemal o utratę zmysłów, wystarczyło z nawiązką, by ogarnęła mnie żądza mordy. Dzięki Bogu, że przynajmniej był tam Robbie, syn Lidii, który, choć sam przerażony, to nie ulegało wątpliwości, robił co mógł, żeby chronić Rianne, żeby ją osłonić przed czymś, co im dwojgu wydawało się straszliwie realne, a czego ja nie widziałem. Ramiona Robbiego oplotły ciasno moją małą córeczkę i nigdy, w całym swoim życiu, nie czułem dla nikogo takiej wdzięczności jak dla niego...

Znowu ciemność.

Rianna i Robbie znikli.

- Nie! - ryknąłem, wściekły, przerażony i pełen rozpacz. - Nie, sukiny-synu!

- Czyż to nie było wspaniałe?

Znów ten głos.

- Widział ich pan, profesorze? - Miało się wrażenie, że z trudem wymawiał słowa, jakby przeszkadzało mu coś, coś...

Ekstaza.

Ogarnęły mnie takie mdłości, że ledwie mogłem oddychać, a cóż dopiero mówić.

- Czyż nie są idealną parą?

ROZDZIAŁ 88

Podobało mu się.

Ogromnie mu się podobało.

Wyszło inaczej, niż zaplanował, niż gdyby byli tu tylko we troje: Steel, Dakota i on. Ale mimo wszystko było to niesłychanie ekscytujące.

No i nieźle się bawił.

Obserwował ich na dwóch monitorach: młodych na jednym, ojca na drugim. Strach tamtego - strach ojca był tym elementem rozrywkowym, chociaż go nie podniecał. Nowy, inny rodzaj zabawy.

Tak inspirujący, że wrócił na chwilę myślami do gry - do nowej wersji, swojej wersji. Pojawił się nieoczekiwany zwrot akcji i być może, jeśli starczyłoby mu czasu, spróbowałby wprowadzić ten element do programu. Zaczynał się już obawiać, że w ogóle nie zdąży go napisać, nie mówiąc o grafice i całej aranżacji. Obrabowanie go z czasu to jeden z powodów, że był taki wściekły na profesora. Teraz jednak, pomimo złości, która mu wcale nie przeszła, zaczynał mieć nadzieję, iż uda mu się naszkicować chociaż zarys, aby w przyszłości, gdy on już odejdzie, można było ocenić jego geniusz...

No i może, mając profesora, zdoła zyskać nieco na czasie. W końcu nikt nie wiedział, gdzie się podziewa Woods, tak jak nie wiadomo, gdzie są Steel i Dakota.

Przez chwilę zastanawiał się nad tamtym drugim mężczyzną - nad Baumem.

Przyłożył mu naprawdę mocno. Być może dość mocno, żeby go zabić, ale wątpił w to. Uczucie było inne niż przy zabijaniu. Nie miał mdłości, nie krzyczał bezwiednie, więc być może facet odzyskał przytomność. Ale nawet jeżeli tak było, niczego to nie zmieniało, przynajmniej na razie, bo przecież Baum go nie widział.

Nawet jeśli ktoś go znalazł, detektyw nie widział niczego.

Co oznaczało, że miał jeszcze trochę czasu.

ROZDZIAŁ 89

Kim przyszła rano i najszybciej, jak potrafiła, znalazła Elli absorbującą zajęcie, demonstrując przy tym tyle talentu, że Lidia zrozumiała, dlaczego Jake tak całkowicie na niej polegał.

On sam jednak dotąd nie zadzwonił.

- Dzwonił, bardzo późno w nocy - skłamała, rozmawiając z Ellą z samego rana.

- Nieprawda - oświadczyła dziewczynka. - Usłyszałabym telefon.

- Zadzwonił, kiedy w końcu usnęłaś. Niedługo potem. - Białe kłamstwo. - Odebrałam bardzo szybko, żebyś się nie obudziła.

- A ja chciałam z nim porozmawiać.

- Wiem, tylko że poszłaś spać tak strasznie późno, więc tatuś prosił, żebym cię nie budziła, tylko powiedziała ci rano, że nie będzie mógł zadzwonić przez dłuższy czas, ale że cię bardzo kocha.

Była gotowa przysiąc, dać uroczyste słowo honoru, Ella jednak zabrała się do śniadania i Lidia nie wiedziała, czy dziewczynka przyjęła jej słowa za dobrą monetę, czy udawała, bądź ze względu na nią, bądź w jakimś odruchu samozachowawczym, nie chcąc spojrzeć prawdzie w oczy.

A prawda była taka, że Jake nie zadzwonił ani w nocy, ani rano.

Kim wyszła przed chwilą po zakupy, zabierając ze sobą Ellę.

To wystarczyło.

Lidia odszukała numer Cooperów w książce telefonicznej, leżącej w gabinecie Jake'a, usiadła przy jego biurku i zadzwoniła.

Stu Cooper kłamał mniej więcej przez półtorej minuty, po czym skapitulował.

Następna była Thea Lomax.

- Wiem, że Jake nie pojechał do Cooperów. (Zacznij od razu tak, jak masz zamiar kontynuować). I wierzę, że ty również kłamałaś, kiedy mówiłaś, że Norman ma wolny wieczór. Mam nadzieję, że dokądkolwiek pojechał Jake, Norman jest razem z nim. Proszę cię, Theo, tym razem powiedz mi prawdę.

Tamta wahała się tylko ułamek sekundy.

- Pojechali razem.

- Dokąd?

- Nie wiem - odrzekła Thea i urwała. - Naprawdę nie wiem - dodała po chwili. - Zamieniłam z Normanem zaledwie parę słów, nim wyjechali. Powiedział mi tylko, że Jake ma zamiar dokończyć to, co ty rozpoczęłaś, zanim Rianna została porwana.

- I od tamtej pory się nie odezwał? - Lidia poczuła ucisk w żołądku.

- Jak dotąd nie - Thea spiesznie ciągnęła dalej, nie dopuszczając jej do głosu. - I radzę ci stanowczo, Lidio, abyś nie ruszała się z domu. Wierz mi, że jeśli bym wiedziała, dokąd pojechali, byłabym już w drodze i cieszyłabym się, gdybyś chciała mi towarzyszyć. Nie mamy jednak cienia dowodu, że pojechali w stronę Eryxu, a nie gdzie indziej, więc jeżeli zrobimy najazd na siedzibę firmy czy też na dom któregośkolwiek z szefów, wyniknie z tego więcej szkody niż pożytku.

- Czy nie powinnyśmy zgłosić zaginięcia do FBI?

- Dwóch dorosłych mężczyzn spędzających noc poza domem to jeszcze nie zaginięcie, Lidio. Poza tym tylko rozjuszyłybyśmy Kline'a.

Myśl o kolei podziemnej nie dawała Lidii spokoju, chodziła jej po głowie przez całą noc, więc podzieliła się nią z Theą, spodziewając się usłyszeć, że to bzdury.

- Nie większe niż inne domysły - oświadczyła współniczka Bauma ku zaskoczeniu Lidii. - Zadzwoń do biura Kline'a i powiedz im o tym.

- Naprawdę uważasz, że powinnam? Bez kurtuazji, Theo.

- Kurtuazja to nie moja działka - odparła detektyw Lomax.

Kline'a nie było, ale telefon odebrała Angela Moran.

- Prawdę mówiąc, od początku braliśmy pod uwagę tę hipotezę - poinformowała Lidie - ale ją wykluczaliśmy.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów - wyjaśniła agentka łagodnym tonem. - Między innymi dlatego, że podziemia Manhattanu przypominają króliczy labirynt, choć samo to by nas nie zniechęciło, gdyby trop okazał się właściwy.

- A macie pewność, że nie jest właściwy?

- O ile się orientuję, tak - powiedziała Moran.

Lidia odłożyła słuchawkę.

Thea Lomax wspomniała poprzedniego wieczoru, że Cooperowie są na granicy wytrzymałości psychicznej.

Teraz Lidia miała wrażenie, że i jej niewiele brakuje do tego stanu.

ROZDZIAŁ 90

Noce były tutaj znośniejsze niż w domu. Nie rzucał się na łóżku, przewracając z boku na bok, nękanymi nieustannie myślami o piekle, potępieniu i o prawdzie. Dzień i noc zlewały się w jedno, od niego zależało, czy światło się pali, czy nie.

Tej nocy pracował nad grą.

Nastąpił nieoczekiwany zwrot. Pojawiła się nowa postać. Ojciec. Ojciec Dakoty, który miał zginąć w apokalipsie, jaka rozpętała się na powierzchni, przeżył i zszedł w podziemne czeluści miasta, aby odnaleźć swoją małą dziewczynkę. Z chwilą kiedy Dakota dowie się, że tu jest, będzie chciała go odszukać, lecz oczywiście to nie takie proste...

Zawsze chciał, żeby gra miała wszystkie typowe elementy, jak przymoc, groza, czyhające na bohaterów niebezpieczeństwa, słowem wszystko co zwykle... To relacja pomiędzy dwojgiem młodych ludzi miała ją wyróżniać spośród innych gier. W pierwszych dwóch, psychologicznie jednowymiarowych wersjach Limbo Steel ratował z opresji Dakotę, potem ona ratowała jego, a ostatecznym celem obojga była ucieczka. Miłość, oczywiście, w pewnym sensie, bo jak tych dwoje pięknych młodych ludzi mogłoby się w sobie nie zakochać? Ale nie seks, Bóg mu świadkiem, że podpisywał się pod tym obiema rękami. Wiedział wszak wszystko o grzechach ciała i o piekle.

W rzeczywistym świecie miłość szła w parze z innymi sprawami.

Takimi jak zdrada, na przykład.

Wiedział wszystko na ten temat, jeśli w ogóle ktokolwiek wiedział. O zimnej, okrutnej stronie miłości. Dlatego zamierzał nauczyć Dakotę i Steela - swoje dzieci - skutecznych metod walki i nie chodziło mu tylko o sztukę taekwondo, którą posługiwała się Dakota przeciwko nędznemu Ghoulu. Miał na myśli sztukę, *dim mak*, w który tak wspaniale wprowadził go mistrz: ten drobny, szczupły nauczyciel pokazał mu, co się naprawdę w życiu liczy.

Jak pokonać strach.

Zbyt późno, oczywiście, żeby mu to pomogło ułożyć sprawy z własnym ojcem.

Ale nie za późno dla tych dzieci.

Miał zamiar nauczyć je ważnych rzeczy. Na przykład, że miłość nigdy nie trwa wiecznie, że ludzie albo umierają, albo cię wykorzystują, albo po prostu odchodzą.

Najważniejsze jednak, aby ostatecznie pokonać strach. Dzięki znajomości *dim mak*. Śmiertelnego dotknięcia, stanowiącego podstawę tak wielu sztuk walki. Niebezpiecznego, zabójczego i ekscytującego ponad wszelkie wyobrażenie.

Wiedział, jak bardzo byli przerażeni i, Boże dopomóż jego nieśmiertelnej, złej duszy, podniecało go to niemal w równym stopniu, jak ich uroda i świadomość, że należą do niego. Lecz naprawdę miał zamiar, jeśli tylko starczy mu czasu, położyć kres ich lękom.

Bzdury.

Prawda, ten niegodziwy robak, znowu wwiercała mu się w mózg.

Mógł sobie wmawiać, że w całej grze chodzi tylko o to, żeby im pomóc, żeby obdarzyć ich siłą i uwolnić od strachu, ale to, co mu naprawdę chodziło po głowie, to seks, tak jak zawsze, ponieważ był brudnym, zboczo-
nym stworem-potworem, mordercą, jedyną istotą zdolną do wymyślenia takiej historii...

To wszystko wina profesora.

Ta myśl sprawiła, że robak skulił się i czmychnął, pozwalając mu zebrać myśli.

Jego obwiniał o wszystko - ojca. Zabrał facetowi dziecko, co chyba powinno być wystarczającym ostrzeżeniem. Ale profesor nie mógł usiedzieć spokojnie, prawda? On i ta kobieta.

Teraz już pewnie kochankowie.

Mimo że ich dzieciom groziło niebezpieczeństwo, że nie wiedzieli, co się z nimi dzieje.

„Świat cudzołoży, świat się barłóży, tak się nazywa ta gra”, parafrazując stary przebój Bobby'ego Darina*.

* „Multiplication, that's the name of the game”, Bobby Darin, 1961.

Tylko nie dla niego.

Nie dla niego.

Wszystko, czego pragnął, to trochę więcej czasu.

Ale okazuje się, że żądał zbyt wiele.

ROZDZIAŁ 91

Jak ciemno.

Zerwałem owe cholerne gogle i słuchawki jakiś czas temu, rękawice też, ale nieprzenikniona czerń i cisza sprawiły, że moja panika osiągnęła wkrótce pułap, zdolny, gdyby przełożyć ją na skalę Richtera, obrócić w perzynę całe New Haven. Włożyłem więc mój ekwipunek z powrotem, bo w tej chwili liczyła się jedynie możliwość zobaczenia Rianny i Robbiego, a wszystko wskazywało na to, że nie ma innego sposobu.

Nic.

Zacząłem krzyczeć, pomstowałem na sukinsyna, wołałem dzieci, krzychałem do Rianny, że tu jestem, na wszelki wypadek, jeżeli mogła mnie usłyszeć.

- Jestem tu, skarbie! - wrzeszczałem najgłośniejszym, jak potrafiłem. - Wydostanę was stąd, to tylko kwestia czasu. Twoja mama czuje się świetnie, Robbie, Ella tak samo, córeczko, i wszystko, czego pragną, to mieć was znów przy sobie, tam, gdzie jest wasze miejsce. I tak się stanie.

Nic.

Czy to wszystko? Czy taki miał być nasz kres? Na tym polegał plan?

Oczywiście, że nie. Oczywiście, że to nie koniec.

W końcu to rodzaj gry. Dla niego. Dla porywacza.

A każda gra ma jakieś zakończenie. Limbo też, o ile pamiętałem z lekcji, której wysłuchaliśmy w Eryksie. Było tam coś o ucieczce helikopterem...

Przypomniałem sobie tamtą wizytę i dwoje młodych ludzi. Chłopak o policzkach rumianych niczym jabłka. Lars. Skandynawskie imię, chociaż nie odpowiadał moim wyobrażeniom o skandynawskim typie urody, cokolwiek by to oznaczało.

Czy możliwe, żeby to był on? Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Był taki młody, tak entuzjastycznie nastawiony do gry, do swojej pracy. Nie wyglądał na świra.

Kamiński. Ten, którego roli w firmie nie udało nam się do końca ustalić. To teraz bez znaczenia. Teraz, kiedy facet miał mnie. Tylko jedno się w tej chwili liczyło. Skoncentruj się na ucieczce.

Rianna trochę popłakała, lecz potem zrobiło jej się wstyd przed Robiem, który tyle przeszedł w porównaniu z nią, a był taki dobry, taki opiekuńczy.

- Tobie nigdy nie zbiera się na płacz? - zapytała, kiedy się uspokoiła.

- Jasne, że tak - odrzekł. - Ale zdarzało mi się to znacznie częściej, zanim ty się zjawiłaś - urwał. - Już dobrze? - zapytał po chwili.

- Lepiej - powiedziała Rianna.

Nadal nie dostawali jedzenia ani picia.

A jednak on tu gdzieś się czaił, wiedzieli o tym. Chyba że gra była zdalnie sterowana. Istniała taka możliwość.

Woleli jednak dłużej się nad tym nie zastanawiać. Z tych samych powodów, co zwykle.

ROZDZIAŁ 92

Kim i Ella wróciły z zakupów niedługo potem, jak Lidia skończyła rozmawiać z Angelą Moran. Kim rzuciła jej szybkie spojrzenie, po czym spytała, czy Ella mogłaby spędzić resztę dnia z nią i Tomem, który miał akurat wolne i marzył, żeby obejrzeć razem z nią „Dawno temu w trakcie”*.

* Film animowany z 1998 r., reż. John Lasseter, Andrew Stanton.

- Już to widziałam - naburmuszyła się Ella. - Wiesz przecież.

- Wiem - odrzekła Kim lekkim tonem. - Ale mówiłaś, że chętnie zobaczyłabyś ten film jeszcze raz, a Tom naprawdę chce go z tobą obejrzeć.

Ella popatrzyła na Lidię i najwyraźniej ujrzała kobietę, z którą nie miała ochoty spędzić reszty dnia, skoro był do obejrzenia świetny film, niechby i po raz drugi, więc powiedziała, że ostatecznie może zrobić Tomowi tę przyjemność.

Dzięki ci, Boże, za Kim Ryan.

Lidia zaczekała, aż wyjdą, upewniła się dyskretnie, że Kim mogłaby zostać potem z Ellą, jeśli tak by się złożyło, że ani ona, ani Jake nie wrócili wcześniej do domu, po czym zamówiła taksówkę i pojechała na dworzec, skąd złapała pociąg do Nowego Jorku.

I oto była na miejscu. Przespacerowała się z Penn Station do Trzydziestej Czwartej, a potem zeszła na dół schodami przy Herald Square, tuż obok domu towarowego Macy'ego.

Tu znów pojawiło się tamto uczucie. To samo, które nawiedziło ją w gabinecie Scotta Kordy. Zimna wrogość. A popołudnie było naprawdę ciepłe; czuło się to nawet tu, u podnóża schodów. Wiedziała, patrząc na zarumienione twarze przechodniów, że chłód jest w jej umyśle, nie gdzie indziej.

Złudzenie.

Czy aby na pewno?

Kupiła żeton i zeszła niżej, w głąb.

„Beznadziejne” - to pierwsze słowo, które jej przyszło na myśl.

Co tu, u licha, robi, płacząc się bez celu pośród tych ludzi? Miała wrażenie, że przy Trzydziestej Czwartej zawsze były tłumy, ludzie wpatrywali się w różne tabliczki, które nagle wydały jej się beznadziejnie skomplikowane: Lokalny/Ekspresowy/Podmiejski/Lokalny Nassau St... Tak wiele różnych linii, tak wiele tuneli, czynnych tuneli, nie mówiąc o prowadzących donikąd, w których ten potwór mógł ukrywać sześcioro zaginionych nastolatków...

Labirynt, matnia.

Angela Moran miała rację.

Lidia wyszła na powierzchnię, otoczył ją ruch i gwar ulicy. Czowała się teraz straszliwie znużona, nadal jednak prześladowało ją tamto wstrętne, okropne wrażenie. Stała przez parę chwil, oparta o jedno z okien wystawowych Macy'ego, próbując wziąć się w garść. Rozejrzała się po placu, zatłoczonym jak zwykle pojazdami i pieszymi, wlewającymi się do domu towarowego i wylewającymi stamtąd, wchodzącymi do metra i wychodzącymi ze stacji, i zaczęła się zastanawiać, gdzie, zdaniem twórców Limbo, dałoby się tu wcisnąć helikopter.

Po katastrofie nie byłoby tu przecież żadnych samochodów ani ludzi!

Przestrzeni pod dostatkiem, pod warunkiem że jest się mistrzem, umiejącym się wydostać z dowolnej pułapki, w której się utknęło.

Głupia, bezsensowna, wredna gra.

Głupia kobieta, biorąca za dobrą monetę list maniaka i szukająca wskazówek w jego dziele. Choć Jake próbował zrobić to samo, a według Angeli Moran nawet niektórzy spośród najbystrzejszych agentów FBI podejmowali własne, o wiele bardziej wyrafinowane próby rozpracowania Limbo i do niczego nie doszli. Ci ludzie znali się na rzeczy, w przeciwieństwie do niej.

Szalejąca, zrozpaczona mamuśka!

Tamto uczucie wciąż jej nie opuszczało.

Lidia odeszła od wystawy Macy'ego i zajrzała w głąb schodów, prowadzących do stacji metra, ujrzała ludzi, idących w górę i w dół, pomyślała z zazdrością, że wszyscy zmierzają w jakimś normalnym kierunku, wracają do domów, do rodzin albo z powrotem do pracy, a może spacerują bez celu, ale zawsze w obrębie swojego bezpiecznego świata.

Nie odchodzą od zmysłów.

Robbie, gdzie jesteś?

ROZDZIAŁ 93

Jego rozdrażnienie rosło z każdą minutą. Nie mógł się skupić na pracy. Naprawdę chciał to zrobić, musiał to zrobić, ale jakoś nie potrafił się zabrać do tej najnowszej wersji swojej gry. Był pod zbyt dużą presją. Ludzie nie mają zielonego pojęcia, jaki ciężar bierze na barki porywacz, który chce, naprawdę chce się troszczyć o swoich więźniów.

Przynajmniej o tych dwoje młodych.

Teraz sobie uświadomił, że nie poświęcił tej sprawie dostatecznej uwagi, kiedy układał swój plan. Zanim został porywaczem.

Nie używaj tego słowa, nie lubię go!

Porywacz. Zboczeniec.

Przestań!

Morderca. Wielokrotny morderca.

To nie była moja wina.

Oczywiście, że twoja. Lubieś zabijać.

Nienawidziłem tego. Chciało mi się wymiotować.

Zawsze byłeś tchórzem.

Zamknij się!

Stwórz-potwór.

Zamknij się, do cholery!

Nie potrafił się skupić. Jak człowiek może się skupić, kiedy w jego głowie dzieją się takie rzeczy?

To wszystko przez profesora.

...Powiadasz?

Powiadam!

Oczywiście, synku.

Nie nazywaj mnie tak!

Jak inaczej ojciec może nazywać swojego syna, synku?

Robak w jego mózgu rósł coraz szybciej. Czuł go, czuł, jak się rozpiera, już się prawie nie porusza, tylko puchnie i puchnie, brzemienny

potomstwem, i wkrótce, jeśli czegoś nie zrobi, jeśli nie znajdzie sposobu, żeby to zatrzymać, pęknie i setki robaków rozpełzną się po całym mózgu, opanują go...

Dosyć!

Krzyknął, tylko raz. Musiał.

Nikt nie mógł go usłyszeć.

To powstrzymało cholernego robala. Przynajmniej na chwilę.

Spojrzał na monitory.

Steel i Dakota znów siedzieli przytuleni do siebie.

Patrzcie no, lgną do siebie niczym dwoje dzikusów w ciemnym świecie.

Wzbudzali w nim znacznie więcej uczuć, niż się spodziewał.

Wzruszenie. Współczucie.

Nie! Tylko nie wstyd - dosyć najadł się go w życiu.

Od tej chwili potrzebował gniewu.

I wiedział, przeciw komu ów gniew obrócić. Kto zasługiwał na to bardziej niż wszyscy inni. Kto obrabował go z czasu, kto uniemożliwił mu realizację perfekcyjnego planu. Kto zmusił, żeby go ogłuszył i przywiózł tutaj, lecz nawet teraz wciąż był zdecydowany zniszczyć jego szczęśliwą dolinę...

Ojciec.

ROZDZIAŁ 94

Jak się pan miewa, profesorze?

Upłynęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni słyszałem jego parszywy głos, tak zniechęcony, że mrówki zaczynały mi chodzić po ciele, a dłonie odruchowo zaciskały się w pięści. Z drugiej strony, na niego właśnie czekałem, bo to on był moją przepustką do Rianny i dopóki siedziałem w tych nieprzeniknionych, pozbawionych jakiegokolwiek dźwięku ciemnościach, ona i Robbie nie mieli ze mnie żadnego pożytku.

- Znakomicie - odpowiedziałem.

Moje samopoczucie istotnie nie wydawało się najgorsze, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Wściekłość i frustracja dawno już zepchnęły ból głowy na drugi plan, po części spożytkowałem też dłużący się czas, próbując ustalić, czy facet pozostawił mi coś, z czego mógłbym zrobić użytek. W przeciwieństwie do Rianny i Robbiego miałem przynajmniej własne ubranie, to znaczy dzinsy i koszulę - marynarka zniknęła, podobnie jak buty i pasek oraz szwajcarski zegarek, który dostałem od Ryanów na ostatnie urodziny. Portfel nadal tkwił w tylnej kieszeni spodni, a w nim, o ile zdołałem to sprawdzić w ciemności, banknot pięćdziesięciodolarowy, dwie dziesiątki, piątka, prawo jazdy i dwie karty kredytowe, które mogłyby się przydać, gdybym trafił na drzwi z tandetnym zamkiem.

Marzenie ściętej głowy.

- To dobrze - odezwał się znów głos. - Cieszę się, że mógł pan trochę odpocząć.

- Kim pan jest? - Po raz pierwszy zadałem mu to pytanie.

- Wie pan, kim.

- Nie, nie wiem - zaprzeczyłem. - Dlaczego nie miałyby mi pan powiedzieć? Przecież nie pobiegnę i nie zawiadomię policji, prawda?

- Albo agenta Kline'a - uzupełnił głos.

- No więc kim pan jest?

Kolejno przywoływałem w myślach ich twarze: Scott Korda, Hawthorne, Fitzgerald, potem niższy szczebel: Kamiński, Hendrick i dwaj

pozostali mężczyźni poznani w Eryksie, o których prawie nie myślałem, z wyjątkiem pierwszych dni po naszej wizycie: Anton Gluckman z kucykiem i Jazz Brown, wyglądający jak ofiara anoreksji.

- Nie spróbuje pan zgadnąć?

- Nie mam ochoty na gierki.

- Lepiej, żeby pan nabrał ochoty. Czeka już na pana następna, gdy tylko skończymy z tą.

- Kim pan jest? - Pociągnął go za język. Jeszcze raz.

- Jestem ich ojcem - wyjaśnił głos.

Żołądek podjechał mi do gardła.

- W każdym razie tak jakbym nim był - dodał po namyśle. - Ojcem adopcynym, może to odpowiedniejsze określenie... Pan był ojcem Dakoty...

- Ona ma na imię Rianna... - Podniosłem się i stałem teraz w ciemnościach, wyciągając wzrok ze wszystkich sił.

- A pańska przyjaciółka Lidia była matką młodego Steela.

Gdyby bodaj cień poruszył się przed moimi oczyma, dopadłbym go, gotów wycisnąć życie z niewidocznego gardła.

Żadnych cieni nie było. Tylko ten piekielny, zniekształcony głos.

- Niech pan włoży hełm, profesorze.

- Pieprz się - warknąłem.

- Niech pan go włoży w tej chwili.

Robbie i Rianna zdrygnęli się, kiedy usłyszeli jego głos. Drzemali, niemal zapomniawszy, gdzie są. Głos przywrócił ich do rzeczywistości.

- Nowa gra - oświadczył. - Inna niż do tej pory.

Robbie sięgnął po dłoń Rianny i zacisnął ją w swojej.

- Dakota, skarbie - powiedział głos. - Twój tata jest tutaj.

Rianna poczuła, że jej serce stanęło na chwilę, potem zatrzepotało, następnie zaś zaczęło się tłuc jak oszalale. Robbie odnalazł jej ramię i uściśnął mocno, nadstawiając uszu z niedowierzaniem.

- Myślałaś, że zginął, jak wszyscy tam na górze - ciągnął tamten, przybierając nagle manierę prezentera teleturnieju, oznajmiającego radosną niespodziankę - tymczasem on żyje. Pojawił się tu na dole i szuka cię. - Ton znów się zmienił, teraz był stanowczy i dramatyczny, niczym u spikera telewizyjnego, zapowiadającego kolejny odcinek telenoweli. - Lecz nie będzie mu dane cię odnaleźć, przynajmniej na razie... I tu, Dakota, mój skarbie, dochodzimy do sedna sprawy.

Rianna nie była w stanie się opanować, z jej piersi wydarł się przeraźliwy krzyk:

- Tato!

- Zgadza się, Dakota, on jest tutaj - mówił dalej głos - ale posłuchaj. Ty też, Steel, słuchaj uważnie, bo to dotyczy was obojga.

Robbie nie miał pojęcia, że człowiek może odczuwać tak straszliwe napięcie, nie uwierzyłby, że każdy centymetr ciała, nerwów i mięśni może być tak, do ostatnich granic, naprężony.

- Tu jest sedno sprawy - powtórzył głos.

Gdzie? - krzyknęła Rianna w myślach.

- Staliście się sobie bardzo bliscy, prawda? - kontynuował. - Tak jak to zawsze było ze Steelem i Dakotą. To nieuniknione, jak mi się wydaje - wszystkie te przygody, niebezpieczeństwa, wspieranie się nawzajem przez cały czas, to musiało was zbliżyć.

Robbie zdał sobie sprawę, że ścisła ręka dziewczyny zbyt mocno, ale to było silniejsze od niego, za nic by jej w tej chwili nie puścił. Słyszał jej przyspieszony oddech, w którym czuło się paniczny strach i mógł sobie jedynie wyobrazić, jak wali jej serce, czując, że jego własne tłucze się w piersi jak oszalale. Co teraz? Co teraz?!

- Tak więc obawiam się, że nasza nowa gra niezbyt wam się spodoba - urwał. - Wiecie, mieliśmy spędzić razem o wiele więcej czasu. Taki był plan. Dość czasu, żeby nauczyć was tego, co trzeba, tak jak wszyscy dobrzy ojcowie uczą swoje dzieci. - Znów chwila milczenia. - Nie sądzę, żebyście kiedykolwiek słyszeli o sztuce *dim maki*

Zadne z nich się nie odezwało.

- Nie, nie wydaje mi się. Nie wyglądacie na takich, którzy uprawiają sporty walki. Otóż, drogie dzieci, *dim mak* to nie jest jakaś tam sztuka walki. To coś jedyne w swoim rodzaju i tego właśnie miałem was nauczyć. Tylko że to wymaga czasu, a nie mam go już teraz, dzięki twojemu ojcu, Dakota, twojemu biologicznemu ojcu, jak się to określa, bo ja jestem twoim tatusiem i twoim też, Steel. Tyle przeszedłem - ciągnął szybko dalej - żeby was adoptować i przywieźć tutaj, w nasze ustronie, gdzie mógłbym patrzeć, jak gracie razem i stajecie się sobie coraz bliżsi. I gdybym zdążył, nauczyłbym was walczyć, walczyć pięknie, inteligentnie, nie mamy jednak czasu, przez niego, więc wszyscy będziemy przez niego cierpieć. Dlatego właśnie cierpisz, Dakoto, nie zapominaj o tym. Bo on cię zawiódł - gdyby był dobrym ojcem, nie mógłbym przyjść i cię zabrać, zgadza się?

- Jest dobrym ojcem! - krzyknęła Rianna w ciemność. - Najlepszym!

- Oj, Dakota, jesteś niegrzeczna.

- Nie nazywam się Dakota, tylko Rianna Woods, moim ojcem jest Jake Woods, a ty możesz sobie iść do diabła! Nie mam zamiaru dłużej cię słuchać!

- Lepiej posłuchaj, Dakoto, i lepiej za bardzo się nie denerwuj, bo przed nami nowa gra. Największa ze wszystkich i siły będą ci bardzo potrzebne. Gra, którą może trzeba będzie podzielić na etapy, bo niewykluczone, że z początku spróbujecie ją zbojkotować.

- Czemu? - Robbie pomyślał, że za chwilę eksploduje. - Co to za gra? Jaka?

- Żadna z tych, które widziałeś wcześniej, Steel, mój chłopcze. Ta gra jeszcze nie weszła w fazę produkcji. To coś zupełnie nowego, prosto z mojego szkicownika, jeszcze ciepłe. Wręcz gorące.

- Skoro to takie gorące - odparł Robbie - to może byśmy od razu spróbowali? To wszystko i tak pic na wodę, wiemy już przecież, ustaliliśmy to. Nic tutaj nie istnieje naprawdę, więc już się nie boimy.

- Nic tutaj nie jest realne - oświadczył głos - oprócz ciebie i Dakoty. Wy istniejecie naprawdę.

Robbie nie odpowiedział. Nigdy, przenigdy w swoim życiu nie był tak przerażony.

- To właśnie dzięki temu ta gra jest taka niezwykła. Ponieważ jej jedy-
nymi elementami jesteście wy dwoje.

O mój Boże, powtarzała Rianna w duchu. O-mój-Boże, o-mój-Boże - w kółko, niczym jedno słowo, jedna myśl, jak rower, nad którym człowiek stracił panowanie, pędząc w dół po pochyłości.

- I ponieważ będziecie walczyć przeciwko sobie.

- Nie - zaprzeczył Robbie. - Nie będziemy.

- Owszem, będziecie - zapewnił go głos. - Bo niedługo znów znajdziecie się na stacji przy Trzydziestej Czwartej, po raz ostatni już, a wszyscy wiemy, że Limbo się kończy, kiedy Steel i Dakota wsiadają do helikoptera, czekającego nad stacją, i odlatują.

Teraz słuchali oboje. Dobry Boże, słuchali jak nigdy w życiu.

- Rzecz w tym - ciągnął głos - że w tej nowej, ulepszonej wersji, w helikopterze jest miejsce tylko dla jednej osoby. Rozumiecie, dzieciaczki?

- Nie - odrzekła Rianna.

- Och, myślę, że rozumiesz, Dakoto, na pewno rozumiesz.

- Nie będziemy walczyć o miejsce w helikopterze - powiedziała, choć głos omal nie odmówił jej posłuszeństwa. - Zostaniemy, znajdziemy inny sposób, żeby się wydostać.

- Nie ma innej drogi, Dakoto. Musicie walczyć.

- Nie będziemy walczyć, ty gnoju - warknął Robbie. - Ty brudny gnoju!

- Uwielbiam waszą odwagę - wyznał głos. - Jeśli mam być szczery, to mi się najbardziej podoba w was obojgu. Jesteście tacy dzielni.

Robbie i Rianna milczeli.

- Problem w tym - powtórzył - co się stanie, jeśli nie będziecie walczyć.

- Co takiego? - Głos Rianny zadrżał, kiedy zadawała to pytanie. Próbowwała nad nim zapanować, ale nie mogła; nie wiedziała, ile jeszcze zdoła wytrzymać, wydawało jej się jednak, że nie zniesie już nic więcej.

- Naprawdę chcesz znać prawdę, Dakoto?

- Tak. Nie. Tak!

- Jeśli nie będziecie walczyć - powiedział głos - profesor, twój ojciec, umrze.

Słyszałem go.

Słyszałem, jak to ścierwo mówi mojej córce i synowi Lidii, że mają ze sobą walczyć.

Słyszałem, jak tłumaczy, co się stanie, jeżeli odmówią.

Jego słowa wypełniły mnie aż po brzegi, wypełniły nawet ciemną przestrzeń wokół mnie, dźwięcząc nieznośnie w uszach, ogłuszające, niczym rozkołysane dzwony, kiedy podejdziesz się zbyt blisko - dźwięk, który sprawia ci więcej niż ból, który jest w stanie niemal zabić, rozsądzić benki i przyprowadzić cię o szaleństwo...

„Jeżeli nie będziecie walczyć - powiedział ten potwór do mojego dziecka - twój ojciec umrze”.

Znów zerwałem z głowy gogle, słuchawki i cały ten piekielny szajs, rękawice też, a potem zacząłem krążyć w ciemności jak wielkie koty w zamknięciu, kiedy już nie mogą dłużej wytrzymać, kiedy są gotowe wyrwać się z klatki albo zabijać.

Nie czułem już strachu, ani odrobiny. Wściekłość, szaleńcza furia wyparła go z mojej świadomości...

Wydostać się stąd. Natychmiast.

Tylko to się liczyło, wydostać Riannę i Robbiego z tej piekielnej czeluści. Nie wiedziałem jak, nie obchodziło mnie jak, nie obchodziło mnie, czy przy tym zginę - miałem nadzieję, że zginie tamten, o Chryste, naprawdę miałem taką nadzieję i modliłem się o śmierć tego sukinsyna z piekła rodem - ale zamierzałem wydostać stąd dzieci i postanowiłem zrobić to natychmiast!

Mój lewy bark zawadził o ścianę. Głos znów przemówił.

- Niech pan włoży z powrotem hełm, profesorze.

Do mnie mówisz? Wiesz, gdzie to mam?

Obmacywałem ścianę dłońmi bez rękawic, przesuając się wzdłuż niej, zapewne w poszukiwaniu drzwi, nie mogłem jednak ich znaleźć, w ciemności powierzchnia wydawała mi się zupełnie jednolita, żadnych spoin, żadnej rysy, nic, mimo to kontynuowałem rekonesans i przemierzałem pokój, próbując się zorientować w rozmiarach ściany, jak gdyby wyczuć ją, szukając słabych punktów, opukując i naciskając...

- To, co pan robi, nie ma sensu, profesorze - odezwał się głos. - Musi pan patrzeć, to jedna z reguł gry. Musi pan patrzeć, jak walczą, bo w pewnym sensie stoczą tę walkę na pańską cześć, prawda?

Zignorowałem go i nadal robiłem swoje, starając się odciąć od tego głosu, ogłuchnąć na niego. Muszą tu być jakieś drzwi.

- A także dlatego, że jeśli nie będzie pan patrzeć - wyjaśnił spokojnie - tych dwoje umrze.

Zatrzymałem się nagle.

- W tym cała rzecz, profesorze - ciągnął głos. - Na tym polega układ.

Usłyszałem jakiś dźwięk, nieznany odgłos, coś jakby głuchy, gardłowy pomruk.

To ja go wydawałem.

Znów ruszyłem w swoją wędrówkę i dalej obmacywałem powierzchnię wokół mnie, a do tej części mojej świadomości, która nadal działała racjonalnie, zaczęło docierać, że ściana nie jest z betonu - przynajmniej od tej strony, której dotykałem. Więc może nie była to ściana nośna, tylko działowa, a skoro tak, to powinno być łatwiej ją rozwalić, poza tym już kiedyś czegoś takiego dotykałem...

W mieszkaniu Lidii, w pokoju muzycznym, tym, który był wyłożony dźwiękoszczelnymi płytami.

Co oczywiście miało swoją logikę tutaj, w tym więzieniu.

W porządku, ty sukinsynu.

- Nie chcę ich zabijać, profesorze. - Głos brzmiał niemal rozsądnie.

- Naprawdę nie chcę, proszę mi wierzyć. - Nienawidzę zabijania bardziej, niż pan sobie wyobraża, powinien pan o tym wiedzieć...

Przestałem słuchać, słowo honoru, po prostu się wyłączyłem. Widziałem otwarte usta Rianny i jej przerażoną twarz, słyszałem drżący głos mojej córki.

Pamiętałem, do czego to ścierwo chciało zmusić ją i Robbiego.

Pozwoliłem, aby furia wypełniła mnie znowu i pochłonęła całego, zagłuszając rozsądek.

Potrzebowałem jej w tej chwili, każdej, najmniejszej odrobiny. Tej furii, dzięki której matka potrafi podnieść samochód, pod którego kołami leży jej dziecko.

Tej furii, dzięki której ojciec potrafi rozwalić mur.

Zacząłem się cofać, oddalając od ściany.

Tak daleko, jak tylko się dało.

Wściekłość buzowała we mnie i wręcz płonęła żywym ogniem.

Poczułem za plecami przeciwległą ścianę.

Zaczerpnąłem powietrza...

I runąłem naprzód.

Zderzenie było tak gwałtowne, że pozbawiło mnie tchu. Rozciąłem sobie skórę z prawej strony głowy.

Ból. Ból był dobry.

Głos wciąż coś mówił, ale odbijał się od moich uszu, prawie do mnie nie docierając.

Obmaciałem ścianę w miejscu, gdzie w nią uderzyłem i znalazłem niewielkie wgniecenie, nic więcej.

Lity mur nie ustąpiłby nawet tyle.

Podda się. Następnym razem pójdzie lepiej.

Gdy tylko odzyskam oddech, zrobię to jeszcze raz.

Wiedział, co teraz nastąpi.

Zrozumiał to w nagłym przebłysku cudownej jasności.

Sądził, że ta chwila będzie dla niego nienawistna, że go rozwścieczy.

I przerazi.

Ale nie czuł strachu, nie w tej chwili.

To jest dobre. I słuszne. Nagle to sobie uświadomił.

Być może w głębi duszy planował coś takiego od samego początku.

Ojciec przybywający na odsiecz.

Gra tylko na tym zyska.

Przybliży ich wszystkich do zakończenia.

Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Zwłaszcza dla stwora-potwora.

Znów byłem pod przeciwległą ścianą i dochodziłem do siebie, zbierając siły. A także kipiąc w środku. Aż do szaleństwa.

Musiałem tylko pomyśleć o Riannie i o tym, co jej powiedział.

Boże Wszechmogący!

Jeżeli to tylko dźwiękoszczelna płyta, to powinna puścić, gdy uderzę dość mocno.

Jeżeli nie...

Głos znów coś do mnie mówił, przenikając do mojej świadomości.

- Oni to zrobią, profesorze. Zaraz zaczną walczyć na śmierć i życie, a ja obejrzę sobie ich pojedynki i to będzie najwspanialsze - i zarazem najsmutniejsze, oczywiście, lecz jakże wspaniałe, jakie cudowne.

Jego słowa wdarły się we mnie, wtargnęły do mojego wnętrza, zapaliły jakiś ostateczny lont.

- Dziękuję, ty śmieciu! - ryknąłem.

I ruszyłem naprzód niczym żywy buldożer.

Wszystko działo się jak na zwolnionym filmie.

Trzask. Jęk. Ogłuszenie.

Ściana się zapadała, a ja leciałem razem z nią.

Nie panowałem już nad niczym, byłem częścią ściany, wciśnięty w nią. Pękała, rozdarła uderzeniem, z hukiem, który brzmiał niczym odgłos grzmotu.

Łoskot. Upadek.

Patrzył na to wszystko.

Zakończenie, myślał. Oto zakończenie. Nareszcie.

Czas odejść.

Zostawić to wszystko za sobą: Steela, Dakotę. Wszystko.

Dzięki Bogu.

Wydawało mu się, że naprawdę tego chce.

Zostawić ich ojcu.

ROZDZIAŁ 95

Rianna i Robbie czekali na rozpoczęcie gry.

Nic się nie działo.

- Nic z tego nie rozumiem - odezwała się ściszym, pełnym trwogi głosem. - Nie wiem, co się dzieje.

- Ja też nie - szepnął Robbie.

- Czy mój tata naprawdę tu jest? Czy ten człowiek porwał również jego?

Przywarła kurczowo do chłopca z płaczem, nie mogąc nad sobą zaprowadzić.

- O Boże, jeśli on go trzyma, to już koniec, prawda? Nie ma żadnej nadziei.

- Oczywiście, że jest nadzieja - próbował ją pocieszyć Robbie, chociaż, Bóg mu świadkiem, sam był kompletnie ogłupiały i zdezorientowany jak nigdy w życiu. To wszystko było bez sensu, chociaż tutaj nic nigdy nie miało sensu, prawda?

- Powiedział, że musimy ze sobą walczyć, Robbie.

- A my się nie zgodziliśmy, prawda?

- Ale on powiedział... - Nie zdołała dokończyć zdania, nie mogła znieść myśli o jego ostatniej groźbie...

- Wszystko będzie dobrze, Rianno. - Robbie pogładził ją po włosach.

Nie jest dobrze. Tryliony bilionów lat świetlnych od wszystkiego, co dobre, wiedział o tym tak samo jak ona i żadne z nich nie mogło nic, zupełnie nic zrobić, żeby to zmienić. Tylko czekać.

Czułem się zbyt oszołomiony, żeby wstać.

Hałas wciąż rozbrzmiewał mi w uszach, pył zatykał usta, oczy i nos, krztusiłem się nim, a wiedziałem, że w każdej chwili może się pojawić mój wróg, wyskoczyć zniemacka, znokautować mnie tak jak przedtem, więc musiałem być gotów do walki, wykrzesać z siebie, ile tylko się da...

O Boże, trudno mi było wykonać najmniejszy ruch, a musiałem się podnieść, musiałem być gotów.

Odszukać dzieci.

Zamrugałem, żeby pozbyć się pyłu, i próbowałem wytrzeć go tak, żeby nie pogorszyć obecnego stanu, na szczęście jednak oczy zaczęły mi łzawić i wilgoć okazała się pomocna.

Wokół nadal było ciemno.

Kolejny pokój, za tamtym? Czyżby to wszystko, co osiągnąłem? O Chryste... - Ale...

Chłodne powietrze.

Leciutki powiew, gdzieś z lewej strony.

I dźwięk. Nic konkretnego, po prostu znikł już gruby kokon absolutnej, nieprzeniknionej ciszy, wypełniającej tamto pomieszczenie, kiedy on nie mówił albo ja nie wrzeszczałem.

W końcu udało mi się stanąć na nogi. Wiedziałem, że jestem pokaleczony i poobijany, w całym ciele czułem piekielny ból, ale miałem to gdzieś. Znów działałem, udało mi się wydostać stamtąd i kierowałem się w stronę podmuchu, ostrożnie, czujnie, z rękami wyciągniętymi przed siebie w ciemności, bo zaliczyłem już tego dnia o jedną ścianę za dużo.

Nasłuchiwałem też i jego, i dzieci, w tej chwili przede wszystkim jego, pamiętając, jak cicho podkraść się do mnie pod domem Fitzgeralda, z nim padł cios.

Czy to tam się znajdowaliśmy? Wciąż na terenie jego posiadłości? Może w piwnicy, którą Norman zlokalizował na planie domu?

Gdzie się znajduje w tej chwili Baum? Nie mogłem uwierzyć, że dotąd o nim nie pomyślałem, o moim nowym, serdecznym druhu. Wstydź się. Zacząłem się nagle zastanawiać, czy on też gdzieś tutaj jest. Czy są tu pozostałe zaginione dzieci, nie tylko Rianna i Robbie?

Dźwięk nie był tak słabutki, jak mi się początkowo wydawało.

To było ciche buczenie, dochodzące gdzieś z prawej strony. Szum, jaki wydają urządzenia elektroniczne. Jaki mógłby dochodzić z pracowni komputerowej.

Z centrum operacyjnego, które musiał tu mieć ten łotr.

Psiakrew.

Iść w kierunku dźwięku czy w kierunku powiewu?

Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. A może „pół na pół”, jak w tym programie „Milionerzy”, na którego punkcie wszyscy mieli takiego bzika. A czy B?

Tyle że jeśli prąd powietrza oznaczał wyjście, to nie miałem zamiaru iść w tamtą stronę bez dzieci.

Niezbyt trudny dylemat.

Powoli, ostrożnie odwróciłem się w stronę, skąd dochodził dźwięk, znów wyciągając przed siebie ręce.

Moja prawa dłoń natrafiła na coś twardego, litego. Ściana. Jeszcze trochę w prawo. Dźwięk stał się teraz głośniejszy. Coraz głośniejszy. Opuszki palców obu dłoni namacały jakąś powierzchnię.

Jeszcze jedna ściana?

Drzwi.

Pieprzone drzwi, z pieprzoną klamką.

Teraz nie miałem dylematów. Jeżeli jest w środku, stanę do walki. Jeżeli tamten ma przy sobie broń, prawdopodobnie zginę i kto wie, czy moja śmierć nie usatysfakcjonuje tego ścierwojada. Być może poprzestanie na tym i pozwoli dzieciom odejść. A może nie.

Nie myśl o tym, Jake.

Powiedział, że nie lubi zabijać, nienawidzi tego bardziej, niż jestem sobie w stanie wyobrazić.

Boże, proszę.

Otworzyłem drzwi gwałtownym ruchem, aż trzasnęły z rozmachem o ścianę - jak mnie uczono wiele lat temu, tak mi się przynajmniej wydawało...

Nikogo nie dostrzegłem.

W pokoju panował półmrok, ale pomieszczenie było oświetlone, Bogu dzięki.

Nikogo. Tylko rząd monitorów, jakiś rodzaj komputera, garść przełączników i żadnego miejsca, gdzie można by się ukryć. Jeżeli on tu przebywał, teraz się ulotnił.

Dygotałem, wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy, teraz jednak nogi odmówiły mi nagle posłuszeństwa i ledwie zdążyłem podejść do jedynego krzesła, na które opadłem w ostatniej chwili.

Podniosłem wzrok na monitory. Puste. Wyłączone. Przyjrzałem się uważniej, szukając przycisku, którym sieje uruchamia. Tutaj. Nacisnąłem. Ekran zamigotał.

Nic.

Psiakrew.

Włączyłem następny monitor. Znów migotanie.

O Boże. O Boże drogi.

Rianna. I Robbie. Bez tego paskudztwa na twarzach.

Przytuleni do siebie. O Jezusa najśladczy.

Co zrobić, żeby mnie usłyszeli? Musi być jakiś sposób. Przecież ten lotr mówił do mnie.

Kolejny przełącznik po prawej stronie. Proste. Nacisnąłem. Zapaliła się zielona kontrolka.

- Rianno? - Nie chciałem mówić zbyt głośno, w obawie że mógł mnie usłyszeć.

Zobaczyłem, jak pochyliła głowę lekko na bok. Na twarzy mojej córki malowało się takie zmęczenie, taki okropny lęk.

- Rianno? - Tym razem trochę głośniej. - To ja, tata.

Widziałem, jak w miejsce strachu pojawiły się najpierw cudowna konsternacja, a natychmiast potem radość i serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

- Jestem tutaj, córeczko, i niedługo was znajdę.

Ten sam wyraz na twarzy Robbiego. Ach, Lidio, gdybyś wiedziała!

- Muszę tylko ustalić, gdzie dokładnie jesteście, dobrze?

Rianna usiłowała mi coś powiedzieć, lecz jej nie słyszałem.

- Nie wiem, jak się ustawia dwukierunkową łączność, zresztą to bez znaczenia, bo idę was odszukać i zaraz tam będę, a potem was stąd wyprowadzę, słyszysz?

Wciąż usilnie próbowała zadać mi jakieś pytanie, Robbie też. Nagle zrozumiałem.

- Nie ma go tutaj - powiedziałem - starając się ze wszystkich sił zachować spokój i wyrażać się jasno. - Nie wiem, czy odszedł na dobre, czy nie. Jak dotąd nie próbował mnie powstrzymać.

Uważaj na siebie, tato. Zdaje się, że to właśnie usiłowała mi przekazać Rianna.

- Będę uważał, skarbie, nie martw się o mnie.

Aha. Pewnie, o co tu się martwić?

Rozejrzałem się za czymś, co mogłoby mi posłużyć jako narzędzie i ewentualnie broń, gdyby zaszła taka potrzeba. Za czymś ciężkim.

Nic.

Aha, krzesło.

Zajął mi to parę minut, zbyt wiele, bo ręce wciąż mi się trzęsły, no i nie byłem w najlepszej formie, lecz w końcu dopiąłem swego i odkręciłem te cholerne nogi. Nie było to dużo, zawsze jednak coś solidnego w garści, więc...

Nigdzie śladu latarki.

Ejże, a to?! Ruchoma klapka, ukrywająca całą deskę rozdzielczą przełączników na ścianie znajdującej się najbliżej drzwi.

Pstryknąłem każdym po kolei, po czym otworzyłem drzwi, żeby sprawdzić efekt.

Niech się stanie światło.

Robbie nie mógł w to uwierzyć.

Wyczuwając napięcie Rianny i czując, jak jej ciało dygocze, a także słysząc podniecenie, niemal ekstazę w głosie dziewczyny, nie miał wątpliwości, że naprawdę uważa, iż ojciec jest tutaj, przyszedł jej - im - na ratunek i to było wspaniałe, zdumiewające. Pomyślał, że on też mógłby w to uwierzyć, pragnął tego ze wszystkich sił.

Natomiast nie mógł uwierzyć w żaden sposób, że ów człowiek zniknął, ot tak sobie, zostawiając wolną drogę ojcu Rianny. I pozwalając im odejść.

- Myślisz, że mu się nie uda, prawda? - odezwała się nagle w ciemności.

- Nie o nim w tej chwili myślę - odparł, wzbraniając się przed odebraniem jej tych chwil nadziei, z obawy, że mogą być wszystkim, co im pozostało.

- Wiem - szepnęła Rianna.

- Sądzisz, że on na to pozwoli?

- Nie wiem - odrzekła po prostu. - Znam jednak swojego ojca. Powiedział, że tutaj jest. Powiedział, że nas odnajdzie i wydostanie nas stąd.

- Wiem o tym - wyjaśnił Robbie, wciąż łagodnie - ale...

- Nie ma żadnego ale - Rianna była niewzruszona - on tak powiedział, więc tak będzie.

Opuściłem salę komputerową i szedłem z powrotem drogą, którą, jak mi się wydawało, tutaj dotarłem.

W wąskim korytarzu panował półmrok, lecz to sto tysięcy razy lepsze niż ciemność. Co nie znaczy, że było tu wiele do oglądania.

Przecież w końcu nie szukałem wieży Eiffla, tylko drzwi. Jednych - które zaprowadziłyby mnie do Rianny i Robbiego, i drugich, aby wyprowadziły nas na zewnątrz.

Skręciłem w prawo, dzierżąc po jednej nodze od krzesła w każdej ręce, na wszelki wypadek.

I ujrzałem to, co zostało z mojej ściany.

O kurczę. Z pewną trudnością przyszło mi uwierzyć, że tego dokonałem. Gdyby czas nie był taki cenny, zrobiłbym zdjęcie.

Oczywiście, gdybym jeszcze miał przy sobie aparat.

Następny zakręt. Pokonałem go według najlepszych wzorów akademii policyjnej, klnąc w duchu, że nie mam automatycznego pistoletu zamiast dwóch nóg od krzesła. Lepsze to niż nic, Jake.

Nikogo.

Może naprawdę się ulotnił? Miałem przeświadczenie, że tak jest, wydawało mi się, że musiałbym go wyczuć, nie wyobrażałem sobie, że mógłbym nie dostrzec jego obecności, gdyby nadal tu się znajdował.

Nie wyczułeś go pod domem Fitzgeralda.

Drzwi. I klamka na dodatek.

Nacisnąłem ją z bijącym sercem.

Nic. Nic. Draństwo się nie otworzyło, a zamka nie było.

Wtedy zauważyłem coś, co wcześniej uszło mojej uwagi - jak u licha mogłem coś takiego przeoczyć? Cyfrowa klawiaturka na ścianie po lewej stronie drzwi, podobna do tych, jakie widywałem w nowoczesnych biurach, gdzie chciano uniknąć nieproszonych gości bez zatrudniania armii ochroniarzy. Takie drzwi otwierały się z reguły po wprowadzeniu odpowiedniej kombinacji czterech cyfr.

Cholera.

Do tej chwili nie zdecydowałem się zastukać, na wypadek gdyby w środku nie było dzieci, na wypadek...

Do diabła z tym.

Żadnej odpowiedzi.

Oczywiście, jeśli to pomieszczenie również miało dźwiękoszczelne ściany, brak odpowiedzi nie oznaczał zbyt wiele.

Limbo. Stan zawieszenia.

Nagle przypomniałem sobie urywek z lekcji, której wysłuchaliśmy w Eryksie.

Wróć i porozmawiaj z dziećmi.

Teraz szedłem szybko, a właściwie biegłem, ogarnięty nagłą trwogą, że ta próba wyrwania się na wolność ma pewien limit czasu. Może jakaś bomba zegarowa udaremni moje wysiłki, jeśli się nie pośpieszę, bo wszystko to istnieje w ramach gry, jego gry.

Znów znalazłem się w sali komputerowej. Dlaczego tutaj nie zamontowano cyfrowego zamka? Nie był potrzebny, jeśli tylko on używał tych drzwi. Położyłem nogi od krzesła na podłodze i znów nacisnąłem przelącznik. Mówiłem szybko, patrząc jednocześnie w monitor.

- Dzieci, posłuchajcie. Zwłaszcza ty, Robbie, jak sądzę. - Zobaczyłem, że chłopak skinął głową. - Czy w Limbo, w prawdziwej grze, jest jakiś specjalny szyfr, czterocyfrowy, czy jakaś inna kombinacja, dzięki której

Dakota i Steel mogą się dostać do zamkniętych pomieszczeń albo z nich wyjść?

Robbie znów kiwał głową, mówiąc coś jednocześnie.

- Pamiętajcie, że was nie słyszę - odrzekłem nagłym tonem. - Jeśli to cyfry, pokaż mi je na palcach.

Znowu skinienie głową, po czym Robbie podniósł trzy palce.

- Trzy, tak? - zapytałem.

Teraz również Rianna kiwała głową. Robbie podniósł prawą dłoń i cztery palce lewej.

- Dziewięć.

Zostawił tylko cztery palce.

- Cztery. Dwa palce.

- Dwa - powiedziałem. - Trzy, dziewięć, cztery, dwa, tak?

Robbie jeszcze nie skończył. Widziałem, że się nad czymś zastanawia, zobaczyłem, że Rianna się śmieje, naprawdę się śmieje, ale on był śmiertelnie poważny i cieszyłem się z tego.

Sześć palców uniosło się w górę.

Nareszcie miałem szyfr. Pięć cyfr, nie cztery: trzy-dziewięć-cztery-dwa-sześć.

- Jesteś pewien? - Powtórzyłem cyfry i zobaczyłem, że oboje kiwiają głowami.

Podniosłem nogi od krzesła, mój oręż, i ruszyłem z powrotem, powtarzając sobie cyfry w myślach. Szedłem szybko, zbyt szybko, niemal zapominając o możliwości zasadzki.

Ale zasadzki nie było.

Kiedy znalazłem się z powrotem pod drzwiami, wstukalem cyfry i zacząłem się w duchu modlić.

Usłyszałem szczęknięcie i drzwi się otworzyły.

Pokój był pusty.

Chryste. Chciało mi się płakać, chciało mi się wyć.

Poszukaj innego pokoju, Jake.

Jeszcze jeden zakręt, jeszcze jeden pusty korytarz, ten sam półmrok.

Następne drzwi. Następna klawiatura. Wprowadziłem szyfr, pomyliłem się, spróbowałem jeszcze raz, lecz urządzenie go nie przyjmowało. Wpadłem w panikę, po chwili jednak ochłonąłem, nacisnąłem przycisk „error”, a następnie „clear”.

Trzy-dziewięć-cztery-dwa-sześć.

Szczęknięcie.

Drzwi się otworzyły.

Moja córka była w środku, pod przeciwległą ścianą.

Syn Lidii stał obok Rianny.

Oboje żywi i - niemal nie do uwierzenia - zdrowi i cali.

Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Położyłem nogi od krzesła na podłodze, ostrożnie, nie robiąc hałasu, po czym wyciągnąłem ręce.

I po chwili trzymałem w objęciach Rianne.

ROZDZIAŁ 96

Lidia wróciła do domu, do własnego domu.

Miała lekkie wyrzuty sumienia, bo w końcu Jake liczył na to, że zostanie z Ellą. I gdyby Kim nie pojawiła się tego ranka... Chociaż, jakkolwiek by na to patrzeć, Kim Ryan stanowiła bardziej odpowiednie, a już na pewno bez porównania bardziej swojskie towarzystwo dla dziewięcioletki pod nieobecność jej ojca niż jakaś wariatka, dotknięta obsesją wałęsania się po stacjach nowojorskiego metra. Gdyby nie udało się złapać Kim, Lidia, rzecz jasna, nadal siedziałaby w mieszkaniu Woodsów, czekając na mężczyznę, który ją okłamał, kiedy miała bezwzględne prawo wiedzieć, dokąd naprawdę się wybierał.

Dlaczego nie czuła się bardziej rozgniewana? Dlaczego wciąż miała świadomość winy, że wyjechała? Szczególnie od czasu niedawnej rozmowy z Kim, która zapewniła ją, że nie widzi najmniejszej potrzeby, aby Lidia wracała do New Haven, bo ona bardzo chętnie zostanie z Ellą.

Tak więc była u siebie, znów sama jak palec, coraz bardziej zdesperowana, w miarę jak godziny upływały.

Tak naprawdę w ogóle nie była zła na Jake'a. Po prostu się o niego bała. Potwornie obawiała się także ewentualnych konsekwencji wyprawy jego i Bauma dla Robbiego i Rianny.

Zadzzwoniła do Thei Lomax i podzieliła się z nią swoimi lękami.

- Sama zacznę się denerwować - przyznała Thea.

- Wiem, że jeszcze nie upłynęły dwadzieścia cztery godziny - zaczęła Lidia - i pewnie mi powiesz, że nikt nie zechce uwierzyć, iż porywacz uprowadził dwóch dorosłych mężczyzn, skoro wszyscy wiemy, że interesują go nastolatki, ale...

- Ale uważasz, że FBI powinno wiedzieć - wpadła jej w słowo współniczka Bauma.

- Otóż to.

- Już rozmawiałam z Angelą Moran.

- Rozmawiałaś?

- Pomyślałam sobie, że mniej mnie będą podejrzewać o histerię niż ciebie - nie obraź się.

- Nie wygłupiaj się. - Wdzięczność wezbrała w niej ciepłą falą. - I co powiedziała?

- Tyle, ile mogła w tych okolicznościach. Obiecała przekazać informację, że udali się, mówiąc ogólnie, w stronę siedziby Eryxu. Problem w tym, Lidio, że nasze przypuszczenia są bardzo niekonkretne, więc dopóki nie dowiemy się czegoś więcej...

- Nie zrobią nic - przerwała jej Lidia.

- Tego nie byłabym pewna - pocieszyła ją Thea.

- Ale nie powiedzą nam, co zamierzają zrobić, jeśli w ogóle coś zamierzają.

- To nie ulega wątpliwości. - Thea Lomax milczała przez chwilę. - Przepraszam.

- Nie masz za co przepraszać. Zrobiłaś, co mogłaś.

Lidia odłożyła słuchawkę, znużona, zdenerwowana, a także przerażona jak nigdy dotąd i poszła nalać sobie kieliszek wina. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie napaścić wody do wanny. Albo zadzwonić do Franklinów, albo sprawdzić, czy Melania Stienman jest w domu i czy mogłaby do niej wpaść - zrobić coś, cokolwiek, żeby się choć trochę odprężyć lub przynajmniej pozbierać, uzbroić w cierpliwość przed dalszym czekaniem.

Bezczelowe zabiegi.

Jak inaczej mogłaby się czuć, jak mogła nie odchodzić od zmysłów ze strachu? Jak inaczej miała się czuć kobieta, której syn zaginął, a nowy, być może ukochany, na pewno zaś bliski przyjaciel, wyruszył nie wiadomo dokąd, niczym jakiś rozgorączkowany głupiec, wraz z prywatnym detektywem dość posuniętym w latach, żeby mieć więcej oleju w głowie, i obaj zniknęli z powierzchni ziemi? Jak można się czuć w takiej sytuacji?

Wiedziała, że Jake i Baum są w niebezpieczeństwie.

Tak samo jak dzieci.

A więc żadnego wina. Żadnej ciepłej kąpiel. Żadnych przyjaciół.

Tylko kawa. Dużo kawy.

I może jeszcze modlitwa.

ROZDZIAŁ 97

Zaczęliśmy szukać drogi do wyjścia.

Jego wciąż ani śladu.

Wyściskaliśmy się serdecznie na powitanie i obejrzelśmy się nawzajem dokładnie; Rianna była strasznie przejęta moimi skaleczeniami, siniakami i resztkami ściany, które wciąż przywierały do mojego ubrania. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, próbowaliśmy jedynie ustalić, gdzie się znajdujemy.

Pod ziemią - co do tego wszyscy byliśmy zgodni - nadal to czuliśmy, chociaż nie otaczały nas już ciemności. Prawdopodobnie w Connecticut, może pod domem Fitzgeralda albo w całkiem innym miejscu, o którego istnieniu nikt nie wiedział.

Szukaliśmy, rzecz jasna, drzwi. Takich, które prowadziłyby na zewnątrz. Układ całości nie wydawał się zbyt skomplikowany, oparty był chyba na planie kwadratu, choć wystarczająco zagmatwany, żebym nie mógł się w nim połapać. Gdzie się obróciliśmy, trafialiśmy na kolejny pusty korytarz, a w nim dwoje lub troje drzwi, z których żadne nie prowadziły do wyjścia. Zacząłem myśleć, że może jest to wydzielona przestrzeń w ramach czegoś większego. Możliwe. Wszystko było możliwe, do cholery. Może znajdowaliśmy się na Księżycu.

Otworzyliśmy drzwi prowadzące do kolejnej, ponurej klitki - celi, posługując się tą samą sekwencją cyfr, która, jak mi wyjaśnił Robbie, stanowiła po prostu banalny alfanumeryczny kod, utworzony z liter „Limbo”.

- Bogu dzięki, że to takie proste - powiedziałem. - I Bogu dzięki, że to pamiętaliście.

- Ja nie pamiętałam - przyznała Rianna.

Nie mogłem nie zauważyć, jak patrzyła na Robbiego. To samo spojrzenie, jakie widywałem u niej w owych wspaniałych (z mojego punktu widzenia) chwilach, kiedy uważała, że jestem szczególnie mądry.

Malował się w nim podziw, u którego źródła jest miłość. Wydaje mi się, że większość córek, mających względnie przyzwoitych ojców, przeżywa coś takiego od czasu do czasu. Nigdy dotąd jednak nie widziałem, żeby Rianna patrzyła w ten sposób na jakiegokolwiek innego osobnika płci męskiej.

I nie miałem do niej najmniejszych pretensji.

Jeszcze jeden zakręt. Wszystko zaczynało mi się mieszać, uważałem, że chodzimy w kółko.

Jeszcze jedne drzwi. Nie miały cyfrowego zabezpieczenia, ale były zamknięte na zamek.

- Moglibyśmy je wyważyć - podsunął Robbie.

Rianna chwyciła mnie gwałtownie za ramię.

- Nie zawracajmy sobie głowy.

Ujrzałem ponownie strach w jej oczach. Bała się, że za drzwiami może być on, wiedziałem o tym.

- Zostawimy je - zdecydowałem. - Na razie.

I wtedy przypomniałem sobie tamten powiew.

- O jasny gwint! - powiedziałem na głos.

- Co takiego?! - Robbie wpatrywał się we mnie zdumionym wzrokiem.

Oboje się wpatrywali.

- Czuję powiew, jakby lekki wiaterek - wyjaśniłem. - Zanim was odnalazłem. - Zamknąłem na chwilę oczy, próbując odtworzyć tamtą sytuację. - Zaraz po tym, gdy się wydostałem ze swojej celi.

- Chodźmy tam - zaproponowała Rianna, chcąc jak najszybciej stąd się oddalić.

Znaleźliśmy to miejsce, po czym znów zamknąłem na chwilę oczy, a następnie zwróciłem się w kierunku, który, jak mi się wydawało, wybrałem wówczas. Tak samo jak wtedy poczułem ruch powietrza i natychmiast pobiegłem w tamtą stronę.

Ciemniejszy odcinek korytarza.

Nie wiem, dlaczego go przedtem przeoczyliśmy. Byliśmy zbyt zaabsorbowani szukaniem drzwi, a może podświadomie unikaliśmy ciemniejszych zakątków?

- Hej - odezwał się Robbie - dla nas to bułka z masłem, no nie?

Odwaga tego chłopca była wręcz niewiarygodna. Nie mogłem się doczekać, kiedy opowiem o tym Lidii. A także o roztropności, której zapewne nawet ona nie podejrzewała u swojego syna. Boże, proszę...

- Jasne - potwierdziła Rianna.

Ona również była dzielna, oczywiście, ale to zupełnie inna sprawa. Nie mogłem podziwiać odwagi własnej córki, nie zdołałbym znieść myśli o tym, przez co musiała przejść.

W tej chwili nie było czasu na żadne roztrząsania.

- Dobra, idziemy - powiedziałem.

Ruszyłem pierwszy, ściskając w dłoni jedną nogę od krzesła, Rianna kroczyła tuż za mną, trzymając mnie za koszulę, Robbie zamykał pochód, z drugą stalową nogą w garści.

Schody na końcu korytarza.

- Jest! - syknął Robbie, wykonując triumfalny gest.

Ja byłem bardziej nieufny.

- Zaczekajcie tutaj. Spróbuję się rozejrzeć.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Rianna. - Idziemy razem.

Nie marnując czasu na dyskusję, poszedłem przodem, po omacku, chociaż nie było tak ciemno, jak w tamtym pokoju. Spiralne schody. Naliczyłem dwadzieścia dwa stopnie, zanim dotarłem na górę.

Niewielka platforma.

Kolejne drzwi.

Też zamknięte na głucho. Bez cyfrowej klawiatury.

Spojrzałem na Robbiego, stojącego za moją córką.

- Będę potrzebował pomocy. - Uniosłem nogę od krzesła niczym łom.

- Możemy spróbować wyważyć je z zawiasów.

- Dobra. - Robbie przecisnął się delikatnie obok Rianny, podchodząc do mnie.

Faceci z łomami przy robocie. Drzwi nie ustąpiły.

- Myślę, że otwierają się na zewnątrz. - Uśmiechnąłem się do Rianny.

- Twój tatuś to złota rączka.

- Poproś go, jeśli chciałbyś zawiesić półkę - wyjaśniła Rianna Robbiemu. - Powisi tylko jedną noc...

- Co za wiara.

- Ona w pana wierzy - powiedział chłopiec. - Zapewniam pana.

Popatrzyłem na jego twarz, bardzo wymizerowaną i jak gdyby dojrzałą niż na fotografiach, i serce mi drgnęło na ten widok.

- Wierzę ci, Robbie.

- Co teraz? - zapytała Rianna.

Zerknąłem na drzwi.

- Cóż, pora znów wcielić się w buldożer. - Wszystko mnie bolało na samą myśl.

- Niech pan pozwoli mi spróbować - odezwał się Robbie, czytając w moich myślach.

Przyjrzałem mu się znowu, wąpiąc, czy nastolatek, w stanie, w jakim się w tej chwili znajdował, zdoła wyważyć drzwi, ale upokorzenie go było ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem.

- Moglibyśmy spróbować razem - zaproponowałem.

- Ja też chcę pomóc - zgłosiła się Rianna.

- Nie ma mowy. - W tym wypadku nie przejmowałem się ewentualnym upokorzeniem, nie obchodziło mnie też, czy nie dopuszczam się przypadkiem dyskryminacji ze względu na płeć.

Robbie i ja zrobiliśmy parę kroków tam i z powrotem, napinając i rozluźniając mięśnie, głównie chyba po to, żeby się zmobilizować psychicznie.

- Gotów? - zapytałem.

- Jasne.

- Na trzy, dobra?

Policzyłem do trzech - i ruszyliśmy. Nic z tego.

- Za słabo - stęknąłem.

- Musimy mieć dłuższy rozbieg - zauważył Robbie.

- No to jazda! - Próbowałem się znów „naładować”. - Dopiero co rozwalilem całą ścianę! Co mi tam jakieś głupie drzwi, prawda?

- Prawda. - W głosie mojej córki dało się wyczuć powątpiewanie.

- Musisz się odsunąć - powiedział Robbie.

- Dlaczego nie pozwolicie mi pomóc? - zapytała znowu Rianna.

- Jesteś za drobna - perswadował jej Robbie. - Zrobisz sobie krzywdę.

- Uprawiam gimnastykę - przypomniała mu. - Jestem silniejsza, niż się wydaje.

- Byłaś zamknięta prawie przez tydzień, skarbie - zauważyłem.

- Robbie był zamknięty przez dwa miesiące. Uśmiechnął się do niej.

- Cóż mogę na to powiedzieć?

Przerwałem te przekomarzanki, nie chcąc tracić czasu, chociaż wspólnie było słyszeć, jak dzieciaki się wygłupiają. Rianna się odsunęła i znów zacząłem odliczać. Ruszyliśmy po raz drugi. Tym razem był jakiś efekt, ale niewystarczający.

- Jeszcze raz - poleciłem, gdy tylko zdołałem odzyskać oddech.

- Aha - wysapał Robbie.

- Uważajcie na siebie - upomniała nas Rianna.

Zacząłem się nagle zastanawiać, co nas czeka po drugiej stronie.

Albo kto?

Przed oczyma stanął mi niespodziewanie Fitzgerald, bawiący się z nami jak kot z myszą, czekający tam, być może z dubeltówką w ręku - a może to dla niego zbyt prymitywna zabawka?

- W porządku? - zapytał Robbie.

Skinąłem głową. Nie było sensu mówić mu - ani jemu, ani Riannie - żeby się cofnęli w głąb schodów, gdzie w razie czego łatwiej byłoby im się ukryć. Wiedziałem, że moja córka tego nie zrobi.

- No, tym razem je załatwimy, jasne? - Postarałem się, żeby mój głos brzmiał dziarsko, optymistycznie.

- Dobra - odrzekł Robbie.

- Oczywiście - zawtórowała Rianna, cofając się, żeby zrobić nam miejsce. Robbie i ja odeszliśmy najdalej, jak się dało.

- Raz - zacząłem odliczać. - Dwa. - Nabrałem powierza w płuca. -Trzy!

Ruszyliśmy jak dwa byki, idealnie zsynchronizowani - żywy taran. Drzwi wyleciały z ogłuszającym zgrzytem pękającego metalu. A my poleciliśmy razem z nimi.

Osłepieni światłem, wydając triumfalne okrzyki, mknęliśmy niczym para surferów, uczepieni rozpedzonych drzwi.

- Puśćcie je! - krzyknęła rozpaczliwie Rianna...

Rzuciła się do przodu, chwytając za nogawkę moich dżinsów, chybiła, upadła z rozmachem na beton, wciąż krzycząc przeraźliwie:

- Puśćcie je!

Ja puściłem pierwszy, Robbie zrobił to pół sekundy później. Nadal nie widziałem zbyt dobrze, osłepiony słońcem, ale zdołałem chwycić chłopca za skórzaną tunikę.

Drzwi poleciały bez nas, usłyszeliśmy łoskot i zdążyliśmy zobaczyć, jak znikają.

Rianna wciąż krzyczała, teraz bez słów, uczepiona ze wszystkich sił mojej lewej nogi, wpijając w nią palce niczym szpony.

Nagle zobaczyłem, dlaczego tak krzyczy.

I dlaczego oddech Robbiego brzmi jak szloch.

Nie byliśmy w Connecticut.

Nie wydostaliśmy się z podziemnej piwnicy.

Znajdowaliśmy się na szczycie, na samym skraju dachu drapacza chmur.

Wokół nas stały inne wysokościowce, wiele z nich znacznie, znacznie wyższych.

I wstrząsająco znajomy widok w dole pod nami.

Herald Square.

Nowy Jork.

Drzwi wciąż spadały, wirując, po spiralnym torze, prosto na biegnącą pod nami ulicę.

ROZDZIAŁ 98

Dwadzieścia cztery godziny minęły - powiedziała Lidia do Thei Lomax po drugiej stronie słuchawki. - Wiem. - Więc zadzwonisz do Kline'a albo do Angeli Moran czyja mam to zrobić?

- Myślę, że lepiej ja.

- Może obie powinnyśmy to zrobić? - zapytała Lidia.

- Przesada. Wkurzyliby się i tyle.

- To mnie nie obchodzi.

- Zacznie cię obchodzić, jeżeli już szukają Jake'a i Normana, a my będziemy zawracać im głowę i zajmować czas - urwała. - Pozwól, że tym razem ja zadzwonię - odezwała się po chwili - a jeśli zajdzie potrzeba, następny telefon będzie twój, zgoda?

- Zgoda - odrzekła Lidia. - Tylko bądź z nimi twarda, dobrze?

- Narobię im smrodu, jeśli jeszcze się do tego nie wzięli, możesz na mnie polegać - zapewniła ją Thea Lomax. - I mam też zamiar zawiadomić policję stanową, aby się upewnić, że miejscowi są na bieżąco - dodała.

- Co mogę zrobić w tym czasie?

- Nic. Cholernie przykro mi to mówić - dodała szybko Thea. - Wierz mi, wiem, że to w tej chwili dla ciebie najtrudniejsze. Ale naprawdę nie ma tu nic więcej do zrobienia.

- Proszę cię, bądź ze mną w kontakcie.

- Jasne. - Wspólniczka Bauma znów milczała chwilę. - I nie muszę ci mówić, żebyś dała natychmiast znać, jeśli będziesz miała jakieś wieści od Jake'a albo od Normana.

- Nie musisz.

ROZDZIAŁ 99

O Chryste. O Jezu. Kazałem cofnąć się natychmiast Robbiemu, sam też odczekałem kilka minut, zanim znów się zbliżyłem do krawędzi dachu. Musiałem odczekać, bo świat wciąż wirował mi przed oczyma niczym bąk, poza tym trząsałem się jak galareta.

Ale teraz nie miałem wyboru. Musiałem jeszcze raz spojrzeć w dół.

- Ostrożnie, tato! - Usłyszałem głos mojej córki, leżącej na brzuchu na płaskim dachu, obolałej po szarpaninie i upadku, ale pełnej trwogi o mnie. O tak, zamierzałem być ostrożny.

Powierzchnia dachu była stosunkowo niewielka, a drzwi znajdowały się przy samej krawędzi. Dlatego, wysadzone z zawiasów z podwójnym impetem, pomknęły, rozwalając barierkę ochronną.

I niewiele brakowało, żeby pociągnęły nas za sobą.

Podczołgałem się do skraju i zerknąłem w dół.

Do tej chwili docierała do mnie jedynie ogólna kakofonia miasta, a także głosy Rianny i Robbiego oraz walenie mojego własnego serca. Teraz, nagle, kiedy patrzyłem w dół, próbując się rozeznać w tym, co widzę, i usiłując się otrząsnąć z oszołomienia, zacząłem słyszeć więcej - o wiele więcej - niż pragnąłem.

Klaksony. Syrena.

Przeraźliwe krzyki.

- O Boże - powiedziałem na głos.

- Co? - wykrzyknęli jednym głosem za moimi plecami Rianna i Robbie.

- Nie zbliżajcie się! - rozkazałem znowu.

Nie chciałem, żeby to zobaczyli, dopóki nie będą musieli.

Drzwi - nasze drzwi - były prawie niewidoczne z tej odległości.

Prawie.

Wbiły się w dachu autobusu i zaklinowały w nim.

Ruch na Herald Square i w okolicy został zablokowany, samochody, żółte taksówki, ciężarówki stały pod najdziwniejszymi kątami, ludzie biegali po całym placu, wrzeszcząc, piszcząc i płacząc.

A spora grupka, rosnąca z każdą sekundą, patrzyła w górę.

Pokazując prosto na mnie.

ROZDZIAŁ 100

Lidia spała na kanapie, kiedy usłyszała brzęczyk domofonu.

Zasnęła! Jak mogła zasnąć?!

- Już idę - powiedziała, wiedząc, że nikt jej nie może usłyszeć. Półprzytomna poszła do przedpokoju i podniosła słuchawkę.

- Tak?

- Tu Joseph, portier z dołu. Ma pani gościa.

- Kto to taki? - spytała Lidia nieufnie.

Wyglądało na to, że zaczyna stronić od ludzi, ale nie było sposobu, żeby temu zaradzić. Nie obchodziło jej, co inni sobie o niej pomyślą, nie mogła teraz prowadzić towarzyskiej rozmowy jak gdyby nigdy nic ani naprawdę otworzyć serca przed kimkolwiek z wyjątkiem...

- Profesor Woods - odezwał się Joseph.

Trwało chwilę, zanim ta informacja pokonała trasę od uszu do mózgu Lidii. I nagle jakby odpaliła rakietą. Dzięki Bogu!

- Przyślij go na górę! - zawołała. - Przyślij go.

Zaczęła biegać po mieszkaniu jak szalona - najpierw do lustra w holu, krzywiąc się na widok tego, co zobaczyła, potem do sypialni, w poszukiwaniu szczotki do włosów i perfum, żeby się jako tako ogarnąć, z powrotem do drzwi, bo chciała, żeby były otwarte, zapraszające, kiedy Jake się tu zjawi - o, dzięki ci, Boże! Wreszcie skok do łazienki, żeby ochlapać twarz zimną wodą i przepłukać usta.

Uspokój się, Lidio.

Przystanąła, wzięła głęboki wdech, po czym poszła, już normalnym krokiem, do korytarza, w stronę drzwi wejściowych.

Ktoś stał w progu, drzwi za nim były zamknięte.

Ktoś, kogo już kiedyś spotkała. Tylko że wtedy robił wrażenie odprężonego i pewnego siebie. A teraz wyglądał...

Dziwnie.

To nie Jake.

Inny mężczyzna.

Ubrany w spodnie z płótna żaglowego, mokasyny i białą koszulkę z krótkimi rękawami, która sprawiała wrażenie, jakby jej właściciel ostatnio pocił się obficie.

W prawej ręce trzymał pistolet.

ROZDZIAŁ 101

Nie bardzo mogę stanąć - odezwała się Rianna. - Strasznie boli mnie noga.

- Nie chcę, żebyś na niej stawiała, skarbie. - Właśnie skończyłem oględziny jej kostki, takie, jakich mogłem dokonać w tych warunkach. - Myśle, że może być skręcona. Jestem prawie pewien, że nie jest złamana.

- Skręcenia bywają paskudne - zauważył Robbie.

- Dlatego nie chcę, żebyś się ruszała - powiedziałem do córki, po czym zdobyłem się na coś w rodzaju uśmiechu. - Przynajmniej jedno mamy załatwione. Nie musimy się martwić, jak zejdziemy na dół, bo gliniarze powinni tu być lada moment.

- Będziemy mieli kłopoty? - zapytała Rianna.

Parę minut temu podczołgała się, z moją asekuracją, do skraju dachu, w miejscu, w którym barierka nadal była nienaruszona, po czym spojrzała w dół. Widziałem wyraz twarzy ich obojga, kiedy patrzyli na to, co się działo, rozdarci przez chwilę, jak chyba tylko bardzo młodzi ludzie potrafią być rozdarci, pomiędzy podnieceniem a przerażeniem... Po czym przerażenie wzięło górę, kiedy wyobraźnia zaczęła im podpowiadać, co mogło się stać z pasażerami autobusu.

- Nie sądzę, żebyśmy nawet przez minutę mieli kłopoty - odrzekłem - chociaż na pewno trzeba będzie odpowiedzieć na cały worek pytań. - Nie chciałem, żeby znów zaczęli się martwić, dopóki nie musieli, ani o autobus, ani o to, gdzie się może ukrywać tamten człowiek. Przeszli zbyt wiele, wciąż nie byłem w stanie sobie wyobrazić - nie chciałem sobie wyobrazić - jak wiele.

- Jesteśmy cali i zdrowi, tato, wiesz o tym - zapewniła mnie Rianna tak cicho, jak to było możliwe na tle nieustannego zgiełku Manhattanu.

- Dzięki tobie. - Spojrzała na Robbiego, siedzącego na dachu trochę dalej. - I dzięki tobie. Byłeś niesamowity.

- Dziękuję - odpowiedział.

Zauważyłem, że jest bardzo cichy od chwili, gdy wszyscy zaczęliśmy się otrząsać z szoku; kiedy już odkryliśmy, gdzie jesteśmy, nie mówiąc o tym, że o włos uniknęliśmy śmierci.

- Proszę mi powiedzieć, co z mamą - odezwał się niespodziewanie, wciąż cichym głosem. - Czy naprawdę wszystko w porządku? - To znaczy, mówił pan tak, kiedy jeszcze byliśmy tam, ale...

- Naprawdę - zapewniłem go z uśmiechem. - Chociaż wyobrażasz sobie, co będzie, kiedy mama usłyszy twój głos. Kiedy cię nareszcie zobaczy.

Usiadłem pomiędzy nimi, bliżej Rianny. Otoczyłem ją ramieniem, a drugą rękę wyciągnąłem w stronę Robbiego zapraszającym gestem, na wypadek gdyby chciał skorzystać.

Chciał.

Nie jestem w stanie opisać, co czułem, siedząc tak i obejmując te duże dzieci, właściwie już niemal dorosłych ludzi. Rianna pochlipywała cichutko, nieprzerwanie, z głową na mojej piersi, Robbie też ocierał niezdarnie lzy grzbietem dłoni.

Ja nie zadawałem sobie tego trudu.

Siedzieliśmy w milczeniu, bez ruchu. Czekaliśmy.

ROZDZIAŁ 102

Nie obchodziło jej, co będzie dalej. Pistolet, nie pistolet, musiała zadać to pytanie.

- Co pan zrobił z moim synem?

- Jest cały i zdrowy - powiedział mężczyzna cicho. - Córeczka profesora również - urwał. - I profesor też, skoro już o tym mowa - dodał po chwili milczenia.

- Gdzie oni są? - Lidia nie drgnęła, stała nieporuszona, zdecydowana zadać pytania, które musiały zostać zadane, zanim cokolwiek się wydarzy, zanim dojdzie do głosu prawdziwy strach albo... - Co pan z nimi zrobił?

- Myślę, że w tej chwili są już na wolności. Jeśli nie, to tylko kwestia czasu - dodał, wzruszając ramionami. - Może pani przestać się o nich martwić. - Uniósł nieco pistolet, lecz nie była to właściwie groźba, raczej gest. - Teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym usiąść. Jestem bardzo zmęczony.

Lidia odwróciła się bez słowa i poszła przodem w kierunku salonu, w stronę kanapy, gdzie poduszki były jeszcze wgniecione w miejscu, w którym leżała zaledwie parę minut wcześniej.

Rozległ się dzwonek telefonu.

Lidia obejrzała się na mężczyznę. Pokręcił głową.

Włączyła się automatyczna sekretarka, ale telefon był w gabinecie, więc słyszała tylko męski głos, nie mogła jednak rozróżnić słów. Po chwili automat się wyłączył.

Mężczyzna odczekał chwilę, jak gdyby się spodziewał, że Lidia usiądzie pierwsza, ale wciąż stała, więc wzruszył ramionami i usiadł w jednym z foteli.

- Przykro mi - odezwał się, nadal spokojnie. - Nie chciałem zrobić nikomu krzywdy.

Lidia nie odpowiedziała. Mężczyzna trzymał w ręku pistolet, ale nie czuła bezpośredniego zagrożenia. W tym momencie przypomniała sobie kolejne pytanie, które chciała mu zadać.

- Co pan tu robi? Dlaczego pan do mnie przyszedł?

- Dobre pytanie - odparł, jak gdyby sprawa wymagała głębszego namysłu. Lidia doszła do wniosku, że w tych okolicznościach rokuje to nie najgorzej.

Chciał pomyśleć, być może nawet porozmawiać, a nie zabić ją od razu.

ROZDZIAŁ 103

Z dołu dały się słyszeć jakieś hałasy, dochodzące z wnętrza budynku.

- Gliniarze - powiedziałem. - Włamują się.

Robbie zaczął się podnosić na nogi.

- Nie. - Powstrzymałem go. - Zostań tutaj. Nie oddalajmy się od siebie.

- Tato - szepnęła niepewnie Rianna.

- Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Upłynęło trochę czasu, nim usłyszeliśmy, jak wchodzi po schodach. Czterej umundurowani funkcjonariusze policji stanowej, z rękami na kaburach, niepewni, czego się mają spodziewać.

- Spokojnie, panowie - powiedziałem, nie wykonując żadnego ruchu. Widziałem, jak dociera do nich, że nie jesteśmy wrogo nastawieni ani wobec siebie, ani do nich. Napięcie zelzało w widoczny sposób, najwyraźniej była to odpowiednia forma powitania.

- Co się tu stało, u licha? - zapytał sierżant.

- Długa historia - odparłem.

- Więc lepiej zacznijmy - odezwał się surowym tonem policjant.

- Czy ktoś ucierpiał tam na dole? - zapytałem.

- A jak się panu wydaje? - warknął inny funkcjonariusz.

Rianna znów zaczęła płakać. Szepnąłem jej prosto do ucha, żeby się nie martwiła, że wszystko będzie w porządku, po czym powoli, pokonując ból, zacząłem się podnosić na nogi.

- Proszę się nie zbliżać - uprzedził mnie sierżant, Afroamerykanin koło trzydziestki.

Jego ręka znów powędrowała do kabury; nie zamierzał ryzykować, widząc kogoś, kto wyglądał tak podejrzanie, jak ja musiałem wyglądać w tym momencie, pokryty pyłem i gruzem, pokaleczony, ze świeżymi sińcami na głowie i ramionach. Nie wspominając o dwojgu, na oko wystraszonych nastolatkach, których mogłem tu przetrzymywać wbrew ich woli.

- Na litość boską! - wybuchnął nagle Robbie. - On dopiero co uratował nam życie! Siedzieliśmy tutaj zamknięci Bóg wie jak długo!

- Zostaliśmy porwani - uzupełniła Rianna, żeby nie było wątpliwości.

Na twarzy sierżanta pojawił się wyraz zaskoczenia, więcej niż zaskoczenia. Pochylił się, żeby lepiej się przyjrzeć dzieciom i wtedy go oświeciło.

- Ty jesteś Robbie Johanssen.

- Tak, proszę pana - powiedział chłopiec, teraz już uprzejmie.

- A pan jest... - Sierżant zachował nadal nieco wrogi i zdecydowanie podejrzliwy ton, jeśli chodzi o mnie.

- To mój ojciec - odezwała się Rianna, usiłując wstać, lecz skrzycona noga jej na to nie pozwoliła, więc usiadła z powrotem. - On też był uwięziony - ciągnęła, zwracając się do policjantów. - Rozwalil ścianę gołymi rękami, żeby nas uwolnić, ale potem nie mogliśmy znaleźć drogi do wyjścia i dlatego on i Robbie musieli wyważyć te drzwi. - Urwała, zerknęła w stronę krawędzi dachu, przelknęła łzy, po czym ciągnęła dalej, jeszcze bardziej zdecydowanie: - I musieli je staranować, bo nie dały się otworzyć w żaden inny sposób, a kiedy puściły, pojechały jak po lodzie. Nie wiedzieliśmy, że za nimi jest dach, myśleliśmy, że jesteśmy pod ziemią, i Robbie i mój tata o mały włos nie polecili na dół razem z tymi drzwiami.

- Fiu, fiu! - gwizdnął w imieniu wszystkich jeden z policjantów, młody człowiek o ciemnych oczach, w których malowało się zdumienie.

- Rzeczywiście fiu, fiu - powtórzył jak echo sierżant, z nutą sarkazmu w głosie.

Nie byłem w stanie powstrzymać uśmiechu. Przy takim rzeczniku prasowym jak Rianna, jeśli ktoś miałby coś przeciwko mnie, był bez szans.

Wyciągnąłem rękę do policjanta, powiedziałem, jak się nazywam, i pokazałem mu swoje prawo jazdy. Uścisnął moją dłoń, przedstawił się jako sierżant John Thurlow, polecił dwóm innym funkcjonariuszom, żeby zajęli się Robbiem i obejrzeni kostkę Rianny. Wtedy poinformowałem go, tak pośpiesznie i dyskretnie, jak się dało, że jest spore grono ludzi, z którymi należy się skontaktować, poczynając od agenta specjalnego Rogera Kline'a z FBI oraz Lidii Johanssen. I że powinni rozglądać się za sukinsynem, który zrobił to wszystko i nie tylko to.

Thurlow odciągnął mnie kawałek dalej.

- A inne zaginione dzieci? Pokręciłem głową.

- Ani śladu.

- To tam na dole to jakieś niesamowite ustrojstwo - zauważył inny policjant.

- Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie niesamowite - odrzekł Robbie.

ROZDZIAŁ 104

Może napiłby się pan kawy? - zapytała Lidia.

- Jeśli to nie sprawi pani kłopotu. - Maniery jak u chłopca z dobrego domu. Którym oczywiście kiedyś był.

Poszedł za nią do kuchni, usiadł przy stole i położył pistolet przed sobą na blacie. Lidia wątpiła, czy udałoby jej się schwycić broń, czy mężczyzna nie odebrałby jej pistoletu z powrotem, nawet gdyby zdołała tego dokonać. Wątpiła, czy byłaby w stanie go zastrzelić, jakby przyszło co do czego.

Co innego, gdyby wciąż znajdował się tam, gdzie Robbie, gdyby mu zagrażał. Wtedy potrafiłaby to zrobić, bez dwóch zdań.

Ale w tej chwili nikomu nic nie groziło, z wyjątkiem, ewentualnie, jej samej.

Niespiesznie zabrała się do parzenia kawy.

ROZDZIAŁ 105

Na dole znów rozległy się jakieś hałasy i w dziesięć minut później w strzaskanej framudze po wyważonych drzwiach pojawił się kolejny mundur. Błady jak upiór policjant przywołał gestem sierżanta Thurlowa, dając do zrozumienia, że chce zamienić z nim słówko na osobności.

Po chwili John Thurlow był równie wstrząśnięty i zasepiony. Odczekał chwilę, po czym dał mi znać, żebym się zbliżył. Domyśliłem się, że powinienem podejść sam.

- Musimy porozmawiać - zaczął, kiedy znalazłem się koło drzwi. - Może lepiej niech pan usiądzie.

- Nic mi nie jest - uspokoiłem go. - Najpilniejsza sprawa, to jak najszybciej zabrać stąd dzieci. Dostyc już przeszły, są na granicy wytrzymałości, a może i poza nią.

- Wiemy o tym, proszę pana - zapewnił mnie Thurlow - ale wciąż przygotowujemy dla nich bezpieczną drogę ewakuacji. Pańską córkę trzeba będzie nieść, a ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli, to żeby jeszcze komuś coś się miało stać.

- Nadal mi pan nie powiedział, co z pasażerami tamtego autobusu - przypomniałem.

- Mieliśmy inne sprawy na głowie - odrzekł policjant.

Przyjrzałem mu się. W jego ciemnobrązowych oczach wciąż widać było niewątpliwy szok. Nagle straciłem pewność, czy chcę wiedzieć, co go wywołało.

- Rozmawiał pan z Kline'em? - zapytałem.

Thurlow skinął głową.

- Tak, proszę pana.

- A więc sprawdził pan moje informacje?

Znów potakujący gest.

- Chociaż po... oświadczeniu pańskiej córki - tak to chyba należy określić - nie mieliśmy zbyt wielu wątpliwości.

Uśmiechnąłem się i spojrzałem w jej stronę. Zobaczyłem, że na razie jest w miarę spokojna, ale wyglądało na to, że Robbie zaczyna się niecierpliwić, korci go, żeby wstać i podejść do nas. Wtedy Rianna sięgnęła po jego dłoń i chłopak się opanował.

Dobrana para.

- Proszę pana. - Sierżant Thurlow chciał mojej pełnej uwagi. - Profesorze Woods.

Odwróciłem się do niego. Wiedziałem, że nie ucieknę od tego, co chciał mi przekazać, choćby owa nowina była nie wiem jak straszna.

- Proszę mówić.

- Znaleźliśmy kilka ciał. - Mówił najciszej, jak się dało, z obawy, czy wiatr nie poniesie jego słów do dzieci. - W jednym z tych zamkniętych pokoi, w tym, do którego pan, zdaje się, nie próbował albo nie mógł się dostać.

Pamiętałem reakcję Rianny na tamte drzwi - te, które Robbie proponował wyważyć, pamiętałem jej niepokój i pośpiech, z jakim chciała się stamtąd oddalić.

Poczułem falę mdłości i chłód, przejmujące zimno.

- Może pan jednak usiądzie - powiedział Thurlow.

Nie zmieniłem pozycji, tylko oparłem się o najbliższą ścianę.

- Rozumiem, że nic pan o nich nie wiedział - dodał łagodnie.

Spojrzałem na niego, zobaczyłem, że na jego twarzy nie ma nawet śladu oskarżenia, po czym pokręciłem głową.

- Tamci? - zapytałem tym samym tonem, nie oglądając się, żeby Rianna i Robbie nie zauważyli mojej reakcji. - Zaginione dzieci? - Przed oczyma mignęła mi twarz Mikeya Coopera.

Sierżant nie odpowiedział od razu.

- Na razie nie jesteśmy w stanie tego stwierdzić. Nie mogliśmy im się dokładnie przyjrzeć. - Urwał. - Są zawinięte - dodał po chwili - w coś w rodzaju samokurczliwej folii. - Mężczyzna mienił się na twarzy. - Ale znaleźliśmy siedem ciał, wszystkie ułożone w jednym rzędzie w tamtym pomieszczeniu. - Przełknął gwałtownie ślinę i spojrzał mi w oczy. - To jest chłodnia, rozumie pan?

- Mocny Boże - wyszeptalem, próbując zebrać myśli. - Siedem, mówią pan? Ale zaginęło tylko sześcioro nastolatków, w tym moja córka i Robbie.

- Wiem - odrzekł Thurlow. - Wiem o tym, proszę pana. Czekamy tu na sporą ekipę - z wydziału zabójstw - urwał. - Pan się orientuje, prawda?

- Trochę - powiedziałem.

- Pracował pan kiedyś w resorcie, zgadza się?

- Zgadza.

Porzestałem na tym, nie rozwijając tematu mojej nader krótkiej kariery w nowojorskiej policji i mając nadzieję, że o to nie zapyta. Szczerze mówiąc, jeżeli istniała szansa, że mój niegdysiejszy przelotny romans ułatwi nam wydostanie się z tego piekła, chwyciłem się jej bez skrpułów, ze względu na dzieci.

Thurlow o nic, nie pytał, nadal zbyt wstrząśnięty.

- Wie pan - kułem żelazo, póki gorące - chciałbym jak najszybciej dostać stąd Robbiego i Riannę, aby zabrać ich do szpitala, niech ich zbadają.

- Panu też by się to przydało - uznał sierżant. - A potem wszyscy musicie odpowiedzieć na mnóstwo pytań. - Ludzie z FBI będą potrzebowali każdego okrucchu informacji.

Chciałem zapytać o tamtego człowieka, ale inne pytanie miało pierwszeństwo.

- Czy ktoś już rozmawiał z Lidią Johanssen? Powiedzieliście jej, że Robbie jest bezpieczny?

- O ile mi wiadomo, nie udało nam się z nią jeszcze skontaktować. Według ostatnich informacji, jakie miałem, nie było jej w domu.

- To dlatego, że jest u mnie - wyjaśniłem. - Została z moją drugą córką.

Thurlow pokręcił głową.

- Nie, proszę pana, tam też jej nie ma.

Panika musiała się odbić na mojej twarzy.

- Z Ellą wszystko w porządku. - Sierżant starał się mnie uspokoić. - Kobieta, która z nią jest... - Sprawdził w notesie. - Pani Ryan?...

- Kim Ryan, zgadza się. - Poczulem ulgę.

- ...poinformowała policję w New Haven, że zostanie z dziewczynką, póki nie otrzyma dalszych dyspozycji. Pani Johanssen musiała gdzieś pojechać.

Panika, która eksplodowała w moim wnętrzu niczym raca, przycichła nieco, ale żołądek miałem nadal ściśnięty. Zerknąłem przez ramię na Riannę i Robbiego, zobaczyłem, że trzymają się dzielnie, więc odwróciłem się do policjanta.

- Nie znaleźliście tego sukinsyna? I nie macie pojęcia, gdzie on jest, prawda? Fitzgerald - jeśli to on?

- Jeszcze nie. - Sądząc z wyrazu twarzy, sierżant nie bardzo się orientował, kim jest Fitzgerald.

- Dobra. - Czulem, że szczęki mi się zaciskają. - W takim razie chciałbym, żeby ktoś zapewnił Elli ochronę w domu.

- Profesorze...

- Ten bydlak jest szalony, sierzancie, to kompletny świr. Wiemy, do czego był zdolny, prawda? Może szpiegować Ellę, tak jak szpiegował Rianę. Może zrobić dosłownie wszystko.

- Zobaczę, co się da załatwić - powiedział Thurlow.

Moja myśl wykonała kolejny zwrot.

- Czy wiecie, co się stało z Baumem?

Twarz mężczyzny była bez wyrazu.

- Z Normanem Baumem - wyjaśniłem. - Z prywatnym detektywem, który mi towarzyszył, kiedy dostałem po głowie pod domem Fitzgeralda.

- Przeczesałem gwałtownie włosy, uświadamiając sobie, jak wielu rzeczy nie wiem i jak wielu rzeczy mogli jeszcze nie wiedzieć policjanci czy nawet FBI. - Musicie zawiadomić Kline'a, że trzeba tam pojechać, do domu Fitzgeralda. Istnieje szansa, że tam się przyczaił ten gad - choć raczej w to wątpię. Ale ktoś powinien poszukać Bauma - być może wciąż tam jest.

Thurlow wyciągnął rękę uspokajającym gestem.

- Proszę się nie denerwować - powiedział, ujmując mnie za ramię. - Zajmiemy się wszystkim najszybciej, jak tylko się da.

Wiedziałem, że to co mówię, musi brzmieć strasznie chaotycznie, ale nic nie mogłem na to poradzić.

- Najważniejsza teraz, sierzancie, jest moja córka. - Udało mi się nie podnieść głosu. - Moja młodsza córka. - Musicie zawiadomić policjantów z New Haven, żeby natychmiast tam pojechali, dopilnowali, żeby Ella była bezpieczna, proszę.

- Przekażę to drogą radiową - zapewnił mnie Thurlow. - Niezwłocznie.

- To jeszcze nie koniec. - Rozumiałem, że zaczyna to zakrawać na histerię, ale Boże drogi! - Myślałem, że jest po wszystkim, kiedy się stamtąd wydostaliśmy, lecz to nieprawda, nie będzie po wszystkim, dopóki nie znajdziecie tego ścierwa. - Strząsnąłem dłoń policjanta. - I naprawdę muszę stąd zabrać tych dwoje dzieci.

- Jak tylko będzie to możliwe - powiedział Thurlow.

- Możliwe? Co pan ma na myśli? Nie rozumiem. Sądzi pan, że ten drań wciąż tu jest? Czy o to panu chodzi?

- Nie, absolutnie nie to miałem na myśli - wyjaśnił sierżant. - Przetrasaliśmy budynek zbyt dokładnie, żeby coś takiego mogło wchodzić w grę, profesorze - urwał. - Jak już mówiłem, chodzi o przygotowanie drogi ewakuacji. - Znów chwila milczenia. - Naprawdę nie chcielibyśmy, żeby pańska córka albo jej przyjaciel zobaczyli te szczątki.

O Jezu.

Siedem ciał.

ROZDZIAŁ 106

Lidia wyjęła kawę i zagotowała wodę. Czarny płyn sączył się teraz powoli przez papierowy filtr do szklanego dzbanka. Oczekiwała, że mężczyzna będzie ją poganiał, może zacznie zachowywać się agresywnie, ale nadal siedział spokojnie przy kuchennym stole. Wyglądał na zmęczonego, jak zwyczajny facet, który ostatnio miał w biurze kilka ciężkich dni. Zmęczony i zafrasowany. I jakiś dziwny. Dziwny, to było słowo, które wciąż jej się nasuwało.

Oczywiście, że jest dziwny.

Powiedział jej, że z Robbiem wszystko w porządku, ale nie wiedziała, co to właściwie miało znaczyć. Uzmysłowiła sobie, że cokolwiek by powiedział, nie można ufać ani jednemu słowu, które wyszło z jego ust. Podobno w tej chwili są już pewnie na wolności, ale znów nie wiedziała, jak to rozumieć. Wolność mogła oznaczać...

Miała ochotę nim potrząsnąć, wykrzyknąć mu w twarz, żeby powiedział prawdę, wyjaśnił dokładnie, gdzie są Robbie, Rianna i Jake (i pozostali, nie zapominajmy o pozostałych); ale podejrzewała, że nadal mógł mieć władzę nad życiem i śmiercią ich wszystkich.

No i poza tym był uzbrojony.

Więc przygotowała tacę i zaniósła do stołu. Nalała mężczyźnie kawę, zastanawiając się, czy pije czarną, czy też poprosi o śmietankę i cukier, a potem usiadła po przeciwnej stronie - nie za blisko, aby żadne z nich nie czuło się zagrożone. Nie poprosił o cukier ani o śmietankę, Lidia myślała gorączkowo, jaki kurs przyjąć, co wybrać, gdyby miała jakikolwiek wybór.

Nie zwracać uwagi na broń, to może on też zapomni o pistolecie.

- Musi pan być zły - odezwała się cicho.

Nawiaż rozmowę. Czyż nie to doradza się przetrzymywanym zakładnikom?

Mężczyzna pokręcił głową.

- W takim razie zmartwiony.

Nie odpowiedział.

- Jeśli ich pan wypuścił - ciągnęła - jeśli już jest po wszystkim, musi pan być zmartwiony. - Podniosła swoją filiżankę, nie wiedząc, jak się na to zdobyła. - Myślałam, że może przyszedł pan tutaj, bo jest pan na mnie zły.

- Dlaczego miałbym być na panią zły, pani Johanssen?

Wreszcie jakaś odpowiedź.

- Bo zaangażowałam się w tę sprawę. Bo wciągnęłam w nią Jake'a Woodsa. - Milczała przez chwilę. - Bo powiedziałam FBI o moich podejrzeniach co do Eryxu.

Nieznaczny, niemal smutny uśmiech pojawił się na jego wargach.

- Byłem zły - przyznał - na panią i na profesora - urwał. - Ale już nie jestem. W tej chwili czuję się znacznie spokojniejszy.

Dżentelmen w każdym calu.

Nie daj się zmylić. Podobno Ted Bundy miał nienaganne maniery.

W każdym razie nie tknął swojej kawy.

ROZDZIAŁ 107

Byliśmy na zewnątrz. Na dole, na ulicy, znów zdezorientowani, oszołomieni Nowym Jorkiem i tym, co się wydarzyło, eskortowani przez przeciwnego sierżanta oraz dwóch innych funkcjonariuszy przez opróżnioną część placu w sąsiedztwie budynku. Rianna i Robbie szli okryci kocami, co bynajmniej nie zniechęcało gapiów. Przyłapałem się na tym, że zastanawiam się, co by sobie pomyśleli na widok kusych strojów, które ten drań kazał obojgu nosić. Już same nasze bose stopy musiały wyglądać intrygująco.

Przystanąłem, żeby rozejrzeć się wokół, w nadziei że znajomy widok pomoże mi się w tym wszystkim odnaleźć. Wokół panował taki ruch, taki niewiarygodny zgiełk - było po godzinie szczytu, jak się zorientowałem, zerknąwszy na zegar na jakimś budynku, ale tłum i harmider nie malały. Na przeciwległym rogu placu znajdował się dom towarowy Macy'ego. Mimo późnego popołudnia klienci wlewali się do niego i wylewali ze środka niesłabnącą falą, inne sklepy kuśiły wystawami, wielkie centrum zabawek, Florsheim, GAP, znane szyldy. Niewielka przestrzeń skweru na środku, z brązowym pomnikiem Gordona Benneta, założyciela „New York Herald Tribune”. Wszędzie wokół wejścia do metra.

- Spójrz, nie do wiary - powiedział Robbie, idący po mojej lewej stronie, wpatrując się w stację.

- Nie ma helikoptera - odrzekła Rianna.

Dopiero teraz dotarło do mnie, o czym mówią. Niemal zapomniałem o Limbo. Sprawa wieku, przypuszczalnie, a może usilne pragnienie, żeby o tym zapomnieć.

- Chodźmy, przyjaciele. - Szturchnął mnie sierżant Thurlow.

Autobus stał nieopodal, przy skrzyżowaniu z ulicą Trzydziestą Czwartą. Mogliśmy zobaczyć, że drzwi, nasze drzwi, przebiły dach i przeszły przez środek pojazdu. Pasażerów już nie było ani żadnych oznak, co się mogło z nimi stać. Krwi, dzięki Bogu, nie zauważyłem, przynajmniej na zewnątrz.

Ująłem dzieci pod ręce, Riannę z jednej strony, Robbiego z drugiej, kiedy mijaliśmy autobus, idąc do karetki. Żałowałem, że nie mogę zasłonić ich przed tym widokiem. O jeden za dużo? Kto wie?

- Czy były ofiary? zapytał Robbie.

- Nic nam o tym nie wiadomo - powiedział jeden z towarzyszących nam funkcjonariuszy, próbując nieco przyspieszyć nasz pochód.

- Musicie wiedzieć - naciskał chłopiec, coraz bardziej przejęty.

Rianna nie płakała, przestała płakać jeszcze tam, na dachu, ale była bardzo cicha, zbyt cicha, jak pomyślałem.

- Muszę wiedzieć - nalegał Robbie. - To ja puściłem te drzwi, pozwoliłem, żeby wyleciały przez barierkę. Muszę wiedzieć.

- Może byście wsiedli do karetki - zaproponował łagodnie Thurlow - i zaczekali, a ja rozejrzę się za kimś, kto mi powie, co się stało. Dobrze?

- Dobry pomysł - uznałem, kiwając z wdzięcznością głową w stronę sierżanta.

Miałem nadzieję, że czyta w moich myślach, i jeśli wieści będą złe, oszczędzi ich chłopcu przynajmniej na jakiś czas. Dotarliśmy do karetki i wsiedliśmy do środka.

- Gdzie moja mama? - zapytał niespodziewanie Robbie, z każdą sekundą coraz bardziej niespokojny.

- Wszystko dobrze - powiedziała Rianna. - Teraz już wszystko będzie dobrze, Robbie.

Wstała z miejsca, które jej wskazano, i usiadła obok chłopca, otaczając go ramieniem. Znów zobaczyłem, że podziałało to na niego kojąco, przynajmniej w jakimś stopniu. Patrząc na nich, zdumiałem się, jak bardzo są sobie bliscy, i przez chwilę usiłowałem odgadnąć, co musieli wspólnie przejść, ale zrezygnowałem. Zbyt tchórzliwie, prawdopodobnie. A może po prostu zbyt szybko.

Thurlow wrócił uśmiechnięty.

- Dobre wieści - odezwał się, stojąc na chodniku przed karetką. - Nikt nie zginął, dzięki Bogu.

- A ranni?

- Jedna kobieta złamała rękę. Młody chłopak ma pękniętą kostkę, poza tym jest trochę skaleczeń i siniaków i kilka przypadków szoku, czemu trudno się dziwić... - Sierżant podniósł wzrok na Robbiego i spojrzał mu w oczy. - Nikt nie zginął, jasne? Żadnych poważniejszych obrażeń - urwał.

- Wierzysz mi? - zapytał po chwili.

Chłopiec skinął głową.

- Powiedz, że mi wierzysz, Robbie - odezwał się Thurlow z naciskiem. - Ulżyj mojemu sercu.

- Wierzę. - Robbie prawie się uśmiechnął.

Policjant się cofnął i zamknął drzwi.

Karetka ruszyła. Nagle zdałem sobie sprawę, że nawet się dobrze nie przyjrzałem budynkowi, w którym nas więziono, ale było za późno; stąd nie mogłem go zobaczyć, przez co wszystko wydawało się jeszcze bardziej nierzeczywiste. Trudne, niemal niemożliwe do uwierzenia. Postanowiłem wrócić tutaj, już po wszystkim, gdy schwytają Fitzgeralda - jeśli to on - i kiedy będziemy pewni, że to nareszcie koniec. Żeby sobie obejrzeć to miejsce i być może pogrzebać kilka upiórów.

- Dobrze się czujecie? - zapytałem.

Oboje skinęli głowami. W tej chwili byli bardzo bladzi. Wyczerpani, rozbitkowie, ocaleni z katastrofy.

W głowie kłębiły mi się pytania, wszystkie zasadniczej wagi, wszystkie bez odpowiedzi, i wyglądało na to, że miały pozostać bez odpowiedzi jeszcze przez jakiś czas. Dokąd pojechała Lidia? Gdzie Baum? A także nadal pytanie numer jeden: kim jest ten człowiek? Czy to William Fitzgerald, mój kandydat numer jeden? I, on czy nie on, gdzie się w tej chwili znajduje?

Wplątany pomiędzy te strzępy myśli, pojawiał się obraz martwych ciał, dzięki Bogu, tylko wyobrażony.

Policjanci zrobili, co mogli: zasłonili kotarą wyłamaną framugę, żeby dzieci nie widziały wnętrza pomieszczenia, ale kiedy przechodziliśmy obok, nienaturalny chłód zmroził nas wszystkich. Usłyszałem, jak Rianna krzyknęła, zaskoczona, a Robbie mruknął coś pod nosem. Nikt poza tym nie wymówił ani słowa, ale wiedziałem, że jest to coś, czemu będziemy musieli stawić czoło, tak jak pozostałym sprawom, zwłaszcza...

O Boże, Cooperowie.

Siedem ciał. I nigdzie ani śladu Michaela.

O Boże drogi. Biedna, biedna Fran, biedny Stuart i pozostali rodzice.

Jeszcze jedna sprawa, od której musiałem oderwać myśli, siedząc na jednym z tylnych foteli karetki, która wiozła nas przez miasto, zarzucając na zakrętach. Skup się na tym, co możesz zrobić, Jake.

Po pierwsze, ulokować bezpiecznie Rianne i Robbiego w szpitalu.

Po drugie, znaleźć telefon, zadzwonić do Elli, potem do Kim i wreszcie na policję w New Haven, żeby się upewnić, że moja mała jest bezpieczna i chroniona.

I wreszcie ostatnia, co nie znaczy, że najmniej ważna rzecz. Miałem zamiar odszukać Lidie. Zobaczyć jej twarz, kiedy powiem, że Robbie jest cały i zdrowy.

Uściskać ją.

ROZDZIAŁ 108

Prawda jest taka - powiedział nagle mężczyzna - że nic mi się właściwie nie udało. - Wzruszył ramionami. - Jedna spaprana sprawa więcej, jedna mniej, jakie to ma znaczenie?

Lidia czekała na dalszy ciąg, ale wydawało się, że to wszystko, co miał do powiedzenia.

- Większość ludzi - zaczęła ostrożnie - uznałaby pana za człowieka wielkiego sukcesu.

- Dlaczego? - Wykrzywił usta w grymasie. - Bo przyczyniłem się do stworzenia gry, która przynosi miliony dolarów? Gry, przez którą rzesze dzieciaków siedzą z nosami przyklejonymi do elektronicznych pudełek, zamiast biegać po świeżym powietrzu? - zamilkł na chwilę. - Mój ojciec nie nazwałby tego sukcesem.

Lidia grzebała rozpaczliwie w pamięci, usiłując sobie przypomnieć, co było w raporcie Bauma na temat rodziny tego człowieka, ale jej mózg odmawiał posłuszeństwa.

- Pański ojciec? - powtórzyła ostrożnie.

Mężczyzna zamrugał oczami, jakby się wyłączył.

Niewłaściwe pytanie, Lidio.

- Jestem głodny - oświadczył nieoczekiwanie. - Szczerze mówiąc, chętnie bym coś zjadł. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, oczywiście.

Znów zachowywał się uprzejmie, jak wcześniej przy kawie, nie jak porywacz stawiający żądania zakładnicze.

Którym w rzeczywistości jest, przypomniała samej sobie. Co nie znaczy, że trzeba jej było o tym przypominać, ale to, o czym teraz myślała, właśnie w tym momencie - zastanawiając się, co ma w lodówce i co powinna mu podać - wydawało się tak przyziemne, że aż komiczne w tych okolicznościach... Nic pikantnego. Przeczytała w jakimś czasopiśmie u fryzjera, przed kilkoma miesiącami - w innym życiu - że u niektórych ludzi poziom stresu podnosi się pod wpływem określonych potraw. Wtedy

uśmiechnęła się z pobłażaniem, teraz jednak żałowała, że nie pamięta, jakie pokarmy mają, zdaniem autora, działanie uspokajające...

Najlepiej: jakie jedzenie mogłoby wprowadzić uzbrojonego mężczyznę w stan śpiączki.

Podeszła do lodówki, otworzyła ją i zajrzała do środka. Sama oczywiście niczego ostatnio nie gotowała, ale matka Josha, życzliwa, dobra sąsiadka, przyniosła jej przed kilkoma dniami żaroodporne naczynie z jakąś potrawą, do którego Lidia nawet nie zajrzała od tamtej pory. Teraz podniosła pokrywkę i zobaczyła, że to poczciwe, staroświeckie duszone mięso. Kojące danie, pomyślała, wyjęła naczynie z lodówki i podeszła do stołu, żeby pokazać jedzenie mężczyźnie.

- Duszone mięso? - zapytała.

- Dobra. - Już nie mówił tak uprzejmie jak przedtem.

Lidia pobłogosławiła w duchu Melanię Steinman, zabrała naczynie, postawiła je na blacie i pochyliła się, żeby włączyć piekarnik.

- W mikrofalówce szybciej - zauważył mężczyzna.

- Ale nie będzie takie dobre - odrzekła Lidia.

- Wystarczająco - powiedział. - Chcę mieć pewność, że zdążę to zjeść.

To znów wprawiło ją w popłoch.

Zdąży, zanim... co?

ROZDZIAŁ 109

Wylądowaliśmy w Bellevue - nie tam, gdzie bym zawiózł dzieci, gdyby to ode mnie zależało. Byłem w tym miejscu przed kilku laty, żeby odwiedzić przyjaciela, i pamiętałem, że ich oddział pierwszej pomocy zrobił na mnie wówczas wrażenie ogrodu zoologicznego. Thurlow upomniał mnie jednak dość zdecydowanym tonem, że to doskonały szpital, aż nadto dobrze wyposażony, żeby zapewnić właściwą opiekę Riannie i Robbiemu. I jak zwykle miał rację. Ci ludzie znali tylko mały wycinek z tego, przez co przeszli Robbie i Rianna, ale doświadczyłem z ich strony wielkiej delikatności, troski i chyba z nieba zesłanego powiewu normalności.

Doktor Lundquist, atrakcyjna blondynka około trzydziestki, wyszła do mnie, żeby powiedzieć, że dzieci wydają się fizycznie w dobrym stanie, co uznała za zdumiewające, zwłaszcza jeśli chodzi o Robbiego.

- Mammy zamiar prześwietlić kostkę pańskiej córki - dodała - chociaż jestem niemal pewna, że to tylko skręcenie, tak jak pan przypuszczał.

- Czy Rianna uprzedziła panią, że uprawia gimnastykę?

Do tej chwili w ogóle o tym nie pomyślałem - ta sprawa wydawała się tak mało istotna na tle ostatnich wydarzeń - ale oto, Bogu dzięki, życie i zwykła codzienność zaczynały dochodzić do głosu, a zamięłowanie Rianny do ćwiczeń znów zaczynało się liczyć.

- Tak - odrzekła doktor Lundquist - i jestem pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procenta, że nie będzie żadnych problemów. - Urwała i przyjrzała mi się uważnie. - Panu też by nie zaszkodziło badanie - zauważyła.

- Niekoniecznie. - Jeden z policjantów zabrał moją podartą, poplamioną koszulę i przyniósł mi czysty, biały podkoszulek gimnastyczny oraz tenisówki. Od razu poczułem się raźniej.

Lekarka ujęła moją lewą rękę i uniosła ją, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Te skaleczenia wymagają zdezynfekowania i być może paru szwów.

- Puściła moją dłoń i przyjrzała się twarzy. Słyszałam, że rozwalił pan dzisiaj ścianę i drzwi, profesorze Woods.

Wzruszyłem ramionami. Macho, ale jakże skromny.

- Może i panu przydałoby się kilka zdjęć rentgenowskich. - Doktor Lundquist się uśmiechnęła. - Strzeżonego...

- Najpierw muszę znaleźć telefon. - Odwzajemniłem jej uśmiech. - Jestem pewien, że w tym czasie znajdzie pani kogoś bardziej zasługującego na troskę.

Pani doktor zdążyła już się oddalić.

Ręce drżały mi trochę, kiedy dzwoniłem do domu.

Odebrała Ella.

Radość. Czysta i niezmacona.

- Tatusiu, nic ci nie jest? Czy Rianna jest z tobą? Czy naprawdę już wszystko dobrze? Kim mówi, że tak, ale czy naprawdę? Co się z tobą działo?

- Oboje czujemy się doskonale, skarbie. - Cholerne lzy znów napłynęły mi do oczu.

- Tato, dlaczego płaczesz? Tato, co się stało?

- Nic się nie stało, skarbie. - Teraz dla odmiany się śmiałem. - Wszystko jest absolutnie fantastycznie. Rianna trochę nadwreżyła kostkę - nic poważnego, przysięgam. Płacę, bo jestem szczęśliwy, że cię słyszę...

I tak dalej w kółko przez kilka następnych minut. Ella zdobyła skądś informację, że porywacz dopadł i mnie - pewnie podsłuchując rozmowy telefoniczne, bo wiem, że Kim nigdy by jej tego sama nie powiedziała - więc z chwilą gdy ustaliliśmy, że Rianna i ja jesteśmy zdrowi i cali, zażądała szczegółowej relacji z ostatnich wydarzeń. I być może później, znacznie później, znalazłbym odpowiednie, pieczołowicie dobrane słowa, aby zaspokoić głód szczegółów mojej córeczki bez wystawiania jej dziewięcioletniego umysłu na działanie ciemności. Pamiętałem, jak ktoś kiedyś powiedział, że niedobór wiadomości może być równie niszczycielski, jak ich nadmiar, kiedy w grę wchodzi niezwykle żywa wyobraźnia dzieci...

Jeszcze nie teraz.

- Teraz muszę porozmawiać z Kim, kochanie. - Już trzeci raz próbowałem przekonać Ellę, żeby zrezygnowała z telefonu. - Już, skarbie, proszę cię. To bardzo ważne.

W końcu Ella zgodziła się oddać jej słuchawkę.

- Czy policjanci są na miejscu? - zapytałem bez wstępow.

- Na ulicy, tuż przy wejściu. Dwaj równi goście, dryblasy i na oko twardziele, no i nie z tych, których czujność łatwo uspić.

Błogosławiłem ją w duchu za te szczegóły.

- Naprawdę jesteście oboje cali i zdrowi?

- Niewiarygodne, ale naprawdę - zapewniłem ją. - Powiedziano mi, że Lidii nie ma w domu. Masz jakiś pomysł, gdzie mogłaby być? Może mówiła coś Elli, zanim wyszła?

- Nie było nas, kiedy wychodziła. - Kim milczała przez chwilę. - Choć Ella wspomniała, że nurtowała ją sprawa kolei podziemnej.

- Kolei podziemnej? - powtórzyłem głupio. - Nie ma kolei podziemnej w New Haven.

- Ella mówiła, że Lidia szukała w Internecie informacji o nowojorskim metrze - wyjaśniła Kim. - Na stronie, gdzie była mowa o nieczynnych tunelach. Dziewczynka zapytała, czyjej zdaniem to właśnie tam jest Rianna. Lidia zaprzeczyła stanowczo, ale wiem, że cała sprawa dała Elli do myślenia.

- Więc sądzisz, że Lidia wróciła do Nowego Jorku?

- Zrozumiałam, że pojechała do domu - odrzekła Kim.

Rozłączyłem się niedługo potem i spróbowałem zadzwonić do Lidii.

Odebrała automatyczna sekretarka, więc zacząłem nagrywać wiadomość - taką, jaką rzeczywiście chciałbym zostawić - ale część z tego, co pragnąłem powiedzieć Lidii, nie nadawała się do przekazania w tej formie - więc zrezagutowałem mój komunikat jak najprościej, ograniczając się do tego, co było obecnie najważniejsze.

- Lidio, tu Jake. Robbie jest bezpieczny, naprawdę bezpieczny, tak samo jak Rianna. Jesteśmy wszyscy w szpitalu Bellevue, nie żeby coś się działo, tylko dlatego, że chcą zrobić dzieciom ogólne badania. Ale Robbie jest zdrow i cały i ma się doskonale, a gdzie ty się podziewasz? - Zamilkłem na chwilę. - Niedługo znów się odezwę.

Kątem oka widziałem, że doktor Lundquist patrzy w moim kierunku, więc odwróciłem głowę i wystukałem następny numer, do siedziby FBI, gdzie niemal natychmiast połączono mnie z Connecticut, z agentem Kline'em.

- Jak miło usłyszeć pański głos, profesorze. - Wydawał się szczerze ucieszony. - To wspaniała nowina o pańskiej córce i chłopcu Johanssenów.

- Nie tak wspaniała dla pozostałych.

- Jeszcze nie zidentyfikowaliśmy ciała - zauważył Kline.

- Nie zamierzam o tym z nikim rozmawiać - zapewniłem go szybko, po

czym przeszedłem do sprawy, która mnie w tym momencie zaprzętała. - Znaleźliście Fitzgeralda?

- Jeszcze nie. W tej chwili jesteśmy koło jego domu.

- Co z Normanem Baumem? Wie pan, że był ze mną, kiedy dostałem w głowę na posesji Fitzgeralda?

- Na razie go nie znaleźliśmy - odrzekł Kline - ale jego współniczka jest tutaj z nami, więc może pan być spokojny, że ludzie szukają pańskiego kolegi, kiedy my tu rozmawiamy. Jest tu ekipa PERT*, spece od szybkiej analizy śladów...

* Physical Evidence Response Team - ekipa zabezpieczająca ślady na miejscu przestępstwa.

- Wiem, co to takiego PERT. - Dobrze, że już byli na miejscu.

- Nie zakładamy, że właśnie Fitzgerald musi być tym, o kogo chodzi, nawet jeśli został pan porwany spod jego domu, ale szukamy go, a także pozostałych współwłaścicieli Eryxu pełną parą, więc może pan być spokojny.

Spokojny. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz byłem spokojny. Wiedziałem, że przez poszukiwania idące pełną parą Kline rozumie obecność agentów na każdym możliwym lotnisku, dworcu kolejowym i autobusowym, w wypożyczalniach samochodów, do tego pewnie sprawdzanie odlotów i przylotów helikopterów i awionetek. W tej chwili jednak chciałem go zapytać o coś innego, o coś, co mi chodziło po głowie, choć czułem się tak, jakby jej zawartość zmieniała się w bezużyteczną breję. Co się, u licha, stało z całym moim wyszkoleniem? Moja szybkość kojarzenia była zero-wa.

Nareszcie sobie przypomniałem.

- Czy wiemy już, kto wynajmuje górne piętra w budynku, w którym byliśmy przetrzymywani? - zapytałem.

- Jesteśmy o wiele dalej niż pan, profesorze - zapewnił mnie Kline. - Szczegóły wciąż napływają.

- Korda jest największym właścicielem nieruchomości z całej paczki, prawda? Mieszkania i domy w najróżniejszych miejscach, w tym może i kilka górnych pięter przy Herald Square?

- Może. - Kline znów był lakoniczny. - Pozwoli nam pan teraz zająć się naszą robotą, profesorze? Namierzmy wszystkich trzech panów najszybciej, jak się da.

Z trudem powstrzymałem się od przypomnienia mu, że czas jest cenny.

- Proszę dać mi znać, kiedy znajdziecie Bauma.
- Skoro mowa o szukaniu - przypomniał sobie Kline. - Czy rozmawiał pan już z panią Johanssen?
- Nie odbiera telefonów.
- Rozmawialiśmy z jej portierem. Zadzwoił do niej z domofonu, ale się nie zgłosiła - wyjaśnił Kline. - Wielka szkoda, że nie wie, że jej syn jest bezpieczny.
- Nie musi mi pan mówić.

ROZDZIAŁ 1 10

Za oknami zrobiło się ciemno.

Stół był nakryty do posiłku. Lidia postawiła dwa talerze, a pomiędzy nimi, na żaroodpornej podkładce, naczynie, które przyniosła jej Melania Steinman. Dzięki temu nie było widać pistoletu, ale i tak nie wyobrażała sobie, że mogłaby cokolwiek przełknąć. Przypuszczała, że mężczyzna będzie chciał, aby dzieliła z nim posiłek, skoro najwyraźniej wybrał ją, żeby podzielić się... czym? Wciąż nie wiedziała, dlaczego tu przyszedł.

Rozłożył serwetkę na kolanach, wziął do ręki widelec, skosztował kęs, przymknął niebieskie oczy, przełknął, po czym znów je otworzył.

- Bardzo dobre - powiedział. - Nie jadłem tego chyba od czasów dzieciństwa.

- Pańska matka to gotowała? - zapytała Lidia.

Mężczyzna się roześmiał. Jego śmiech zabrzmiał głucho.

- Nie przypominam sobie, żeby moja matka kiedykolwiek cokolwiek ugotowała.

Lidia wzięła do ust mały kęs i zdołała go jakoś przełknąć, nie czując właściwie smaku potrawy. To, co się działo, było dla niej niepojęte. Jak mogła siedzieć przy swoim własnym stole i jeść kolację z człowiekiem, który wprowadził Robbiego, Rianne i przynajmniej czworo innych dzieci?

Poczuła nagły przypływ paniki, która po chwili opadła, ustępując miejsca czemuś chyba jeszcze gorszemu: straszemu, przerażającemu uczuciu oderwania, oddalenia od własnego „ja” i wszystkiego dookoła, od uzbrojonego mężczyzny, siedzącego naprzeciwko niej. Czuli się, jakby otoczył ją szczelny kokon z waty i nienawidziła tego wrażenia. Wydawało jej się, że przebicie owej odgradzającej ją od świata zasłony jest niemal ponad siły, lecz zrobiła to. Później będziesz się rozklejać, Lidio.

Po raz drugi wzięła do ręki widelec, spojrzała nad stołem na mężczyznę i zobaczyła, że naprawdę je. Wyglądało na to, że istotnie był głodny, tak jak powiedział. Raz jeszcze pomyślała ze zdumieniem, co właściwie robi, karmiąc go i zasiadając z nim razem do stołu.

Czeka, odpowiedziała sobie samej. Czeka, aż nadejdzie pomoc.

Trwa przy życiu. Dla Robbiego. I dla Jake'a.

ROZDZIAŁ 1 11

Thea Lomax znajdowała się zaledwie o pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym zastępca szeryfa z okręgu Middlesex, uzbrojony w pistolet i latarkę, zobaczył Normana Bauma. Detektyw leżał w kępie drzew, nieco w głąb od drogi dojazdowej, prowadzącej do domu Fitzgeralda.

Z rękami i nogami związanymi sznurem, z ustami zakneblowanymi chustką, półprzytomny i wychłodzony. Ale żywy.

ROZDZIAŁ 1 12

Doktor Lundquist uznała, że Rianna i Robbie powinni zostać w szpitalu na obserwacji do następnego dnia, i sugerowała, że ja powinienem zrobić to samo, ale nie wchodziło w grę, abym bodaj rozważył taką ewentualność, kiedy wciąż nie było wiadomo, co się dzieje z Fitzgeraldem i z matką Robbiego.

Thea Lomax zadzwoniła niedługo potem z wieściami o Baumie i żeby mnie powiadomić, że po zastanowieniu doszła do wniosku, iż mogła być jedną z ostatnich osób, które miały kontakt z Lidia.

- Ściśle rzecz biorąc - wyjaśniła - ustaliłam, że rozmawialiśmy po raz ostatni mniej więcej o tej porze, kiedy wy taranowaliście drzwi wychodzące na dach. Wiem o tym, bo drzwi, które przebiły dach autobusu na Herald Square, trafiły do mediów. Powiedzieli, że wypadek miał miejsce około szóstej, wciąż w godzinach szczytu, a my właśnie wtedy doszliśmy z Lidia do wniosku, że pora zgłosić oficjalnie wasze zaginięcie.

- I jesteś pewna, że była wtedy w domu?

- To ona do mnie dzwoniła. Mój telefon rejestruje numer dzwoniącego.

Odkładając słuchawkę miałem fatalne przeczucia.

Zadałem sobie pytanie, czy powinienem powiedzieć o tym Kline'owi, czy nie.

Odpowiedź brzmiała: nie. Bo jeśli przeczucie nie jest bezpodstawne - a gorąco pragnąłem się mylić, łudziłem się, że wszystko to jedynie wytwór mojej wyobraźni... - jeśli się nie myliłem, jeśli Lidia była w swoim mieszkaniu i znalazła się w tarapatkach, a ja przekazałbym tę informację FBI... wtedy cała brygada antyterrorystyczna SWAT wzięłaby kurs na Zachodnią Siedemdziesiątą Trzecią, co niemal na sto procent oznaczałoby dla mojej przyjaciółki utknięcie w samym środku oblężenia.

Gdy tymczasem, kto wie, może udałoby mi się znaleźć sposób, żeby wśliznąć się niepostrzeżenie do jej mieszkania.

Miałem nad policją jedną przewagę. Rozmawiałem z nim, z człowiekiem, kryjącym się za zniekształconym głosem i wiedziałem o nim to i owo.

Chociaż według naszych informacji zamordował siedem osób, wyznał, że nienawidzi zabijać. I co wydawało mi się jeszcze ważniejsze, nie chciał więcej zabijać, bo gdyby chciał, to by uśmiercił Riannę lub Robbiego, mnie czy też nas wszystkich. A jednak tego nie zrobił.

Wiedziałem, że facet jest chory, głęboko niezrównoważony, a teraz wręcz obłąkany. Co oznaczało, że jeśli jest to, założmy, Fitzgerald, to niewątpliwie musiał się stoczyć na łeb na szyję po psychicznej równi pochyłej od czasu, kiedy ktokolwiek go widział.

Nigdy w życiu nie marzyłem, aby się mylić, tak jak wtedy.

Pragnąłem - i modliłem się - żeby ten drań wpelznął do jakiejś dziury i skończył ze sobą.

Zadzwoiłem w jeszcze jedno miejsce.

Do dyżurnego portiera w domu Lidii.

- Mówiłem już FBI...

- Wiem o tym - przerwałem mu - chciałbym jednak, żeby pan ponownie do niej zadzwonił.

- Nie ma problemu. - Mężczyzna robił wrażenie uczynnego.

Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność.

Kiedy usłyszałem szcęk podnoszonej ponownie słuchawki, moje paznokcie wbiły się w dłonie, pozostawiając na nich małe półksiężycy.

- Nikt nie odpowiada. Czy chce pan, żebym poszedł na górę? Może zadzwonić do drzwi? Niedługo kończę pracę. Gdy tylko Joseph przyjdzie mnie zmienić, mogę się przejechać na piętnaste...

Wahałem się przez chwilę.

Po czym powiedziałem mu, żeby nie jechał.

Kline otrzymał właśnie informację, że była żona Kordy widziała się z nim w Nowym Jorku mniej więcej przed dziesięcioma godzinami.

Pamela Korda powiedziała agentowi z terenowego oddziału FBI, że eksmąż przyszedł odwiedzić dzieci i nie wie, dokąd się udał po opuszczeniu jej mieszkania. Wyjaśniła, że jeśli nie zabierał ze sobą dzieci albo nie wyjeżdżał na antypody, nie miał zwyczaju zdawać jej sprawy ze swoich planów.

Prawnik Eryxu, Allan Tillman, poinformował agenta Phila Rubika, że doradził Kordzie, by zaszył się gdzieś na kilka dni, tak bardzo jego szef przeżył uprowadzenie dzieci. Tillman powiedział Rubikowi, że jest głęboko wstrząśnięty śmiercią ofiar porwania, choć z wielką ulgą przyjął wiadomość o dwojgu uratowanych i jest przekonany, że Korda, Fitzgerald i Hawthorne będą czuli dokładnie to samo, gdy się o tym dowiedzą.

Nadal przeszukiwano posesję Fitzgeralda. Gdyby pokazał się tam właściciel, czekał na niego spory oddział pod bronią.

Tymczasem Kline wsiadał do helikoptera, lecącego do Nowego Jorku.

Rianna była bezpieczna w pokoju, w którym miała spędzić noc, Robbie znajdował się w sąsiednim. Liczny personel sprawował nad nimi opiekę, jeden z ludzi Johna Thurlowa też się kręcił w pobliżu, chociaż Robbie podkreślił z naciskiem, że jeśli nie dadzą mu choć minimum swobody, nie będzie mógł chodzić po szpitalnych korytarzach lub kupić sobie czegoś do picia, to nie zamierza tu zostać. Wiedział równie dobrze jak ja, że nie ma w tej sprawie zbyt wiele do powiedzenia, ale rozumieliśmy go doskonale. Biedak był więźniem przez dwa miesiące z górą.

Poza tym, mówiąc szczerze, w tej chwili znacznie mniej się obawiałem, że Riannie lub Robbiemu mogłoby grozić jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo ze strony porywacza.

Mordercy.

Miałem cholernie poważne obawy, że facet przeszedł do następnej klasy i zajął się dorosłymi.

Dlatego ogarnąłem się nieco, uściskałem serdecznie Rianne, powiedziałem jej, że wychodzę na jakiś czas, po czym opuściłem Bellevue i zlałem taksówkę do miasta, w kierunku północnym.

Joseph, portier, który objął tymczasem służbę, wysoki, tyczkowaty, z małą głową zwieńczoną rudą, kędzierzawą czupryną, był uczynny i przyjacielski, bez typowej podejrzliwości, z jaką portierzy z Manhattanu traktują zazwyczaj obcych, zadających zbyt wiele pytań. W tym momencie nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle.

- Pani Johanssen była w domu parę godzin temu - poinformował mnie. - Ale Anthony, którego dopiero co zmieniłem, przekazał mi, że w tej chwili nikt nie odpowiada na domofon.

- Skąd pan wie, że wcześniej była w domu? - zapytałem. - Widział ją pan?

Joseph pokręcił swoją małą głową.

- Wpuściłem do niej gościa.

- Kogo? - Moje czujniki były w stanie pełnej gotowości.

- Tego nie mogę panu powiedzieć. - Nareszcie podejrzliwość. - Czy chce pan, żebym spróbował jeszcze raz?

- Czy jest zapasowy klucz do mieszkania piętnaście C?

Pewne oczy Josepha się zwięzły.

- Nie mogę użyć zapasowego klucza bez pozwolenia pani Johanssen.
- Nie proszę, żeby pan go użył. - Tylko spokojnie, Jake. - Proszę, aby dał go pan mnie, żebym ja mógł go użyć.

- To niemożliwe.

- Rozumiem pańską sytuację, Joseph. - Rozejrzałem się szybko po holu, zobaczyłem, że nadal jest pusty i nachyliłem się trochę bardziej nad kontuarem, za którym siedział. - Problem w tym, że u pani Johanssen może w tej chwili być niebezpieczny przestępca.

Brwi Josepha uniosły się nieco, jego oczy przypominały w tej chwili paciorki.

- Ci z FBI nic takiego nie mówili, kiedy rozmawiali z Anthonym przez telefon.

- Bo nic nie wiedzieli.

- A pan wie? - Portier był coraz bardziej sceptyczny.

- Nie mam stuprocentowej pewności, dlatego chcę, żeby pozwolił mi pan wejść tam po cichu, bez szumu. - Spojrzałem mu w oczy. - Może pan zaczekać na korytarzu, żeby się przekonać, że nie chcę obrabować mieszkania.

- Jeśli uważa pan, że dzieje się coś złego, powinien pan zadzwonić na policję. - Joseph znów pokręcił głową. - W końcu ja pana zupełnie nie znam. Jak pańskie nazwisko, przepraszam bo nie dosłyszałem?

Nie podawałem mu swojego nazwiska. Zrobiłem to teraz. Twarz mężczyzny wyrażała w tej chwili jeszcze większą nieufność.

- Co takiego? - zapytałem. - O co chodzi?!

Portier pochylił głowę, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w książkę leżącą na kontuarze, po czym podniósł na mnie wzrok.

- Pan się nazywa Woods?

Ktoś bardziej krewki złapałby już pewnie faceta za jego kościsty kark.

- Joseph, co się stało?

- Problem polega na tym - wyjaśnił - że ktoś już dzisiaj wszedł na górę, podając to samo nazwisko.

- Do pani Johanssen? - Ogarniały mnie coraz gorsze przeczucia.

- Tylko że tamten był profesorem. - Jeszcze raz sprawdził w książce i skinął głową. - Profesor Woods. Piętnaście C, trzy minuty po osiemnastej.

Złe przeczucia ustąpiły miejsca gwałtownej panice, lecz właśnie w tym momencie weszła kobieta w średnim wieku, z zakupami, które wyglądały na ciężkie i Joseph poderwał się odruchowo, żeby z nią się przywitać i zaferować pomoc.

Kobieta skierowała się w stronę wind w tej samej chwili, kiedy z jednej z nich wysiadł młody człowiek z fioletową czupryną i w okularach z kolorowymi szklami. Pomachał Josephowi i zniknął w drzwiach pomieszczenia, które wyglądało na boks pocztowy.

- Dobra, Joseph - zwróciłem się znów do portiera. - Posłuchaj mnie teraz uważnie. - Chcesz powiedzieć, że mężczyzna, który przedstawił się jako profesor Woods, został wpuszczony na górę, do mieszkania pani Johanssen? Właśnie to chcesz mi powiedzieć?

- Zadzwoiłem do mieszkania. - Joseph niespodziewanie przyjął postawę obronną. - Rozmawiałem z panią Johanssen, przekazałem jej, że jest tu profesor Woods, a ona kazała go wypuścić.

- Posłuchaj, człowieku. - Groźny ton i mina to jedyne, co mi w tej chwili pozostało. - Facet, którego wpuściłeś na górę, nie był profesorem Woodsem. To ja nim jestem. Tamten człowiek, to niemal z całą pewnością porywacz i morderca. Rozumiesz mnie?

Nieszczęśnik rozumiał aż za dobrze. Małe oczka omal nie wyskoczyły mu z orbit.

- Jeżeli dasz mi w tej chwili klucz - natarłem, nie dając mu czasu do namysłu - to jest cień szansy, że wszystko da się jeszcze naprawić i być może nikt się nie dowie, że to ty go wpuściłeś.

- Skąd miałem wiedzieć, do cholery? - Przeszedł do kontrataku. - Nie mamy obowiązku sprawdzać ludziom dokumentów. Facet podał nazwisko, zadzwoniłem na górę, to wszystko, co do mnie należy.

- Dobra - powiedziałem. - Poproszę o klucz.

- Skąd mam wiedzieć, że pan mówi prawdę?

- Zaraz się przekonasz. - Przypomniałem sobie o portfelu w tylnej kieszeni spodni, w którym nadal tkwiło moje prawo jazdy i pięćdziesięciodolarowy banknot, przypomniałem też sobie o potędze chciwości. Wyciągnąłem portfel i podsunąłem portierowi pod nos prawo jazdy razem z pieniędzmi. - Czy to ci pomoże uwierzyć?

Joseph rozejrzał się nerwowo wokół siebie.

- Między nami - uspokoilem go.

Otworzył szufladę i zaczął w niej grzebać, po czym przerwał.

- A jeśli dam panu klucz i to pogorszy sprawę? Powinienem najpierw zadzwonić na policję.

Nachyliłem się jeszcze bardziej, gotów zabrać wszystkie klucze, gdybym nie miał innego wyjścia.

- Jeśli policja przyjedzie w tej chwili - wysyczałem przez zaciśnięte zęby - rzecz się skończy regularnym obłożeniem. I jeśli coś się stanie pani

Johanssen, będzie to wina skończonego krety, który wpuścił do budynku mordercę. Czy to do ciebie dotarło, człowieku? - Znów podsunąłem mu pod nos pieniądze. Joseph odszukał klucz.

- Jeżeli nie odezwie się pan w ciągu piętnastu minut - uprzedził, trzymając klucz w wyciągniętej ręce - dzwonię pod dziewięćset jedenaście.

Chwyciłem klucz.

- W ciągu godziny! - Już biegłem w stronę szybu i naciskałem guziki przywołujące windy. - Potem dzwoń na policję i do FBI. Proś agenta specjalnego Rogera Kline'a.

- Pół godziny - zaczął się targować Joseph, kiedy z pocztowego boksu wyszedł młodzieniec o fioletowych włosach i rzucił nam nieodgadnione spojrzenie.

Winda przyjechała.

Wszedłem do środka i nacisnąłem guzik.

ROZDZIAŁ 1 13

Mężczyzna siedzący przy kuchennym stole gotów był podjąć przebraną rozmowę.

Zjadł większość swojej porcji w niemal kompletnym milczeniu, po czym odłożył widelec i spojrzał Lidii w twarz.

- Rozmawialiśmy o moim ojcu - odezwał się, jak gdyby w ogóle nie było tej półgodzinnej przerwy. - Nosiliśmy to samo imię - ciągnął. - Mój ojciec też się nazywał Hal Hawthorne. Nikt nie nazywał mnie Juniorem, Bogu dzięki, używano natomiast określenia „młody Hal”.

Lidia przypomniała sobie nagle ustęp raportu Bauma, dotyczący ojca Hawthorne'a. Bohater wojenny. No tak. Inwalida i bohater wojenny, zasłużony działacz charytatywny. Przedwcześnie zmarły.

Czekała.

- Mój ojciec był niezwykłym człowiekiem - opowiadał mężczyzna. - Wszyscy to powtarzali. Bohater. Wietnam. Nie czuł się odrzucony, jak tyłu innych - miał za dużo pieniędzy, jak sądzę. Wykorzystał swoją niepełnosprawność tak jak swój majątek, zrobił z niej narzędzie, które dla niego pracowało. Matka powiedziała mi kiedyś, że przed Wietnamem wcale go nie pasjonował sport, dopiero potem stał się dlań nieosiągalnym świętym Graalem. Mawiał, że skoro nie może go uprawiać, chce ofiarować jak największej liczbie ludzi to, co jego samego ominęło. — Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. Jego wysokie czoło pod linią rzadniejących włosów było wilgotne od potu. - Fundował i inne rzeczy - zaczął mówić po chwili. - Szkoły, szpitale... Lecz gdzie się tylko dało, zakładał obiekty sportowe: szkółki tenisowe, pływalnie, sale gimnastyczne. - Skinął głową. - Gimnastyka była w jego oczach najwspanialszym ze sportów, najtrudniejszym, jak mu się wydawało, a może po prostu najbardziej nieosiągalnym dla człowieka na wózku inwalidzkim. Chociaż podobało mu się wszystko, co wymagało odwagi. „Twardziel” - to było ulubione słowo mojego ojca.

Hawthorne znów umilkł, jego oczy spotkały się nad stołem z oczami Lidii.

- Przepraszam. - Opuścił wzrok na leżący na blacie pistolet. - Zdaje się, że chciałbym z kimś porozmawiać. Póki to możliwe.

Lidia zachowała milczenie. Nie miała zamiaru go powstrzymywać, rozumiejąc, że w tej chwili najbardziej był jej potrzebny czas. Żeby inni - Jake, FBI, Thea Lomax, Baum czy ktokolwiek - zdążyli ją odnaleźć i uwolnić.

Gdzie oni wszyscy są?

- Nie najlepiej się czuję - wyznał. - Właściwie nie bardzo wiem, dlaczego tu przyszedłem, Lidio, ale wydaje mi się - chociaż w ciągu ostatnich dni trochę mi się wszystko pomieszało... Więc chyba wydawało mi się, że jako matka możesz być odpowiednim rozmówcą... - Pokręcił głową. - Co nie znaczy, że oczekuję od ciebie autentycznego zrozumienia. Nie po tym wszystkim, co zrobiłem - dodał. - Ale słyszałem, że kobiety są lepszymi słuchaczami niż mężczyźni, że rozumieją więcej niż oni.

ROZDZIAŁ 1 14

Telefon zadzwonił, kiedy Robbie drzemał.

- Cześć, stary - powiedział Josh. - Co u ciebie?

Robbie dzwonił do niego wcześniej. Ludzie z FBI uprzedzali go wprawdzie, żeby nie informował o swoim uwolnieniu nikogo oprócz rodziny, ale powiedział, że Josh to jego bliski kuzyn, po trosze dlatego, że chciał usłyszeć jego głos, po trosze dlatego, że miał nadzieję dowiedzieć się od kumpla albo od jego matki, co się dzieje z Lidią.

- Wiesz coś? - zapytał, siadając na łóżku.

- Nie jestem pewien - odrzekł Josh, zniżając głos - ale właśnie usłyszałem u nas w holu na dole rozmowę, która mogłaby cię zainteresować. - Zawahał się.

- Co takiego?

- Jakiś facet, chyba ten profesor, no wiesz, Woods, zresztą mniejsza o to, więc ten gość powiedział Josephowi, naszemu portierowi, że w waszym mieszkaniu może się dziać coś niedobrego. - Josh zamilkł na chwilę. - Potem Joseph dał mu klucz i Woods uprzedził, że jeśli się nie odezwie w ciągu godziny, trzeba zadzwonić na policję, ale Joseph odrzekł, że czeka tylko pół godziny i Woods wszedł do windy...

- Dobra - przerwał mu gwałtownie Robbie. - Posłuchaj, co masz zrobić. Słuchasz mnie, Josh?

- Jasne.

- Potrzebne mi jakieś ubranie. I tenisówki.

- Moje ubranie? - Do Josha zaczęło docierać, zbyt późno, niestety, że może jego przyjaciel był ostatnią osobą, którą należało o tym poinformować.

- No jasne, że twoje, chyba że wolisz zajrzeć pod piętnastkę i zapytać porywacza, czy nie zechciałby pójść do mojego pokoju i przynieść...

- Dobrze już, dobrze - przerwał mu Josh. - Naprawdę myślisz, że on tam poszedł?

- Nie wiem, ale skoro Jake tam był i powiedział, że... - Robbie wrócił

do tematu. - Więc będzie mi potrzebne ubranie i broń, chociażby nóż - wiesz, jeden z tych kuchennych, co tak wrednie wyglądają...

- Czekaj! - ostudził go przyjaciel. - Czyś ty z byka spadł?

- Czy twój tata nie miał kiedyś wiatrówki?

- Nie, mój tata nigdy nie miał wiatrówki - odparł Josh - ale nawet gdyby miał, możesz być pewien, że nie ukradłbym mu jej i nie dałbym tobie, żebyś...

- Dobra, nie rób w portki. Zapomnij o strzelbie, przynieś mi ciuchy i nóż albo cokolwiek, żeby tam nie szedł nieuzbrojony.

- Nieuzbrojony? Jezu, chłopie, żałuję, że ci powiedziałem.

- Powiedziałeś mi, bo jesteś moim najlepszym przyjacielem - oświadczył Robbie. - Więc jak, pomożesz mi czy nie? Bo bez względu na to, co zrobisz, nie mam zamiaru tu siedzieć ani minuty dłużej, kiedy mojej mamie zagraża niebezpieczeństwo.

- Nie wiemy, czy tak jest - zauważył Josh.

- Jeśli nie, to nie będę miał problemów, zgadza się?

- Musisz zawiadomić FBI - upierał się Josh. - Pozwól im się tym zająć.

- Nie ma mowy - odparł Robbie. - Na litość boską, wiemy, co się dzieje, kiedy gliniarze wkraczają za wcześniej i sprawa wymyka się spod kontroli.

- Tylko w filmach.

- I w wiadomościach także, co chwila, wiesz o tym doskonale.

- Więc jaka to różnica, że ty tam pójdziesz? - zapytał Josh.

- Taka, że dla mnie to sprawa osobista - wyjaśnił Robbie. - Kocham moją matkę, w przeciwieństwie do gliniarzy. I zależy mi na Jake'u - urwał. - To jak - zapytał po chwili. - Przyjeżdżasz, przywozisz manele, czy nie?

Tamten milczał.

- Josh? - przynaglił go Robbie.

- No dobra.

- Tylko się pośpiesz, na litość boską.

ROZDZIAŁ 1 15

Oboje usłyszeli ten dźwięk - głucho stuknięcie dochodzące gdzieś spoza mieszkania, z wnętrza budynku, wystarczająco jednak blisko, żeby Hawthorne zamilkł, sięgnął po pistolet, wziął go, podniósł się, podszedł do kuchennych drzwi i zaczął nasłuchiwać.

- To tylko sąsiedzi - powiedziała Lidia, nie ruszając się z miejsca. Odwrócił się do niej i gestem dłoni uzbrojonej w pistolet nakazał milczenie. Rysy nagle mu się ściągnęły, żyły nabrzmiały na skroniach, oddech stał się szybki i płytki. Po raz pierwszy Lidia naprawdę się bała tego, co mógłby zrobić, nie tyle ze względu na siebie, ile na Robbiego. Myśl o tym, że jej syn wraca do domu po tak długiej nieobecności i zastaje w mieszkaniu porywacza, była po prostu nie do zniesienia.

No i Jake. Nawiedziło ją krótkie jak błysk flesza wspomnienie jego ciepła, siły i delikatności.

Jeszcze jeden powód, żeby przetrwać.

Wjechałem windą na trzynaste piętro, a dwie ostatnie kondygnacje postanowiłem pokonać pieszo, żeby zbliżyć się możliwie jak najciszej.

Wiedziałem, że to, co robię, jest najdelikatniej mówiąc, ryzykowne, że moja ostatnia pochopna interwencja skończyła się dla Bauma wstrząsem mózgu, dla mnie samego zaś porwaniem, że facet może, ze sporym prawdopodobieństwem, usłyszeć mnie, a nawet zobaczyć zza drzwi mieszkania, a wówczas zapewne wpakuję Lidię w jeszcze większe tarapaty - była to ostatnia rzecz, jakiej pragnąłem.

Dlatego posuwałem się korytarzem jak najciszej, modląc się w duchu, żeby żaden z sąsiadów nie wyjrzał i nie zapytał, co tu robię, i jednocześnie badałem czystość swoich intencji. Czy chciałem odegrać przed Lidią bohatera? Jeżeli tak, to zawróć w tej chwili, Jake. Ale nie, nie o to chodziło. Po prostu nie miałem zaufania do systemu ochrony, może niesłusznie, daj Boże, ale to, co robiłem w tym miejscu i w tym momencie, było ostatnią, desperacką próbą położenia kresu temu koszmarowi bez odwoływania

się do SWAT-u, co nieuchronnie wystawiłoby Lidię na strzał.

Żadnych sąsiadów, Bogu dzięki.

Przyłożyłem ucho do drzwi mieszkania, nie usłyszałem niczego, przykucnąłem i zacząłem nasłuchiwać przez wąską szparę pod drzwiami.

Jakiś dźwięk. Głos. Męski. Ledwie dosłyszały z tego miejsca.

W drodze z Bellevue próbowałem odtworzyć sobie w myśli dokładny rozkład mieszkania Lidii i teraz uznałem, że mężczyzna musi być albo w salonie, albo w kuchni - przypuszczałem, że w kuchni, bo ta miała dwoje drzwi, jedno od strony salonu, a drugie od strony korytarza prowadzącego do części sypialnej.

Tak czy inaczej, na wycofanie się było za późno.

Podniosłem się i zbliżyłem klucz do zamka. Ręka mi się trzęsła. Zaczepnąłem tchu i nakazałem sobie wziąć się w garść.

Wsunąłem klucz do zamka.

Hawthorne znów siedział przy stole, tamten dźwięk poszedł w zapomnienie.

- Sęk w tym, że mój kochający odwagę ojciec miał syna tchórza.

Lidia patrzyła, jak wyraz czujności ustępuje z twarzy mężczyzny, kiedy Hal wrócił do swojej opowieści. Zaniósła w duchu dziękiczynne modły za dodatkowy czas, który zyskała.

- Syn wcale nie był tym zachwycony, dałby wszystko, żeby być odważnym chłopakiem, o jakim marzył i jakiego potrzebował ojciec, lecz było to po prostu niemożliwe. Mój ojciec zdecydował, że swojego wózka, że jego syn będzie okazem brawury i sprawności fizycznej, którym sam mógł być jedynie w marzeniach. Młody Hal miał być wybitnym lekkoatletą albo akrobatą, grać w polo, w hokeja, czy w cokolwiek innego, byle tylko był to sport dla twardzieli.

- To musiało być trudne - zauważyła Lidia.

- Nie zawsze układało się aż tak źle - odrzekł Hawthorne. - Niektóre sporty były do wytrzymania, dało się przeżyć, grać i nigdy nie trafić do reprezentacji, rozumiesz? Jeśli mieliśmy rozgrywki szkolne, ojciec nie mógł oglądać wszystkich meczów, choć, rzecz jasna, on nigdy się nie ograniczał do oglądania, musiał dyrygować z linii bocznej, wrzeszczeć i mieszać się do wszystkiego. - Zamilkł na chwilę. - A potem, po szkole, zabierał młodego Hala na jedną z tych wspaniałych pływalni, których tyle wybudował, i próbował zrobić z niego skoczek.

Lidia patrzyła i słuchała, wciąż pełna lęku, oczywiście, ale jednocześnie trochę zafascynowana, wbrew sobie...

- Ojcu nie wystarczały skoki z brzegu basenu. - Hawthorne mówił coraz szybciej, jakby wiedział, że czas mu się kończy, a miał jeszcze dużo do opowiedzenia. - Widział młodego Hala na trampolinie, i to nie na najniższym poziomie ani nawet na środkowym. To musiał być sam szczyt, z którego olimpijczycy wykonują swoje ewolucje. Wiesz, o czym mówię?

- Wiem - odrzekła cicho.

- Problem w tym - ciągnął - że młody Hal śmiertelnie się bał wysokości.

ROZDZIAŁ 116

Josh siedział w taksówce, jadącej do Bellevue.

Czuł się jak złodziej albo szpieg, chociaż zabrał z domu tylko własny dres i tenisówki oraz kuchenny nóż, po czym skłamał mamie, że idzie na spacer.

- Oczywiście, kochanie. Uważaj na siebie. - To wszystko, co powiedziała Melania, i po chwili już go nie było.

Na dole w holu zobaczył Josepha, wpatrującego się z głupią miną w aparat telefoniczny i zerkającego co chwila na zegarek. Minął go najszybciej, jak się dało. Pod domem stała taksówka, z której wysiadał jakiś starszy gość i Josh popędził do niej jak na skrzydłach.

I oto podjechali właśnie pod szpital i chociaż Robbie nic nie wspominał o tym, jak mają się dostać z powrotem pod dom, Josh przypuszczał, że będzie mu zależało na czasie, więc poprosił kierowcę, żeby zaczekał.

- Odbieram pacjenta - wyjaśnił. - Dam panu spory napiwek.

Spodziewał się, że kierowca będzie marudził albo odmówił, ale być może facet zauważył, jak bardzo Josh jest poruszony, i pomyślał, że chłopak martwi się o kogoś naprawdę poważnie chorego, bo powiedział: - "Oczywiście" - i nie wyłączył licznika.

ROZDZIAŁ 1 17

Czy opowiadałem ci już o polowaniu? - zapytał Hawthorne.

- Nie, jeszcze nie - odrzekła Lidia.

Zaczynał gubić wątek, przeskakiwał z tematu na temat, w miarę jak do głowy cisnęły mu się różne wspomnienia.

Lidii wydawało się, że kilka sekund wcześniej coś usłyszała. To było naprawdę „coś”, ledwie dosłyszalny dźwięk, którego mężczyzna jakby w ogóle nie odnotował - przypuszczalnie nie znaczył dla niego więcej niż kapiący kran czy podzwaniające rury albo odgłos, jaki wydają poruszane wiatrem pionowe żaluzje w salonie.

Ale ona знаła swoje mieszkanie od podszewki. Pamiętała dźwięk klucza, wsuwanego po cichu, ze szczególną ostrożnością, do zamka, bo miała nastoletniego syna, któremu zdarzało się wracać do domu później, niż uzgodnili - i, o ile się nie myliła, ten dźwięk właśnie przed chwilą usłyszała.

Hawthorne mówił coś o polowaniu.

- Ojciec je uwielbiał, nawet na wózku inwalidzkim, chyba traktował to jako dowód, że wciąż jest mężczyzną. Musiał korzystać z pomocy, lecz nie wypuszczał strzelby z ręki i zawsze sam oddawał strzał do zwierzyny.

Broń palna. Lidia wołałaby, żeby wrócił do poprzednich tematów: do skoków z trampoliny albo do gimnastyki.

- Dodatkowy kłopot polegał na tym, że moja matka była - jest - katoliczką. Mówiła mi o piekle i o potępieniu, więc miałem jeszcze jeden powód do strachu. - Hawthorne zawiesił głos. - Młody Hal zapytał ją kiedyś o polowanie i oświadczyła, że odbieranie życia zawsze jest grzechem, a chłopiec był jej za to ogromnie wdzięczny, bo nienawidził zabijania, nawet jeśli chodziło o owada.

- Czy matka powiedziała o tym pańskiemu ojcu?

Lidia próbowała wcześniej zachowywać chwiejną równowagę pomiędzy słuchaniem jego monologu a okazywaniem zainteresowania pytaniami. Lecz teraz była niemal pewna, że ktoś otworzył drzwi do mieszkania

i stoi w holu, więc znacznie bardziej zależało jej, żeby rozmowa toczyła się warko.

- Matka nie powiedziałaaby ojcu niczego podobnego - odrzekł Hawthorne. - Przekazała młodemu Halowi to, co uznała za ogólne wytyczne, a dalej musiał sobie radzić sam. Zresztą miała własne życie. - Jego usta wykrzywił ironiczny grymas. - Bohaterska żona bohaterskiego inwalidy, która wzorowo prowadziła dom. Lunch, sklepy, organizowanie pieniędzy na cele charytatywne - to wypełniało jej czas. - Spojrzał jej w oczy. - Pewnie myślisz, że była złą matką, ale to niezupełnie tak.

Lidia doszła do wniosku, że temat „złych matek” może się okazać niebezpieczny, więc milczała.

- Myślę, że to dobra ilustracja tezy, iż kobiety mają więcej wycucia niż mężczyźni - ciągnął Hawthorne. - Matka zrozumiała, że wychowywanie młodego Hala to sprawa ojca. Niepełnosprawność odebrała mu tak wiele, więc przynajmniej tego nie zamierzała go pozbawić. - Znów zamilkł. - Poza tym - dodał po chwili - prawdopodobnie nie odważyłaby się mu tego powiedzieć.

Znalazłem się w holu.

Mój domysł okazał się trafny - byli w kuchni, co, po zastanowieniu, okazało się gorsze, niż początkowo sądziłem, bo tam właśnie znajdowało się niemal wszystko, co mógłbym ewentualnie wykorzystać jako broń.

Po raz pierwszy od z górą dziesięciu lat żałowałem, że już nie jestem gliniarzem, bo przynajmniej miałbym pistolet i w miarę aktualne przeszkolenie na swoim koncie. Zastanawiałem się, w co może być uzbrojony morderca, chociaż może nie potrzebował broni, mając te swoje śmierciowości łapy...

Coś... Cokolwiek...

Zacząłem robić w myślach przegląd potencjalnego arsenału, jakim dysponowało przeciętne gospodarstwo domowe... Wybielacz, różne płyny w aerozolu - w kuchni, tak samo noże, pewnie również śrubokręty i inne podobne narzędzia. Nożyczki - pewnie w gabinecie Lidii albo w pokoju Robbiego - albo może nóż do otwierania listów. Płyn do włosów, perfumy - nienadzwyczajne to, ale lepsze niż nic, można by mu prysnąć w oczy...

Deski w podłodze. Nie przypominałem sobie, żeby skrzypiały tamtej nocy, którą tutaj spędziłem, ale też wówczas nie skradałem się po mieszkaniu, więc mogłem nie zwrócić na to uwagi.

Buty z nóg.

Najpierw pokój Robbiego. Wiedziałem, który to, bo Lidia poszła tam po coś, kiedy u niej byłem. Zawiasy dobrze naoliwione, Bogu dzięki. Nic, o co mógłbym się potknąć... Może chłopak miał finkę na dnie szuflady? Doszedłem do wniosku, że musiałby chować coś takiego przed matką...

Żadnej finki, w ogóle nic użytecznego. Nożyczki do papieru, też lepsze niż nic, jeśli udałoby się zadać cios pod odpowiednim kątem i gdybym był dostatecznie zdesperowany...

Szybciej.

Teraz łazienka. Ostrożnie otworzyć szafkę. Dezodorant, woda kolońska, płyn do dezynfekcji, nic grubszego kalibru, nic, co by oślepiało, większość pojemników wyposażonych w rozpylacz, ekologicznych, przyjaznych dla środowiska, ale bezużytecznych, jeśli chodzi o powstrzymanie mordercy.

Gabinet Lidii. Nóż do papieru ostentacyjnie niegroźny, z niebieskiego plastiku, nożyczki nie lepsze niż te u Robbiego...

Strata czasu...

Pokój muzyczny. Pianino. Taboret. Metronom. Pulpit nutowy. Nic.

Jej sypialnia. Słodkie wspomnienia. Nie teraz. Ukłucie zażenowania, kiedy otwierałem szafeczkę przy łóżku... nic... Druga strona, jeszcze silniejsze poczucie winy - dawna szuflada Aarona. Już nie jego... Listy, fotografie, stare okulary.

Zaraz.

Ostania rzecz, jaką spodziewałbym się tu znaleźć.

Miotacz gazu. Najprawdopodobniej relikw z czasów studenckich, a może nie.

Najlepsze, co miałem szansę znaleźć, zresztą nie było już czasu na przetrząsanie mieszkania.

Gaz, nożyczki do papieru i - jeśli nie zdradzą mnie skrzypiące deski - element zaskoczenia.

ROZDZIAŁ 118

Rianna przykuśtykała właśnie do pokoiku Robbiego, kiedy pojawił się Josh.

Nie mogła sobie znaleźć miejsca, miała dosyć telewizji i liczenia baranów. Rozmawiała już z Ellą, Kim i Tomem, a ludzie z FBI polecili, żeby poza nimi nie kontaktowała się z nikim, więc nie zadzwoniła do Shannon, zresztą nie dojrzała jeszcze do pogaduszek z przyjaciółką. Poza tym nie wiedziała, gdzie się podział ojciec, noga wciąż ją bolała i Rianna nie potrafiła zrozumieć, czemu nie może iść do domu, skoro to tylko skręcona kostka. Jedynym plusem pobytu w szpitalu była obecność Robbiego i nagle uświadomiła sobie, że, poza rodziną, niczyje towarzystwo nie było jej miłsze niż jego.

- Bardzo mi miło - powiedziała do Josha, kiedy Robbie ich sobie przedstawił.

- Mnie również. - Josh lustrował ją z zainteresowaniem, próbując wyobrazić sobie tę śliczną dziewczynę w skórzanym stroju Dakoty.

- Co się dzieje? - zapytała Rianna, widząc, że Robbie niesie do łazienki jakieś rzeczy, wyjęte ze sportowej torby.

- Pilnuj drzwi - rzucił Robbie w stronę przyjaciela.

Josh przewrócił oczyma, podszedł jednak do drzwi, uchylił je i zerknął w głąb korytarza.

- W porządku.

- Robbie, co się dzieje? - zapytała jeszcze raz Rianna. Chłopiec pojawił się w drzwiach łazienki, ubrany w dres Josha.

- Tenisówki trochę cisną.

- Cóż, przepraszam, że mam mniejszą nogę od ciebie.

- Dlaczego włożyłeś ubranie Josha? - zapytała Rianna.

- Bo wychodzę - wyjaśnił Robbie. Josh zerknął na Rianne.

- Bo on jest...

- Bo niedługo zwariuję - wpadł mu w słowo Robbie. - Bo dostaję

kociokwiku w tym zamknięciu, więc poprosiłem Josha o przemycenie jakichś ciuchów, żebym mógł wyjść i trochę się przewietrzyć.

Urwał i spojrzał na nią, próbując odgadnąć, czy kupiła jego historyjkę.

Trudno powiedzieć.

- Więc kryj mnie, proszę, jeśli by ktoś zapytał, gdzie jestem. Mów, że poszedłem do bufetu coś zjeść.

Rianna przyglądała mu się badawczo przez dłuższą chwilę, a potem zerknęła na Josha, który umknął przed nią wzrokiem. Jego błędzące spojrzenie upewniło ją ostatecznie, że chodzi o coś innego. Znowu spojrzała na Robbiego.

W jej oczach ujrzał lekki żal. I ogromną troskę.

Ale nie powiedziała ani słowa.

Boże, ona jest niesamowita, pomyślał, chyba po raz setny.

ROZDZIAŁ 119

Mój ojciec miał skrzywienie, skłonność do okrucieństwa - powiedział Hawthorne - ale myślę, że w dużej mierze sprawił to zawód. Bojaźliwość budziła w nim pogardę, to było silniejsze od niego. Myślę, że w swoim mniemaniu wyświadczał synowi przysługę, starając się zrobić z niego mężczyznę.

- Mężczyznę w swoim pojęciu. - Lidia była bardzo ostrożna, lecz nadal trochę zafascynowana, zwłaszcza tym, że Hawthorne chwilami mówił o sobie w trzeciej osobie.

- Opory młodego Hala przed zabijaniem drażniły go bardziej niż cokolwiek innego - ciągnął. - Robił się wtedy wyjątkowo nieprzyjemny. Nie rozstawał się z kijem golfowym, który zawsze leżał w poprzek poręczy wózka. Wystarczyło, że zobaczył owada, a robił użytek z kija na oczach dziecka. - Niebieskie oczy Hawthorne'a wydawały się nieobecne. - Kazał stajennym łapać i przynosić sobie szczury, kiedy gdzieś jakiegoś zobaczyli, po czym zmuszał młodego Hala, żeby patrzył, jak robi ze zwierzaka miazgę. - Umilkł na chwilę. - Szczur piszczął, chłopiec płakał, a ojciec rechotał.

ROZDZIAŁ 120

Kline był w Nowym Jorku, kierował akcją z ruchomego centrum dowodzenia, czyli wyposażonego w najnowocześniejszy sprzęt mikrobusu kempingowego, zaparkowanego na miejscu zbrodni, przy Herald Square.

Ustalono, że Scott Korda jest w swoim mieszkaniu przy Upper East Side, gdzie spędza wieczór w towarzystwie Susan Bentinck, przyjaciółki z Londynu. Kline jeszcze z nim nie rozmawiał, ale uzyskał od Angeli Moran wiarygodne zapewnienie, że chociaż prezes firmy Eryx znajdował się dostatecznie blisko kryjówki przestępcy, żeby zostać uznanym za podejrzanego, jego alibi wydawało się solidne.

William Fitzgerald wrócił do domu przed pięćdziesięcioma trzema minutami - ponoć z wizyty u rodziców swojej zmarłej żony, mieszkających w Cambridge, w stanie Massachusetts, i zastał policjantów oraz agentów FBI biegających po jego posiadłości niczym nawiedzone karaluchy. W miejsce gniewu wywołanego najściem pojawił się szok, wyglądający na autentyczny, kiedy się dowiedział, że Baum i Woods zostali napadnięci pod jego domem.

Zito i Kamiński zeznali podczas przesłuchania, że Nick Ford uprzedził wszystkich trzech właścicieli, iż profesor i prywatny detektyw są w drodze i być może będą się chcieli z nimi spotkać. Korda twierdził, że czekał na nich przez jakiś czas, po czym stracił cierpliwość i pojechał do Nowego Jorku. Fitzgerald utrzymywał, że postanowił nie czekać na Woodsa i Bauma, w obawie że nie zdoła nad sobą zapanować, dlatego wybrał się do Cambridge.

Zarówno Korda, jak i Fitzgerald zostali zatrzymani na przesłuchanie. Wypytywano również Susan Bentinck i rodziców nieżyjącej żony Fitzgeralda.

Jak dotąd nigdzie nie było śladu Hawthorne'a. Miejskowa policja sprawdziła dom w pobliżu Chester, apartamenty w Bostonie i w stanie Nowy Jork, bez rezultatu.

Kline wciąż czekał na informację, kto jest właścicielem dwóch najwyższych pięter wieżowca przy Herald Square. Ostatnie doniesienie, według Angelí Moran, brzmiało, że oba piętra są przeznaczone do „osobistego użytku” właściciela, a cały budynek należy do osoby prywatnej, chociaż do tej pory nikomu nie udało się ustalić jej tożsamości.

W tej chwili agent Kline nie zwracał sobie tym głowy.

Pytanie wydawało się czysto akademickie.

Liczne odciski palców znalezione przez PERT na miejscu zbrodni zgadzały się idealnie z tymi z gabinetu Hala Hawthorne'a w Eryksie, pobranymi z biurka, fotela, telefonów, kalendarza, ze spłuczki w toalecie przeznaczonej do jego osobistego użytku i z wielu innych miejsc.

Nadal nie było jednak wiadomo, gdzie jest.

Podobnie jak Lidia Johanssen.

Robbie i Josh wymknęli się ze szpitala i siedzieli teraz w taksówce, zmierzającej w kierunku ulicy Siedemdziesiątej Trzeciej.

- Jak po maśle. - Josh odetchnął z ulgą, przynajmniej chwilową, kiedy jego stary kumpel i świeżo upieczony oszołom opadł na oparcie siedzenia.

Robbie odpoczywał przez kilka minut, po czym pochylił się do przodu, żeby porozmawiać z kierowcą.

- Coś mi się przypomniało - powiedział. - Czy mógłby nas pan wysadzić na rogu Amsterdam i Siedemdziesiątej Drugiej?

- Nie ma sprawy - powiedział kierowca i Robbie usiadł z powrotem.

- A więc plan jest taki, że wchodzimy z sąsiedniego budynku, przez wyjście ewakuacyjne w piwnicy.

Budynek sąsiadujący z ich domem przy ulicy Siedemdziesiątej Trzeciej, zaprojektowany przez tych samych architektów, był niemal identyczny. Bliźniacze domy łączył od strony podwórza wspólny skwer, a także wspólna część podziemna, z basenem, pralnią do użytku mieszkańców obu budynków oraz warsztatem dozorca. Robbie i Josh pamiętali - z czasów, kiedy ich specjalność stanowiły kryjówki i zamki - że tamte drzwi zawsze otwierały się z zewnątrz łatwiej, niż powinny.

- W ten sposób - ciągnął Robbie ściszym głosem - jeśli Joseph albo ktokolwiek inny wezwał już policję, nadal będziemy mogli dostać się niezauważeni do naszego domu.

- I co dalej? - Obawy Josha powróciły z nową siłą.

- Pójdziemy schodami na samą górę, miniemy piętnaste piętro i wydestaniemy się na dach.

- Wolę nie pytać dlaczego.
- Wiesz dlaczego - odrzekł Robbie.

Josh zrozumiał i spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Chyba nie masz na myśli klapy? - Wyraz twarzy przyjaciela powiedział mu, że właśnie to miał na myśli. - Człowieku, chyba nie mówisz poważnie! Nie możesz być aż tak obrany z rozumu! Uważasz, że dostaniesz się tamtędy do mieszkania i facet cię nie zobaczy ani nie usłyszy? Ta kłapa skrzypi, na litość boską! Nawet drzwi prowadzące na dach skrzypią!

- Kłapę słyhać tylko w gościnnym pokoju - odparł Robbie - a tam ich prawdopodobnie nie będzie.

- Mogą być. - Josh przecesał włosy palcami. - To szaleństwo, Rob. To kompletny obłąd, wiesz o tym. - Pokręcił gwałtownie głową. - Powiedz gliniarzom o kłapie. Mogą z niej skorzystać.

- Mogą, a jakże. - Robbie podniósł palec do ust, żeby uciszyć przyjaciela. - A ten sukinsyn usłyszy ich na sto procent, kiedy będą leżeli przez cały dach, po czym zrobią użytek z klapy, waląc na dzień dobry ze wszystkich rur.

- Nie zrobią tego - zaprzeczył Josh - jeśli twoja mama i Jake są w mieszkaniu.

- Będą działać na wyrost - upierał się Robbie. - Spłoszą drania. - Na twarzy przyjaciela widział rosnące przerażenie. - Chcę się tylko rozejrzeć po cichu, nic więcej, zobaczyć, co się dzieje. Jeżeli facet ma pistolet albo jakieś ciężkie narzędzie, przysięgam, że zawiadomię policję.

- Nie wierzę ci - odrzekł Josh. - Jak raz tam wleziemy, nie będzie odwrotu, a jak wleziemy sami, źle się to skończy na bank.

- Nie „my” - oświadczył Robbie po cichu. Josh znów mu się przyjrzał.

- O co chodzi? - zapytał Robbie.

- Wyglądasz jakoś dziwnie.

- Jestem taki sam jak zawsze.

Josh nie powiedział nic więcej, był zbyt wtrącony z równowagi, żeby kontynuować rozmowę. W twarzy Robbiego ujrzał coś obcego, co go przeraziło. Jego przyjaciel zawsze był łagodnego usposobienia, nie tchórzzył, ale miał w sobie jakiś luz. W tej chwili wyglądał, jakby wręcz szukał zaczepki, a on dopiero co przyniósł mu jeden z noży swojej matki.

I wtedy, na domiar wszystkiego, Robbie popatrzył na niego i uśmiechnął się lekko.

- Nie mam zamiaru robić nic, z czym nie poradziłbym sobie w pojedynkę - oznajmił.

Teraz Josh naprawdę zgłupiał.

Rianna zaczynała szaleć z niepokoju.

Po raz ostatni czuła się taka bezradna w pierwszych godzinach po uwięzieniu. Teraz, kiedy powinna odetchnąć, wiedząc, że jest bezpieczna i znów może zacząć normalne, prawdziwe życie, wszyscy ją opuścili, zostawiając samą w tym obcym miejscu.

Na domiar złego nikt jej nie chciał nic powiedzieć.

Traktowali ją jak dziecko, a chyba nie ulegało wątpliwości, że po tym, co przeszła, zdobyła sobie prawo, żeby mówić jej prawdę, choćby nie wiem jak nieprzyjemną czy przerażającą.

Robiła się coraz bardziej zła. Na ojca, którego zniknięcie, była tego już niemal pewna, miało związek z Lidią i - to właśnie budziło przerażenie Rianny - z człowiekiem, którego w końcu jeszcze nie ujęto. W porządku, że jej ojciec chciał pomóc w miarę swoich możliwości, skoro mama Robbiego znalazła się w tarapatkach, ale nie miał prawa znów się narażać, nikogo o tym nie informując.

Jeżeli coś mu się stanie...

Rianna wcisnęła pięści w oczy, próbując zagłuszyć te myśli i okiełznać rozhuśtaną wyobraźnię.

Nie tylko ojciec zniknął, Robbie również. I bynajmniej nie dlatego, że chciał odetchnąć świeżym powietrzem, nie wierzyła w tę bajeczkę ani przez sekundę. Ale poprosił, żeby go kryła, a ona się zgodziła, jak ostatnia idiotka.

Gdziekolwiek byli w tej chwili ojciec i Robbie, dokądkolwiek się udali, w tym samym kierunku czy w różnych, wiedziała, że wspólne ognio stanowi Lidia.

Co jest nie tak z tymi dwoma, na miłość boską? Dlaczego nie mogli się zachowywać jak ludzie przy zdrowych zmysłach i zawiadomić policję albo FBI? Czego się obawiali? Jeżeli byli zbyt wielkimi męskimi szowinistami, żeby zaufać Riannie, bo to złe nowiny, czemu nie zwrócili się do grupy operacyjnej albo chociażby do sierżanta Thurlowa, który sprowadził ich z dachu?

Dość tego. Rianna spojrzała na zegar stojący na nocnym stoliku.

Trzy po wpół do dziesiątej. Robbiego i jego przyjaciela nie było już od ponad dwudziestu minut. Zaczynała mieć poważne obawy, że jeśli będzie czekać dłużej, może się okazać za późno.

Cokolwiek usiłowali zrobić Robbie i ojciec, wiedziała, że musi to być niebezpieczne. Głupie. Szalone.

Rianna nie jest szalona.

- Dobra - powiedziała na głos.

Dzwonek przywołujący pielęgniarkę czy telefon? I jedno i drugie, zdecydowała.

Kline nie był szczęśliwy.

Właśnie mu przekazano, że nie tylko Jake Woods zniknął z Bellevue, ale i młody Johanssen.

Dodajmy do tego wiadomość (jeszcze ją przekazywano, kiedy on już wzywał samochód, który miał go szybko zawieźć do północnej części miasta), że są jakieś problemy, jeszcze niepotwierdzone, w budynku przy Siedemdziesiątej Trzeciej, w którym znajdowało się mieszkanie Johanssenów....

Nie lubił hazardu, w tej chwili jednak gotów był postawić farmę, gdyby ją miał, że kroi się afera z zakładnikami, a być może zbrojne oblężenie. Cholerni amatorzy.

ROZDZIAŁ 121

Nasłuchiwałem przez dłuższą chwilę z mojego nowego stanowiska w korytarzu, w połowie drogi między sypialniami a drugim wejściem do kuchni, nim nabrałem pewności, czyj to głos.

Nie Fitzgeralda, byłego studenta Yale.

I nie Kordy, kolekcjonera z akcentem z Massachusetts. Harvardzkie tony, tak, ale łagodniejsze, nie tak twarde jak u Kordy. Głos rozvodził się w tej chwili nad przeszłością, nad dzieciństwem, naznaczonym jakimś osobistym koszmarem. Hal Hawthorne.

Ach, jakże uczynny wobec FBI! Ależ proszę, niech państwo przeszukają mój dom. Gdyby chcieli, mogli przetrząsnąć również jego apartament w Bostonie i tę cholerną winnicę, i nie znaleźliby nic, co przybliżyłoby ich bodaj o krok do ustalenia miejsca pobytu dzieci. Hal Hawthorne mówił o polowaniu.

Lidia miała przemożne uczucie, że ktokolwiek wszedł w tamtym momencie do środka, krąży teraz po mieszkaniu i że lada chwila Hawthorne wstanie, podniesie pistolet i przedzierzgnie się z gawędziarza w zabójcę...

Ale jeśli słyszał cokolwiek, nie dał tego po sobie poznać.

- Młody Hal miał psa - mówił - którego naprawdę kochał. Żadna szczególna rasa ani nic takiego, zwykły kundel, którego znalazł i którego pozwolono mu zatrzymać.

- Jak miał na imię? - zapytała Lidia, obawiając się, że jeśli przestanie mówić, mężczyzna może coś usłyszeć, rzucała więc od czasu do czasu jakąś kwestię, okazując niesłabnące zainteresowanie i zrozumienie. „Kobiety są lepszymi słuchaczami niż mężczyźni, pojmują więcej niż oni”. Wyobraziła sobie tę sentencję w jakimś zbiorku sławnych cytatów: „Hal Hawthorne, 2000 r.”.

- Łobuz - uśmiechnął się łagodnie. - Ojciec uznał, że to idiotyczne imię, ale psu się spodobało. Ojciec twierdził, że nie powinienem mówić

do psa jak do człowieka, bo jest tylko zwierzęciem, stworzonym, żeby spełniać moje rozkazy. - Zawiesił głos. - Wykorzystywał Łobuza, żeby zmuszać młodego Hala do udziału w polowaniach. Groził, że zabije psa, jeśli chłopiec z nim nie pójdzie. Mówił, że syn nie musi sam strzelać, wystarczy, że będzie mu towarzyszył. Przymus asystowania przy zabijaniu był dla młodego Hala torturą, ale o wiele gorsza była pewność, że któregoś dnia ojciec zechce go zmusić, żeby sam zrobił użytek z broni.

Lidia zadrżała w środku; uświadomiła sobie, że to odruch współczucia dla chłopca, którym kiedyś był ten mężczyzna z pistoletem. Mężczyzna, który uprowadził Robbiego, nie zapominaj o tym, Lidio.

- To był jeleń. - Głos Hawthorne'a złągodniał. - Tak cudowny, że młody Hal krzyknął z zachwytu, kiedy go zobaczył, a ojciec rzucił się jak oparzony, kazał mu załadować i strzelać, powiedział, że ma wybierać, albo jeleń, albo pies. Młody Hal chybił celowo, przysięgając, że strzelił najlepiej, jak potrafił. Ale po powrocie do domu, kiedy Łobuz wybiegł chłopcu na spotkanie, ojciec chwycił Hala za rękę, chcąc go zmusić, żeby trzymał strzelbę, po czym posłał psu kulę.

Lidia zobaczyła, że w błękitnych oczach mężczyzny pojawiły się łzy. W jej własnych też.

- Młody Hal krzyknął przeraźliwie i wyrwał dłoń, ale ojciec strzelił, chybiając zaledwie o włos, ot tak, żeby się poznać nad chłopcem i zwierzęciem. Łobuz już nigdy potem nie był taki jak dawniej, zawsze się chował po kątach. - Hawthorne znów urwał. - Podobnie jak młody Hal - dokończył.

ROZDZIAŁ 122

Na parterze systematycznie odcinano poszczególne wejścia do budynku i drogi ewakuacyjne. Zawracano zarówno mieszkańców, jak i odwiedzających, a tym, którzy byli w mieszkaniach, polecono ich nie opuszczać.

Roger Kline miał świetną ekipę, złożoną w siedemdziesięciu procentach z agentów FBI, a w trzydziestu z funkcjonariuszy miejscowej policji, którzy tego wieczoru byli pod jego komendą: taktycy, specjaliści i specjalistki od przeszukiwania i inwigilacji, strzelcy wyborowi - wśród nich nie było ani jednego, który by pochopnie pociągnął za spust...

Siedem ciał i bez tego.

Zdecydowano, że ewakuacja pozostałych mieszkań, znajdujących się na piętnastym piętrze może zaalarmować mordercę, zdradzając obecność policji. Według Alberta Loomisa, dozorca obu budynków, rodzina mieszkająca pod numerem 15A wyjechała i miała wrócić dopiero na początku września, a Rubinsteinowie spod 15B zostali już poinformowani telefonicznie, że mają nie wychodzić z mieszkania i trzymać się z daleka od okien i drzwi.

Portier Joseph podał nieco chaotyczny, ale wierny rysopis Hawthorne'a, pierwszego mężczyzny, którego posłał na górę do mieszkania Lidii Johansen przed kilkoma godzinami.

Nieważne, czy Hawthorne był w tej chwili uzbrojony czy nie; Kline wiedział, że wszyscy zabici, znaleźieni przy Herald Square, zginęli od kul. Pięcioro nastolatków i dwoje dorosłych. Zakładano więc, że zabójca ma przy sobie broń palną.

Psiakrew, mógł posiadać i cały arsenał.

Robbie nie zgodził się, żeby Josh wszedł razem z nim na dach.

- W razie czego mam nóż, chociaż nie będzie potrzeby, aby go użyć - powiedział, kiedy dostali się do piwnicy bliźniaczego budynku i zmierzali w stronę klatki schodowej. - Poza tym, jeśli pójde sam, jest o połowę

mniejsze ryzyko, że facet mnie usłyszy. Zresztą, to moje zadanie...

- To nie jest niczyje zadanie! - Josh wiedział już, że nie ma szans, aby wyperswadować przyjacielowi jego szaleństwo.

- Jeżeli moja mama jest tam z nim - oświadczył Robbie bardzo cicho - to z mojego powodu. Dlatego ta walka należy do mnie, rozumiesz? Poza tym nigdy bym sobie nie darował, gdyby coś ci się stało - dodał szybko.

Josh miał ochotę na niego nawrzeszczeć, co pewnie by zrobił, gdyby nie fakt, że starali się wchodzić po schodach jak najciszej, ale wówczas, w połowie drogi między czwartym a piątym piętrzem, Robbie powiedział chyba najrozsądniejszą rzecz w ciągu ostatniej godziny:

- Tak czy inaczej, jeśli coś pójdzie nie tak i gliniarze będą musieli wkroczyć, jesteś jedyną osobą, która wie, że stara kłapa w suficie nie jest już zabita na głucho.

Tak więc rozstali się na trzynastym piętrze, Josh wrócił do bastionu zdrowego rozsądku, czyli do mieszkania rodziców, podczas gdy Robbie podjął dalszą wędrówkę po schodach ku Bóg jeden wie czemu...

- Josh, Bogu dzięki. - Matka uściskała go na powitanie w sposób, którego ostatnio nie cierpiał, lecz dzisiejszego wieczoru jakoś nie miał przeciwko temu. Ojciec też był w holu, ale nic nie powiedział, tylko popatrzył.

- Gdzie byłeś? - Na szczęście Melania nie dała mu czasu na odpowiedź. - Widziałeś, co się dzieje na dole? Policja kazala wszystkim siedzieć w mieszkaniach i strasznie się martwiliśmy, bo nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś.

- Poszedłem się przejść z kolegami. - Josh modlił się, żeby nie zapytała, z kim konkretnie, bo jakoś jeszcze nie dojrzał do tego, żeby kłamać.

- Więc jak się dostałeś do środka? - spytała matka. - Słyszeliśmy, że nie wpuszczają nikogo do budynku.

- Nikt mnie nie zatrzymał. - Josh wzruszył ramionami. Zerknął na ojca, ale szybko odwrócił wzrok, czując się nieswojo pod badawczym spojrzeniem Davida Steinmana. - Pewnie zwyczajnie miałem fart. - Całą uwagę skupił na Melanii. - Co się właściwie dzieje, mammo?

- Zelma Rubin słyszała, że to jakieś włamanie - wyjaśniła. - Z kolegi Sinney Khama słyszał, że gdzieś w budynku jest człowiek z bombą, ale ojciec mówi, że to niemożliwe, boby nas ewakuowali.

- Logiczne - zauważył Josh, po czym pomyślał, że może powinien siedzieć cicho.

- Dobrze chociaż, że biedna Lidia jeszcze nie wróciła do miasta - odezwała się Melania do męża. - Do tego wszystkiego, co przeszła, jeszcze jej tylko brakuje takich idiotycznych sytuacji pod samymi drzwiami.

Josh skorzystał z okazji i wymknął się do swojego pokoju.

To wszystko zaczynało mu już za bardzo ciążyć.

Stukanie do drzwi.

Zanim otworzył, wiedział, że to ojciec.

David Steinman nie powiedział ani słowa tam w holu, ale Josh wiedział, że jego ojciec jest nader spostrzegawczym człowiekiem.

- Zechcesz mi wyjaśnić, gdzie naprawdę byłeś, Joshua?

ROZDZIAŁ 123

To wtedy młody Hal po raz pierwszy dowiedział się czegoś na temat seksu. Podczas wypraw łowieckich z ojcem. - Mężczyzna urwał raptownie.

Lidia zamarła ze strachu, usiłując rozpaczliwie nie pokazać tego po sobie.

- Wie pani, z przyjemnością napiłbym się jeszcze kawy, jeśli to nie za duży kłopot.

- Ależ skąd.

Wstała, choć nogi trochę się pod nią uginały. Czułaby ulgę, mogąc się trochę pokręcić po kuchni, gdyby nie ten okropny strach, że mężczyzna zrobi to samo i wtedy odkryje, kto znajduje się w korytarzu.

Hawthorne nadal siedział przy stole.

Przysunąłem się bliżej do kuchennych drzwi. Były uchylone, lecz szczelina znajdowała się po przeciwnej stronie niż ja, więc jeśli chciałem zajrzeć do środka, musiałem przejść przed nimi.

Nie mogę tkwić tutaj w nieskończoność.

Choć może tak by było bezpieczniej. Dla Lidii.

Musiałem się jednak dowiedzieć, czy ten człowiek jest uzbrojony.

Telefon zadzwonił, włączyła się automatyczna sekretarka w gabinecie Lidii.

Wykorzystałem tę chwilę, żeby wykonać manewr. Niewielki, ale wystarczający, żeby się znaleźć po przeciwnej stronie drzwi, i oto widziałem Hala Hawthorne'a. Ubrany w białą koszulkę z krótkim rękawem, robiącą wrażenie nieświeżej, siedział przy kuchennym stole Lidii. Teraz zobaczyłem również ją, jak wkłada do zlewu naczynia czy coś innego.

Hawthorne nie wyglądał na większego szaleńca niż podczas naszego pierwszego spotkania w siedzibie firmy.

Ale nim był. Nie ulegało to wątpliwości.

I miał broń.

Pistolet, w stronę którego sunęła właśnie jego prawa dłoń.

Już go trzymał. I odbezpieczał.

Moje serce waliło jak młotem.

Lidia, zdając sobie sprawę z tego, co robi Hawthorne, odwracała się właśnie od zlewu. Była blada, na jej twarzy malowało się niesamowite napięcie. Jej oczy pobiegły szybko w stronę drzwi, moich drzwi, po czym, jakimś nadludzkim wysiłkiem, odwróciła się z powrotem.

- Może wolałby pan rozpuszczalną? - zapytała.

W odpowiedzi Hawthorne zaproponował:

- Może by się pan do nas przyłączył, profesorze?

CZEŚĆ VI

ROZDZIAŁ 124

Wsunąłem pojemnik z gazem do kieszeni dżinsów. Marynarka, którą miałem na sobie tysiąc lat temu (kiedy powiedziałem Lidii, że jadę odwiedzić Cooperów), przydałaby się teraz do ukrycia nożyczek, ale wszystko, co mogłem zrobić, to wsunąć je z tyłu za pasek od spodni.

- Nie zechce pan się przysiąść? - Co za Wersal.

Wszedłem powoli.

Hawthorne wymierzył we mnie pistolet, po czym skierował go w stronę Lidii.

- Niech pan położy nożyczki na stole, profesorze.

Wyciągnąłem je zza paska, podszedłem bliżej, nachyliłem się i położyłem je na blacie.

- Trochę bliżej mnie, proszę - polecił.

Przysunąłem nożyczki bliżej. Zerknąłem na Lidię. Zmęczona, napięta, ale poza tym w porządku.

- Dziękuję. Niech się pan cofnie.

Cofnąłem się posłusznie.

- Jakaś inna broń? Może gliny dały panu pistolet?

- Nie.

- Niech pan podwinie nogawki spodni, po kolei, najpierw jedną, potem drugą. - Hawthorne wciąż miał Lidię na muszce. - Grzecznie i powoli. Dobrze.

Wyprostowałem się spokojnie.

- Nie mam ukrytej broni - powiedziałem. - Naogłądał się pan za dużo filmów.

- Być może - zgodził się Hawthorne.

- I dla porządku - dodałem - nikt nie wie, że tu jestem.

- W tej chwili wiedzą już pewnie gliniarze i FBI na dole pod domem - odrzekł. - Telefon dzwonił. Może to negocjator chce ze mną pogadać.

- Mam przyjaciół - odezwała się Lidia. - Dzwonią od czasu do czasu -

urwała. - Właśnie zamierzaliśmy napić się kawy. Ty też miałbyś ochotę, Jake?

Po raz pierwszy od chwili, gdy wszedłem do kuchni, przyjrzałem jej się dokładnie. Spojrzałem jej w oczy i uśmiechnąłem się. Jej usta nawet nie drgnęły.

- Napiję się z przyjemnością - powiedziałem.

- Niech pan siada, profesorze - polecił Hawthorne.

Wybrałem krzesło z tej strony stołu, po której stałem, żeby móc widzieć Lidię i żeby, kiedy wróci do stołu, znalazł się pomiędzy nią a mordercą.

Przecież ona nie wie, że to morderca.

Hawthorne nie zgłaszał zastrzeżeń co do mojego wyboru.

- Z Robbiem wszystko w porządku - zapewniłem Lidię. Chciałem, żeby to zostało powiedziane, na wszelki wypadek. - Jest w świetnej formie.

- Rianna? - spytała miękko.

- Tak samo.

Była odwrócona do mnie plecami, ale widziałem, że się wzdrygnęła. Żałowałem, że nie mogę wstać, podejść i objąć jej, pragnąłem tego z całą duszą.

- Cóż, bardzo to wszystko sympatyczne - odezwał się Hawthorne i położył prawą rękę na stole, nadal ściskając pistolet. - Proszę mi wyjawić, profesorze, ile zdołał pan stamtąd usłyszeć? Mówiłem właśnie o swoim ojcu. - Urwał. - Wie pan, przez jakiś czas pana nienawidziłem, tylko dlatego że był pan - jest pan - ojcem. Dobrym ojcem.

Milczałem. Lidia zabrała się do parzenia kawy.

- Właśnie opowiadałem o czymś, co ciebie też by mogło zainteresować, Jake. Czy mogę tak się do ciebie zwracać? Lidia i ja jesteśmy już po imieniu, ona nie ma nic przeciwko temu, prawda, Lidio?

- Oczywiście, Hal.

- Mówiłem na temat seksu - ciągnął Hawthorne. - O moich pierwszych lekcjach z tej dziedziny, których udzielał mi ojciec, kiedy zabierał mnie na polowania. Mój stary miał zwyczaj się przechwalać, kiedy byliśmy sami wśród lasów, że dostaje erekcji, gdy zabija. Że mu „staje”, jak się wyrażał. Mówił, że w wojsku było tak samo. Tłumaczył, że zabijanie to dla mężczyzny rzecz naturalna, tak samo jak to, że mu staje, i jak cały dalszy ciąg. Powtarzał, że nigdy nie miał problemów z tymi sprawami, że nawet teraz, na wózku inwalidzkim, wciąż był w stanie zaspokoić żonę. Może, mówił, jeśli młody Hal przestanie się tak mazać, jeśli chodzi o

zabijanie, wyrosnie kiedyś na coś w rodzaju mężczyzny.

Lidia zalała zmieloną kawę wrzątkiem, wyjęła z szafki czyste filiżanki i otworzyła szufladę, żeby wyjąć łyżeczki. Widziałem, że patrzyła do środka o sekundę dłużej niż to konieczne i domyśliłem się, że przygląda się nożom, być może rozważając ryzyko.

Zamknęła szufladę prawie do końca.

- Raz znalazłem czasopismo ilustrowane - Hawthorne znów mówił szybko, jak się wydawało, całkowicie pogrążony w odległym dzieciństwie.

- Jeden z tych szmatławców. Ledwie byłem w stanie uwierzyć, że patrząc na te zdjęcia, dostałem wzrodu. Byłem taki szczęśliwy, że chciałem pobiec do taty i powiedzieć mu o wszystkim.

Teraz również jego lewa dłoń spoczywała na stole, palce od czasu do czasu dotykały lufy, ledwie ją muskając, po czym znów opierały się na blacie...

- Ale coś mnie powstrzymało, bo znałem aż za dobrze humory ojca i nie byłem pewien, jak zareaguje. Poza tym oglądanie brudnych pisemek to nie to samo co zabijanie, więc zachowałem te obrazki dla siebie, w nocy w łóżku pobawiłem się sam ze sobą, łapiąc to, co z tego wynikło, do foliowego woreczka, żeby pokojówka nie zobaczyła śladów i nie doniosła matce.

Zerknąłem ukradkiem na Lidię, która się tymczasem odwróciła. Trzymała oburącz dzbanek, wyraz jej twarzy był nieodgadniony- Zastanawiałem się, czy myśli o wylaniu gorącego płynu Hawthorne'owi na głowę, czy może o rozbiciu na niej całego dzbanka, ale prawa dłoń mężczyzny wydawała się mocno zaciśnięta na rękojeści pistoletu, coraz mocniej, w miarę jak przemierzał dawne, brudne ścieżki...

- Przynieś kawę, Lidio - przerwał nagle opowieść, wprawiając nas w konsternację. - Wybacz mi, ja się tu rozgadałem, a ty stoisz i czekasz.

- Nic nie szkodzi. - Lidia podeszła i postawiła na stole dzbanek.

- Owszem, szkodzi - zaprotestował. - To nie w porządku, wiem o tym. Myślisz, że nie wiem? Nic z tego nie jest w porządku. Ale, jak już powiedziałem, czas ucieka, a tyle jeszcze chciałbym opowiedzieć.

Snajperzy zajęli pozycje, strzelcy wyborowi zostali porozmieszczeni, gdzie się dało, na dachach albo wewnątrz otaczających budynków, we wszelkich możliwych punktach obserwacyjnych. Każdego z nich

poinformowano szczegółowo o różnicach we wzroście i budowie dwóch mężczyzn, których można się było spodziewać w mieszkaniu.

Ruchome centrum dowodzenia, ściągnięte tu za Kline'em z Herald Square, zostało ulokowane na rogu Alei Kolumba. Zarządzono objazdy, a teren wokół budynku, po dwie przecznice w każdym kierunku, został wyłączony z ruchu. W mikrobusie kempingowym, zaadaptowanym i wypełnionym aparaturą, pracowali Kline, Angela Moran, Drew Frankenhimer (młody agent skierowany do LIMBO ze względu na swoje umiejętności w dziedzinie komputerów oraz inwigilacji) oraz ulubiony ekspert Kline'a do spraw taktyki, Joan Storm.

Wszyscy byli sfrustrowani jak jasna cholera, nie mogąc spożytkować swoich talentów z powodu nieskończonej liczby niewiadomych. Czujniki podczerwieni nie rejestrowały żadnej aktywności ani w salonie, ani w żadnej z trzech sypialni mających okna, poza tym coś zakłócało działanie aparatury, która powinna już wychwycić dźwięki dochodzące z mieszkania Johanssenów.

Dotąd nie dostrzeżono śladu Hawthorne'a, Lidii Johanssen ani Woodsa. Ani wykwalifikowanego negocjatora, który był ponoć w drodze, jak zapewniono Kline'a przed dobrą godziną. Jak również psychologa, który także zmierzał do nich gdzieś z miasta. Angela Moran właśnie skończyła maltretować Loomisa, dozorcę, co do dokładnych kształtów i rozmiarów poszczególnych pokoi w mieszkaniu Johanssenów, pomieszczeń z oknami i bez okien oraz wszelkich mebli i innych sprzętów dość dużych, aby mogły mieć znaczenie dla snajperów. Loomis był roztrzęsiony, presja onieśmiewała go jeszcze bardziej, tłumaczył, że nie wzywano go zbyt często pod piętnastkę C, bo lokatorzy doskonale radzili sobie sami, jeśli chodzi o drobne naprawy. Pamiętał, że w mieszkaniu jest duży pokój z fortepianem i pulpitem do nut, a telewizor w salonie znajduje się w module ściennym, więc nie powinien nikomu przeszkadzać, są też tam sofa i fotele, i to właściwie wszystko, co mógł powiedzieć, choć niezmiernie mu przykro z tego powodu. Agentka Moran widziała, że Loomis za chwilę się rozplacze, i nie będzie z niego żadnego pożytku, dała mu więc spokój.

Kline zdecydował już jakiś czas temu, że jest gotów podjąć próbę nawiązania rozmowy z Hawthorne'em, z negocjatorem czy bez, ale w mieszkaniu wciąż zgłaszała się automatyczna sekretarka, i chociaż agent zwracał się do zabójcy głośno i wyraźnie, nie miał pojęcia, czy ten w ogóle go słyszy.

David Steinman nie słuchał, co mówi jego żona.

Melania chciała, żeby został w mieszkaniu i do niczego się nie mieszał. On jednak próbował już dzwonić na portiernię, chcąc rozmawiać z kimś z policji albo z FBI, lecz wszystko, co uzyskał, to wymijające odpowiedzi ludzi, którzy sami nic nie wiedzieli. W końcu postanowił zejść na dół i zmusić kogoś, żeby go wysłuchał.

- Proszę cię, David - błagała Melania, uczepona rękawa jego koszuli. - Jeżeli wyjdiesz z mieszkania, kto wie, co się może stać.

- Nic mi się nie stanie. - David uwolnił rękaw najdelikatniej jak potrafił. - Nasz syn powiedział przed chwilą, że właśnie pomógł wpakować Robbiego i Lidię w jeszcze groźniejszą sytuację niż dotychczas. - Podeszedł do drzwi od mieszkania i otworzył je. - FBI musi się o tym dowiedzieć natychmiast.

Robbie był na dachu. W ogrodzie, który tam urządzono.

Wyteżając wzrok w ciemności, wpatrywał się w bliźniaczy budynek, na wpół oczekując, że ujrzy speców z oddziałów SWAT, czołgających w jego kierunku lub nawet przeskakujących z sąsiedniego dachu na rozhuśtanych linach.

Nic.

Jeśli nawet tam się znajdowali, on ich nie widział.

Mimo wszystko trzymał się blisko dachu, posuwając się w stronę kłapy.

Nad kłapą stała ławka. Była tam od lat, mech jako tako maskował dawny właz. Robbie wiedział, że będzie musiał ją odsunąć bardzo ostrożnie, żeby nie narobić hałasu. Drzwi z klatki schodowej na dach rzeczywiście zaskrzypiały, tak jak go uprzedzał Josh, wręcz jęknęły, ale nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek to usłyszał, a potem Robbie był już cichy jak padający śnieg. Spojrzał na ławkę. Dawniej zawsze odsuwali ją we dwóch z Joshem, bo była ciężka. Teraz musiał to zrobić sam. Ale był też silniejszy, niż kiedy miał dziesięć lat.

Czuł się nieswojo w panujących na dachu ciemnościach...

Zbyt mu to przypominało inne ciemne miejsca.

Podniósł ręce do twarzy, niemal oczekując, że wyczuje pod palcami te cholerne gogle...

Tylko skóra i oczy.

Nim się rozstali, Josh zapytał o to, co Robbie wcześniej powiedział.

- Chyba nie nabiłeś sobie za bardzo głowy tym Steelem, co, chłopie?

Robbie się roześmiał i odrzekł, że nie, skądże.
Wiedział, że nie jest Steelem.
W końcu miał na sobie dres, a na nogach tenisówki.
I prawdziwy nóż zatknięty za pas.

- Przez chwilę poczułem się lepiej - powiedział Hawthorne do Lidii. - Wtedy, kiedy przygotowałaś kolację i usiadłaś, żeby ją ze mną zjeść. Prawie jak w dawnych dobrych czasach. - Pokręcił głową. - To nieprawda. Takich czasów nigdy nie było. - Wzruszył ramionami. - Może raczej czułem się tak, jakbym chciał, żeby było. Normalnie. Pieczeń na kolację, miła kobieta, krzątająca się przy stole. Normalnie. Coś, czego nigdy nie było mi dane zakosztować. - Zamilkł na chwilę i skrzywił się. - Chociaż dawniej przynajmniej nie byłem porywaczem.

Wydawało mi się interesujące - o ile to jest w ogóle właściwe słowo - że Hawthorne adresuje całą tę retrospekcję bardziej do Lidii niż do nas obojga. Może dlatego, że to ją postanowił odwiedzić, co czyniło ze mnie nieproszonego gościa. A może wciąż czuł do mnie nienawiść jako do ojca - nienawiść, o której wspomniał pewien czas temu.

Lidia zdumiewała mnie z każdą chwilą bardziej. Trudno powiedzieć, jak długo musiała znosić obecność mordercy, nim się pojawiłem, lecz nie było po niej widać autentycznego strachu. Widziałem, że co jakiś czas zwilża wargi językiem albo pije łyk kawy, ale dłoń trzymająca filiżankę nie drżała.

A jednak to w niej tkwiło, w głębi oczu. Widziałem to wyraźnie, kiedy nasze spojrzenia się spotykały. Jakby błaganie. Zrób tak, żeby było dobrze, ale nie popelniaj żadnego szaleństwa.

Nie byłem pewien, co moje oczy przekazują jej.

- Czy to nie sympatyczne? - odezwał się nagle Hawthorne. - Wiesz, Jake, to już drugi dzbanek kawy, który dla mnie zaparzyła. - Znów zwracał się do mnie. - No i, oczywiście, pieczeń. Notabene, nie wiem, czy kiedykolwiek przedtem jadłem coś podobnego. Choć szczerze mówiąc, nie jest to moja wymarzona potrawa, ale cóż, morderca nie może wybrzdziąć, prawda? W końcu ostatnia wieczerza to ostatnia wieczerza.

Słowo „morderca” zawisło w powietrzu.

Lidia spojrzała na mnie, jej źrenice rozszerzyły się z przerażenia, groza powróciła ze świeżą siłą, mimo moich wcześniejszych zapewnień, że Robbie jest bezpieczny. Pokręciłem głową i uśmiechnąłem się lekko, żeby jej dodać otuchy. Zrozumiała, skinęła głową, lecz niemal widziałem, jak nowe straszne przeczucia zakradają się do jej myśli. Jeśli nie Robbie i

Rianna, to w takim razie Michael Cooper i pozostali.

- Miła kobieta. - Hawthorne znów był uprzejmy. - Ani razu nie spróbowała oblać mnie gorącą kawą lub dźgnąć jednym z tych noży z szuflady. Gawędzimy sobie, a założę się, Lidio, że jestem w tym domu jednym z bardziej niezwykłych gości. Porywacz i morderca. Prawdziwy mężczyzna, według standardów mojego ojca, człowiek, który nauczył się zabijać samym dotknięciem palców. Albo za pomocą kuli, bo oczywiście, jest łatwiej, kiedy nie trzeba tego robić własnymi rękami, chociaż ów akt nadal przyprawia mnie o mdłości. Mówiłem ci o tym, Jake, prawda?

- Mówiłeś. - Czekałem, czekałem, kiedy odłoży choć na chwilę pistolet i da mi szansę, on jednak nie wypuszczał broni z ręki ani na sekundę, podnosił filiżankę lewą ręką, drapał się po głowie lewą dłonią, gestykulował - wszystko tą cholerną lewą ręką.

Telefon znów zadzwonił, kilka razy. Słyszeliśmy - nawet człowiek, którego umysł był na wpół pogrążony w przeszłości, musiał usłyszeć męski donośny głos nagrywający się na sekretarkę, chociaż wciąż nie dało się rozróżnić słów. Kline, jak się domyślałem, albo może negocjator, ale Hawthorne nie okazał najmniejszego zainteresowania odebraniem telefonu.

- Ojciec nakrył raz na tym młodego Hala. - Znów cofnął się o wiele lat wstecz. - Śmiał się, że chłopak potrzebuje do tego zdjęć, haniebnego odosobnienia, zamkniętych drzwi. Sprzął go za to, siedząc na swoim wózku, tłukł go obiema rękami, bił, bił i bił. Oświadczył, że żadna kobieta nie będzie go nigdy szanować, że żadna go nie zechce. Żadna nie zechce brudnego, godnego pogardy tchórza, takiego jak on. Potem kazał synowi iść pod prysznic, zmusił chłopca, żeby wziął szczotkę i szorował się aż do krwi. Patrzył, kiedy młody Hal to robił, i sprawiało mu to przyjemność.

- Przykro mi - szepnęła Lidia. Myślę, że mówiła szczerze.

- Mnie również - powiedział Hawthorne.

Ktoś był na górze.

Sprzęt Frankenhaimera zarejestrował to, czego ludzkie oko nie było w stanie dostrzec.

Jakaś postać przycupnęła na dachu domu, w którym mieszkali Johanssenowie, dokładnie nad ich mieszkaniem. Według architektonicznych planów budynku i według Loomisa - choć nikt nie przywiązywał

zbyt wielkiej wagi do słów roztrzęsionego dozorca - nie było wejścia z góry do mieszkania, ale wszyscy wiedzieli, że istnieje mnóstwo sposobów, za pomocą których nowojorscy złodzieje spuszcza się z dachów do pomieszczeń.

Jeśli to był ów drań i jeśli udałoby im się wziąć go na cel, ani Kline, ani Joan Storm, ani którykolwiek ze snajperów porozmieszczanych wokół nie miałby cienia skrupułów, wysyłając go na tamten świat.

Problem w tym, że nikt nie wiedział, czy to Hawthorne.

Nikt nie wiedział, kto to, u diabła, jest.

ROZDZIAŁ 125

Thea Lomax siedziała przy łóżku Normana Bauma, który właśnie opuścił oddział intensywnej terapii w Hartford Hospital, całkowicie przytomny, rokujący znakomicie pod warunkiem, że będzie wypoczywał, przestrzegał zaleceń lekarzy i że nie nastąpią nieprzewidziane komplikacje. Na usilne prośby detektywa współpracownika poinformowała go najdokładniej jak mogła o tym, co się wydarzyło, starając się skupiać na dobrych wieściach, ale Baum znał ją zbyt dobrze. Był jak pies, ogryzający kość, i kiedy w końcu uznał, że przegryzł się aż do szpiku, chciał wstać, wziąć ubranie i jechać do Nowego Jorku.

- Schowałam twoje rzeczy - powiedziała Thea. - A swoją drogą, co właściwie miałeś zamiar zrobić, kiedy już tam się znajdziesz, nago czy w ubraniu?

- Co będzie trzeba - odparł detektyw.

Nie było mu w tej chwili do śmiechu, bo wśród innych faktów, które wyciągnął od swojej współpracownicy, znalazła się wiadomość o śmierci pięciorga zaginionych nastolatków - pięciorga, nie czworga, o których wiedzieli, co oznaczało tragedię dla jednej rodziny więcej i co również, niemal na pewno, oznaczało, że wśród ofiar śmiertelnych znajduje się Michael Cooper, chłopiec, którego sprawę zlecono Normanowi na samym początku. Przed oczyma miał twarze tamtych dwojga nieszczęśników, tak żywe w jego pamięci, widział świeże, krwawiące rany w ich sercach, ponieważ syn nie dawał znaku życia. A Norman Baum nigdy nie potrafił się zdobyć na dystans, więc w tej chwili miał ochotę płakać i krzyczeć na całe gardło, a gdyby nadarzyła się sposobność, sądził, że byłby w stanie zabić.

- Przykro mi - powiedziała Thea Lomax.

- Wiem o tym - odrzekł i uściśnął jej dłoń.

Ale to, że im było przykro, nie pomogło Normanowi Baumowi.

ROZDZIAŁ 126

Windy nie działały, David Steinman musiał więc iść po schodach, ale między dziewiątym a ósmym piętrem napotkał umundurowanego policjanta i drugiego faceta w cywilu. Obaj wyciągnęli broń i zażądali okazania dowodu tożsamości (tak się złożyło, że pomyślał o wsunięciu prawa jazdy do tylnej kieszeni, nim wyszedł z mieszkania), po czym kazali mu wracać na górę.

- Najpierw muszę porozmawiać z kimś, kto tu dowodzi.

- Musi pan wrócić do swojego mieszkania... - powtórzył mężczyzna w cywilu.

- Pan mnie nie słucha - przerwał mu Steinman.

- To pan nas nie słucha. - Mężczyzna schował broń do kabury, ale teraz jego dłoń znów błędziła w pobliżu kolby. - Utrudnia pan operację prowadzoną przez FBI, więc jeśli nie chce pan zostać aresztowany...

- Na litość boską! - ryknął Steinman, po czym pośpiesznie zniżył głos.

- Na dachu jest chłopiec, który teraz, w tej chwili, próbuje się dostać do mieszkania Johanssenów. - To właśnie usiłuję panu powiedzieć!

- Ojciec powiedział kiedyś młodemu Halowi, że nie ma większego bólu niż fakt, że musi się wstydzić za swojego jedyne go syna.

Lidia i ja słuchaliśmy w milczeniu, podczas gdy Hawthorne wciągał nas w swoje prywatne piekło. Na chwilę zaświtała mi myśl, że każdy dokumentalista uznałby to za nie lada gratkę i pewnie niejeden psycholog również. Potem przez sekundę ogarnęła mnie litość, ponieważ słuchałem osobistych wynurzeń człowieka autentycznie udręczonego. Po czym przypomniałem sobie, że, udręczony czy nie, Hal Hawthorne stał się mordercą dzieci - i moje współczucie zniknęło.

Ojciec oświadczył to samo matce Hala, a ona powtórzyła wszystko - wraz z informacją o grzechu masturbacji syna - swojemu spowiednikowi, ojcu Kilkenny'emu, który przyszedł, aby przedstawić chłopcu, w łagodnych, a także, słowach, jego perspektywy smażenia się w piekle.

W mieszkaniu panowała nienaturalna cisza, którą zakłócał jedynie odgłos kropel, kapiących z niedokręconego kranu i uderzających o brzeg filiżanki stojącej w zlewie.

- Któregoś dnia - podjął opowieść Hawthorne - ojciec znów polecił chłopcu, żeby pojechał z nim na polowanie, a młody Hal, raz w życiu okazując krnąbrność, odmówił. Tego samego dnia ojciec strzelił sobie w czoło. Później, zaledwie w kilka godzin po tym, gdy matka dowiedziała się o jego śmierci, powiedziała młodemu Halowi, że posiadanie syna tchórza było dla ojca największą zgrzyotą życia. Podobno zwierzał jej się nieraz, że czasem żyć mu się odechciewa z tego powodu.

Błękitne oczy nie były już wilgotne ani zasnuwane mgłą, wspomnień, ale po prostu puste.

- Tak więc młody Hal wiedział już, że cokolwiek się wydarzy od tej chwili aż do jego śmierci, wszystko jest przesądzone, wszystko zapisane.

Czeka go ogień piekielny.

Snajperzy mierzący w dach nad mieszkaniem zostali ostrzeżeni, że mająca tam sylwetka może należeć do Robbiego Johanssena, nie do przestępcy, oraz że być może istnieje wejście z dachu do mieszkania. Kline, Moran i Storm zjawili się pod numerem trzynastym, zdecydowani wycisnąć z trojga Steinmanów wszystkie informacje, do ostatniej kropli.

Josh siedział w kuchni z Angelą Moran, zdradzając wszystkie sekrety kłapy, które agentka przekazywała na bieżąco Kline'owi, będącemu w sąsiednim pokoju i równolegle Frankenheimerowi w ruchomym centrum dowodzenia. Ponieważ mieszkanie Johanssenów wchodziło początkowo w skład prywatnego apartamentu, należącego do właściciela budynku, tłumaczył Josh, facet chciał mieć własne wyjście do ogrodu na dachu, zainstalował więc kłapę i drabinę z barierką. Aaron Johanssen uznał to za zbyt niebezpieczne i zabił ją na głucho, kiedy Robbie był małym dzieckiem. Tak pozostało, dopóki Robbie i Josh jej nie wyważyli mniej więcej przed sześciu laty, żeby móc używać tego wyjścia do własnych potajemnych celów.

W salonie Melania i David Steinmanowie odpowiadali na rzeczowe pytania Joan Storm. Melania, z opanowaniem, które zdumiewało ją samą, opisywała z zamkniętymi oczyma trzy główne pomieszczenia pozbawione okien w mieszkaniu Lidii: kuchnię, pokój muzyczny i hol.

- I jeszcze dwie łazienki - dodała - ale są za małe. - Urwała, otwierając oczy, w nagłym popłochu. - Chyba że zamknęła ich w środku, a sam...

- Meble - przerwała jej Joan. - Wyobraź sobie całe mieszkanie, Melanio. Wyobraź je sobie po ciemku, wyobraź sobie naszych ludzi, próbujących wejść do środka bez wpadania na sprzęty.

- Mogę wam to trochę przybliżyć - odezwał się David.

- No to już - powiedziała Joan.

Kline słuchał Steinmanów i Angeli Moran, rozmawiał z Frankenheimerem, sprawdzał rozmieszczenie ludzi i robił wszystko, co w jego mocy, aby osiągnąć stan gotowości bojowej. Ponieważ sprzęt do nasłuchu nadal nie działał jak należy, postanowili opróżnić sąsiednie mieszkanie z lokatorów i zainstalować w ścianach sondy optyczne oraz podsłuchowe, dzwoniąc co kilka minut do mieszkania Johanssenów, aby zagłuszyć odgłosy montażu. Jednak ich mikroskopijne kamery pokazywały wyłącznie pusty hol i salon, a jedyne dźwięki, jakie udało się wychwycić, to dzwonek telefonu, automatyczna sekretarka zgłaszająca się w którymś z pokoi, tykanie kilku zegarów oraz szum aparatury klimatyzacyjnej.

Oraz ledwie dosłyszalne głosy dwóch mężczyzn i kobiety.

Przypuszczalnie Hawthorne'a, Woodsa i Lidii Johanssen.

Najprawdopodobniej, jak się wszyscy domyślali, w kuchni, jednym z pomieszczeń pozbawionych okien.

Cholerni architekci.

Wynikało z tego przynajmniej tyle, że Hawthorne jeszcze nie uśmiercił swoich zakładników. Między innymi dlatego, przypuszczali agenci, że gdyby ich zabił, straciłby swoich przymusowych słuchaczy, których, jak im się wydawało, potrzebował na tym etapie - co potwierdził psycholog siedzący z Frankenheimerem w ruchomym centrum dowodzenia.

Wszyscy ludzie z jakimkolwiek doświadczeniem w tej materii byli zgodni, że człowiek, który zabił przynajmniej siedmioro ludzi i który w tej chwili, zamiast próbować ucieczki, wybrał to miejsce, chociaż musiał wiedzieć, że szybko zostanie zlokalizowany, zmierzał ku czemuś w rodzaju finału. Ów finał pozwoliłby mu zrzucić brzemień popełnionych czynów albo chełpić się nimi, albo jedno i drugie. Lecz także, z czego Hawthorne na pewno zdawał sobie sprawę, musiało się to skończyć jego własnym aresztowaniem lub śmiercią.

Pytanie, na które nikt nie był w stanie odpowiedzieć, brzmiało: co morderca zamierza przedtem zrobić z Lidią Johanssen i Jakiem Woodsem, dwojgiem ludzi, których mógł uważać za sprawców swojej klęski. I z Robbiem Johanssenem, o ile chłopak wpakuje mu się prosto w łapy.

Hal Hawthorne nie miał już nic do stracenia.

Musieli go usunąć, gdy tylko nadarzy się pewna i bezpieczna sposobność.

Jeden strzał czy pięćdziesiąt, to nie miało dla Kline'a znaczenia.

Oddział strzelców wyborowych zajął pozycję u wylotu schodów prowadzących na dach. W pełnej gotowości czekali na rozkaz, aby wejść do ogrodu, a stamtąd do mieszkania. Joan Storm, najłżejsza i najszybsza z całej ekipy, miała właśnie ruszyć w tamtym kierunku, aby spróbować zawrócić nastolatka, jeśli jeszcze nie wszedł do środka.

W obecnym stanie rzeczy był to absolutny priorytet.

Jeżeli nadarzyłaby się jakakolwiek szansa - o ile tylko nie zwiększało by to zagrożenia dla niewinnych osób, znajdujących się w mieszkaniu - musieli powstrzymać Robbiego Johanssena przed otwarciem kłapy. Jeżeli to by im się nie udało, żadna z opcji, jakie pozostawały, nie wydawała się dobra.

Wszyscy byli raczej zgodni co do tego, że już za późno na rozmowy - z negocjatorem, który nadal się nie pojawiał, czy bez niego. Gdyby Hawthorne chciał rozmawiać, odebrałby telefon już dawno, a gdyby posłużyli się megafonem, ryzykowali, że go spłoszą i zaprzepaszczą to, co ewentualnie udało się osiągnąć Woodsowi albo matce Robbiego.

A jeśli by weszli za chłopcem, nawet najciszej, odcinali mu najlepszą drogę odwrotu i w ten sposób wystawiali go na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Którędy by weszli - przez kłapę, przez drzwi frontowe czy przez okna - Hawthorne miałby czas, żeby zabić zakładników, zanim odsiecz dotrze do kuchni.

Strategia przegrany-przegrany.

ROZDZIAŁ 127

Robbie jeszcze nie wszedł do środka.

Właśnie skończył przesuwając ławkę, tarasując wejście. Było tak ciemno i tak niewiele widział, że za pierwszym razem się pomylił i przesunął ją w złym kierunku. Musiał powtórzyć operację i omal jej przy tym nie upuścił, co wprawilo go w popłoch. Okazała się cięższa, niż pamiętał, a może to on był słabszy, niż mu się wydawało. Może dlatego chcieli go zatrzymać w szpitalu. Zaczynał żałować, że odesłał Josha...

Tak naprawdę, osobą, którą naprawdę chciałby mieć w tej chwili przy sobie, była Dakota.

Ta myśl go zastopowała.

Wybij to sobie z głowy, Johanssen.

Tylko tego brakowało, żeby zaczął sobie wmawiać, że jest Steelem.

Nie potrzeba nam więcej czubków, chłopie.

Nie zdawał sobie sprawy z żadnych ruchów ani odgłosów na dachu sąsiedniego budynku. Był znów całkowicie, absolutnie skoncentrowany na tym, żeby otworzyć klapę. Wejść do środka i uratować swoją mamę i tatę Rianny.

Nic innego się nie liczyło.

- W tydzień po śmierci ojca poszedłem na pływalnię i zmusiłem się do skoku ze szczytu trampoliny.

Znów mówił w pierwszej osobie - zauważyłem to i zerknąłem na Lidię. Zobaczyłem, że jest pochłonięta opowiadaniem Hawthorne'a i patrzy gdzieś w dal posepnym wzrokiem.

- Myślałem, że umrę ze strachu, naprawdę byłem przekonany, że ten skok mnie zabije. A kiedy to nie nastąpiło, rozejrzałem się za ojcem, pewien, że zobaczę go na brzegu, w wózku, jak wyrzuca w powietrze zaciśniętą pięść triumfalnym gestem. Lecz jego tam oczywiście nie było. Nie było nikogo, komu robiłoby bodaj najmniejszą różnicę, czy zdobyłem się

na ten zafajdany skok czy nie. - Hawthorne urwał. - Stał za to inny chłopiec, młodszy ode mnie. Uczyli go skakać z brzegu do wody, ale za bardzo się bał. Przez kilka minut obserwowałem jego, jego nauczyciela i paru kolegów. Na ich twarzach malowała się pogarda i po raz pierwszy w życiu ja również poczułem pogardę. Wreszcie, kiedy było za późno, zrozumiałem, jak musiał się czuć mój ojciec. - Spojrzał najpierw na Lidię, potem na mnie. - Nieźle popieprzone, prawda? - Wzruszył ramionami. - Myślę, że tak właśnie dorastałem. Popieprzony. W sprawach fizycznych też, wiecie, co mam na myśli. Bez seksu z kobietami, bo ojciec powiedział, że mnie nie zechcą, i miał rację. Bez masturbacji, z wyjątkiem tamtego jednego razu... - urwał. - No i jeszcze to piekło, było się nad czym zastanawiać. Niebo i piekło kiedyś miały dla mnie jakiś sens. Teraz już prawie nie ma sensu. A niedługo i to....

Rianna powinna była spać.

Wcześniej zapadła w krótką drzemkę, trochę z wyczerpania, trochę z potrzeby ucieczki, ale śniła, że znów jest Dakotą, przykutą do torów kolei podziemnej, szczury przebiegają jej z piskiem po nogach, a ona krzyczy rozpaczliwie, wołając Steela na ratunek... Potem odwróciła głowę w lewo i zobaczyła, że jej ojciec został przykuty do sąsiedniego toru, z tunelu zaś wylania się właśnie pociąg i pędzi w jego kierunku, gwizdząc przeraźliwie, jest coraz bliżej, a Steela nigdzie nie widać.

Po tym przeżyciu postanowiła już nie spać.

Pielęgniarka zaproponowała jej tabletkę, żeby mogła się odprężyć, ale Rianna podziękowała, mówiąc, że czuje się zupełnie dobrze, i pielęgniarka odeszła.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Kim. Wiedziała, że jeśli poprosi, Kim zostawi Ellę z Tomem i przyjedzie do niej do Nowego Jorku, żeby z nią posiedzieć. Lecz było już późno i Rianna nie chciała, żeby Kim jechała po ciemku, może zbyt szybko, niespokojna o nią. Tak właśnie zginęła jej matka, choć powodem nie był nawet niepokój o bliskich - po prostu była spóźniona, a wiozła komuś zamówioną kolację...

Jeszcze trochę - myślała, leżąc na boku w niewygodnym szpitalnym łóżku i wpatrując się w okno, i jeśli ktoś nie przyjdzie i nie powie w końcu, co się dzieje z jej ojcem, Robbiem i Lidią, może przestać być grzeczną dziewczynką, jaką prawie zawsze była Rianna Woods. Jeszcze trochę

i zacznie krzyżeć, chociaż wątpiła, czy to przyniosłoby odpowiedź. Wszystko, co by zapewne uzyskała, to uspokajający zastrzyk.

Rianna nie przepadała za igłami, ale w tej chwili porcja wymuszonej utraty świadomości stanowiła nieliczną pokusę.

Gdyby nie sny, oczywiście.

Joan Storm uznała, że próba zawrócenia Robbiego byłaby zbyt niebezpieczna dla niego.

Po pierwsze, drzwi skrzypnęły przeraźliwie, kiedy ich dotknęła, a nawet jeśli nastolatek pokonał je, jak się wydawało, nie zwracając na siebie uwagi mordercy, nie oznacza to, że jej też się uda.

Po drugie, obserwując zachowanie chłopca, nie miała wątpiwości, że jest absolutnie zdeterminowany, by otworzyć tę piekielną klapę, a wiedziała, że gdyby chciał ich pomocy, toby się do nich zwrócił. Kto wie, w jakim był stanie psychicznym po tym wszystkim, co przeszedł?

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, była szarpanina między agentką FBI a ofiarą porwania.

- Nie było mi łatwo po tym, gdy ojciec zginął w taki sposób. Dorastanie, pokierowanie własnym życiem tak, jak tego po mnie oczekiwano.

Wciąż mówił, z jego ust lał się niepowstrzymany potok słów.

Nie wiedziałem, co się dzieje w głowie Lidii, ale jeśli chodzi o mnie, wszystko, co bodaj trąciłoby współczuciem dla „młodego Hala”, ulotniło się bez śladu i byłem bliski wybuchu. Jeszcze trochę tego głosu, z lubością napelniającego kuchnię wszelkim paskudztwem, i doprawdy nie wiedziałem, czy zdołam się powstrzymać, żeby nie skoczyć na sukinsyna...

Lecz on wciąż miał w ręku broń.

- Oczywiście, pod pewnymi względami nie było źle - ciągnął swoją bezładną opowieść Hawthorne. - Jeśli chodzi o sprawy materialne, nie miałem powodów do narzekania. Po prostu nigdy nie czułem, że jestem taki jak inni, nigdy nie czułem się normalny. - Kolejne wzruszenie ramion. - Żyłem jednak dalej, poszedłem na Harvard i całkiem nieźle sobie radziłem, znalazłem nawet coś, co mi się spodobało i w czym byłem dobry. Nic z tego nie uzyskałoby aprobaty mojego ojca, nie muszę dodawać. - Zawiesił głos. - Chociaż znalazłem też swojego mistrza *dim mak* - dodał po chwili. - Być może akurat o tym starszek nie byłby najgorszego zdania.

Telefon znów dzwonił i po raz kolejny zgłosiła się automatyczna sekretarka.

Hawthorne po raz kolejny go zignorował. Obrzucił nas uważnym spojrzeniem.

- Nie macie do mnie żadnych pytań? Przed końcem?

- Całkiem sporo - odrzekłem. Mój głos był lekko ochrypliwy, w gardle czułem suchość.

- W takim razie lepiej je zadaj - powiedział.

- Może napiłbyś się wody, Jake? - zapytała Lidia.

- Szkoda czasu. - Nie za ostro, ale wyglądało na to, że jego dłoń zaciska się coraz mocniej na kolbie pistoletu.

- Może następnym razem byś odebrał, jak zadzwoni? - zwróciła się do niego Lidia.

- Nie ma nikogo, z kim miałbym ochotę porozmawiać - oświadczył. - Z wyjątkiem was dwojga. - Uśmiechnął się. - I Steela, i Dakoty, oczywiście. Naprawdę chciałbym znów z nimi pogadać, choć wiem, że to niemożliwe.

Ujrzałem zaskoczenie i dezorientację na twarzy Lidii. Uświadomiłem sobie, że wciąż nie ma pojęcia, co się wydarzyło przy Herald Square.

- Hawthorne nazywa w ten sposób Robbiego i Riannę - wyjaśniłem pośpiesznie.

- Wiesz, Lidio, byli naprawdę fantastyczni - odezwał się do niej. - Powinnaś to wiedzieć. Zwłaszcza twój chłopiec, chociaż Dakota też jest świetna, a stałaby się niezrównana, gdyby jej dać więcej czasu. Lepsza niż ktorekolwiek z pozostałych.

- Dlaczego?

Nowy ton w głosie Lidii, nieskrywany gniew, który się w nim pojawił, zelektryzował mnie i postawił w stan pogotowia.

- Co dlaczego? - zapytał Hawthorne. - Lepiej wyrażaj się konkretnie. Zostało tak niewiele czasu.

- Dlaczego to zrobiłeś? To wszystko? Czemu uprowadziłeś te dzieci?

- To nie były dzieci - zaprzeczył. - To byli młodzi mężczyźni i kobiety. Zrozumiałabyś mnie lepiej, gdybyś tam była.

- Nie - odparłem twardo i dobitnie - Nie rozumiałabyś.

- Nie rozumiem. - David Steinman był zirytowany. - Skoro uważacie, że jest za późno, żeby ściągnąć Robbiego z dachu, dlaczego wasi ludzie nie ruszą po prostu za nim i nie wejdą do środka tą samą drogą?

- Z tego samego powodu, dla którego nie włamaliśmy się przez drzwi frontowe. - Młody agent z terenowego oddziału na Manhattanie, oddelegowany przez Kline'a do mieszkania Steinmanów, z dumą używał słowa „my”. - Nie chcemy, żeby zginęli niewinni ludzie.

- Więc pozwolicie, żeby chłopiec wszedł tam sam? - Melania była również zaskoczona.

Cieszyła się, że Josh poszedł do swojego pokoju i puszczał w tej chwili głośną muzykę, jak wiedziała, na próżno usiłując zagłuszyć w ten sposób własny lęk.

- Niewykluczone, że już jest w środku - oznajmił agent. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co się dzieje, w ogóle wiedział niewiele poza tym, że jego zadaniem jest dopilnowanie, aby ta rodzina nie opuszczała swojego mieszkania do czasu zakończenia operacji.

- W takim razie co robicie? - naciskał David.

- Wszystko, co w naszej mocy, zapewniam pana.

- To było trochę jak film - powiedział Hawthorne. - Jak film kręcony na żywo. - Znów wrócił do przeszłości. - Próbowałem tego wiele lat po śmierci ojca, kiedy potrzeby znów zaczęły dawać znać o sobie. Tamte potrzeby, wiecie. Wypożyczałem filmy, ale przypominały ów dzień, gdy ojciec nakrył mnie z czasopismami, więc powiedziałem sobie, że i bez tego żyje mi się przyzwoicie. Miałem już wtedy firmę, gry i wspólników, którzy mnie szanowali.

Podniósł się nagle, pierwszy raz, odkąd wszedłem do kuchni. Nigdzie nie poszedł, po prostu rozprostował nogi, a następnie przełożył pistolet z prawej ręki do lewej, rozprostował palce prawej dłoni, poruszał nią w nadgarstku, żeby pobudzić krążenie krwi, po czym broń wróciła na swoje miejsce.

Cała operacja zajęła nie więcej niż siedem, najwyżej osiem sekund.

Zbyt mało, żeby cokolwiek zrobić. Z pewnością zbyt mało, żeby dopaść na wpół otwartej szuflady i spróbować znaleźć w niej nóż.

- Potem, któreś nocy, kiedy pracowałem do późna, sam w swoim gabinecie, jeśli nie liczyć Dakoty i Steela - moich małych cybernetycznych przyjaciół, którzy dotrzymywali mi towarzystwa - to się stało.

Po prostu się stało. - Hawthorne usiadł ciężko z powrotem. - Byłem wstrząśnięty. Pomyślałem o ojcu, wróciłem do swojego domu w Chester, wszedłem pod prysznic i znów szorowałem się do krwi. Powiedziałem sobie, że jestem zły, przysięgałem, że to się nigdy więcej nie powtórzy. - Znów pokręcił głową, tym razem mniej energicznie. - Tylko że nie mogłem

przestać o tym myśleć i, oczywiście, potrzebowałem tego. Każdy tego potrzebuje, prawda? Od tamtej chwili pragnienie rosło coraz bardziej i uświadomiłem sobie, co traciłem do tej pory. Przecież nikomu nie szkodziłem, a piekło i potępienie wciąż wydawały się bardzo odległe. - W jego oczach pojawił się nikły ślad uśmiechu. - Prawda jest taka, że im częściej to robiłem, tym bardziej czułem się zakochany w...

Parsknąłem. Odraza i niedowierzanie były silniejsze od mnie.

- Wiem, jak to brzmi, Jake, ale odczuwałem to jako swego rodzaju miłość. Ich wspaniałe, perfekcyjne ciała, ich odwaga...

- Oni nie byli prawdziwi - przerwałem mu, nie mogąc się powstrzymać. - Byli jak postacie z kreskówki!

Hawthorne zignorował moje słowa.

- Im bardziej ich kochałem, tym lepszy byłem w pracy, bardziej twórczy, pomysłowy...

- Pomysłowy?! - Wiedziałem, że Lidia jest coraz bardziej spięta, lecz kiedy już raz zacząłem, kiedy wtargnąłem na przepastne śmietnisko psychiki tego człowieka, nie mogłem się powstrzymać. - Porywanie dzieci, trzymanie ich pod kluczem, terroryzowanie, znęcanie się...

- Nigdy się nad nikim nie znęcałem! - W jego pełnym oburzenia głosie zadźwięczał piskliwy ton. - Dbałem o nich, karmiłem ich, ja...

- Zabijałeś ich! - wybuchnąłem. - Zamordowałeś siedmioro ludzi!

- Nienawidziłem tego! - Niemal wypluł mi te słowa w twarz. - Nie jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak tego nienawidziłem. Już wam mówiłem, czym było dla mnie zabijanie, mówiłem, że trudno mi się zmusić, żeby rozdeptać owada...

- Zabiłeś siedem osób! - ryknąłem, na wpół uniesiony z krzesła, pozostając na miejscu tylko dlatego, że ręka Hawthorne'a znów uniosła się nad blat i mocno ścisnęła pistolet... - O tyłu wie policja. Z tego, co wiemy, mogłeś zabić i dwudziestu siedmiu!

- Nie! - Był przerażony. - Tylko tamtych.

- Tylko? - powtórzyła Lidia jak echo.

- Jeżeli to nie ty - mówił Fitzgerald do Kordey - i jeżeli to nie ja, i skoro wszyscy nabrali wody w usta, jeśli chodzi o Hala, to...

Zwolnieni jakiś czas temu przez FBI współpracownicy ustalili zgodnie, że wolą wrócić do pracy niż do domu. Lepiej przekroczyć próg firmy wieczorem niż w ostrym świetle poranka, przy pełnej obsadzie pracowników, oczekujących od nich wyjaśnień.

Biuro Kordy wyglądało tak jak zawsze, jednak obaj mężczyźni czuli się nieomal splugawieni. Przybici. Wstrząśnięci.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Korda. - Nie wierzę w to.
- Ja też nie.
- Może się mylą?
- Nie sędzę - odezwał się kobiecy głos.

Spojrzeni obaj w tamtą stronę i zobaczyli Ellen Zito, opierającą się o framugę drzwi.

- Często zastanawiałam się nad Halem - powiedziała.
- Naprawdę? - Korda był zaskoczony.

Ellen weszła za próg, jak gdyby chciała sprawdzić, jaka temperatura panuje w pomieszczeniu.

- Czy nie wydawał się wam czasem trochę dziwny?
- Nie bardziej niż inni - odparł Fitzgerald z kamienną twarzą.
- Chodź, Ellen, wypij lampkę koniaku - zaproponował Korda.

Zrobiła jeszcze parę kroków, po czym stanęła i przyglądała się, jak szef nalewa jej drinka.

- Co to oznacza dla nas? Dla firmy? Jeśli by się okazało, że to Hal?
- Nie wiem - odrzekł Korda i podał jej kieliszek.
- Te wszystkie dzieci - mruknął Fitzgerald.
- Nadal w to nie wierzę - powtórzył Korda.

- Nie wszyscy byli młodzi - powiedział Hawthorne. - Ci, których musiałem zabić. - Oblizął wargi, jego oddech stał się szybszy. - Człowiek, który pomagał mi zainstalować aparaturę VR. Musiałem go zastrzelić, bo ciągle zadawał pytania.

Znów siedziałem na swoim miejscu, w milczeniu. Lidia też była bardzo cicha, robiła wrażenie oszołomionej.

- Większość z nich o nic nie pytała - ciągnął morderca. - Robili swoje, brali pieniądze i już. Izolacja akustyczna poszła gładko, facet od elektroniki też nie robił problemów. Nie potrzebowałem niczyjego pozwolenia na te prace, bo ojciec zapisał budynek mnie, nie matce (przypuszczalnie, żeby zaoszczędzić na podatkach), więc miejsce wydawało się idealne. Apartament na najwyższym piętrze i mieszkanie piętro niżej zostawiłem do własnego użytku, więc nikt nie miał prawa się czepiać. Ale facet od urządzeń VR wtykał nos w nie swoje sprawy, a potem gość, który instalował chłodnię, też się okazał zbyt ciekawski i - o Boże, to również było okropne.

- Naprawdę? - Miałem wrażenie, że Lidii jest niedobrze.

- Oczywiście. - Pokręcił głową. - Nigdy nie miałem zamiaru nikogo zabijać.

- Jesteś kłamcą - oświadczyłem cicho. - Brudnym kłamcą i mordercą.

- Wiem - odrzekł. - Teraz to wiem. Teraz wiem, kim jestem. Sam siebie obrzucam wyzwiskami. Stwór-potwór, tak siebie nazywam.

Lidia wpatrywała się we mnie bezradnie.

- Ale na początku - powiedział Hawthorne - miała to być po prostu gra.

ROZDZIAŁ 128

Robbie wciąż się mocował z klapą, usiłując ją otworzyć bez hałasu, ale zawiasy zardzewiały od czasu, kiedy jej ostatni raz używali, i Josh miał oczywiście rację - skrzypiały. A niech to diabli.

Kiedy rozglądał się wokół, starając się nie upuścić tej cholernej klapy, wydawało mu się, że zauważył jakiś ruch w ciemnościach na sąsiednim dachu.

SWAT, jak się domyślał. Zobaczył, że światło błysnęło kilka razy i pojął, że usiłują się z nim porozumieć, po czym zauważył jeszcze jeden błysk, ledwie widoczną smużkę światła w okolicy drzwi, przez które wszedł na dach z klatki schodowej.

Lada chwila zjawi się tu jakiś gliniarz z pukawką i będzie próbował ściągnąć go stąd. Chyba że się będą bali, że tamten - jeżeli jest w mieszkaniu - może coś usłyszeć.

Nagła pokusa. Dać sobie spokój, zdać się na fachowców.

Skoro już tutaj są, chłopie. Trochę gazu łzawiącego, dobrze skierowanych strzałów...

Prawdopodobnie żadnych ofiar oprócz złoczyńcy.

Prawdopodobnie.

To za mało.

Otworzył klapę i oparł ją o dach.

Zawiasy zaskrzypiały.

Robbie ledwie śmiał oddychać.

W pokoju pod nim - pokoju gościnnym - panowały kompletne ciemności.

Jesteś przyzwyczajony do ciemności, Steel.

Stara drabina była złożona w harmonijkę pod włazem, ale skoro klapa narobiła tyle hałasu, wolał sobie nie wyobrażać, co się stanie, kiedy spróbuje zepchnąć ją na dół.

Lecz jeśli skoczy, hałas może być jeszcze większy.

Wszyscy byli w pogotowiu i mieli zielone światło, o ile komuś udałoby się wziąć Hawthorne'a na cel.

Jeśli chłopiec dostanie się do środka, zadziała jak detonator, co do tego nikt nie miał wątpliwości.

Negocjator zadzwonił wreszcie, żeby poinformować, że właśnie został uwolniony z windy, która się zacięła i w której jego cholerna komórka nie chciała działać.

- Nikt by czegoś takiego nie wymyślił - uznała Angela Moran.

- Powiedziałaś mu, żeby się nie fatygował, mam nadzieję? - mruknął Kline ponuro.

- Za późno na pogaduszki - ucięła sprawę Joan Storm.

Cała operacja przypominała koszmarny sen. Było już wystarczająco ciężko bez tego zwariowanego szesnastolatka, robiącego wszystko, żeby pogorszyć sprawę. Kline nie przyznałby się do tego przed nikim, nawet przed Joan Storm czy Moran, ale uważał, że jeżeli szczęście nie zdecyduje się im sprzyjać w ostatniej chwili, mają przerąbane, z którejkolwiek strony by na to popatrzeć.

- Myślicie, że nie wiem, co zrobiłem? - zapytał Hawthorne. - Myślicie, że nie chciałem umrzeć, kiedy o tym myślałem? Ale nie mogłem tak po prostu zostawić moich dzieci. Tak się o nie troszczyłem. Możecie ich zapytać, powiedzą wam. Karmiłem dobrze, dbałem, żeby mieli soki i mleko.

- Trzymałeś oboje w zamknięciu, w ciemności, w śmiertelnym strachu - dodałem.

Zignorował mnie i spojrzał na Lidię.

- Zapytaj kiedyś Steela - powtórzył. - On ci powie.

Robbie zdjął tenisówki Josha i wgramolił się do otworu. Teraz wisiał na obu rękach, trzymając się krawędzi, wiedząc, że tak właśnie zrobiłby Steel. Nie chodzi o to, że uważał się za postać z gry, doskonale wiedział, kim jest, ale myślenie kategoriami Steela mu pomagało.

I jeśli spadnie na podłogę, powinien wylądować na boku, jak spadochroniarz, wtedy być może nie narobi aż tyle hałasu.

A więc puścił się i spadł.

Hawthorne usłyszał jakiś dźwięk. Wszyscy go usłyszeliśmy.

Zobaczyłem, że zacisnął prawą dłoń na kolbie pistoletu, aż mu kostki pobolały.

Zaczął się podnosić.

- A może - odezwałem się głośno - wyjaśniłbyś Lidii, do czego chciałeś zmusić te dzieci?

Morderca mnie nie słuchał.

- Kiedy już mnie zawiozłeś do swojej kryjówki, do tej wirtualnej podróbki Limbo? - nie ustępowałem. - Opowiesz matce Steela, do czego chciałeś zmusić dzieci, którymi tak troskliwie się opiekowałeś?

- Do czego chciałeś je zmusić? - Zrozumiała, o co mi chodzi. - Do czego, Hal?

Hawthorne był już na nogach, ale pytanie w końcu dotarło do niego i rozproszyło go akurat tak, jak tego chciałem. Spojrzał w dół, napotykając oskarżycielski wzrok Lidii.

- Tak naprawdę wcale nie miałem takiego zamiaru.

- Jakiego? - Oczywiście się rozszerzyły, tym razem nie udawała.

- W każdym razie nie chciałem, żeby to zaszło tak daleko...

- Żeby co zaszło tak daleko? - Dłonie Lidii zacisnęły się na brzegu stołu. - Do czego chciałeś ich zmusić, ty draniu?

Kolejny dźwięk. Tym razem coś wyraźnie upadło.

Hawthorne nakazał nam gestem nie ruszać się z miejsca.

Moja myśl pobiegła w kierunku czytanej przed laty policyjnej książki instruktażowej, w poszukiwaniu zasad postępowania w takich sytuacjach jak ta.

Jeżeli agenci znajdowali się w mieszkaniu, strzelanina była nieunikniona.

Wyczekać na odpowiedni moment, potem chwycić Lidię i paść na podłogę, pod stół.

Hawthorne mógł być szalony i nigdy nie czytał policyjnych podręczników, ale nie był głupcem.

Odsunął się od stołu, obszedł go dookoła, po czym stanął za krzesłem Lidii i przystawił lufę pistoletu do jej potylicy.

Dokładnie w tej samej chwili, kiedy w drzwiach ukazał się Robbie.

- Jest w środku.

Słowo przebiegło tam i z powrotem, błyski świetlne ostrzegały kolejne oddziały.

Dalsze komunikaty.

- Ruch w pomieszczeniu od północnej strony.

Po chwili wszystko ucichło. Znikło gdzieś w niewidocznym sercu mieszkania.

Joan Storm wydawała krótkie, ostre komendy w języku zrozumiałym dla funkcjonariuszy FBI.

Wszystkie oznaczały to samo: czekać.

Rozkaz, który najtrudniej wykonać.

Nawet Kline, siedzący z Frankenheimerem w ruchomym centrum dowodzenia, zawsze taki wyświeżony, pocił się, odczuwając niemal fizyczny ból. Nienawidził, kiedy sprawy wymykały mu się z rąk. Mimo wszystko wiedział, że ma świetną ekipę, wiedział, że wszyscy są w stanie najwyższej gotowości.

- Czekać.

Robbie stał i patrzył na Hala Hawthorne'a.

Nigdy wcześniej go nie widział.

Lidia, siedząca przy kuchennym stole, zaczęła się odruchowo podnosić, ale Hawthorne pchnął ją z powrotem na krzesło, kładąc rękę na jej ramieniu.

Robbie wpatrywał się w pistolet, wymierzony, wręcz dotykający głowy jego matki i czuł ogarniającą go niepowstrzymaną furię.

Jego ręka sięgnęła po nóż wsunięty za pas.

- Nie robiłbym tego, Steel - odezwał się Hawthorne.

- Spokojnie, Robbie - dodałem miękko.

- Nic mi nie jest - zawtórowała Lidia. - On mi nic nie zrobi.

- Twoja matka ma rację, Steel - powiedział Hawthorne. - Więc rób, co ci każe, grzecznie i powoli. - Uśmiechnął się niespodziewanie, chłopięcym uśmiechem, kompletnie nie pasującym do sytuacji. - Jak na filmie: grzecznie i powoli. Połóż ten nóż na podłodze, Steel, i kopnij go w moją stronę.

Robbie zerknął na mnie. Skinąłem głową. Pistolet wymierzony w głowę matki zmusił go do posłuszeństwa. Wyjął nóż zza pasa, schylił się i położył go na podłodze, po czym kopnął bosą stopą.

Nóż wylądował pomiędzy stopą Hawthorne'a a moją.

- Dziękuję, Steel - odezwał się Hawthorne. - Jesteś grzecznym chłopcem. - Zawiesił głos. - Dobra, Jake - ciągnął po chwili. - Teraz ty się schyl, podnieś go i włóż mi do lewej ręki. - Jego niebieskie oczy się zwężyły. - Skalecz mnie, chociaż draśnij, a nacisnę cyngiel.

Zrobiłem, co powiedział. Nie mogłem zrobić nic innego.

Trzymając pistolet przy głowie Lidii, Hawthorne zatknął sobie nóż za pasek.

Pomyślałem, że trudno mi - zbyt trudno - rozgryźć tego sukinsyna. Chwilami - prawie przez cały czas, odkąd tu wszedłem - wydawał się

najbardziej nabuzowanym świrem, o jakim kiedykolwiek słyszałem, nie mówiąc już o spotkaniu kogoś takiego osobiście. A jednak w tej chwili był zimny jak lód i wszystko wskazywało na to, że trzeźwo rozumuje.

- Nic mi nie jest, Robbie - powtórzyła Lidia łagodnie. - A jak ty się czujesz?

- Świetnie, mam. - Chłopiec przełknął gwałtownie ślinę. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham. - Oczy Lidii napękały się łzami.

- Wszyscy jesteśmy cali i zdrowi. - Skorzystałem z okazji, żeby zabrać głos, dopóki Hawthorne tolerował naszą małą dyskusję. - Teraz potrzebny nam spokój - urwałem. - Rozmawialiśmy o różnych sprawach, Robbie.

- Kto z tobą jest? - zapytał Hawthorne. Koniec dyskusji.

- Nikt - odrzekł chłopiec.

- Kto z tobą przyszedł?

- Jeżeli ktoś by z nim przyszedł - wtrąciłem - to już by tu był. - Policjanci nie wysyłają przed sobą nastolatków na akcję.

- Nie są tchórzami, to chciałeś powiedzieć - uściślił Hawthorne.

Milczałem.

- Ten sukinsyn to największy tchórz pod słońcem - zwrócił się Robbie do matki.

- Nie bądź złośliwy, Steel - upomniał go Hawthorne. - To do ciebie nie pasuje. Zresztą wszyscy wiemy, że nie chodzi mi o policję.

- FBI też nie przyprowadziłem.

- Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, o kim mówię.

- Ma na myśli Dakotę. - Pierwszy pojąłem, o co mu chodzi.

- Oczywiście, że mam na myśli Dakotę. Gdzie się schowała?

Znów był szalony. Jak Marcowy Zajac.

Lecz nie tak bardzo szalony, żeby przebaczyć. Co to, to nie.

- Nigdzie - odpowiedział Robbie. - Nigdzie, ty pomyłony sukinsynu.

Widziałem, że Lidia zamruwała oczami. Musiało do niej dotrzeć, jak bardzo jej syn wydorósł od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni. Przyspieszone wejście w dorosłość. Biedny chłopak. Biedna Lidia.

- Uważaj, Steel - ostrzegł go Hawthorne.

Widziałem, że jego prawa dłoń przesuwana się nieco, ale lufa pistoletu nadal dotykała głowy Lidii i gdybym naprawdę pozwolił, żeby to do mnie dotarło, gdybym zaczął o tym myśleć, to chyba i ja bym oszalał. Mój wzrok powędrował w stronę twarzy Lidii, zobaczyłem, że jej oczy są utkwione w twarz syna, z tym zdumiewającym wyrazem, który zdawał

się mówić, że jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zobaczy na tym świecie, to jej wystarczy.

Ale nie mnie.

Przypomniałem sobie o pojemniku z gazem w tylnej kieszeni, przypomniałem sobie też, że pewnie i tak jest za stary, żeby zadziałać, zresztą, gdy pistolet znajdował się tam, gdzie się znajdował...

- Jeśli coś się stanie mojej matce - zwrócił się Robbie do Hawthorne'a - ty też zginiesz.

- Może nie dbam o to, czy zginę.

- Skoro tak - odparł Robbie - to przystaw sobie pistolet do głowy i naciśnij spust.

- Może nie w taki sposób miałbym ochotę umrzeć.

- Może ja też nie miałem ochoty być porwany, trzymany w zamknięciu, ledwie żywy ze strachu? Może Rianna też nie miała na to ochoty ani pozostali?

- Dakota - poprawił go Hawthorne. - Rozumiem twój punkt widzenia, Steel.

- Nie jestem Steelem!

Znowu uśmiech.

- Ależ tak, jesteś i miło cię zobaczyć, nawet w tych okolicznościach - urwał. - Jak właściwie się tu dostałeś, Steel? Nie ma tylnego wejścia - pomyślał chwilę - balkonów też nie, więc pozostaje dach.

Robbie nie odpowiedział.

- Dobrze - uznał Hawthorne. - Świeże powietrze. Dokładnie to, co zalecił lekarz.

Cofnął się o krok, szybko zmienił położenie pistoletu, tak że lufa dotykała teraz prawej skroni Lidii.

- Dobra, idziemy. Wstawaj, Lidio. - Skinął głową w moim kierunku. - Ty też, Jake.

Wstałem, nie spuszczać oczu z pistoletu i jej twarzy.

- Steel, ty prowadzisz. Potem profesor, a Lidia i ja zamykamy pochód. - Hawthorne znów zawiesił głos. - Jeśli ktokolwiek będzie próbował jakichś sztuczek, strzelam. Zrozumiano?

- Tak - powiedziałem.

Chłopak ruszył w stronę drzwi, oglądając się na matkę.

- Nic mi nie jest - powtórzyła jeszcze raz.

Robbie spojrzął na mnie i przez chwilę znów zobaczyłem chłopca, niepewnego i wystraszonego, co w tym momencie wydało mi się korzystne, bezpieczniejsze niż zbytnia brawura.

- Nie chciałbym strzelać - oświadczył Hawthorne, wyprowadzając nas za Robbiem z kuchni i kierując się w stronę korytarza. - Bóg mi świadkiem, że tego bym nie chciał. Dlatego chcę wyjść na dach, zaczerpnąć trochę świeżego, nowojorskiego powietrza.

Robbie kierował się w głąb mieszkania, w stronę pokoju gościnnego - pokoju, w którym spędziłem tamtą jedną noc - część nocy... Zawahał się, zerknął za siebie, po czym ruszył dalej.

- Naprawdę muszę się stąd wydostać - odezwał się szaleniec za moimi plecami, spoza Lidii i pistoletu. - Inaczej mógłbym faktycznie zastrzelić tę miłą damę, a naprawdę nie chciałbym tego robić. Przyszedłem do ciebie, Lidio, bo wiedziałem, że jesteś inteligentna i odważna, i ponieważ doszedłem do wniosku, że jestem ci winien wyjaśnienie. - Jego głos stał się nagle jak zbyt mocno naciągnięta gumka, która robi się coraz cieńsza. - Stwór-potwór dostaje torsji, kiedy musi zastrzelić człowieka, mówiłem wam już o tym, mówiłem wam. Krzyczy, kiedy to robi, lecz mimo wszystko robi to, jeżeli musi. Tak, jak go nauczył ojciec.

Znowu ruch, w tym samym pomieszczeniu od północnej strony, nadal w ciemności.

Trzy - nie, cztery osoby.

Przemieszczają się. Za daleko od okien, żeby stwierdzić...

Zwarta grupa, zbyt blisko siebie, by zaryzykować strzał...

Kline, wciąż w ruchomym centrum dowodzenia, czuł się, jakby go mrówki oblażyły.

Kolejny raport.

Wygląda na to, że zamierzają wyjść na dach.

Kline zerwał się na nogi i ruszył biegiem.

- Byłoby łatwiej przy zapalonym świetle - odezwał się Robbie.

- Jeśli ktoś dotknie kontaktu - uprzedził Hawthorne, wciąż tym swoim głosem przypominającym gumkę, która za chwilę trzaśnie - zastrzele Lidie. - Odetchnął głośno, z trudem. - Ściągnij tę drabinę, Steel.

Patrzyłem, jak Robbie próbuje jej dosięgnąć, widziałem, nawet w tym półmroku, jaki jest chudy, jak niewiele siły pozostało w jego ramionach i barkach.

- Pomogę mu - zaproponowałem.

- Steel da sobie radę. - Upierał się ten śmieć.

- Próbuje. - Chłopiec szarpnął drabinę, ale nie puściła. - Zaklinowała się.

- Pozwól, żeby Jake mu pomógł - poprosiła Lidia. Jej głos też brzmiał, jakby była na granicy wytrzymałości.

- Dobra - zgodził się Hawthorne. - Steel chyba nie jest dziś sobą. Może przyda mu się pomoc.

Podszedłem do Robbiego i stanąłem obok niego. Nasze oczy się spotkały.

- Powiedziałem, żebyście ściągnęli tę pieprzoną drabinę!

Zaczęliśmy ciągnąć, pchać i szarpać we dwóch.

- Potrzebujemy jeszcze kogoś do pomocy - stęknąłem.

- Nie ma mowy - odparł Hawthorne. - Nie jestem głupi, profesorze. - Pokręcony, nikczemny, być może, ale nie głupi.

- Do czego zmierzasz? - zapytała Lidia, mimo pistoletu przyłożonego do jej głowy.

Nagle zacząłem się modlić, żeby nie mówiła nic więcej. Nie pragnąłem niczego ponadto, żeby ten szalenięc wy dostał się na dach i zamienił się w żywy cel.

- Do tego, żeby odetchnąć świeżym powietrzem - odrzekł. - I do finału. Amen.

Drabina opadła nagle z głośnym trzaskiem, zaskakując nas wszystkich.

Lidia wykorzystała ten moment, wyrwała się Hawthorne'owi i pobięła w głąb ciemnego korytarza. Pochyliłem głowę i runąłem na niego. Trafiłem go w pierś, zachwiał się, ale nie wypuścił broni z ręki.

Pojemnik z gazem. Wyszarpnąłem go z kieszeni, zrzuciłem pokrywkę, wycelowalem i posłałem mężczyźnie w twarz strumień gazu, naciskając długo i z całej siły.

Do niczego.

Ale dosyć, aby wywołać odruchową reakcję.

Odgłos wystrzału rozległ się echem po pokoju, aż szyby zadzwoniły.

Robbie krzyknęła i upadł.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie Lidia. - Robbie!

- Lidio, uciekaj! - Kucnąłem nad chłopcem, próbując znaleźć ranę. - Uciekaj!

- Ty bydlaku!

Rzuciła się na Hawthorne'a, nie zważając teraz na broń, sama nieomal niepoczytalna, okładając go pięściami, gdzie popadło, po twarzy, po klatce piersiowej... Nie bronil się, wydawał się zbyt oszołomiony, żeby zareagować, nadal jednak ścisnął pistolet w prawej dłoni.

- Lidio, przestań!

Podniosłem się, a mój ruch otrzeźwił zabójcę. Wydał dźwięk przypominający ryk, chwycił ją wpół, jego mocne lewe ramię opasało jej talię, po czym powlókł Lidię w stronę drabiny i zaczął się wspinać, wciągając kobietę za sobą.

- Idź za nimi!

Głos Robbiego dochodził z podłogi.

Spojrzałem w tamtym kierunku, wyteżając wzrok.

- Jake, nic mi nie jest, ruszaj!

Dopadłem drabiny i zacząłem na nią wchodzić...

Nagle zobaczyłem, że dach zalewa powódź światła.

Wydostałem się przez otwór, oślepiony, mrużąc oczy...

Hawthorne i Lidia byli na wprost mnie, widziałem jedynie kontur ich ciał, zbyt blisko jedno drugiego, poza tym on wciąż biegał, ten parszywy, śmierdzący tchórz krążył z nią tam i z powrotem, kręcił się jak fryga, tak że nikt na sąsiednim dachu, skąd pochodziła część iluminacji, nie mógł go wziąć na cel...

- Rzuć broń, Hawthorne. - Kobiecy głos, donośny i rozkazujący, zabrzmiał z drugiej strony, gdzieś na lewo ode mnie, odbił się echem na dachu i w czarnej czeluści pomiędzy dwoma budynkami. - Puść kobietę, połóż broń na ziemi i nikt nie będzie strzelał.

- Nikt nie będzie strzelał, dopóki ją trzymam - wrzasnął morderca w odpowiedzi i znów się odwrócił, ciągnąc Lidię w stronę murku otaczającego dach, kręcąc się przez cały czas i utrudniając celowanie.

- Myślałem, że nie lubisz, kiedy ludzie uważają cię za tchórze! - krzyknąłem. - Trudno o większe tchórzostwo niż chowanie się za kobietą!

- Tylko się zastanawiam, co dalej - odrzekł, wciąż się obracając.

- Poddaj się, to wszystko, co może być dalej - powiedziałem.

- Myślałem raczej - kolejny obrót - o czymś w rodzaju ostatniego skoku z trampoliny.

Żołądek podjechał mi do gardła.

- Świetny pomysł - odparłem - ale najpierw ją puść!

- Zostaw panią Johanssen, Hawthorne! - rozkazał inny głos.

Zabójca wciąż się obracał, niemal wirował, musiało mu się już kręcić w głowie, a oblicze Lidii, kiedy nią kręcił tam i z powrotem, było barwy popiołu.

- Jake, nie wiesz, czy Lidia jest dobra w skokach z trampoliny?

- Nie! - krzyknął przeraźliwie Robbie, stając u wylotu drabiny, w otwartym włazie.

Zauważyłem nagły ruch w ciemności, szybki jak błyskawica, na lewo ode mnie, i po chwili znów wszystko zastygło.

Trzask gdzieś na dole.

Robbie i ja popatrzyliśmy instynktownie w stronę, skąd dochodził hałas i obaj usłyszeliśmy - wszyscy usłyszeli - szybki tupot nóg w mieszkaniu pod nami.

Jeszcze jeden dźwięk. Krzyk Lidii.

Odwrociłem się szybko.

Hawthorne stał na murku, w prawej ręce wciąż trzymał pistolet, który dyndał, zwisając mu z palców.

- Lidio! - wrzasnąłem, rozglądając się za nią. I wtedy ją zobaczyłem. Dzięki Bogu.

Wciąż na dachu, skulona pod murkiem, wpatrywała się w zabójcę. Tylko sekunda, ale ciągnąca się w nieskończoność. Snajperzy na sąsiednim dachu składali się do strzału.

- Patrz, tato!

Głos zabójcy wydawał się teraz dużo wyższy, niemal chłopięcy.

Hawthorne przymierzał się do swojego ostatniego skoku.

Choć nawet to mu zepsuto, gdy grad pocisków runął ze wszystkich stron, bombardując go, siekąc, rozdzierając na strzępy i posyłając w ciemną, przepastną czeluść, w której zniknął koziołkując, wirując i opadając coraz niżej po spiralnym torze.

ROZDZIAŁ 129

W dniu, w którym Lidia przywiozła Robbiego ze szpitala, czekaliśmy na oboje w ich mieszkaniu - Rianna, Ella, Josh i ja - tak, jak się wcześniej umówiliśmy. Mieliśmy coś ważnego do zrobienia.

Jeszcze jedna wizyta w ogrodzie na dachu, tym razem przez drzwi z klatki schodowej. Wykonałem ponownie robotę Aarona Johanssena, zabijając jeszcze raz klapę gwoździami, moim zdaniem całkiem solidnie.

Sądzę, że nie miałby mi tego za złe.

Przyniosłem ze sobą duży metalowy pojemnik, pożyczony od Alberta Loomisa; z tych, jakich ogrodnicy używają do palenia liści i chwastów.

Rozpaliliśmy w nim ogień, sympatyczne, nie za duże, płonące równym płomieniem ognisko. Po czym Robbie, Rianna, Josh i Ella wrzucili do niego wszystkie egzemplarze Limbo, jakie posiadaliśmy.

Wiecie, jeden z tych symbolicznych gestów.

Dużo dymu, zadziwiająco mało smrodu, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

Czułem, że dobrze mi to zrobiło. Patrząc na Lidię, a potem na twarze naszych dzieci i na Josha, widziałem, że czują to samo co ja.

Bogu dzięki.

Psychoterapeutka, która przychodziła do Robbiego do szpitala i do Rianny w New Haven, powiedziała, że obawia się u naszych dzieci długofalowych następstw, z powodu straszliwie anormalnego charakteru przejść, które stały się ich udziałem. Rozmawialiśmy później z Lidią o tym, na co oboje powinniśmy zwracać uwagę. Lidia wyznała, że jeśli chodzi o Robbiego, terapeutka zwierzyła się jej z bardziej konkretnych obaw, dotyczących utożsamienia z postacią Steela, które mogło się u niego rozwinąć w pewnym stopniu.

Muszę przyznać, że była to jedna z wielu rzeczy, które wprawiły mnie w popłoch tamtego długiego wieczoru: widok Robbiego, stojącego w

drzwiach, boso, z nożem u pasa. Wiem, że Josh miał podobne obawy, kiedy jego przyjaciel upierał się, żeby pójść na dach w pojedynkę.

Na szczęście od tamtej pory nie było nawrotów tego typu zachowań, co stwierdzamy z ogromną ulgą.

Mimo wszystko Lidia go obserwuje. Wszyscy go obserwujemy.

Przyglądamy się naszym dzieciom, kiedy to tylko możliwe. Pewnie zbyt uważnie, przynajmniej ich zdaniem. Wszyscy ucierpieliśmy, w różnym stopniu. Leczymy się z tego powoli, łagodnie i wspólnie.

Psychoterapeutka zasugerowała też, że gdyby dzieci chciały - i tylko pod tym warunkiem - mogłyby wziąć udział w którymś z pogrzebów nastoletników zamordowanych przez Hawthorne'a, że mogłoby im to przynieść więcej pożytku niż szkody. Tłumaczyła, że ludzi, którzy uszli z życiem w dramatycznych okolicznościach, gdy inni ponieśli wówczas śmierć, gnębi niekiedy irracjonalne poczucie winy. Włączenie się we wspólną żałobę może być wtedy pomocne.

Rianna i Robbie uczestniczyli więc w pogrzebie Michaela Coopera.

I przekonali się, że to dla nich bardzo trudne.

Wiem, że najtrudniej było im znieść wyraz twarzy Fran i Stu. Wiem o tym, bo sam też nie mogłem tego wytrzymać.

Tak więc nie poszli na żaden z pozostałych pogrzebów.

Lidia i ja uczestniczyliśmy we wszystkich. Składaliśmy kondolencje, oferując pomoc, choć wiedzieliśmy, że żadna pomoc nie jest możliwa. Baliśmy się też, że ci rodzice muszą nas nienawidzić, bo my odzyskaliśmy dzieci.

Wiemy, jakimi jesteście szczęściarzami.

Szczęściarzami, to o wiele za mało powiedziane.

Mieliście szczęście i pod innymi względami.

Znaleźliśmy się nawzajem. Nieważne, jak to się stało.

Korda, Fitzgerald i Ellen Zito także uczestniczyli we wszystkich pogrzebach. Wydawali się głęboko, autentycznie wstrząśnięci.

Limbo i gra, stanowiąca jej dalszy ciąg zostały, jak słyszeliśmy, wycofane ze sprzedaży, wszystkie egzemplarze będące w magazynach zniszczono, a Korda i Fitzgerald zapowiedzieli wielkie przedsięwzięcie, finansowane przez firmę Eryx Software dla uczczenia pamięci ofiar, którego celem miała być pomoc dla trudnej młodzieży. Wcześniej Tillman, radca prawny firmy, wydał oświadczenie, w którym stwierdzono zdecydowanie, że ani jego klienci, ani korporacja nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za czyny popełnione przez byłego współnika, Hala Hawthorne'a.

- Pewnie szykują się już, żeby rzucić na rynek nową grę - powiedziałem do Lidii, kiedy dowiedzieliśmy się o projekcie. - Całe to umartwianie się powinno wzbudzić wystarczająco życzliwą reakcję opinii publicznej, aby zrekompensować poniesione straty.

- Nie wiem - odrzekła Lidia. - Na pogrzebach wydawali się strasznie przybici.

- Ja myślę - potwierdziłem.

Rianna i Robbie widują się tak często, jak tylko się da.

Lidia i ja chcielibyśmy, żeby zostali jak najlepszymi przyjaciółmi, chociaż obawiamy się czegokolwiek ponadto; boimy się, że mogłoby to doprowadzić do komplikacji. Zwłaszcza gdyby ich drogi miały z czasem się rozjeść, jak to nieuchronnie dzieje się z większością młodzińskich par.

Mówiąc o komplikacjach, mam na myśli naszą własną, coraz silniejszą więź.

Być może ona sprawia, że jesteśmy egoistami. Po prostu nie mogę znieść myśli, że mogłyby się pomiędzy nas wkraść jakieś zgryzoty, psując to, co zdobyliśmy. To, co, mam nadzieję, uda nam się z czasem zbudować. Rodzinę.

Jedną rodzinę.

Dzisiaj, mimo całej mojej sympatii do Robbiego, niepokoję się czasem, że Rianna spędza tak dużo czasu w towarzystwie kogoś, z kim przeżyła najstraszniejsze chwile swojego młodego życia. Zastanawiam się, czy nie byłoby dla niej zdrowiej oderwać się od tych wspomnień.

Norman Baum sądzi, że niepotrzebnie się martwię.

- Wciąż mieszkacie w innych miastach - tłumaczy. - Zobaczysz, wszystko samo się ułoży.

I pewnie ma rację...

Rianna uważa, że myślę się całkowicie, bo Robbie jest najwłaściwszym chłopakiem, z jakim mogłaby spędzać czas. Jedyńm, który ją naprawdę rozumie.

Ale to ja biegnę w nocy do jej pokoju, kiedy budzi się z krzykiem.

Przyznała mi się jakiś czas temu, że niemal co noc śni się jej, że jest Dakotą i niemal zawsze są to koszmarnie wizje.

Chociaż czasem, jak mówi, budzi się z uśmiechem.

Gdy śni jej się, że Steel przybywa na ratunek.

Ella też bardzo się zmieniła po tym wszystkim. Dziecinne fochy raczej należą już do przeszłości, podobnie jak faza przedwczesnej powagi. Lgnie teraz do mnie bardziej niż przedtem, tak samo do starszej siostry i do

Kim. Nie chce się do tego przyznać, ale nie lubi tracić nas z oczu na dłużej.

Rozumiem ją doskonale.

Ja nie miewam zbyt często koszmarnych snów, chociaż głównie dlatego, że w ogóle niewiele śpię. Mam trzydzieści osiem lat, lecz nawet jako pięciolatek nigdy nie miałem takich problemów jak teraz, kiedy niemal boję się zgasić w nocy światło.

Z wyjątkiem tych nocy, które spędzam z Lidą.

Tych, kiedy wszyscy jesteśmy razem, pod jednym dachem.

Myszę, że wtedy wszyscy czujemy się najbezpieczniej.